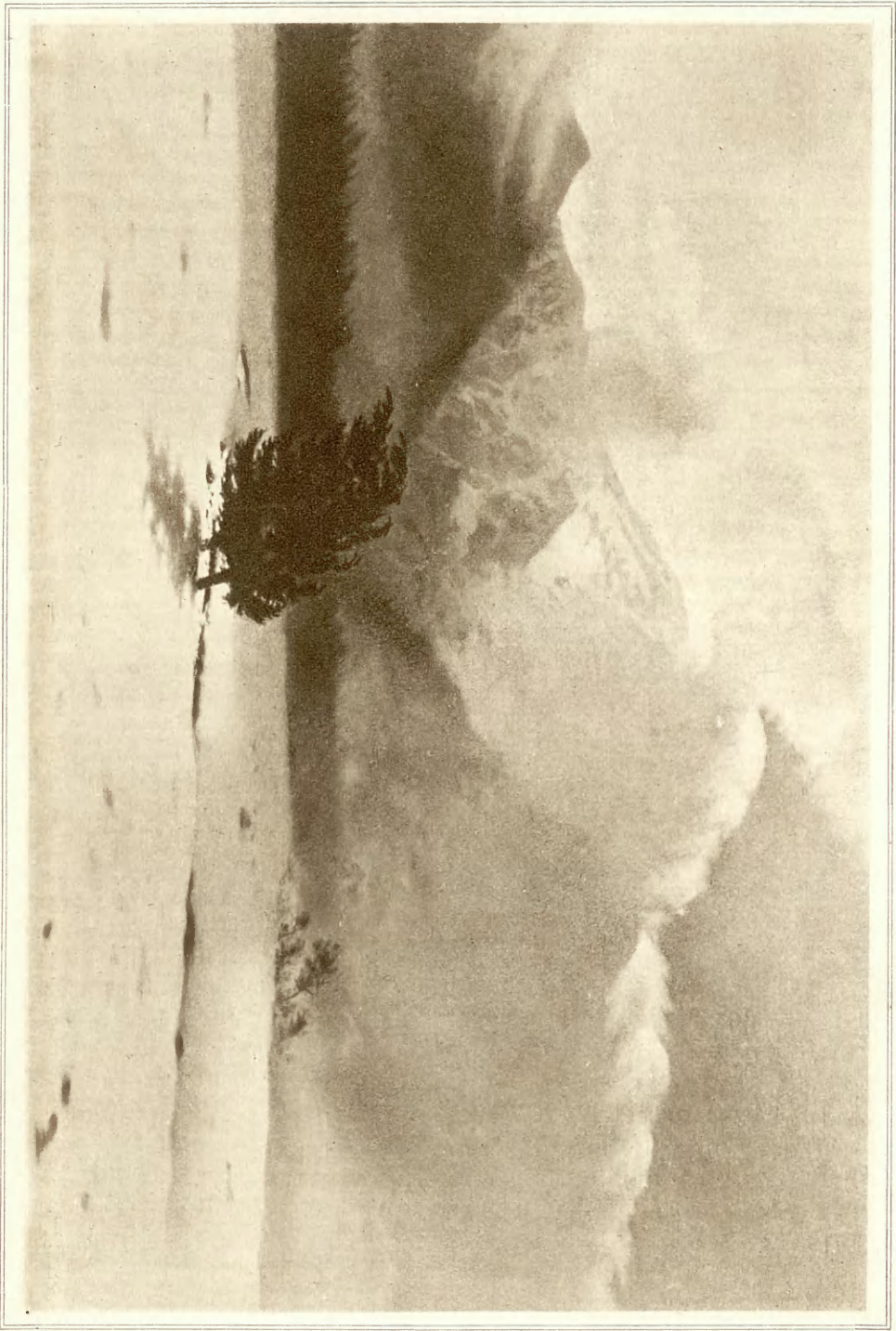


WIATR HALNY



OBRAZ ST. WITKIEWICZA

WIERCHY

ROCZNIK POŚWIĘCONY GÓROM I GÓRALSZCZYŹNIE

WYDANY STARANIEM ODDZIAŁU LWOWSKIEGO
POLSKIEGO TOWARZYSTWA TATRZAŃSKIEGO
POD REDAKCJĄ PROF. DR. JANA GW. PAWLIKOWSKIEGO (RED. NACZ.), PROF. DR. ADOLFA
CHYBIŃSKIEGO, DR. ROMANA KORDYSA, KUSTO-
SZA MUZEUM TATRZ. JULJUSZA ZBOROWSKIEGO

ROK DRUGI

Turystyka	Str. 253
Stowarzyszenia i instytucje (z ilustr.)	257
Różne zapiski	262
Ostatnie wiadomości	265
Od Redakcji	267

Ilustracje.

Rocznik ten zawiera 50 ilustracyj w tekście (w czym 4 mapki, 4 plany i 5 grafików), — 1 ilustrację (rotograwurę) poza tekstem i 1 na okładce.

Ilustracje poza tekstem.

Okładka: Zamarła Turnia od Orlej perci, — cynkotypia z fot. D. K. K.

Wiatr halny, — rotograwura z obrazu olejnego St. Witkiewicza — przed kartą tytułową.

Rotograwura wykonana została w „Drukarni Nakładowej“ w Krakowie, — cynkotypie w zakładzie graficznym „Atlas“ we Lwowie, z wyjątkiem klisz na str. 101, 102, 103, 104, 107, 116, 117, 124, 125, 127, 194, 196, 199, 201, 204, wypożyczonych nam uprzejmie przez Zarząd główny Pol. Tow. Tatrzańskiego, przez Redakcję „Ochrony Przyrody“ i przez prof. K. Sosnowskiego, którym na tem miejscu składamy najszczerze podziękowanie.

Sprostowanie ważniejszych dostrzeżonych błędów.

- Str: 38 w. 6 zam.: „ręki się chęta“ — ma być: „ręki się nie chyta“.
 „ 42 w. 12 zam.: uboższy, a sernik — ma być uboższy w sernik.
 „ 47 w. 9 (w „Literaturze“): zam.: Hołubińska — ma być: Hołubianka.
 „ 63 w. 2 od dołu zam.: stroną — ma być: stronę.
 „ 64 w. 2 w przypisku zam.: każdą — ma być: wojną.
 > 104 klisza została odwróconą; ma ona leżeć na prawym boku.
-

WIERCHY (LES CIMES).

Annuaire édité par le Détachement de Lwów de la Société polonaise des Tatras. Rédigé par le prof. Jean Gwalbert Pawlikowski (red. en chef), le prof. Adolph Chybiński, le dr. Roman Kordys, Jules Zborowski.

TABLE DE MATIÈRES.

La correspondance tatrienne de M. Karłowicz. (Edité par A. Chybiński et R. Kordys). — M. Pawlikowski: Poésie. — M. Sokołowski: Le conocarpe dans les Tatras polonaises (2 ill. et un dessin). — J. Królikowski: L' „oszczypek“ (fromage des alpes tatriennes, essay monographie avec 5 ill.). — T. Zwolinski et T. Malicki: Dans les Tatras souterraines (avec 6 ill. et 2 plans des grottes). — W. Goetel: Notes sur l' exploitation du granit sur le terrain des Tatras polonaises (avec 2 cartes et un dessin). — S. Dębicki: Sur les skis. — W. Orkan: Poésie. — Les montagnes de Pieniny: 1. St. Kulczyński: La nature de Pieniny. 2. K. Sosnowski: Le paysage et le tourisme dans les Pieniny. 3. J. Wiktor: Sur le Dunajec. (Avec 17 ill.). — J. Jedlicz: Le mystère du tableau (poésie). — J. Chmielowski: Supplément à la monographie de Łomnica (avec 1 ill.). — S. Udziela: Les montagnards de Żywiec (avec 4 ill. et 2 plans.). — E. Romer: L' oeuvre des eaux et des glaciers dans les Tatras (avec 5 ill. et 3 dessins). — T. E. Modelski: A propos du débat de Javorina. — M. Świerz: Sur les pentes rocheuses (avec 7 ill.). — W. Orkan. Les deux musées de Zakopane. — A la mémoire d' Alfréd Altenberg (portrait).

Chronique. S. S.: Fondation national des comtes Zamoyski. — A. Ch.: Dernières phases du débat de Javorina. — Les voies futures de la Société pol. des Tatras. — K. Sosnowski: L'alpinisme polonais dans le Beskid de l'Ouest. — J. G. Pawlikowski: A la mémoire de Wojciech Roj (1 ill.). — Recherches scientifiques. — La Société pol. des Tatras. — La protection de la nature. — L'alpinisme. — Sociétés, Institutions. — Divers. — Dernières nouvelles. — Avis de la Rédaction.

Illustrations: 50 illustrations dans le texte. — Planches hors texte: „Le Rocher Mort“, cliché de D. K. K. (frontispice). — Le vent „Halny“, tableau de St. Witkiewicz.

Z korespondencji tatrzańskiej Mieczysława Karłowicza

(w piętnastą rocznicę śmierci) ¹⁾.

Wydali i uwagami zaopatrzyli Adolf Chybiński i Roman Kordys.

Listy Mieczysława Karłowicza nie zostały dotychczas wydane. Małe fragmenty, przeważnie luźne zdania, znajdują się w szkicu biograficznym Karłowicza wydanym przez A. Chybińskiego w warszawskim miesięczniku „Sfinks“ (rok 1909/10). Są to fragmenty z listów treści muzycznej. Około 150 listów, kart korespondencyjnych i biletów, jakie w swym zbiorze posiada autor wspomnianej biografji, stanowi bogaty materiał do historii nowszej muzyki polskiej, jednakże nie nadaje się jeszcze w całości do wydania z powodów zupełnie zrozumiałych (głównie osobistych). Natomiast istnieje szereg listów treści „tatrzańskiej“, które są cennem uzupełnieniem tych pięknych, literacko wartościowych opisów górskich i turystycznych, które śp. Karłowicz umieścił przeważnie w „Taterniku“, częściowo „Słowie Polskiem“ i „Pamiętniku Towarzystwa Tatrzańskiego“, a które, zebrane i wydane przez Sekcję Turystyczną Tow. Tatr. w pośmiertnej książce, p. t. „Mieczysław Karłowicz — w Tatrach“ (Kraków 1910), stanowią jedną z najpiękniejszych w swoim rodzaju lektur. Wybór taternickich listów Karłowicza podany obecnie, jest fragmentem korespondencji, którą znakomity muzyk i taternik prowadził z obydwojma wydawcami niniejszych listów. Jest rzeczą zrozumiałą, iż przeważa korespondencja z dr. R. Kordysem, ponieważ ten ostatni ze stanowiska taternictwa w pierwszym rządzie wchodzi w rachubę, gdy korespondencja z dr. A. Chybińskim obraca się głównie koło spraw muzycznych z czasu pobytu Chybińskiego za granicą (w Monachjum), a tylko częściowo w kraju. Korespondencja Karłowicza

¹⁾ 8 lutego w r. 1909 zginął Karłowicz pod Małym Kościelcem, zasypany lawiną.

z innymi przedstawicielami polskiego sportu turystycznego — zwłaszcza z Januszem Chmielowskim, Zygmuntem Klemensiewiczem i innymi — będzie w dalszych rocznikach „Wierchów“ ogłaszana w miarę wzrastania materiału.

Podane poniżej listy Karłowicza dotyczą wprawdzie głównie Jego wędrowek tatrzańskich i zagadnień turystycznych, jednakże są one związane także z muzyczną twórczością znakomitego symfonisty i jej związkiem z Tatrami, jako jednym ze źródeł inspiracji (por. „Trzy odwieczne pieśni“).

O taternictwie Karłowicza informuje nas dostatecznie wstęp do wspomnianej książki pośmiertnej, napisany przez R. Kordysa. Obecnie wydane listy, odnoszące się do lat: 1904—1909, a więc do ostatnich lat życia, zakończonego śmiercią pod lawinowym całunem, uzupełnią nie-jeden szczegół. Podajemy je w chronologicznym porządku. Dla uproszczenia zaopatrzony jest każdy list wzgl. karta, pierwszą literą nazwiska adresata („Ch.“ = list do Chybińskiego, „K“ = list do Kordysa).

Bliższa znajomość Karłowicza z Tatrami datuje się od lat 1892—1894. Ten ostatni rok „zamyka pierwszy okres w życiu taternickim Karłowicza. Przez dziesięć lat następnych nie zachodził on w głąbie Tatr“ — czytamy we wstępie Kordysa do pośmiertnej książki (str. VII).

„Długie lata minęły“.

Ponowne i ściślejsze zbliżenie się do Tatr datuje się od r. 1904. Z tego czasu pochodzi następująca karta:

[Ch.]

I.

„Zakopane, 10. VIII. 1904. Kochany Panie. ...Czy da Pan wiarę, że w sobotę nie udało mi się znaleźć wolnego pokoju w żadnym z hoteli tutejszych? zalokowałem się więc tymczasowo w Jaszczurówce. Jutro przenoszę się do „Fortunki“ na Bystrem. Pogoda ciągle bardzo piękna, a przytem ciepło. Znajomych mnóstwo, więc czas przyjemnie schodzi. Czy nie wpadnie Pan tutaj kiedy na jaką niedzielę? Łączę przyjacielski uścisk dłoni M. K.“

I w następnym roku mieszkał Karłowicz w „Fortunce“ — jak dowodzi list do Ch.'go z dn. 12. VII. 1905 r. Przedtem jeszcze (na wiosnę) odbył podróż do Niemiec, był w Monachjum, gdzie obok spraw muzycznych interesowały go w niemniejszym stopniu przybory turystyczne. Zakupił niezwyklej pomysłowości plecak, z posiadania którego był bardzo dumny. O swych wycieczkach turystycznych pisze kartę następującej treści:

[Ch.]

II.

„Zakopane, 8 sierpnia, 1905. Kochany Panie. Serdeczne dzięki za pamięć i za kartkę! Czas schodził mi szybko, bo pogodę mieliśmy ładną i chodziło się nie mało po górach. Teraz mgła owinęła Zakopane, trzeba więc siedzieć w domu. Do Monachjum nie będę mógł, niestety, przyjechać na Wagnera; przyczyny niech pan szuka w stratach, jakie wszyscy ponosimy obecnie w Królestwie, a „de rublibus non est disputandum“. Tutaj chcę zabawić do 5—8 września, więc miesiąc jeszcze. „Rucksack“ służy znakomicie i wzbudza podziw, bo tutaj takich nie widzieli. Wdzięczny będę za słówko o postępie prac Pańskich, tymczasem ślę dla Pana i Pańskiej Małżonki słowa itd. M. K.“

Tymczasem Karłowicz wszedł już powrotnie i to całą duszą w turystykę tatrzańską, czyniąc na razie wyprawy letnie. Z roku na rok wzrasta jego zapał. Wiosnę i późną jesień lub początek zimy poświęca dla wyjazdów za granicę, aby ustawicznie być w kontakcie z współczesną twórczością muzyczną. Bywa prawie stale w Wiedniu, Monachjum, Paryżu, Lipsku, oraz Berlinie, gdzie pod dyrekcją Fitelberga odbywały się koncerty symfonicznej muzyki polskiej, na które przyjeżdżali z Lipska i Monachjum najbliżsi przyjaciele Karłowicza, Fitelberga, Różyckiego i Szymanowskiego. Stale wozi z sobą kodak, dokonując fotograficznych zdjęć przyjaciół i znajomych. Kodak towarzyszy mu stale w wycieczkach tatrzańskich. Zdjęcia fotograficzne Karłowicza należą do najpiękniejszych, jakich w Tatrach dokonano (por. „Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego“ i księgę pośmiertną). W czerwcu r. 1907 donosi z Lipska Ch.'mu o wyjeździe do Zakopanego (karta fotograficzna z 16. VI.), gdzie od r. 1904 nie miał stałego mieszkania. Z 2 lipca r. 1907 pochodzi list pisany z Zakopanego, z adresem ul. Ogrodowa 7. Fragment tylko można podać na razie (ze względów osobistych):

[Ch.]

III.

„Pogodę zastałem tutaj prześliczną. Trwa dotąd; właściwie nawet trochę za ciepło. Znalazłem mieszkanie z cudnym widokiem na całe pasmo gór od Murania po Osobitą. Na razie jeszcze nie chodzę (sc. w góry), lecz za kilka dni wyruszę w góry. Partytura i głosy „Powracających fal“ są w druku. Zapewne do września wszystko będzie gotowe. Zaraz prześlę Panu egzemplarz partytury.

„Stanisława i Annę (Oświecimów)“ wykończyłem zupełnie w kompozycji. Instrumentować będę dopiero na jesieni...”

W tym czasie wszedł już w grono najwybitniejszych taterników (przyjaźń z Chmielowskim łączyła go od dawna) i prowadził ożywioną korespondencję w sprawach turystyki. Z tej licznej korespondencji podajemy na razie listy i karty zamieniane z R. Kordysem.

[K.]

IV.

(List.)

„Zakopane, 11. X. 07. Kochany Panie. Posyłam Panu jeszcze jedno zdjęcie „Widły“¹⁾ — jako, że się Pan niemi zajmuje — tym razem zdjęcie robione z dość daleka.

Jesień i w Zakopanem piękna nad wyraz: tygodnie mijają bez kropli deszczu, ciepło przytem jest ciągle, cieplej, niż było latem! Mało korzystam z pogody; wprzęgnięty jestem do mej pracy, która mi dobrze idzie, trudno mi więc od niej się odrywać.

Na Orlej Perci wojowałem ze śniegiem, gdyż nikt po „młodym“ śniegu przede mną tam nie był: wypadło więc miejscami odkopywać żelaztwa z pod śniegu, miejscami korzystniej było iść samą granią, nie za znakami. Przyniosłem zdjęć kilkanaście przeważnie udatnych. Za kilka tygodni prześlę Chmielowskiemu²⁾ „wybór“ zdjęć moich; będzie tego coś z 80, może i więcej. Ponosząc trud kopjowania, tonowania i t. d. takiej masy zdjęć, nie czynię tego tylko i jedynie dla łączącej mnie oddawna przyjaźni z Chmielowskim, lecz także z myślą, ażeby Panowie mieli możność orjentowania się w mych zdjęciach: jeżeli coś dla „Taternika“, lub prywatnie dla kogoś z Panów będzie przydatne, to chętnie zrobię odbitkę i przyślę.

Po „Orlej Perci“ zrobiłem tylko drogę na Giewont żlebem na przełęcz między Małym a Dużym Giewontem. Dziwiłem się, czemu droga tak piękna i ciekawa, przytem dająca idącemu niemal pełną satysfakcję, że wchodzi na Giewont od strony Zakopanego, tak mało jest znana i polecana.

Góry przybrały odcień rudawo-żółty, wyzbyły się przytem śniegu do cna (przynajmniej te, które stąd widać), co jest zasługą halnego wiatru.

¹⁾ „Widły“ — turnie w grani między Łomnicą i Kiezmarskim Szczytem.

²⁾ Januszowi, autorowi „Przewodnika po Tatrach“.

Co do Soliska¹⁾, to zwiedziłem tylko szczyt główny, nie zauważyłem bowiem w grani drugiego, wydatnego wierzchołka. W kopcu było płaskie pudełko blaszane, a w niem książeczka z obszernym traktatem pp. Dyhrenfurtha i Guenthera²⁾. Pisali ci panowie, że na „Grosser Szolizsko“ prócz kopca innych śladów bytności ludzkiej nie znaleźli, lecz, że „wiadomo powszechnie“ iż był tam E..... z Hunsdorfferem³⁾; że więc oni byli tam jako druga partja. Pomimo obszerności traktatu (2 strony) panowie autorowie przepomnieli o dacie — nie wiem tedy, czy byli w r. 1906, czy wcześniej⁴⁾. Wejście na Solisko (od Furkotnej) trudności nie przedstawia, po litej skale bowiem idzie się tylko kilkanaście metrów ostatnich, a i tam nie brak dobrych chwytów. Może więc E. i był na Solisku?

Kończąc, słę serdeczny uścisk dłoni i pozdrowienie tatrzańskie. M. K.“

[K.]

V.

(Karta fotograficzna.)

„Zakopane, 19. X. 07. ...Przesyłam Panu pewne „curiosum“. Oto przed tygodniem wyszedłem sobie na całodzienny spacer i dotarwszy do Czuby Goryczkowej szedłem granią do Przełęczy Kondrackiej. Po stronie węgierskiej było jasne niebo, po stronie galicyjskiej kłębiły się mgły. Słońce, świecąc z południa, rzuciło mój cień na mgły, widziałem więc przez parę godzin mego sobowtóra, który szedł, stał, siadał, a miał na około siebie wspaniałe kółko tęczowe. Zrobiłem próbę zfotografowania go i, jak Pan widzi, coś niecoś wyszło: na zdjęciu znać⁵⁾ nóżki statywu i lewą rękę, podniesioną w górę. Naturalnie zdjęcie było zrobione przez żółty filtr, a ekspozycja niezmiernie krótka⁶⁾. — Korzystając z cudnej jesieni, byłem w poniedziałek na obydwóch Mnichach z Klimkiem; zapewne jeszcze wkrótce na kilka dni w góry się wybiorę. Pozdrowienia! M. K.“

Czem dla Karłowicza, również jako twórcy muzycznego, były Tatry, zwłaszcza wobec zabagnionej i nieprzychylnej dla ówczesnej młodej mu-

¹⁾ Kwestja Soliska była w tym czasie aktualna ze względu na wątpliwości, jakie nasuwały mistyfikatorskie opisy Dr. K. Englischa (por. „Taternik“, nr. 6 z 1907 r.).

²⁾ Nazwisko mylnie podane; towarzyszem Dyhrenfurtha był H. Rumpelt, Guenther zaś jest imieniem Dyhrenfurtha.

³⁾ Hunsdorfer nie towarzyszył Englischowi w wycieczce na Solisko, lecz P. Spitzkopf.

⁴⁾ Skąd innądat data jest znana (10 czerwca 1906 r.).

⁵⁾ Kordys przesłał Karłowiczowi w rewanżu podobne zdjęcie „widma“, zrobione na szczycie Mnicha. Karłowicz wspomina o niem w liście z 16. XI. 07 (patrz niżej).

zyki polskiej gospodarki w Filharmonji warszawskiej, świadczy następujący fragment z listu, z datą 26 października r. 1907:

[Ch.]

VI.

„...Choć geograficznie będzie to nieścisłością, jednak muszę powiedzieć, że potężny mur Tatr oddziela i chroni mnie od wyziewów bagniska w Siedzę wśród swoich, żyję zapasem wrażeń artystycznych, zebranych w Lipsku i Berlinie, nikt mi w pracy nie przeszkadza, mogę chodzić po górach tatrzańskich, które ukochałem, jakbym się wśród nich był narodził — i na razie niczego więcej nie żądam. A praca idzie mi dobrze, spodziewam się do grudnia uporać się z instrumentacją „Stanisława i Anny““

[K.]

VII.

(List.)

„Zakopane, 4. XI. 1907. ...Projekty moje są w ścisłej zależności od tego, kiedy skończę instrumentację poematu, nad którym obecnie pracuję. Zaraz potem wyjadę na kilka tygodni do Niemiec, a później powrócę znowu do Zakopanego i zabawię tu do marca. Przepuszczam, iż wyjazd mój przypadnie na czas od połowy grudnia do pierwszych dni stycznia¹⁾, napewno jednak oznaczyć obecnie czasu nie mogę. W każdym razie liczę na to, że się zobaczymy!

Pogoda tutejsza od dłuższego czasu nosi cechę jasno zaznaczonych okresów. Był więc parotygodniowy okres szalonych wiatrów halnych, po nim nadszedł okres ciszy, słońca i ciepła, po nim okres zachmurzenia, i przymrozków; obecnie następuje przełom: w tej chwili jest kilka stopni mrozu, góry dobrze ubielone śniegiem raczyły się ukazać i nawet płonąć o zachodzie. Sądzę więc, że znowu okres słoneczny się zaczyna. Szybkich zmian, jak latem, nie było już od dawna.

Korzystając z szeregu dni cudownych (około 21. X.) zrobiłem wycieczkę kilkodniową. Wziąwszy Józka Gasienicę Tomkowego wszedłem na szczyt Śpiczasty ścianą południową (nie wątpi Pan chyba, że świeci ona całym szeregiem swastyk od dołu do góry!), a zszedłem na Białą

¹⁾ Zamiast zamierzonego wyjazdu do Niemiec, wyruszył Karłowicz w grudniu 1907 r. na 10 dni do Wiednia, skąd jeszcze przed świętami powrócił do Zakopanego (por. niżej kartę z 24. XII. 07).

Ławkę. Warunki miałem idealne: ciepło słoneczne, ciszę absolutną w powietrzu i wszystko suche. A pod względem malowniczości mogę śmiało powiedzieć, że nigdy dotąd takiej gry kolorów i blasków w Tatrach nie widziałem. W pejzażu silnie się zaznaczał kolor żółtych i czerwonych traw jesiennych, wnosząc większe urozmaicenie. Z zadowoleniem, a jednocześnie z zazdrością patrzyłem, jak Węgrzy pobijali dachem schronisko na górnym piętrze doliny Staroleśnej. Będzie tam ono bardzo przydatne. Po Śpiczastym byłem też na Kołowym i na Czarnym. Trzy noce, spędzone w szałasie w dolinie Jaworowej, pozostawiły mi niezatarte wspomnienie: była to pełnia księżyca, który prznosił mnie jakby w obcy świat stalowych, zimnych blasków¹⁾. Co do Mnichów, to N-o II (z którego coś przynajmniej widać!) wydał mi się nieco trudniejszy, bo dłużej się idzie po miejscach wymagających uwagi, a przytem skała jest mniej pewna. Nadzwyczajnego zresztą nic niema.

A dokąd to Pan się wybiera? co znaczy to „gdzieś dalej“? Czy chce Pan w Tyrolu próbować sportu zimowego?

Wdzięczny będę za jak najczęstsze wiadomości, tymczasem ślę najserdeczniejsze pozdrowienia tatrzańskie, Pański M. K.

P. S. Chmielowski otrzymał odemnie świeżo 92 zdjęcia. Niech Pan je przejrzy przy sposobności. Zdjęcie Łomnicy i Kiezmarskiego zachowam najchętniej do rozporządzenia Pańskiego“.

Nietylko twórczość muzyczna zapełniała Karłowiczowi chwile pobytu w Zakopanem. Rozpoczął już wówczas szereg pięknych opisów tatrzańskich. Wykorzystuje pogodę późnej jesieni (mimo krótkich dni) dla wycieczek, których opisy wraz z problemami ściśle turystycznymi wypełniają dalszą korespondencję z taternikami.

[K.]

VIII.

(Karta.)

„Zakopane. 16. XI. 07. Dziękuję bardzo za list i za nadzwyczaj ciekawe zdjęcie „widma“; jest ono znacznie lepsze od mojego²⁾. — Na Śpiczasty szedłem z Pańskim opisem w ręku, wiedziałem więc ciągle, kiedy

¹⁾ Wycieczkę tę opisał Karłowicz osobno p. t. „W jesiennem słońcu“ (p. „Taternik“ nr. 3 z r. 1908 i księga pośmiertna str. 47 i nast.).

²⁾ Por. wyżej kartę z 19. X. 07.

idę drogą Haerberleina¹⁾, a kiedy się od niej oddalam. Różnice były dwie: 1) wszedłem do płaskiego żlebu (u dołu) wprost z usypiska (bo śniegu nie było), 2) nie szedłem wcale rysą, lecz na prawo od niej (prawdopodobnie tak samo jak Chmielowski²⁾). Poza temi różnicami szedłem tak, jak i poprzednicy, czego dowodem mi były poblakłe papierki z firmą M. Langer³⁾. — Na Czarny wchodziłem granią (lub koło niej, jak było dogodniej) od Kołowego; trudnych rzeczy po drodze nie napotkałem. Ze względu na krótkość dnia nie mogłem pomyśleć o urozmaiceniu zejścia i zszedłem prawie tak samo (t. j. przez przełęcz Czarną do doliny Czarnej Jaworowej). Czekan Joerg'owski⁴⁾ jest dobry — zdaje mi się jednak, że do rąbania lodu model, który obrałem, jest nieco za lekki. Śniegu dotąd było bardzo mało. Teraz dopiero pada na dobre. Serdeczne pozdrowienia M. K.“

Nie chcąc pozbawiać się atmosfery wnętrza Tatr nawet w zimie, postanowił zapoznać się z nauką jazdy na nartach. Sport narciarski pociągał go coraz intensywniej. Studjuje go zrazu teoretycznie czekając na śniegi i zapoznając się z odnośną literaturą zagraniczną, jak świadczy następująca kartka:

[Ch.]

IX.

„Zakopane, 6. XII. 1907. Kochany Panie. Może Pan będzie łaskaw i zechce jakiej porządnej księgarni (sc. w Monachjum) polecić wysłanie mi zaraz (za zaliczką pocztową) książki: Hoek & Richardson „Der Skilauf“, 2. A. Muenchen, Gustav Lammers. Z góry dziękuję za spełnienie prośby i łączę i t. d. M. K.“

Przykuty pięknnością Tatr, postanawia osiąść na stałe w Zakopanem. Poprzednie swe mieszkanie, w pensjonacie „Liljana“, zamienił na spokojny i wygodny, bo wyłącznie przez siebie i swą czcigodną matkę za-

¹⁾ „Droga Haerberleina“ wiedzie przez południowe urwiska Ostrego (Śpiczastego) Szczytu; w onym czasie jeden z najtrudniejszych szlaków tatrzańskich.

²⁾ Przypuszczenie trafne.

³⁾ Taternicy wspinając się w nieznanym sobie terenie zwykli znaczyć drogę skrawkami czerwonego papieru, dla ułatwienia ewentualnego powrotu.

⁴⁾ Czekany wyrabiane przez kowala Joerg'a z Berner Oberland'u były w owym czasie przez alpinistów najwyżej cenione. Wspomniany tu czekan Karłowicza znajduje się w przechowaniu Polsk. Tow. Tatrzańskiego.

mieszkały dom przy ul. Sienkiewicza 27 (wówczas willa p. Stanka), w którym miał mieszkać tylko dwa lata jeszcze do swej śmierci niespodziewanej. Wprowadził się do swego nowego domicylu z samym początkiem r. 1908, gdy już czuł się na zawsze przywiązany do Zakopanego. Charakterystyczne są następujące listy (fragmenty), w których wyrażone są też powody opuszczenia Warszawy i osiedlenia się w Zakopanem. Wraz ze zmianą mieszkania rozpoczął naukę jazdy na nartach.

[K.]

X.

(Karta.)

„(Zakopane) 24. XII. 07. Bardzo dziękuję za „Narty“¹⁾! Otrzymałem je dzisiaj po powrocie do Zakopanego. Przez ostatnich dni dziesięć orzeźwiałem się w atmosferze muzycznej Wiednia. Co skuteczniejszy, wracam tutaj, by wkrótce (na N. Rok) przenieść się do wynajętej na rok cały willi i stać się w ten sposób „stałym“ mieszkańcem Zakopanego. Mieszkać będziemy z Matką przy rogu ul. Sienkiewicza i Marszałkowskiej, w willi p. Stanka, która białością swych ścian i kolorowym dachem zwróciła z pewnością uwagę Pańską. — Jutro (w pierwsze Święto) zaczyna się kurs jazdy na nartach; warunki mało sprzyjające, bo śniegu w pobliżu Zakopanego niewiele: całe pola z pod niego powyłaziły. Swoją drogą oczywiście stawię się na rozpoczęcie kursu. Na liście zapisujących się byłem dopiero trzecim! — W drodze do Wiednia studjowałem gorliwie III. wydanie (1908) książki Hoeka-Richardsona. Rzecz efektownie wydana i jasno zrozumiała. Sądzę, że będzie mi nieraz pomocną. — ...“

[Ch.]

XI.

(List.)

„Zakopane, 9 lutego 1908. Obszerny, miły list Pański od wieków otrzymałem i srogie wyrzuty sobie czynię, że dotąd milczałem. Na usprawiedliwienie swoje mam fakt, iż wiele mieliśmy kłopotu z zainstalowaniem się w wynajętej przez nas willi, prócz tego ostateczne wykończenie i przepisanie partytury „Stanisława i Anny Oświecimów“ przyczyniło mi wiele żmudnej i mordującej pracy. Wśród tej pracy odzwyczaiłem się od pisania listów, do czego chcę się na nowo wciągnąć.

¹⁾ Chodzi tu o broszurę „Narty i ich użycie“, napisaną przez R. Kordysa i wydaną przez Karp. Tow. Narciarzy w grudniu 1907 r.

Wczoraj skończyłem przepisywać partyturę i... jakby przez ironję losu... wczoraj również otrzymałem list od Fitelberga, w którym mi donosi, iż w Krakowie koncertu nie będzie. Pisze też, że wraca z Wiednia, dokąd chciał przenieść koncert berliński (ze względu na zaostrenie stosunków polsko-pruskich), że jednak na ten sezon sali i orkiestry nie można już było dostać. Tak więc upada na razie nadzieja, ażeby „Stanisława i Annę“ mógł usłyszeć.

Oczywiście do Fitelberga pretensji żadnej mieć nie mogę, bo sam uznaję sytuację obecną w Berlinie za wysoce niekorzystną dla koncertu polskiego. Ale tem silniej klnę tych wszystkich, co uniemożliwili w Warszawie normalny rozkwit młodej muzyki polskiej. Będą mieli ciężką odpowiedzialność wobec przyszłości, która ich osądzić musi bez „okoliczności łagodzących“. A ci, co dla sztuki polskiej w europejski sposób służyć chcieli, tułają się po świecie, lub wśród upokorzeń klepią biedę w Warszawie; i nie byłoby nawet dziwne, gdyby przeklęli los swój i od Muzy się odwrócili. Co nie daj Boże, amen!

Od zupełnego zniechęcenia i opuszczenia rąk bronię się częstem obcowaniem z potężną przyrodą tutejszą. Być może, iż wpadł Panu w ręce artykuł mój w „Słowie Polskiem“, p. t. „Wśród śniegów tatrzańskich“. Spisałem w nim garstkę wrażeń z wycieczki parodniowej, którą w końcu stycznia odbyłem¹⁾.

Warunki tutejsze: spokój wiejski, potężny, żywiołowy w swej zmienności klimat i dobra komunikacja z cywilizowanym światem, odpowiadają mi w zupełności. Nie wyobrażam sobie, ażebym kiedy Zakopane dobrowolnie opuścił; chyba mnie do tego los zmusi. Naturalnie nie liczę tu wyjazdów parotygodniowych....“

Urok zimy we wnętrzu Tatr nie kazały mu na siebie zbyt długo czekać. Ten zasób silnej woli, jaką Karłowicz — jak wiadomo — rozporządzał, pozwolił mu szybko opanować sztukę jazdy na nartach i zużytkować ją do wycieczek w głębie Tatr. O jednej z pierwszych swych wycieczek pisze w następującym liście:

[K.]

XII.

„Zakopane, 21. III. 1908. ...Nie myli się Pan, że się zapracowuję. Ale na Tatry patrzę nietylko z okna. 17 i 18 b. m. przesunąłem się na

¹⁾ Wycieczka na Kościelec i Krzyżne (z Wołoszynem) 24 i 25 stycznia 1908 r.

nartach przy pięknej pogodzie przez zaczarowany las postaci fantastycznych, w jakie pozamieniały się oklejone śniegiem drzewa, do Morskiego (przez polanę Wachsmundzką); wracałem tym samym szlakiem, nie mogąc nasycić się jego urokami. Trudność odnalezienia drogi była miejscami bardzo wielka: znaki na drzewach pochowały się pod obciążonymi śniegiem gałęziami, wiele z nich znajdowało się pod poziomem śniegu. Swoją drogą przy natężonej uwadze udało mi się szlaku nie stracić; na powrót miałem już relsy doskonale wytrasowane. Po drodze widziałem masę śladów sarnich; z ramienia Wołoszyna długo zjeżdżałem po śladach niedźwiedzia, który pilnie znaków się trzymał i szedł właściwą drogą. Ślady jego były imponujące swą wielkością i miały dobrze zaznaczony rąbek od pazurów.

W Morskiem miałem nocleg nieszczególny: termometr wskazał mi rano w pokoju stopień mrozu....“

Niema prawie listu, w którym Karłowicz nie akcentowałby jak najbardziej swej dozgonnej miłości do górskiej przyrody. W jednym ze ściśle muzycznych i bardzo obszernych listów znajdujemy ustęp, świadczący nawet o zupełnym już „zakopianizowaniu się“ Karłowicza i opuszczeniu miasta, w którym dotąd stale mieszkał. Współdziałał nawet nie tylko w pracach sekcji turystycznej, ale i organizowaniu Zakopanego, jako środowiska turystycznego, które w tym charakterze powinno być należycie we wszelkie utensylja turystyczne zaopatrzone.

[Ch.]

XIII.

„Zakopane, 2 kwietnia 1908. ...Również do zobaczenia się odkładam opowiadzenie mych wypraw zimowych w Tatry, głównie z powodu, że gorące moje ukochanie tych gór czyni mnie w stosunku do nich niesłuchanie „mównym“, co może rzetelnie znudzić kogoś, co do sekty taternickiej nie wstąpił..

Za trzy tygodnie mniej więcej wyjeżdżamy z Matką do Warszawy, aby spalić ostatnie mosty, jakie mnie z tem miastem łączą, a mianowicie, aby zwinąć mieszkanie...“

[K.]

XIV.

(List.)

„Zakopane, 16 kwietnia 1908. ...Najchętniej służę Panu memi zdjęciami z grupy „Widział“. Trzy z nich najważniejsze (obok zdjęcia z prze-

łączy Klimkowej), t. j. z drogi na Jastrzębią Turnię, z Jastrzębiej Turni i z Małego Kołowego przesłałem Panu z Lipska. Sądzę, że je Pan ma. Negatywy tych zdjęć są dotąd w Lipsku, nie mogę więc zrobić na razie nowych odbitek. Tutaj mam tylko odbitki w albumie moim, te zaś są według „postanowień zasadniczych“ nieporuszałne.

Zdjęcia z „przełęczy Klimkowej“¹⁾, jako użytego już do „Taternika“, zapewne Pan do „Pamiętnika“ nie poda. Zostaje więc tylko zdjęcie z ścieżki „Droga turystyczna — Kolbach“ i te Panu przesyłam. Wspominał Pan kiedyś, że może się przydać jako winjeta do artykułu o „Widlach“²⁾. Jeżeli się jednak nie przyda, to niech je Pan przypnie gdzie na ścianie, a przedtem przyjrzy się wprost niezwyklej ortochromatyczności tego zdjęcia (Color-Platte = Westend. u. Wehn).....

Od tygodnia blisko mamy wspaniałą wiosenną pogodę. Śniegu na górach jeszcze dużo, lecz jakość jego jest dość nikczemna. Przedwczoraj byłem (sam) na przełęczy Goryczkowej i na Kasprowym. Miałem przez cały czas skorupę lodową, na której narty prawie żadnego śladu nie pozostawiały; prócz tego skorupa ta nie była gładka, lecz podobna do zastygłych fal. Tyle tylko, że od lawin byłem bezpieczny, bo wyszedłem z domu o 2¹/₂ w nocy. Widok z Goryczkowej był bajeczny i przypominał nasz widok z Liljowego³⁾: Tatry płonęły różowawo w blaskach rannego słońca.

Od hamowania przy zjeździe po skorupie lodowej dotąd jestem „kiepski w zawiasach“. Jako wynagrodzenie za ten zjazd miałem od szafasów Goryczkowych poczawszy śnieg rozmiękły i lepki, tak, że chciałem narty o rurę Kuźnicką tłuc na kawałki. Chyba to już była ostatnia „wyrypa“ na nartach w tym sezonie.

Artykuł do „Taternika“ będę się starał wyszykować na 15 maja. Napiszę o wycieczce jesiennej (na Śpiczasty, Kołowy, Czarny)⁴⁾.....

Wskutek wielokrotnych rozmów ze mną, Popławski¹⁾ zdecydował się sprowadzić do „Spółki“ przyborów turystycznych od „Micki“²⁾ za kilka tysięcy koron. Ułożyliśmy razem spis rzeczy, które mogą znaleźć tutaj nabywców. Chce też sprowadzić trochę peleryn i rzeczy wełnianych od Wittinga³⁾; również i pewną ilość jego „Lanser Bergschuhe“....“

¹⁾ W grani między Łomnicą i Durnym.

²⁾ Zostało też ogłoszone w Pamiętniku T. T. r. 1908, jako ilustracja do „Wspomnień o Widłach“ R. Kordysa.

³⁾ „Naszym widokiem z Liljowego“ nazywa Karłowicz przepiękny wschód słońca, oglądany 27 lutego 1908 r. na wycieczce odbytej w towarzystwie M. Zaruskiego i R. Kordysa.

⁴⁾ Jest to artykuł p. t. „W jesiennem słońcu“, ogłoszony w nr. 3 „Taternika“ z r. 1908.

[K.]

XV.

(List.)

„Warszawa, d. 11 maja 1908. Dzięki za kartę z 2. V.; nie odpisywałem dotąd, gdyż chciałem wywiązać się z danego przyrzeczenia i, pisząc do Pana, przesłać jednocześnie artykuł do najbliższego numeru „Taternika“⁴⁾. Chcę co do niego zrobić parę zastrzeżeń. Po pierwsze: proszę o zostawienie nazwy „Śpiczasty“, gdyż uważam, że dość jest w Tatrach „Osterwy“ i „Ostrej“, ażeby fundować jeszcze jeden szczyt „słusznie dla swej tępości Oстрыm zwany“⁵⁾. Drugie: o ile z jakichkolwiek względów artykuł nie mógłby pójść w najbliższym numerze, to proszę o przesłanie rękopisu p. Z. Wasilewskiemu⁶⁾ (Zimorowicza 11) i o powiadomienie maie o tem.....

W tym tygodniu będę już mógł z Warszawy uciec; zabawię dzień — dwa w Krakowie, poczem podążę do Zakopanego, by niebawem ruszyć z Zaruskim⁷⁾ w Zachodnie Tatry....“

[K.]

XVI.

(List.)

„Zakopane, 24 maja 1908. Za kartkę z... „Wie schoen ist die Prinzessin Salome heute Nacht...“ bardzo dziękuję⁸⁾.

Nie dziwię się, że Pan widzi rozbieżność między namalowanym przezemnie ideałem taternika, a moją mniejszością: niestety nie jestem „ideałem“, o tem sam wiem aż nadto dobrze. Swoją drogą przy tym — szkicowo zresztą nakreślonym — ideale obstarę i prawdopodobnie obstarwać będę.

Cieszę się, że Pana tu zobaczę. Pokoik Pański u Króla, zdaje mi się, zajęty: widziałem jakąś „płec piękną“ na werandzie.

W góry chętnie z Panem pójdę; swoją drogą na „krakslerkę“ niech

1) Nieżyjący dziś dyrektor zakopiańskiej „Spółki handlowej“.

2) „Micką“ w gwarze taternickiej nazywano magazyn sprzętu turystycznego M. Langer w Wiedniu.

3) Podobny magazyn w Insbruku.

4) Jest to wspomniany parokrotnie artykuł p. t. „W jesiennem słońcu“.

5) Kwestja nazwy „Śpiczasty“, czy „Ostry Szczyt“ była w owym czasie sporna. Dziś jest rozstrzygnięta na korzyść „Ostrego Szczytu“.

6) Redaktorowi „Słowa Polskiego“.

7) Marjuszem.

8) Odnosi się to do pierwszych tonów niezwykle przez Karłowicza cenionej opery Ryszarda Straussa „Salome“ skopiowanych na karcie Kordysa do Karłowicza.

Pan sobie jakiego towarzysza zamówi, bo ja nie wszędzie dojdę i nie wszędzie będę chciał iść. Na razie projektuję (z Zaruskim) kilkodniową wycieczkę w Zachodnie Tatry (Osobita, Rohacze, Wołowiec). Chciałbym wyruszyć w tym tygodniu¹⁾.

Pogoda tu dziwna. Od przyjazdu mego barometr stoi bardzo wysoko i zupełnie się nie rusza. Swoją drogą wieje bezustannie tęgi wiatr południowo-zachodni. Ciepło jest niezwykle: słońce doskwiera jak latem; w cieniu przez cały dzień 19—20° R.....

Pikla Maślanki szukaliśmy z Zaruskim przedwczoraj. Niestety bezskutecznie. W żlebie leżał jeszcze śnieg, nawet p. Marjusz dopatrzył się miejsca, gdzie lawina musiała swój żywot zakończyć. Pójdę jeszcze kiedy na poszukiwanie²⁾.

Wczoraj asystowaliśmy uroczystości rozpakowania wielkiej ilości przyborów turystycznych, które „Spółka“ otrzymała od „Micki“³⁾. Nareszcie więc będzie można kupować te rzeczy w Zakopanem i to po cenie „katalogu M. Langer“. Zrobiłem początek i kupiłem butelkę aluminową (wojskową) na 1¼ litra....

Czy miał Pan w ręku IV tom (niestety już ostatni) „Na Skalnem Podhalu“? Kilka rzeczy przepysznych, dorównujących najpiękniejszym obrazkom z trzech pierwszych tomów.....“

[Ch.]

XVII.

„Zakopane, 15. VI. 08. ...Ogromnie się ucieszyłem wiadomością o zamiarze Pańskim odwiedzenia Zakopanego. Wiele to rzeczy będziemy mogli omówić z Panem! Tylko niech Pan za wczasu doniesie o terminie przyjazdu: wie Pan przecie, że mi się zdarza po 5—6 dni być w górach na węgierskiej stronie....“

[K.]

XVIII.

(List.)

„Zakopane, 22 września 1908. ...Byłem teraz nieco zarżnięty korektami — stąd pewna zwłoka w odpowiedzi. Za wiadomość o zapowiedzianej

¹⁾ Wycieczka ta doszła do skutku (por. „Rohacze“ w „Taterniku“ nr. 4 z r. 1908).

²⁾ J. Maślanka w powrocie z samotnej wyprawy zimowej na Świnicę (31 grudnia 1907 r.) został porwany przy zjeździe na nartach w Dolinę Jaworzynkę przez lawinę. Utraconego w tym wypadku czekana (z niemiecka „pikla“) Maślanki szukał Karłowicz trzykrotnie i za trzecim razem go znalazł.

³⁾ Por. odsyłacz 2 na str. 13.

bytności orkiestry Nedbala we Lwowie dziękuję. Miły dowód Pańskiej pamięci o mnie! W tym roku jednak nie będę mógł pomyśleć o urządzeniu koncertu we Lwowie na swoje ryzyko.

Taternicy się porozjeżdżali. Bawi tylko Chmielowski i Boldireff¹⁾. Po wyjeździe Pańskim chodziłem z Boldireffem na „szczyt Antoniny“²⁾ i na parę turni w grani Jaworowej. Na „Antoninę“ wchodziliśmy (dość łatwo) od przełęczy pomiędzy nią, a „Rogiem“³⁾. Wiatr halny i przelatujące mgły psuły przyjemność pobytu na grani. Zeszliśmy do „Kozicy“⁴⁾ z zamiarem nadziewania się na „Widły“⁵⁾. Spelzło na niczem, bo upusty niebios się rozwarły i Łomnica pokazała nam swe łono o takiej śnieżnej białości, żeśmy skwapliwie skorzystali z ostatnich dni połączenia kolejowego w stronę Zakopanego.

Śniegi trzymają nas na razie w Zakopanem. Chcemy jednak niebawem znowu w góry wyruszyć. Zwiedziłem temi czasy wszystkie turnie Małego Giewontu (samotnie), oraz wieżę szczytową na Łysankach (z Boldireffem). Ażeby nie być posądzonym o „Erstbesteigungs-Sucht“ dodaję, że grań Małego Giewontu przeszedł dawniej Potkański⁶⁾, zaś na wieży Łysankowej był (kiedyś wcześniej, — zdaje się przeszłego roku) Król⁷⁾. Dziwię się, iż ta wieża nie jest modną w kołach sportowo-współzawodniczych. Prócz tego jest wogóle trudna — ma w swych wnętrznościach prawdziwy, 8-mio metrowy „Stemm-Kamin“⁸⁾ (bez chwytów prawie), z zaklinowanymi w nim bokami. Komin ten dochodzi do samego szczytu. Szedłem nim do góry przy pomocy liny, zawieszanej w nim uprzednio przez Boldireffa (który inaczej na szczyt wchodził)....“

[K.]

XIX.

(List.)

„Zakopane, 5 października 1908. ...W końcu września byłem w górach z Boldireffem i Zaruskim. Jeżelibym miał o tej wycieczce pisać kiedy, to musiała by być otwartą rubryka „Z martyrologji tatrzańskiej“.

1) Włodzimierz.

2) Czyli Mały Jaworowy Szczyt (2386 m; po niem. Antonienspitze).

3) „Róg“ oznacza „Krzesany Róg“, turnię w grani nad Doliną Rówienek.

4) Hotel pod Kozicą u zbiegu Doliny Staroleśnej i Zimnej Wody.

5) „Widły“, nazwa turni w grani między Łomnicą i Szczytem Kieżmarskim.

6) Karol, prof. dr. (†)

7) Ignacy.

8) „Stemm-Kamin“ oznacza w niemieckiej literaturze alpinistycznej pionowe pęknięcie w skale, w którym człowiek może się pomieścić i wspiąć w górę zapierając się plecami i nogami o ściany „komina“.

Nie będę się silił na opisanie bukietu, utworzonego z krótkości dnia, pozamykanych schronisk, niepogody (chłodu, deszczu, śniegu) i t. p. Odkładam to do ustnego opowiedzenia. Jedyny plus — to wejście na Dziką Turnię, na której zdjąłem pętlę..., — lichy wie, poco umieszczoną.

Krótko wspomnę jeszcze o „ćwiczeniach taternickich“ na grani „Suchego Wierchu“ (z Boldireffem) i o samotnych moich dzisiejszych wyczynach na turniach „Zamków“ (w dol. Białego).....“

[K.]

XX.

(List.)

„Zakopane, 5. XI. 1908. Kochany Panie. ...Jak z listu Pańskiego widzę, zapragnął Pan z tego, co o bytności mej na Łysankach i Suchym Wierchu napisałem, ukuć miecz srogi i jednym zamachem powalić i moje poglądy turystyczne¹⁾ i ich niżej podpisanego wyznawcę. Może to, co poniżej piszę, skłoni Pana do schowania ironji w cienie ruksaku, a miecza w mroki pochwy.

Otóż liczne, a na szczęście pomyślnie zakończone wypadki tego-roczone nasunęły mi myśl, że do pewnego przynajmniej stopnia możnaby zaradzić złemu w ten sposób, ażeby Sekcja Turystyczna przez osoby najlepszych swych członków-turystów obznajomiła praktycznie niedoświadczonych z użyciem przyborów pomocniczych (w pierwszym rzędzie liny i t. p.). Dotąd panowało przekonanie, że w pobliżu Zakopanego niema miejsca na „Kletterschulę“. Otóż przekonałem się właśnie, że jest (w pierwszym rzędzie Suchy Wierch, w drugim „Zamki“ w dol. Białego i Łysanki).

Z tego to powodu zamierzam proponować, ażeby Sekcja ogłosiła latem r. p. ćwiczenia, które mógłby poprowadzić ktoś z doświadczonych (np. Pan, Klemensiewicz, Maślanka, Król, Zaruski), a na których byłyby

¹⁾ List powyższy pozostaje w związku z prowadzoną w owym czasie w kołach taternickich dyskusją nad celami taternictwa. Karłowicz widział w taternictwie dwa kierunki: czysto estetyczny i sportowo-współzawodniczy. O nich to pisze: „...wydaje mi się, że — tak, jak to często bywa — prawda leży w po środku i że jedynie rozumne złączenie tych kierunków dać może ideał turysty. Ideальnym typem turysty byłby dla mnie ten, coby wyruszając w góry z jasno określonym pragnieniem szukania wrażeń w pierwszym rzędzie estetycznych, posiadał jednocześnie tyle silnej woli, odwagi i wyrobienia, ażeby wszelkie trudności stały się dlań tylko urozmaiceniem wyprawy. Ideałów chodzi jednak po świecie nie wiele. Wiem tedy doskonale, że spotka się w Tatrach jeszcze nieraz wygodnie estetyzujący filister z zakutym sportsmenem, co jak ślepy przebiegnie cały łańcuch Tatr, by wytrzeć jaki okrzyczany za trudny komin: i na jednego i na drugiego spoglądać będą olbrzymy tatrzańskie ze spokojem i z pobożaniem istot wiekuiście trwałych“.
(„W jesiennem słońcu“, Taternik 1908, str. 44.)

zademonstrowane wszystkie arkana sztuki turystycznej. Zdaje mi się, że możnaby ograniczyć się do spędzenia jednego dnia dla danej grupy uczących się, np. na Suchym Wierchu, do wtajemniczenia ich w rzeczowe tajniki, nie byłoby więc straty czasu.

Ma się rozumieć, iż możnaby na te ćwiczenia przeznaczyć dnię wątpliwej pogody, a piękny czas zużytkować lepiej, niż to czynili pewni moi znajomi tego roku przy Morskiem Oku...

Ponieważ Pan — zdaje mi się — nie umiał znaleźć pomostu między mojami poglądami, a bytnością mą osobistą na wspomnianych turniach, dodaję, iż dążąc uparcie do nakreślonego przeze mnie na str. 44 „Taternika“ (1908) ideału turysty, pragnę zdobyć tę dozę „wyrobienia“, któreby dopomogło do zsunienia strony technicznej na plan dalszy. Może obecnie pomost widoczny? ¹⁾

W górach byłem temi czasy dwukrotnie. Raz po dobrej woli fotografowałem w Suchej dol. Kasprowej. Drugi raz nie po dobrej woli byłem aż w Niewcyrcie wśród najgorszych warunków: sypkiego, miejscami po pas głębokiego śniegu, kilkunastostopniowego mrozu, wichrów, mgieł i wszelakiego licha. Szukałem w towarzystwie Prószyńskiego i Klimka z synem — zagubionych turystów. Turyści (pan i pani) znaleźli się sami, bez naszej pomocy...

Schronisko na Hali zaopatrzone jest znakomicie. Piec wyborny, drzewa masa, ściany wewnątrz oszalowane, okienice i drzwi z zewnątrz okute.

Będę miał sporo wyjazdów, nie mogę więc przyrzec napisania czegoś do „Taternika“. Może później.

Kończę ściskając dłoń Pańską, M. K.“

Jako znakomity narciarz nie pomijał żadnej sposobności, aby szerzyć propagandę sportu, któremu zawdzięczał moc zdrowia i moc wrażeń, przydatnych dla jego twórczości. Nie wahał się także być z amatorstwa instruktorem kursu narciarskiego, jak dowodzi następujący list:

[Ch.]

XXI.

„Zakopane, 23. grudnia 1908. ...Cieszę się wielce nadzieją rychłego zobaczenia Państwa w Zakopanem. Swoją drogą z mego czysto ego-

¹⁾ Powyższy pogląd Karłowicza był przedmiotem ożywionych dyskusyj. Nawiązując do niego, zapytał żartobliwie Kordys, różniący się w tej materji nieco — zresztą nie wiele — od zapatrywań Karłowicza, czy wycieczki na turnie Łysanek i Sucheego Wierchu były podjęte również z pobudek estetycznych. List niniejszy jest odpowiedzią na to pytanie.



istycznego punktu widzenia najbardziejbym się radował bytnością Państwa w Zakopanem, gdyby ona przypaść mogła na połowę stycznia. A to z powodów następujących. Po jutrze rozpoczyna się tu kurs narciarski, który prowadzić wypadnie Zaruskiemu i mnie, będę więc codziennie zajęty i odpowiednio zmęczony. Na zakończenie kursu wypadnie jeszcze i wycieczkę górską odbyć. Lecz zaledwie kurs się skończy, będę musiał myśleć o pakowaniu i o wyruszeniu do Warszawy (3. I.), gdzie Fitelberg grać zamierza „Odwieczne pieśni“. Widzi więc Pan z tego „rozkładu jazdy“, jak mało mógłbym teraz wykorzystać obecność Państwa. Zupełnie co innego po powrocie z Warszawy. Miałbym wolną głowę i czas swobodny. Ale to, co piszę, niech ani trochę nie wpływa na zamiary Państwa. Zakopane z jego cudnym powietrzem przywita Państwa mile zarówno, czy ja tu będę czy nie...“

W drodze do Warszawy lub z powrotem nie omijał sposobności widzenia się w Krakowie z tatarnikami i narciarzami. Schodzono się zazwyczaj w kawiarni Bisanza lub restauracji Wołkowskiego. Konsekwencją osiedlenia się w Zakopanem była chęć nabycia domu. Karłowicz postanowił zakupić dom, w którym dotąd mieszkał (ul. Sienkiewicza 27). Informuje nas o tem następujący list:

[Ch.]

XXII.

„Zakopane, 30 stycznia 1909. Drogi Panie. Trudy, poniesione przeze mnie w celu stawienia się w Nowym Targu na 29. I., okazały się daremne: domek kupił ktoś inny, zresztą za cenę dość słąną, która dla mnie nie przedstawiała interesu. Sprawa stoi dla nas o tyle pomyślnie, że z nowym nabywcą zrobię prawdopodobnie dwuletnią umowę o dalsze mieszkanie w tym domu. Pogodę zastałem cudowną, mrozy siarczyste...“

Nie spodziewał się Karłowicz, iż nie dwa lata, lecz tylko niecałe dwa tygodnie wypadnie mu mieszkać jeszcze w tej willi. Równy bowiem po dziesięciu dniach padł ofiarą swego umiłowania zimy górskiej. Stało się to wśród snucia obszernych planów kompozytorskich i poprawy sytuacji muzycznej w Warszawie. W dniu 10 lutego nakryła go pod Kościelcem lawina. Ci, którzy znali Karłowicza bliżej, wiedzieli, iż Karłowicz nie starał się o katastrofę, jakby chciały sfery plotkarskie. Adresatowi powyższego listu wypadło z premjery „Bolesława Śmiałego“ (opera L. Różyckiego) we Lwowie udać się do Zakopanego dla oddania ostatniej

posługi przyjacielowi, któremu zawdzięczał wiele, mimo różnic poglądów na wiele spraw muzycznych. Na pogrzeb w Zakopanem nie przybył żaden muzyk, nawet z pobliskiego Krakowa. Taternicy i narciarze w pełnym rynsztunku i szyku wystąpili, żegnając najmilszego z towarzyszy wypraw tatrzańskich. Uczcili jego pamięć wydaniem pięknych opisów tatrzańskich.

Pozostałe po Karłowiczu przedmioty turystyczne (częściowo przechowywane w szafach Zarządu Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Krakowie) powinny znaleźć się w Muzeum Tatrzańskim, gdzie dział turystyczny ma zapewniony rozwój i opiekę, dzięki której można będzie śledzić rozwój urządzeń polskiej turystyki górskiej. Tam również znajdują się autografy niniejszych i innych listów Karłowicza.

Taternicka korespondencja Karłowicza jest obszerna. Należą do niej listy pisane do Boldirewa, J. Chmielowskiego, Janikowskiego, Klemensiewicza, Kordysa, Króla, Zaruskiego i innych. Obecnie wydajemy część tej korespondencji w tej nadziei, iż znajdziemy następców, którzy uchronią drogie pamiątki od zniszczenia i wydadzą je w następnym roczniku „Wierchów“. Pamiątki te pozostały wszak po wielkim artyście i taterniku w jednej osobie¹⁾. Spuścizna ideowa po Karłowiczu jako „taterniku w wielkim stylu“, „mężu woli i inicjatywy, — czynu taternickiego świetnym przedstawicielu“, każe nam spełnić obowiązki, wyrażone przez Sekcję Turystyczną w księdze pośmiertnej (str. V): „Smutni i bezsilni wobec nieubłaganych wyroków przeznaczenia, my wszyscy ze zmarłym wspólną miłością gór złączeni, dziś jedno tylko uczynić możemy. Oto stojąc twardo na straży drogich nam ideałów zmarłego — baczyć, by pamięć jego nie zatarła się, lecz coraz świetniejszym jaśniała blaskiem“.

¹⁾ Redakcja „Wierchów“ uprasza wszystkie osoby, posiadające choćby najskromniejsze kartki i listy pisane przez M. Karłowicza, o łaskawe przesłanie ich w oryginale lub kopji na ręce prezesa oddziału lwow. P. T. T., prof. dra Adolfa Chybińskiego jako członka redakcji „Wierchów“ (Lwów, ul. Kalecza 20) z upoważnieniem wydania tychże kart wzgl. listów w całości lub częściowo, oraz z uwagą, czy listy te (oryginały) może redakcja przekazać do zbiorów Muzeum Tatrzańskiego w Zakopanem, któremu przekazuje się listy obecnie wydane, jako zaczątek kolekcji im. Karłowicza (Red. „Wierchów“).

O sto mil.

I.

Kany ta pódzies — nie wiem — Mihałowa nuto —
Cy cie we wirk poniesie, cy cie po dziedzinie?
Cy bees suścić perciom liściami zasutom?
E cy sie przy muzyce spodobas dziewcynie?
Kany ta pódzies, nie wiem, góróm, cy dolinóm,
Za owcami, za kozóm, e cy za dziewcynom?

II.

E cy tak, e cy nie tak, niek cie wiater niesie
Dó domu, pokieli ci tam nie zarośnie droga!
Kaześ sie zatraciła, na równiak, cy w lesie!
Wróć sie, wróć, hań do tego drzewianego proga,
Pod te jasionie cihe, pod jedlicki ciémne,
Na upłazki zielone, na wodzicki zimne!

III.

Ze cemuzes, cemuzes posła tele dále?
Cy nie wiés wtoróm hawój trza ci sie brać pyrciom?
Moze ci sie nie widzóm owiecki bez hále?
Heu! juhása nie widno, ino zwonki zbyrcóm!
Cyś zabacyła wirsków? Cy te same nie som?
Cy ci sie odmieniły? Cy cie juz nie ciesóm?

IV.

Pojdze podź, przecie zańdzies cy we dnie, cy nocóm, —
Moze cie nie fcom doma, cy cie nie cekajóm?

Uwidzisz: sytkie głowy do tobie wyskocm,
 A Jasickowe gęśle piknie ci zagrajom!
 E dajze Panie Boze, daj nie bele komu:
 Ba nasemu, nasemu, co wrócił dó domu!

V.

Cobyś ta na tej równi pierońskiej robiła?
 Wsio rawno, — ocom, nogom i ręcom i dusom!
 Zmierznie świat, a garzść patrzy w coby przódzi biła
 Kie sie takie równiarze do połędnia rusom.
 Niegze juz, niegze ś nimi jako ta fce budzie —
 Wiés co: lepse wsy swoje, jak niepili ludzie!

VI.

Wróc się, wróc! Co ta nańdzies wielgiego po świecie?
 Nie skonos, ino ci się co pokręci w głowie....
 E ino se zaśpiwaj, nie sumuj ze przecie!
 Obezwij sie nom jesce na scęście, na zdrowie!
 E Mihałowa nuto, ze coz cie tak smuci?
 A cy ci sie to pote młodość kiedy wróci?!

VII.

Oj o sto mil, o sto mil pozirajom ocy,
 Kielo tam jesce śniega w zielonej ubocy?!

Takbyk ci rad zaśpiwał ty mamičko miła,
 Kie mie jakasi biéda za garło chyciła!

Oj o sto mil, o sto mil ocy pozirajom
 Jako sie popod Tatry bucki ozwijajom!

VIII.

Oj o sto mil, o sto mil po polu, po lesie
 Niek sie głos pod Muraniem przed nockom ozniesie!

Niek sie puści, jak wiater, z grani po dolinie!
 Zburzy na maliniaku, zasuści w kiprzynie!

Niek sie puści jak wiatер pod jedlicki ciémne
Na upłazki zielone, na wodzicki zimne!

IX.

Niek sie niesie do proga, kany Matka Boska
Z nad dźwirzy miłosiernie patrzy cęstohoska.

Niegze leci bez tele dale do tej strony,
Niek pogłasce po węglak z wiatrem dóm rodzony....

Niegze leci do swoik i do tego świata
Wtorego nie uwidzi więcył w zadne lata!

Kijów, czerwiec 1918.

Michał Pawlikowski.

Limba w Tatrach polskich.

Niejednokrotnie zastanawiałem się nad tem, dlaczego rozmieszczenie limby w Tatrach nie doczekało się dotychczas wyczerpującego i wszechstronnego opracowania. Temat to dla młodego zwłaszcza przyrodnika b. ponętny i powiedziałbym, że stosunkowo nie najtrudniejszy, jako że przecież chodzi tu nie o roślinę zielną, której stanowiska mogą ująć uwagi, lecz o okazałe drzewo, rosnące naogół wyżej granicy lasu, wśród kosówki a więc już łatwe do zauważenia nawet gołym okiem. Powtórę i stanowisk tych niema już w Tatrach zbyt wiele, wyszukanie więc ich lub wywiedzenie się o nich od turystów, przyrodników i leśników nie nastęczyłoby wielkich trudności.

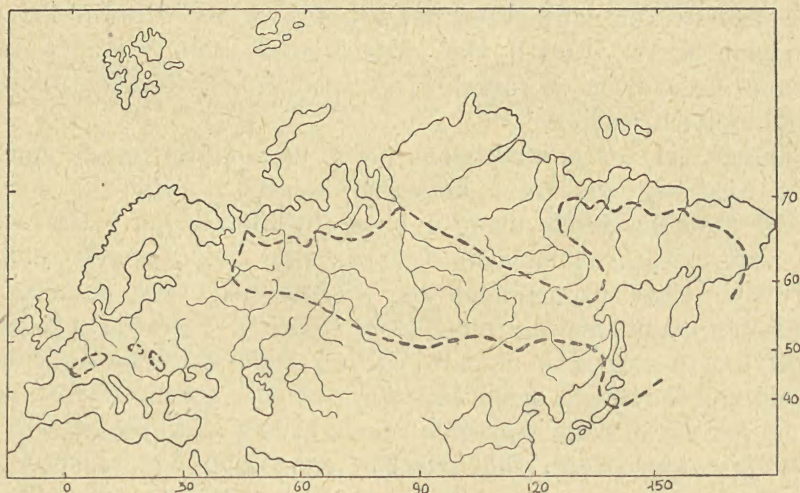
Mimoto, jak już powiedziałem, pracy tej nikt się jeszcze nie podjął. Istnieją rozprawy większe i mniejsze, notatki i wzmianki w różnych „florach“ o stanowiskach limby i o jej rozmieszczeniu w Tatrach, lecz albo są one bardzo niedokładne i skąpe, albo dotyczą tylko niepolskiej części Tatr. Chęć uzupełnienia tej właśnie luki była pobudką, która skłoniła mię do nakreślenia niniejszego szkicu¹⁾. Potrzebę jego uznałem zaś nietylko ze względów naukowych, lecz także dla zaznajomienia z tym przedmiotem szerokiego ogółu turystów, zwiedzających tłumnie co roku Tatry, a jak się okazuje mających nieraz zadziwiająco błędne wiadomości o przyrodzie swych gór. Nie należało naprzykład do rzadkości słyszeć zdania, że limb w Tatrach wogóle już niema, albo że jest tylko jedna jedyna nad Morskiem Okiem i dlatego tak często fotografowana.

Zanim jednak przystąpię do właściwej sprawy rozsiedlenia limby w Tatrach polskich, uważam za niezbędne podać garść wiadomości o budowie i życiu tej dumnej mieszkanki naszych gór. Przedewszystkiem poznać musimy jej ogólne rozmieszczenie w Europie i Azji, gdyż będzie to nam tłumaczyć później wiele szczegółów jej życia u nas.

Jak to z rys. 1 widzimy, zamieszkuje limba (synonimy: limba, kidra, kiedryna, cedryna, cedr syberyjski, sosna syberyjska) 4 odrębne, choć różne wielkością dziedziny: 1) północną Eurazję t. j. półn.-wsch. Rosję (Wołogda i Perm) i Syberję p. 68° szer. półn., jakoteż półn. Japonię, 2) Karpaty wschodnie, 3) Tatry, 4) Alpy (głównie środkowe i wschodnie; w Dolnym Engadynie np. są ogromne do 70 ha dochodzące lasy limbowe).

¹⁾ Na razie ograniczam się do Tatr polskich, w przyszłości zamierzam opracować i pozostałą część Tatr, a dalej też inne ziemie polskie.

To nader ciekawe rozszedlenie limby stoi w ścisłym związku z jej historją. Ojczyzną limby jest Syberja. W trzeciorzędzie i w epoce lodowej rosła na całym obszarze między Karpatami a Uralem. Z ustąpieniem z nizin lodowca i wzrostem ciepłoty, jakoteż z osuszeniem gleb, cofnęła się limba ku północnemu wschodowi (na Syberję) i ku południowemu zachodowi (w Karpaty i Alpy). Potwierdzeniem przypuszczenia o większym ongiś zasięgu limby są znaleziska jej w pokładach z epoki lodowcowej i polodowcowej, w okolicach, w których dziś już wcale nie



ROZMIESZCZENIE LIMBY W EUROPIE I AZJI

--- granica zasięgu limby

Rys. 1.

występuje (np. w Jeżmanowicach koło Ojcowa, odkryta w starożytnym palenisku ludzkim w jaskini, oraz w dyluwialnym ile w Ludwinowie pod Krakowem).

Wiele przyczyn złożyło się na to, że już w epoce historycznej zmniejszył się zarówno zasięg limby, jakoteż ilość jej w pozostałych jeszcze gniazdach. Przedewszystkiem największych spustoszeń w drzewostanach limbowych dokonała siekiera, wycinając je dla celów górniczych, dla tokarstwa, stolarstwa. We wsiach podkarpackich, w okolicach gdzie dziś niema ani śladów z limby, często spotkać można w chatach całe urządzenia mieszkalne z drewna limbowego. Niemniej szkodliwy wpływ, zwłaszcza na młodnik limbowy, wywiera bydło depcząc i ogryzając młode

drzewka, co zamiast normalnego ich rozwoju powoduje powstawanie bardzo charakterystycznych karłowatych i silnie krzewiących się „form ogryzionych“ (podobnie bywa i ze świerkiem). Gospodarka ludzka sprządza wreszcie i wiele innych kłesk na las, między nimi najgroźniejszą — pożary. Te musiały się również przyczynić niechybnie do gwałtownego zaniku lasów limbowych. Prócz człowieka ma limba, jak każde zresztą drzewo, niemniej groźnych wrogów w świecie zwierzęcym jak np. wiewiórki i myszy, z ptaków krzyżodziób i orzechówka, różne chrząszcze, i t. p., które niszczą pędy, kwiaty i nasiona. Tym wszystkim ujemnym wpływom przeciwdziała limba zwłaszcza na granicach swego rozsiedlenia (np. w Tatrach) przez skąpy młodnik i bardzo wolny przyrost. Nie też dziwnego, że prędzej czy później czeka ją w Tatrach zagłada, tembardziej że i dzisiaj rabunkowa nią gospodarka, zwłaszcza w lasach włościańskich, nie ustaje. Podobnie jak rozmieszczenie, ciekawą jest biologja limby.

Wymagań specjalnych co do podłoża t. j. do skał macierzystych z których tworzą się gleby, niema limba zdaje się żadnych; udaje się dobrze zarówno na granicie, jak i wapieniu (p. zestawienie stanowisk). Przekłada zato gleby z domieszką gliny, nad ubogie w nią. Większe natomiast wymagania posiada limba co do wilgoci w glebie, szczególnie w młodym wieku. Brak dostatecznej wilgoci sprządza karłowaty wzrost. Wilgoć gleby może być jednak zastąpiona wilgotnością powietrza i dlatego limba przekłada stoki północne i półn.-zach. nad południowe.

Niezwykłe są jej wymagania co do klimatu. Można rzec, że dla jej rozwoju konieczne są wprost skrajności; tygodniami trwające mrozy do 20° C nie wywierają na nią żadnego wpływu. Podobnie nie szkodzi jej wysoka temperatura lata i silne naświetlenie, a nawet tak częste w klimacie górskim gwałtowne zmiany temperatury w ciągu doby. Jest gatunkiem wybitnie przystosowanym do życia w klimacie kontynentalnym.

Odpowiednio do tego rodzaju wymagań glebowych i klimatycznych obiera też limba i szczególne stanowiska, a to na górnej granicy lasu i w krainie kosodrzewu zwartego, gdzie też rozwija się w całej okazałości. Wybiera siedliska wilgotne, z glebą jak już powiedzieliśmy bogatą w domieszkę gliny, a także — próchnicy (udaje się nawet na torfowiskach), niemniej jednak potrafi rosnąć na wystawionych na wiatry i nagich zebrach, cyplach i terasach skalnych (np. pod Żółtą Turnią).

Co do postaci limby¹⁾, to pień ma ona smukły, gałęzie nisko osadzone, ku szczytowi stopniowo coraz krótsze. Stąd cała korona w mło-

¹⁾ Zob. ilustracje w Roczniku I Wierchów, na okładce i na str. 89.

dych i normalnie wyrosłych okazach przybiera postać stożkową. Charakterystyczną jest przytem niezwykła regularność rozgałęzień, większa nawet jak u jodły i świerka. W okazach starszych korona przybiera kształt wybitnie walcowaty, gdyż przy małym ocienieniu limby dolne jej gałęzie nie odpadają, gdy tymczasem górne rozrastają się normalnie. Limba rzadko wyrasta ponad 18 m wysokości, a 1·7 m średnicy; przeciętnie żyje 300 — 400, najwyżej do 800 lat.

Do ostatnich placówek zachowuje swą okazałą formę i dumnie wznosi koronę ponad karli wokół niej tłum kosówek, świerków i jarzębin. Odporna w najwyższym stopniu na wpływy klimatyczne, nie ulega również tak łatwo jak świerk lawinom, a to dzięki lepszemu odeń systemowi korzeni. Ciężko nawet uszkodzona lub zwalona żyje dalej, a gdy ją wreszcie zabiją wrogie siły, to długoletnią trwałością obumarłego już pnia, daje świadectwo swej niesłychanej ongiś tężyzny życiowej. Pień odziany jest za młodu korą srebrzysto-szarą, gładką i błyszczącą z brunatnymi poprzecznymi szczelinkami przetechlinek. W późniejszym wieku tworzy się na pniu korowina podłużnie spękana, łuskowata, zewnątrz brązowo-szara, wewnątrz czerwono-brązowa, nie dochodząca jednak nawet u starych okazów do znaczniejszej grubości. Części pierwotnej gładkiej kory poprzecznie porysowane, trzymają się do pewnego wieku korowiny.

Drewno wykazuje biel barwy żółtawej, węższy znacznie niż u sosny; twarżiel po ścięciu jasny, żółto-czerwony, ciemnieje na świetle i powietrzu do barwy brunatno-czerwonej. Przyrost jesienny drzewna (drzewo jesienne o grubych błonach i małym świetle) nieznaczny, stąd całe drewno nader jednolite. Z innych ważnych jego cech wymienić należy: małą twardość, ogromną trwałość, piękną barwę, lekkość, łupliwość i odporność przeciw owadom. Ciężar gatunkowy drzewna suchego 0·36 — 0·51. Wartość opałowa wzrasta z ciężarem gatunkowym.

Igieł ma limba po 5 w pęczku (sosna zwyczajna 2), przekrój ich poprzeczny ma kształt trójkąta, długość ich 5—9 cm, szerokość $1\frac{1}{2}$ m/m. Wewnętrzne ścianki igieł są płaskie z niebiesko-białymi prążkami podłużnymi, zewnętrzne nieco wypukłe mają barwę jednostajnie zieloną. Każda igła ma 3 przewody żywiczne.

Kwiaty męskie bez szypułek, siedzące, mają postać jajowatych szyszeczek 10 — 15 m/m długich, żółtych lub czerwonych. Kwiaty żeńskie są osadzone na krótkich szypułkach, pojedynczo lub w kupkach po 6 na szczycie młodego pędu, postaci jajowatej, fioletowe. Wysoko rosnące okazy, kwitną dopiero w 70 — 80 roku życia, niżej rosnące o 10 — 20 lat wcześniej. Początek kwitnienia w czerwcu, w złych warunkach w lipcu.

Szyszki sterczą do góry, jajowate, tępe 5—8 cm długie, 3—5 cm grube, brązowe. Nasiona — tak zwane „orzeczki limbowe“ — są duże, jajowate, z jednej strony spłaszczone z twardą zdrewniałą łupiną; nie posiadają skrzydełek, co zresztą przy ich wielkości nie wieleby im pomogło do rozsiewania. Nasiona dojrzałe są dopiero na wiosnę w 3 roku po zapyleniu i wtedy spadają razem z szyszkami na ziemię. Nasienie wysiane kiełkuje dopiero po rocznym leżeniu w ziemi.



Gałązka limby, z szyszkami.

Użytek jaki człowiek ma z limby jest nader rozmaity. Dzięki wspomnianym już zaletom, głównie jednolitości i małej twardości, używane jest drewno limbowe do najmisterniejszych robót tokarskich i rzeźbiarskich. Dla pięknej barwy używa się drewna limbowego do wyrobu mebli i wykładania ścian. Górale cenią wysoko deski limbowe na wyrób skrzyń, w których przechowują odzież i serdaki, albowiem w skrzyni takiej „mól się nie chyci“. Uważają też, że limba jest najlepszym drewnem do wyrobu naczyń na mleko. Jako budulec, limba mogłaby mieć z powodu nadzwyczajnej trwałości swego drewna ogromne znaczenie, niestety jednak mamy jej tak mało, że o tem mowy być nie może. O ile nam wiadomo, przed wojną metropolita grecko-kat. Sembratowicz wystawił w Pere-

hińsku pałacyk letni z drewna limbowego, pozyskanego w rozległych swych lasach karpackich, gdzie gatunek ten gromadnie występuje. Nasiona są jadalne i stanowią ulubiony przysmak, zwłaszcza w Syberji, jako „orzeczki limbowe“ (inaczej też „cedrowe“). Z młodych niezdrewniałych pędów otrzymywano przez suchą destylację terpentynę, t. zw. „balsam karpacki“, niegdyś używany jako środek leczniczy. Odwaru z kory używają przeciw wrzodom.

Z powyższych danych o limbie wynika tedy jasno, że podobnie jak jej towarzysz niedoli cis, nie jest wcale gatunkiem „ginącym“, lecz że dzięki zaletom swego drewna i wielostronnego z niej użytku padła ofiarą zachłanności ludzkiej. Dlatego wszystkie powołane do ochrony ojczyściej przyrody czynniki, wzywają do szanowania tego pięknego zażytku flory górskiej.

Przechodząc do rozmieszczenia limby w Tatrach polskich, uważam za wskazane zapoznać czytelnika również z rozmieszczeniem dwu głównych jej towarzyszy: świerka i kosówki. Danych do tego zaczerpnę z dużego i bardzo wyczerpującego dzieła zbiorowego, L. Fekete i T. Blattny: *Die Verbreitung der forstlich wichtigen Bäume u. Sträucher im ungarischen Staate* (oryginał po węgiersku, tłumaczenie niemieckie). W pracy tej omówione są wprawdzie stosunki zasięgowe drzew i krzewów właśnie w Tatrach niepolskich, jednakowoż wybitna skąpość stanowisk limby w Tatrach polskich, w stosunku do reszty Tatr, nie wpłynie wcale na zmianę jej schematu zasięgowego, nakreślonego na podstawie tegoż dzieła. (Rys. 2.)

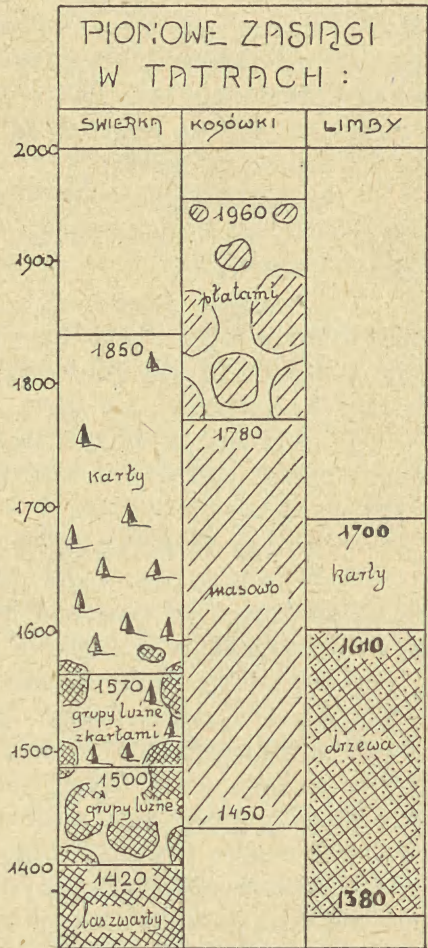
Dla objaśnienia załączonego rys. 2. (str. 29) dodać muszę w sprawie rozmieszczenia drzew w górach parę uwag, które zresztą każdemu zwiędzającemu Tatry musiały się nasunąć. Otóż wiadomem jest, że las górski ku swej wyżniej granicy podlega dwu równolegle dokonywującym się zmianom. Zwarty początkowo drzewostan rozpada się naprzód na grupy, czyli rozluźnia się, a potem i grupy rozpadają się na osobniki pojedyncze, rozrzucone wysoko nieraz niby forpoczty lasu w morzu kosówki. Równocześnie z rozluźnieniem drzewostanu postępuje karlenie świerków, tak że owe forpoczty stanowią już wyłącznie takie właśnie skarłale formy, które mimo podeszłego wieku, nie przekraczają, na najbardziej zwłaszcza wysuniętych stanowiskach, wysokości 1 m. Niezwykle pouczające zestawienie przekrojów świerka z dolin i świerka z jego górnej granicy występowania, znajduje się w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem. Podobnie jak świerk zachowuje się w zasadzie każde drzewo. Limba jedynie, jak to już wspomnieliśmy, czyni do pewnego stopnia w tej mierze

wyjątek. Ale i u niej zauważyć można formy skarłate (np. koło Czarnego Stawu Gąsienicowego).

Z rys. 2. tedy widać, że pas limby zaczyna się w rozluźnionym drzewostanie świerkowym, a kończy się w pasie karłów świerkowych, które jeszcze znacznie wyżej się podnoszą. Ponieważ zaś pas drzewostanu luźnego zaczyna się już w dolinach, więc i najniższe stanowiska limby tu się znajdują. W stosunku do kosówki cały pas limby znajduje się w krainie kosodrzewu zwartego i bujnego.

Na tle tego ogólnego rozmieszczenia limby, przejdziemy wszystkie jej stanowiska w Tatrach polskich, naocznie przemnie stwierdzone, lub te, o których zdołałem się wywiedzieć. Przegląd będziemy robić dolinami, posuwając się od zachodu ku wschodowi.

W trzech pierwszych od zachodu dolinach: Chochołowskiej, Kościeliskiej i Małej Łąki limby zupełnie nie ma. Przyczyną braku jej w tych okolicach jest, być może, intensywniejsza tu niż gdzieindziej gospodarka ludzka. Ogromne zapotrzebowanie drewna odpornego na gnienie w dawnych kopalniach (a takim jest właśnie drewno limbowe) spowodowało zdaje się zupełne wytępienie tu limby. Nie jest jednak wykluczonem, że gatunek ten na północnych stokach Tatr znajduje tu swoją granicę zachodnią. W żadnej bowiem z dalszych jeszcze ku zachodowi dolin jej nie znalazłem, ani o niej nie sły-
szałem. Na południowej tymczasem stronie Tatr sięga limba aż po linię Rohacz Wielki — Goły Wierch. Sadzone limby są w Kościeliskach w dolnej jej części, w okolicy znanej kapliczki przydrożnej. W mniejszych dolinkach, jak Za Bramką, Suchego Żlebu, Strażyskach, Ku Dziurze, rów-



Rys. 2.

niez nie spotkałem limby, ani nie dowiedziałem się o żadnej. Dopiero ztąd na wschód zaczynają się stanowiska limby.

1. Pierwsze jej pewne i bogatsze stanowisko jest w Dolinie Białego. W górnej jej części na półn. stokach Wrótek, przy ścieżce nad reglami pod charakterystycznymi turniczkami (t. zw. Zameczki), rośnie ponad lasem wśród kosówki 20—50 pięknych okazów limby, na średnim wzniesieniu 1300 m. Przeciętna ich wysokość wynosi 10 m, średnica 30—35 cm, forma normalna.

2. Ponad zbiegiem dolin Goryczkowej i Kasprowej wznoszą się Myślenickie Turnie, na których półn. stokach u szczytu (wzniesienie 1370 m) rośnie ok. 30 limb.

3. W Dolinie Kasprowej, na Hali Kasprowej Wyżniej, na półn.-zach. stoku Uhrocia Kasprowego na wzniesieniu 1500 m, ponad górną granicą lasu, stoi kilkadziesiąt zdrowych, owocujących okazów (niektóre nawet potężnych rozmiarów), 15—20 m wysokich i niechybnie podeszłego wieku.

4. W Dolinie Jaworzynki za Kuźnicami, na półn.-wsch. zboczu Gładkiego Jaworzyńskiego, na wzniesieniu około 1550 m widać parę (2—5) sztuk niewielkich, 8—10 m.

Na Nosalu są limby podobno sadzone.

5. W Dolinie Olczyńskiej na półn. stokach Wielkiej Kopy Królowej, na wzniesieniu 1588 m notuje Kotula (p. liter.) stanowisko limby. Bliższych dat jednak co do niego nie podaje.

6. W Dolinie Suchej Wody, w odnodze ku Stawom Gąsienicowym niema obecnie żadnej limby. Wśród nieprzebranego jednak łąnu kosówki, zarastającej dno tej doliny, znalazłem nad brzegiem wyschłego potoku na półn.-wsch. stokach Małego Kościelca, na wzniesieniu 1560 m, parę pniaków i pni napół zbutwiałych z okazałych ongiś limb. Dlaczego dzisiaj ta okolica jest ich pozbawiona, napewno nie wiem. Przypuszczam jednak, że szczególnie niepomyślne warunki klimatyczne tej właśnie doliny nie pozwalały nielicznym żyjącym tam dawniej okazom (które mogły wyrosnąć z nasion zanieśionych przez ptaki) na normalne wytwarzanie nasion (co się często w górach zdarza), albo na wzrost młodnika. Gdy więc i te okazy zeszyły bezpotomnie, dolina nie posiada dziś ani jednego przedstawiciela limby. Kluk (p. liter.) podaje ją tu jeszcze w r. 1872.

7. Na wsch. stoku Małego Kościelca na wzniesieniu ok. 1600 m widać ze ścieżki do Czarnego Stawu 2 małe limby ucepiione na urwisku.

8. Na półn. od Czarnego Stawu, u stóp rygla, zamykającego jezioro,

rośnie na morenowej grzędzie na wzniesieniu 1540 m pojedynczy okaz limby karłowatej, formy „sztandarowej“, wysokości 2 m, średnicy 10 cm. I tu warunki życia muszą być niezmiernie ciężkie, o czym świadczy karłowata tu nawet i zrudziała kosówka. Zimne i suche prądy powietrza, spadające z wysoko położonych kotłów skalnych, zawalonych często do późnego lata śniegami, sprowadzają owe dziwne, a dla gór tak charakterystyczne formy koron jednostronnie, w cień wiatru rozwiniętych.

9. Na półn. stokach Żółtej Turni t. zw. Dubrawiskach, przy ścieżce do doliny Pańszczycy, rośnie na bardzo charakterystycznej obszernej terasie wyżej granicy lasu, w kosówce (wzniesienie 1560 m), grupa pięknych limb, złożona z 8—10 sztuk, wysokością nie przenoszących 8 m, a do 20 cm średnicy.

10. W Dolinie Pańszczycy nad potokiem tegoż imienia, na wzniesieniu 1550 m rosną 2 limby, podobnych jak na Żółtej Turni rozmiarów.

11. U wylotu górnego piętra tejże Doliny Pańszczycy, również na wzniesieniu ok. 1550 m ponad lasem, widać z północnego ramienia Żółtej Turni, z punktu gdzie ścieżka skręca w dół ku Czerwonemu Stawkowi, dużą (40—50 sztuk) grupę limb, prawdopodobnie rozmiarów jak sąsiadki ich z nad potoku Pańszczyckiego.

12. Na Hali Waksmundzkiej (półn. stoki Małej Kosistej) na wzniesieniu 1550—1690 m spotykamy również grupę z 20 okazów normalnie rozwiniętych, nawet do 15 m wysokich.

Na Gęsiej Szyi limb niema.

13. Na Wołoszynie od północy podaje Kotula stanowisko na wzniesieniu 1582 m.

14. Obfitującą w limby jest dolina Roztoka. W niej zarówno po połud.-wsch. zboczach Wołoszyna, jak i po półn. zach. Opalonego rozmieszczone są zwłaszcza w górnej części, ponad granicą lasu (1500 do 1600 m), liczne okazy (na obu stokach w łącznej liczbie ok. 100).

Niezwykle bogactwo limb w tej dolinie zwracało uwagę różnych badaczy. Dziś grozi im tu zatura, gdyż rosną one przeważnie na gruntach górali, którzy corocznie wycinają co najpiękniejsze ich okazy. Czynniki miarodajne powinnyby się więc z ochroną limby pospieszyć! Na Czubie (zakończenie długiego ramienia, jakie Opalony Wierch ku półn.-wsch. wysyła) rośnie 4000 sadzonych limb.

Dolina Rybiego Potoku obfituje jeszcze więcej w limby niż Roztoka.

15. Na całym wsch. stoku Świstówki i Opalonego rosną limby ponad górną granicą lasu (1500—1600 m) w ilości przeszło 100 sztuk.

16. Podobnie gęsto (ok. 200 sztuk) usiane są limbami zachodnie stoki Żabiego. Tutaj też rozszerza się pas limb do przeszło 200 m (1390 do 1605). O tych z całych Tatr polskich najłatwiej dostępnych, w limby najbogatszych stanowiskach (15 i 16) w dolinie Rybiego potoku, znajdujemy wzmianki u wszystkich badaczy, którzy byli kiedykolwiek w Tatrach, we wszystkich „florach“ i podręcznikach szkolnych; limby nad Morskim Okiem najczęściej są fotografowane i malowane, stąd sława ich, często, jak widzieliśmy, wiodąca do mylnych wniosków, rozeszła się



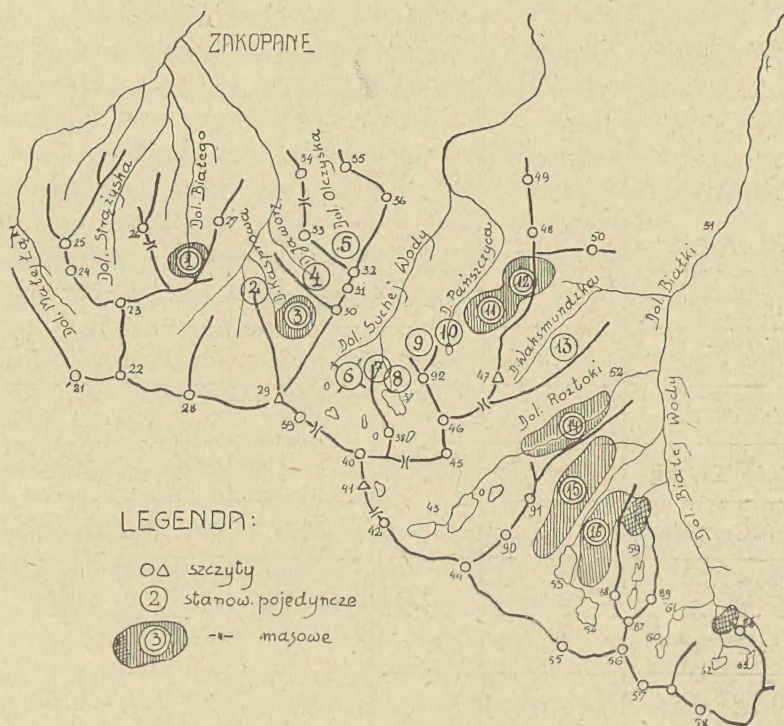
Limby nad Morskim Okiem (fot. T. Zwoliński).

po całej Polsce. Nie tylko bowiem jest ich tu najwięcej, ale dochodzą do najbujniejszych rozmiarów (wysokość do 15 m, średnica do 30 cm). Na szczęście stanowiska te leżą na obszarze dóbr hr. Zamoyskiego, co uchroniło je od niechybnej w innych warunkach zagłady.

Dla porównania z dalszemi na wschód dolinami spojrzymy na rozsiadlenie limby w Dolinie Białej Wody. Tu ciągnie się ona nieprzerwanym prawie szerokim pasem ponad górną granicą lasu od Żabiego po Holicę. Na wschodnich zaś stokach Siedmiu Granatów i u stóp Średniej Turni tworzy, rzecz można, rzadkie lasy. Podobne duże skupienia limb są w dolinie Jaworowej. Natomiast jeszcze dalej na zachód w wapiennych Tatrach Bielskich ilość jej znowu się zmniejsza.

Przeszedłszy w ten sposób wszystkie znane stanowiska limby w Tatrach Polskich, zestawmy je dla jasności w tabelę i wkreślmy je na mapę.

Dla uzupełnienia powyższego obrazu podam jeszcze parę uwag dotyczących rozmieszczenia limby w całych Tatrach. Nieje-



Rys. 3. Część Tatr polskich w których znajdują się stanowiska limby.

Objaśnienie liczb: 21 Małołączniak. — 22 Kopa Kondracka. — 23 Gewont. — 24 Grzybowiec. — 25 Łysanki. — 26 Sarnia Skala. — 27 Krokiew. — 28 Czuba Goryczkowa. — 29 Kasprowy. — 30 Kopa Magóry. — 31 Kopa Królowa Mała. — 32 Kopa Królowa Wielka. — 33 Boczań. — 34 Nosal. — 35 Kopieniec Mały. — 36 Kopieniec Wielki. — 37 Czarny Staw Gąsienicowy. — 38 Kościelec. — 39 Beskid. — 40 Świnnica. 41 Walentkowa. — 42 Gładki Wierch. — 43 Pięć Stawów Polskich. — 44 Gruby Wierch. — 45 Kozi. — 46 Granaty. — 47 Kosista. — 48 Kopa Sołtysia zadnia. — 49 Kopa Sołtysia przednia. — 50 Gęsia Szyja. — 51 Lysa Polana. — 52 Wodogrzmoty. — 53 Morskie Oko. — 54 Czarny Staw. 55 Mięguszowiecki. — 56 Rysy. — 57 Wysoka. — 58 Żelazne Wrota. — 59 Żabi Staw. — 60 Zmarzły Staw. — 61 Czeskie. — 62 Zielony Staw. — 63 Litworowy Staw. 86 Średnia Turnia. — 87 Żabi Szczyt wyżni. — 88 Żabi Szczyt niżni. — 89 Młynarz. — 90 Miedziane. — 91 Opalone. — 92 Żółta Turnia.

(Liczby zamknięte w kółko oznaczają stanowiska limb a objaśnienia ich podaje oboczna tabela).

den bowiem szczegół z rozmieszczenia limby u nas stanie się wtedy jasnym.

Zestawienie stanowisk limby w Tatrach polskich.

Nr. na mapie	Miejscowość	Expoz.	Skała	Wzniesienie w metrach	Ilość okazów	UWAGI (forma, wysokość, średnica)
1	Dol. Białego	N	dolom.	1300	20—50	normalna, 10 m, 35 cm
2	Myślenicki	N	wap.	1370	30	normalna, młode
3	Hala Kasprowa	NW	granit	1500		normalna, 15 m
4	Jaworzynka	NE	wap.	1550	2—5	normalna, 8—10 m
5	Dol. Olezyska	N	dolom.	1588		
6	Sucha Woda		granit	1560		pnie i pniaki
7	Mały Kościelec	E	„	1600	2	normalna, młode
8	Dol. Czar. Stawu	N	„	1540	1	sztandarowa, 2 m, 10 cm
9	Żółta Turnia	N	„	1560	8—10	normalna, 8 m, 20 cm
10	Dol. Pańszczycy	N	„	1550	2	normalna
11	„	N	„	1550	40—50	normalna
12	Hala Waksz.	N	„	1550—1600	20	normalna, 15 m
13	Wołoszyn	N	„	1582		
14	Roztoka	S—E, N—N	„	1500—1600	100	normalna
15	Świstówka Opalone	E	„	1500—1600	100	normalna
16	Żabie	W	„	1390—1605	200	normalna, 15 m, 30 cm

Limby naogół jest więcej po stronie południowej niż po północnej, a tu specjalnie mało w Tatrach polskich. Fakt ów stoi pozornie w sprzeczności z tem, co powiedzieliśmy o wymogach limby w stosunku do gleby i klimatu.

Limba bowiem, jako drzewo lubiące wilgoć w glebie lub powietrzu, przynosi takie siedliska nad inne, które zadość czynią tym wymaganiom, a więc stoki północne. Tymczasem rozsiedlenie jej w Tatrach zdaje się

temu przeczyć. Sprzeczność tę wyjaśnia nam łatwo znany również fakt, że zniszczenie limby było znacznie większe u nas, niż po stronie „węgierskiej“. Na większą eksploatację limby u nas wpłynęły większe skupienie ludności na półn. stokach Tatr (w bezpośrednim sąsiedztwie gór), wielkie obszary leśne w rękach górali i długotrwały po tej stronie przemysł górniczy, który pociągnął za sobą nie tylko wyniszczenie limby, ale całych lasów (n. p. w Jaworzynce za Kuźnicami, na Karczmisku). Tego wszystkiego po stronie „węgierskiej“ nie było, a przynajmniej nie w tej mierze. Głównie zaś do utrzymania się limby po połud. stronie (i wogóle po stronie nie polskiej) było skupienie lasów w rękach dbałych o ich całość i racjonalną gospodarkę.

Pas normalny przemieszczenia limby w Tatrach nie przekracza 300 m podczas gdy przeważna ilość roślin zajmuje pas 900, a niektóre pospolite nawet 2000 m. Tymczasem w górach Syberji limba zajmuje pas znacznie szerszy. W kierunku więc na zachód dolne i górne jej granice zbliżają się w kształcie klina. Zjawisko to, częste na granicy rozsiedlenia gatunku (*Rotula*), można zauważyć na małą skalę i w Tatrach. Mianowicie stwierdzono, że najszerszy pas zamieszkuje limba w środkowej części Tatr Wysokich (do 300 m), ku zachodniemu zaś skrzydłu szerokość tego pasa maleje. Widzieliśmy przecież, że w miarę jak posuwaliśmy się w przeglądzie naszym stanowisk ku wschodowi, pas ten się rozszerzał, tak że w Roztoce miał on około 100 m, a w dol. Rybiego Potoku na stoku Żabiego 200 m. Czy zjawisko to tłumaczyć należy wyłącznie przyczynami natury klimatycznej, czy glebowej, czy wreszcie gospodarczej, o tem w ramach tego artykułu rozstrzygać nie chcę.

W zakończeniu pragnąłbym zaznaczyć, że szkic powyższy posiada niechybnie pewne luki. Mogą znaleźć się jeszcze nowe stanowiska, daty wysokościowe i ilości okazów dla pojedynczych stanowisk mogą okazać się błędne. W każdym jednak razie sądzę, że tabela i mapka jaką podaję, mogą stać się przynajmniej punktem oparcia do dalszej pracy. Wreszcie poczuwam się do miłego obowiązku podziękowania tym wszystkim, u których zasięgałem wiadomości co do stanowisk limby w Tatrach, więc p. p. Bieńkowskiemu, nadleśniczemu w dobrach hr. Zamoyskiego, prof. Gajewiczowi, prof. dr. Steckiemu i p. St. Zwolińskiemu.

Marjan Sokołowski.

LITERATURA. 1. Aschersan P. i Gräbner P.: Synopsis der mitteleurop. Flora. I. Bd. (Lipsk 1896—98). 2. Berdau F.: Flora Tatr, Pienin i Beskidu Zachodniego. (Warszawa 1890). — 3. Bierzyński E.: O uprawie limby. (Sylwan 1891). — 4. Czerwiakowski R.: Opisanie roślin dwulistniowych, lekarskich i przemysłowych. (Kraków

1859). 5. Fekete L. i Blattny T.: Die Verbreitung der forstlich wichtigen Bäume u. Sträucher im ungarischen Staate (1914). — 6. Györfy I.: Über die Verbreitung der Zierbelkiefer und der Eibe in den Javorinaer u. Belaer Kalkalpen. Magyar Botanikai Lapok XI. Bd. 1912. — 7. Janota E.: Przewodnik w wycieczkach na Babią Górę, do Tatr i Pienin. (Kraków 1860). — 8. Kirchner O., Löw E., Schröter C.: Lebensgeschichte der Blütenpflanzen Mitteleuropas. Bd. I. Abt. 1. (Stuttgart 1908). — 9. Knapp: Die bisher bekannten Pflanzen Galiziens u. der Bukowina (1872). — 10. Köppen F.: Geographische Verbreitung der Holzgewächse des eur. Russlands u. des Kaukasus. (Petersburg 1899). — 11. Kotula B.: Rozmieszczenie roślin nac. w Tatrach. Kraków 1889–90. — 12. Kozłowska A.: Z badań nad florą paleolitu w Polsce. (Kosmos 1921). — 13. Pax F.: Grundzüge der Pflanzenverbreitung in den Karpathen. (Lipsk). — 14. Radzikowski Eljasz S.: Taty Bielskie. (Pam. T. T. tom XIV.—XV). — 15. Rehman A.: Ziemia dawnej Polski. Cz. I. Karpaty. (Lwów 1895). — 16. Sagarski E. u. Schneider G.: Flora der Zentralkarpathen. (Lipsk 1891). — 17. Spausta W.: Limba. (Sylvan 1896). — 18. Strzelecki H.: O przyrodzonym rozsiedleniu drzew leśnych w Galicji, (Sylvan 1894). — 19. Świerż T.: O pionowym rozmieszczeniu drzew w Tatrach. (Sylvan 1913). — 20. Szymkiewicz D.: Sur l'importance du déficit hygrometrique pour la phytogéographie écologique. Acta Societatis Botanicorum Poloniae Vol. I. Nr. 1. 1923. — 21. Wahlenberg G.: Flora Carpathorum principalium. (Göttingae 1814). — 22. Zapałowicz H.: Krytyczny przegląd roślinności Galicji. Tom I. (Kraków 1906). — 23. Zawadzki A.: Enumeratio plantarum Galiciae et Bucovinae. (Wrocław 1835).

Oszczypek.

(*Szkic monograficzny*).

Ej ten poroński bacia nie dał nam zentyce
Bodajze mu spadły z puciry obręce.

Cywilizacja zachodu wkracza wolno w Podhale i zaciera wiele pięknych prastarych zwyczajów, a także guseł i zabobonów; znikają one bezpowrotnie, nie utrwalone dla pamięci. Jestto strata niepowetowana dla historii i ludoznawstwa i etymologii gwary ludu podhalańskiego. W zakątkach zdala od głównych szlaków taternicznych, gdzie turysta rzadko się ukazuje, nie budują schronisk ani hoteli i nie biwakują obozy krzykliwej młodzieży, zachowały się zwyczaje wiekami usświęcone, ale i tam zaczynają ginąć, ustępując czasom obecnym. Już nie idą „gazdowie“ do zamiru, lecz za „dutki“ lub „papirki“ umawiają się z bacą o wypas owiec, nie odbywa się z taką uroczystością wypęd kierdela na hale — wszystko zostało tylko wspomnieniem lepszych czasów w pamięci ludu. Do zabytków jeszcze się utrzymujących należy wyrób „oszczypków“ i „bryndzy“. Wprawdzie parzenie serów nie prędko przejdzie do historii, ale wiele zwyczajów z niem połączonych już zaniknęło lub zanika. Starzy bacowie chowają jeszcze po części dawny obyczaj — ale tych reprezentantów

tradycji jest coraz mniej, na ich miejsce przychodzą młodzi idący z „duchem czasu“.

Skoro zginą na „wirkak“ ostatnie „kapliny“¹⁾, przestaną dać „dujawice“ i wiatry od Orawy i pokryją się trawą polany i hale — budzi się życie na halach. Żoną juhasy do podoju „kierdel“²⁾ owiec, idą „jarki“³⁾ i „byrki“⁴⁾, „pistrule“⁵⁾ i „murgasiste“⁶⁾, przemkną się czasem „liskarka“⁷⁾ lub „kurnasista“⁸⁾ rzadziej „czołka“⁹⁾. Wpędzone w koszar¹⁰⁾ „legają“ oczekując kolei podoju. Juhasi wraz z bacą zmówiwszy modlitwę na pomyślność podoju siadają okrakiem na siedakach¹¹⁾ koło okien¹²⁾ i stawiają przed sobą gieleć¹³⁾; honielnik¹⁴⁾ pędzi oblakiem¹⁵⁾ tłoczące się owce ku strądze¹⁶⁾ i zaczyna się podój. „Jarki i drobny statek“ zostają przepuszczone jako nie dojne, a tylko byrki chwytają juhasi za skoki, przysuwając i opierając ich tylne nogi o skośne ściany gielety. Dojący obejmują strzyki i parokrotnie śćwirka dójki, aby przemyć mlekiem zatkałe kanały, poczem „burzy“ w skurłat¹⁷⁾ pięściami wyciskając z cystern mlecznych zawarte w nich mleko, resztki pozostałe śćwirka i podój skończony. Dojenie na duch¹⁸⁾ przebiega szybko.

Z gielet wlewa się mleko do puciery¹⁹⁾ przykrytej satą²⁰⁾ obciążoną „obraczką“, przytrzymaną „klinikiem“. Na sacie leży choina lub bazicka²¹⁾ zatrzymująca zanieczyszczenia mogące łatwo przylgnąć do płótna. Gałęzie te zastępują kołpak na sitach mleczarskich. Cedzenie mleka jest rzeczą wielce pożądaną, gdyż do naczynia dostaje się brud z wymion, których góral oczywista nigdy nie myje, ani też nie obciera. Gielety popłukuje się wodą letnią, a zapłuczki wlewa się do puciery. Ciepłota mleka, otrzymanego zaraz po wydojeniu, waha się od 27—29 °C; — temperatura ta jest wystarczająca do zaklągania; w czasie chłodnym i słotnym lub w razie zmieszania udoju z dnia poprzedniego obniża się znacznie ciepłota mleka, a wtedy bacia podgrzewa je przez dolanie ciepłej wody. Do stwierdzenia ciepłoty wody i mleka, bacia używa za ciepłomierz ręki i przyznać należy, że różnice w poszczególnych wypadkach są bardzo nieznaczne. Po precedzeniu i podgrzaniu następuje najważniejsza

1) Przetainy śnieżne. 2) Stado owiec. 3) Owce jednoroczne. 4) Owce dorosłe już, dojące się. 5) Owce o pysku i nogach obrośniętych. 6) O pysku czarniawym. 7) O ubarwieniu podobnym do lisa. 8) Rogata owca. 9) O krótkich uszach, przesuniętych nieco wyżej na czoło. 10) Zagrodzone miejsce, na którym spoczywają owce. 11) Pniak zastępujący stolek. 12) Otwór, przez który wchodzi do podoju owce. 13) Rodzaj skopca. 14) Chłopak praktykujący na juhasa. 15) Kij pastuszy. 16) Miejsce podoju ogrodzone w koszarze. 17) Wymię owcze. 18) Duchem, prędko, jedna po drugiej. 19) Każ. 20) Płótno do cedzenia. 21) Gałązki święcone w Kwietniową Niedzielę.

czynność — zaklaganie ¹⁾). Klag ²⁾ wlewa się „na oko“ cedząc przez sito dla oddzielenia od pozostałych części żołądka cielęcego. Zaklagane mleko przykrywa się satą i zostawia w spoczynku; krzepnie ono mniej więcej w 30—35 minut, przetrzymanie pięciu lub więcej minut „to nic nie szkodzi“ — na czas krzepnięcia nie zwracają najmniejszej uwagi. Baca rozpoznaje dobroć i tęgość skrzepu dłonią; skoro „ręki się chyta“, przystępuje do właściwej obróbki ferulą. Przyrząd ten jest bardzo prosty; jestto drążek ze „smereka“ przy końcu posiadający szparę na 2—5 cm. sze-



Owce na hali (Jaworzynka).

roka, do 36 cm długą. Mieszadłem tem „roztrzepuje“ skrzep na drobny pył; wlewa około dwóch czerpaków gorącej wody (75 °C) mieszając w dalszym ciągu. Podparłszy „pucierę“ pieskiem ³⁾, przysuwają ją do ławy i rozpoczyna tzw. pucenie sera. Po dokładnem roztrzepaniu i rozmieszaniu skrzepu, następuje pucenie lub, jak mówi serkarz, „zbija się lub zgniata na spodek pucierzy i zbiera się rękami syrzeń ⁴⁾“ (temp. 35 °C) w jedną bryłę, wygniatając zentycę ⁵⁾. Odlewa się część zentycy do „kotlicka“

¹⁾ Zaprawienia podpuszczką. ²⁾ Podpuszczka. ³⁾ Podstawka drewniana pod każd.
⁴⁾ Ser. ⁵⁾ Serwatka z mleka owczego.

miedzianego zawieszono na jądźwidze¹⁾ i dającego się swobodnie przesuwac nad watrą²⁾ po ozwodnicy³⁾. Zebrawszy skrzep tryngaci się⁴⁾ syrzeń do czerpaka, aby „ręcami wymiać żentycę i by nic nie ostało“. Tak rozdrabniając i przecierając palcami ser, baca wyciska serwatkę i jednocześnie odmierza ilość sera (czerpak ma około 1 litra pojemności tj. 0·5 kg sera), poczem wyrzuca go na dłoń, ugniata w kule, aby dostał skórkę i kule te upraża w gorącej wodzie (52—54 ° C) przez 5 do 10 minut, „aby je przeparzyć“ i aby ser się „stempił“ (stał się miękki, elastyczny i zwarty); wyjmuje go i „pogniata“, kładąc z powrotem do gorącej wody, ugniata w walce i nabija do form. Forma na oszczypek jest dwudzielną obręczką, zrobioną z drzewa jaworowego, wewnątrz pięknie rzeźbiona w tzw. cyfry o maleńkich otworkach na odpływ serwatki; na zewnętrznej stronie są karby, przez które wiąże się obie części sznurkiem lub nakłada się obręczką z leszczyny. Rzeźba przedstawia motyw oka lub dołki; zależnie od okolicy są „cyfry“ mniej lub więcej ozdobne. Wielkość form waha się w niewielkich granicach. Forma oszczypkowa jest szeroka od 12·5 do 13·5 cm, a długa 7—9 cm; „parzenice“ od 6—12 cm i 8—19 cm; „owce“ 6—7 cm i 5—14 cm; „kacki“ 3—4 cm i 7—9 cm. Pochodzenie nazwy „oszczypka“ (według Lindego „oszczepek“) tłumaczyć należy od formy. Pisaćby się powinna zatem „oz-czepki“, bowiem pochodzi od słowa oz-czepiać = rozszczepiać. W gwarze góralskiej utrzymała się nazwa „oscypek“ lub „oscepek“, istniała też dawniej, dziś nigdzie nieużywana: „oszczepańce“ (Ludwik Zejszner — Podhale i północna pochyłość Tatrów, Bibl. Warsz. 1849 T. III. s. 451).

Właściwy oszczypek ma w pośrodku kształt walcowaty, a końce przedstawiają się jako wydłużone ścięte stożki. Tylko walcowaty środek jest wygniatany formą. Sterczące z formy końce walca naciąga baca delikatnie ręką, „uważając na cyfry“, i przez obracanie w dłoniach nadaje im kształt stożkowaty i gładką lśniącą powierzchnię. Na stożkowate końce nakłada wreszcie zatyczki w gwiazdkę rzeźbione, zwane „końcówkami“, stępując w ten sposób stożki i wyciskając w stępieniach „cyfrę“. Długość całego, w ten sposób zrobionego oszczypka wynosi około 22 cm., jest zresztą dość różna, bywa on bowiem bądź pękatszy bądź smuklejszy⁵⁾. Odcisnięty i wygładzony oszczypek wkłada się do zimnej wody

1) Albo: jądźwiga — drążek zakrzywiony w kształcie fajki o dwóch wrębach, na których zawieszają się kocioł. 2) Ognisko. 3) Drag umieszczony nad watrą, po którym przesuwają się jądźwiga. 4) Trzeć w palcach na miał, w celu jak najlepszego rozdrobnienia skrzepu i uwolnienia go od serwatki. 5) Na hali Pysznej wyrabia się odrębnej formy sery, zwane „bruskami“; mają one kształt odpowiadający w przybliżeniu nazwie, nieco jednak so-

„aż stęgni“. W zimnej wodzie powierzchnia twardnieje i obmywa się z resztek serwatki, mogącej zanieczyścić rosół, który mógłby „skisnąć“. Po splukaniu zanurza się w „rosole“ na przeciąg doby. Rosołem nazy-



Juhas słowacki. (Wyd. Sal. mal. pol.)

wają górale silnie przesycony roztwór soli kuchennej, przechowany w cebrzyku drewnianym; serek powinien w nim pływać; jeśli tonie, znać

czewkowaty; brusek jest to okrągły kamień do „bruszenia“ noży i innych ostrych narzędzi. Średnica „bruska“ wynosi około 30 cm. a grubość 13–17 cm. „Cyfry“ znajdują się tylko w niewielkim okrągłym wgłębieniu na środku powierzchni. Wyrobu „brusków“ nie miałem dotąd sposobności obserwować.

że zamało rozpuszczono soli. Wymoczony, przebija się drutem parokrotnie „na durk“, ponownie zanurza w roztworze, aby sól wnikła do środka i ustawia na podysar¹⁾; tam ocieka i wędzi się dymem z watry „aby cuć go było halami“. Wędzenie trwa około dwóch tygodni. Serki są przeznaczone na wynagrodzenie dla bacy, juhasów i zapłatę czynszu dzierżawnego „panu“, gazdowie zaś otrzymują „bryndzę“.

Wyrób bryndzy jest w stadjum początkowem taki sam jak oszczypków. Wyjętą masę sera wkłada się do „grudki“, zawieszanej na ścianie



Dojenie owiec. (Fot. Studnicki).

szafasu i pozostawia się przez osiem godzin aż do zupełnego ocieknięcia, poczem kładzie się na „podysarze“, gdzie „kiśnie“ (fermentuje) przez dwa tygodnie. Mając dostateczny zapas bryndzy do obdzielenia gazdów „odkazuje“ się, kiedy po nią mają się zgłosić. Baca najpierw wypłaca gazdów bryndzą czyli grudką, resztę zużytkowuje na oszczypki dla siebie i na wypłaty.

Serkarze góralscy przyrządzają sami podpuszczkę, którą nazywają „kлагiem“. Żołądek cielęcy oczyszczony z treści, solą i suszą nad watrą, przecięty względnie rozdarty wkładają do dzbanka z letnią wodą, po godzinie moczenia nadaje się do zakłagania.

¹⁾ Półka, na której ustawia się oszczypki.

Na tydzień wystarcza jeden żołądek — w miarę wyczerpywania zalewają go świeżą letnią wodą. Podpuszczka ta naturalna, w ten sposób przyrządzona, ma wiele stron ujemnych, przede wszystkim jest nie trwałą i o nie równej sile ścinania.

Podstawą „wiktu“ pasterzy stanowi „żentyca“, odlana podczas „pucenia sera do kotliczka“ miedzianego, gdzie gotuje się wisząc na „jadwidze nad watrą“. Aby nie „przysiendło“, żentycę miesza się „cioskiem“¹⁾, skoro „wybije w środku“, jest zagotowana; odsuwa się ją z ognia, zbiera się wierzchnie tłuste warstwy czyli hurdę warzechą do puciery i soli, trzepie się ferulą, by chłodzić, gdyż inaczej „zaparuje i skiśnie“. Roztrzepując rozbija się albumin i sernik ścięty podczas gotowania. Zwarnica²⁾ pozostaje jako napój uboższy, a sernik i tłuszcz oddaje się psom i „karmikom“.

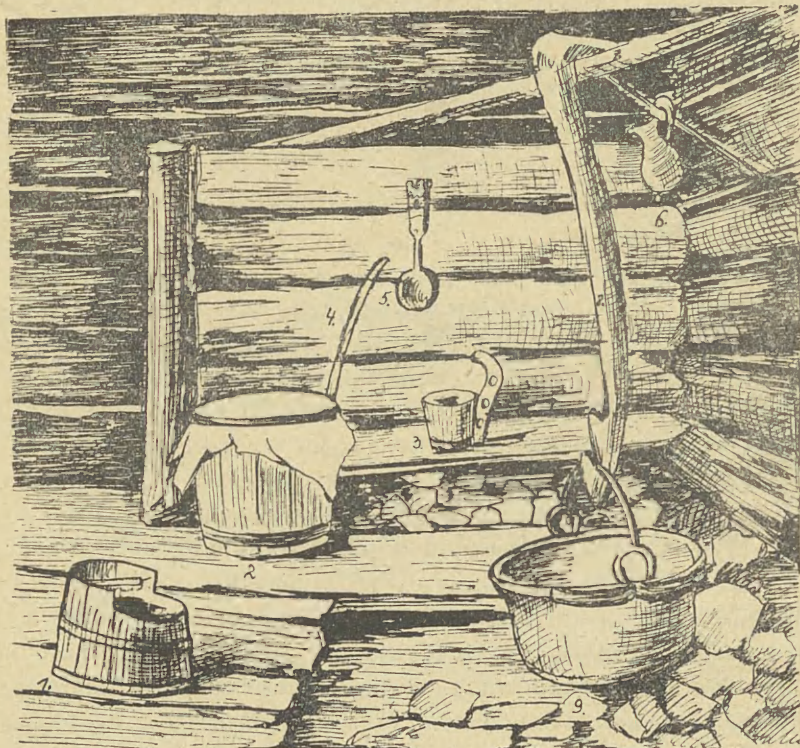
Sprawa wypłaty za mleko dziś przedstawia się znacznie prościej niż dawniej. Jeszcze nie tak dawno po wypędzeniu na hale „statku“, w trzy dni, schodzili się gazdowie do zamiru. „Żeby się owce dobrze mirowały“, przed wygonem karmiono je suto owsem i sianem, by na próbnym udoju dały jak najwięcej mleka. Od tego bronili się bacowie, przesuwając „zimir“ w trzy lub więcej dni po wypędzie na hale. Gazdowie wraz z juhasami paśli w najlepszych miejscach, poczem sam właściciel doił do rajtoka³⁾. Ilość udoju mierzono przez zanurzenie „zimirka“; był to ostrugany patyczek, na którym karbowano dokąd sięgało mleko, rozczepiano go na dwoje, jedna część zostawała u bacy, drugą brał gazda. Była to miara, ile sera miał oddać baca; ile tygodni wypasu, tyle „wód“. Lał więc owczarz do „rajtoka“ wodę aż po karb „zimirka“ i ważył; stosowną do ilości tygodni była ilość „wód“, które ważone razem miały dać wagę sera za jedną owcę. Obecnie wypłaty skutecznie się według umowy. Zależnie od jakości hali i czasu paszenia, przyjęto dawać za wypaszenie owcy 5 funtów, a za „jarkę“ po 1 f. bryndzy. Baca jest obowiązany wypłacać juhasów, którym daje po oszczypku dziennie i „wikt“; koszt dzierżawy hali ponosi baca.

Szkie ten niema na celu przedstawienia biochemii ani też biologii oszczypka, lecz tylko zaznajomienie w ogólnych zarysach z wyrobem sera tatrzańskiego. Proces fermentacyjny czyli tzw. dojrzewanie oszczypka

¹⁾ Drażek, na którego końcu osadzona jest prostopadle deszczułka, kształtu odcinka koła. ²⁾ Chuda żentyca, pozostała po zebraniu hurdy. ³⁾ Rodzaj skopeca.

jest rzeczą zbyt złożoną i specjalną aby mogło interesować szerszy ogół. W krótkości jednak należy podać ogólną charakterystykę pod względem chemicznym jak i biologicznym tego nader oryginalnego sera.

Oszczyпки góralskie należą do grupy serów wyrabianych z masy parzonej; do nich zaliczają sery serbskie katschka voly, sławońską parenica i włoski cacciocavallo. Cechą tych serów jest pierwotna i prosta technika wyrobu. Charakterystyczną cechą mleka owczego jest



Wnętrze serowni (wedle Matlakowskiego).

1. Gieleta. — 2. Pucira z satą. — 3. Czerpak. — 4. Ferula. — 5. Warzecha. — 6. Naczynie z kłgiem. — 7. Odwodnica. — 8. Jadwiga. — 9. Kocioł.

wysoka procentowość tłuszczu (4·8—7·6%). W czasie obróbki, i to bardzo gwałtownej, rozpyła się ser na drobne ziarnka, znaczna część tłuszczu, uwieczona w skrzepie, zostaje uwolnioną i przechodzi do żentycy (2·2 do 3·2% tłuszczu), przez co ubożeje sam ser. O tem wiedzą bacowie i nie-

raz próbowali z tłuszczu serwatkowego robić masło. Wobec tego jednak, że żentycza jest ich wyłącznym pożywieniem, nie zwracają uwagi na stratę tłuszczu w oszczypku. Dla porównania podajemy skład chemiczny mleka owczego, sera świeżego i dojrzalego oraz sera roquefort, który jest również serem owczym.

	mleko owcze*)	ser świeży*)	ser dojrzały*)	ser roquefort
białka	5·84 ⁰ / ₀	25·06 ⁰ / ₀	33·94 ⁰ / ₀	} 26·47 ⁰ / ₀
azotu	(0,9355 ⁰ / ₀)	(4·01 ⁰ / ₀)	(5·43 ⁰ / ₀)	
tłuszczu	6·35 ⁰ / ₀	37·44 ⁰ / ₀	41·90 ⁰ / ₀	33·13 ⁰ / ₀
wody	81·79 ⁰ / ₀	32·07 ⁰ / ₀	23·01 ⁰ / ₀	31·61 ⁰ / ₀
cukru mle- kowego	4·69 ⁰ / ₀	—	—	3·20 ⁰ / ₀
popiołu	nie badano	5·21 ⁰ / ₀	4·69 ⁰ / ₀	5·59 ⁰ / ₀

Badania bakterjologiczne wykazały, że flora drobnowidowa oszczypków należy do trzech grup stale występujących w serach twardych: 1) do grupy bakterji peptonizujących, 2) do grupy bakt. fermentacji mlekowej i 3) do grupy tlenowców fermentacji masłowej.

Jedna z dwu bakterji peptonizujących, forma „A“, jest bardzo zbliżoną do *Bacillus butiricus* Hueppe; różni się tem od tego lasecznika, że podczas gdy pod działaniem *Bac. but. Huep.* tworzy się kwas masłowy ($C_4 H_8 O_2$) i octowy ($C_2 H_4 O_2$), to pod wpływem formy „A“ powstaje kwas masłowy ($C_4 H_8 O_2$), walerjanowy ($C_6 H_{10} O_2$) i mała ilość kwasu mlekowego ($C_3 H_6 O_3$). Pod działaniem formy „B“ (identyfikacja tej formy nie dała się przeprowadzić z żadnym ze znanych drobno-ustrojów) wytwarzają się kazeiny: wolny amoniak, leucyna, tyrozyna, lizyna, histydyna, prolina, a również kwasy glutaminowe, a więc produkta rozkładu, jakie powstają z białka pod działaniem trypsyny.

Wyosobniony przez Moczulską tlenowiec „C“ jest nader zbliżony do *Bacillus Sacharobutyricus*. Wśród przeróżnych bakterji fermentacji kw. mlekowego występuje w oszczypkach stale forma należąca do *Streptococcus lacticus*.

*) Według analizy L. Moczulskiej (Roczniki Nauk Roln., 1912). — Podaną w tej analizie ilość białka otrzymano przez przeliczenie na białko całego azotu za pomocą mnożnika 6·25. Ponieważ badane sery pochodziły z różnych okolic, przeto porównanie składu sera świeżego a dojrzalego nie daje należytego wyobrażenia o zachodzących przy dojrzewaniu zmianach w ustosunkowaniu podanych składników. Trzeba nadto dodać, że przy przeliczeniu na suchą substancję różnice okazały się bardzo małe.

Zawartość tłuszczu w oszczypku jest zależną przede wszystkim od okresu laktacyjnego, od rasy, a też od jakości darni na halach; ale wielkie znaczenie ma też przebieg i umiejętność wyrobu. Oszczypki są produktem dość poszukiwanym w zdrojowiskach; według opinii powszechnej mają być nie tylko znakomitym środkiem odżywczym ale i leczniczym — to też górale by zwiększyć produkcję serów mieszają znaczną ilość mleka krowiego (rzadziej koziego) przez co tracą one swój swoisty charakter, są mniej tłuste, miększe i bielsze.



Sprzęt serowarski (wedle Matlakowskiego).

1, 2, 3, 5, 7: Formy do oszczypków; w tem: 3 „parzenica“. — 5. „Kaczka“. — 7. Owea. — 6. Wyciskaczka zakończenia oszczypka cz. końcówka. — 8. „Oko“ (ornament na formie oszczypka). — 9. „Dołki“ (ornament na formie oszczypka). — 4. Czerpak. — 10. Warzecha.

Mimo swej lokalnej wziętości, oszczypki z powodu prymitywnej techniki serowarskiej nie posiadają tych zalet pierwszorzędnych, któreby je kwalifikowały jako towar mogący konkurować z innymi serami na szerszych rynkach, nie mówiąc już o rynku światowym. Sery owcze wogóle zresztą nie należą do produktów handlu światowego, z wyjątkiem jednego, słynnego sera roquefort. Roquefort wykazuje nawet pewne podobieństwo co do składu chemicznego z oszczypkiem, ale mimo że osz-

czypek jest bogatszy w tłuszczę¹⁾, pod względem jakościowym nie można ich nawet porównać. O tem, ażeby z roquefortem konkurować przez jego naśladowanie, w danych warunkach nie może być mowy. O ile nie dałoby się oszczyпка udoskonalić, to w wypadku, gdyby chów owiec tak się rozszerzył, że produkcja musiałaby szukać poza-lokalnego zbytu, należałoby wyrabiać tylko bryndzę. I tu byłoby niejedno do poprawienia, dobry jednak i jednolity towar, w odpowiedniemu opakowaniu na wzór n. p. wyrabianego po południowej stronie Tatr „sera liptowskiego“, mógłby znaleźć szerokie pole zbytu.

Mimo, że wartość użytkowa hal tarzańskich, wogóle nie wielka, stale się zmniejsza z powodu nieumiejętnego utrzymania, to jednak, jak wskazuje statystyka, hodowla owiec na Podhalu wzrasta (zob. tabelę²⁾).

POWIATY	Owiec			na 100 owiec w r. 1910 przypada		na 1 km ² w r...	na 100 osób lud- ności wiejskiej w r....
	31/XII. 1910	1918	30/IX. 1921	r. 1918	r. 1921		
	Powiaty podgórskie ³⁾	21,566		27,901		129,4	
Powiaty górskie	32,974		37,828		114,7		
a w szcze- gólności:							
Nowy Targ	27,159		29,545		108,8	22,6	46,1
Spisz-Orawa	5,815		8,283		142,4	14,2	36,5

¹⁾ Skala tłustości serów wedle Herza jest następująca: procentowa zawartość tłuszczu w suchej substancji sera wynosi — przy serach bardzo tłustych: ponad 60%, — tłustych: 33—60%, — półtłustych: 25—33%, — chudych: poniżej 25%. — Sucha substancja oszczyпка zawiera około 55% tłuszczu, zbliża się on przeto do kategorii serów bardzo tłustych. Tłuszcz w suchej substancji sera roquefort wynosi około 48%.

²⁾ Spis ludności i zwierząt gospodarskich z d. 30. IX. 1921 r. Warszawa 1923 P. U. S.

³⁾ Tu należą: Biała, Żywiec, Myślenice, Limanowa, Nowy Sącz, Grybów, Gorlice i Jasło.

Liczba owiec wypasanych na halach spada przy tem z powodu przyczyn wspomnianych, większość stad, spędza swój żywot około domostw, na miedzach i lichych łąkach Podhala. Należałoby przeto poprowadzić hodowlę w racjonalnym kierunku, jak również pomyśleć o zużytkowaniu mleka i stworzenia przemysłu serowarskiego na modłę europejską, na dużą skalę, a przyszłość będzie on miał zapewnioną.

Rzeszów, w październiku 1923.

Janusz Królikowski.

LITERATURA. Wawrzeńcki M.: Serek owczy z Zakopanego. (Wisła t. VII. str. 439). — Jaworski Zygmunt: Ueber Viehzucht u. Milchwirtschaft in d. poln. Tatra. (Oest. MÖlkereizeitung, 1897, nr. 3 i 4). Na tej pracy opiera się odnośny ustęp artykułu prof. Kleckiego w warszawskiej „Encyklopedji Rolniczej“ o serowarstwie (t. I. IX. str. 809 i n.). Tenże: — Pasternictwo w Tatrach polskich („Lud“, — t. VIII. str. 36 i n.). — Stefanko A.: O wyrobie serów owczych w Tatrach (Gazeta Mleczarska, 1913, Nr. 79). — Moczulska L.: Studium mikrobiologiczne nad oszczypkami zakopiańskimi. (Roczn. Nauk Roln. Kraków 1912). — X. Sutor: Życie pasterskie w Tatrach. (Pam. Tow. Tatr. 1877, t. II). — Hołubińska Z.: Kilka słów o szałaznietwie w Tatrach. (Przegl. geogr. 1920/21). — Ponadtoznane dzieła S. Goszczyńskiego (Dziennik, str. 138 i n.), St. Witkiewicza (Na przełęczy), Matlakowskiego (Zdobienie i sprzęt...). Także: W. Eljasz: Szkice z podróży w Tatry (1874). — W. Anczyz: Zakopane i lud podhalański (Tyg. Illustr. 1874). — A. Chybiński: w I roczniku „Wierchów“, str. 98 i n., ii.

Z podziemi tatrzańskich.

I. Badanie grot w Tatrach polskich w r. 1923.

Nawiązując do artykułu mego w I. roczniku „Wierchów“ — podaję tu tegoroczne rezultaty poszukiwań i badań jaskiń w Tatrach Polskich.

Prace speleologiczne prowadzimy systematycznie pod egidą Sekcji przyrodniczej P. T. T. przy współdziałaniu szczupłego grona jej członków, własnymi środkami, prócz dalszej obserwacji grot już poznanych — jak pomiary temperatury w Grocie Lodowej i Grocie Poszukiwaczy Skarbów, gdzie pozostawiono termometry maksymalne i minimalne — udało się nam znaleźć kilka grot nieznanych, których opis tu podaję.

Żywimy też nadzieję, że prace „Koła Grotołazów“ — jak się żartobliwie nazwaliśmy — rokrocznie wzbogacać będą znajomość podziemnego świata naszych gór.

1. „Zbójecka Dziura“ w dolinie Chochołowskiej. Przebywając wczesną wiosną w czasie fatalnej niepogody w schronisku w Starej Robocie — zasłyszałem od górala z Chochołowa o grocie leżącej jakoby w pobliżu a służącej pono niegdyś zbójnikom za kryjówkę. Miejsce to znane było tylko kilku nieżyjącym już dziś podobno bacom. Istotnie z dołu nie widać żadnych dziur w skrzesanych pionowo turniach nad nad Zawiesistą. Najważniejsza z nich, zwana zdawna Olejarnią, da się obejść od góry. — Posuwając się jedną z podciętych u dołu półek nad przepaścią — dotarłem do zakrytego zewsząd otworu groty, która ma prześliczną strukturę i dzieli się na kilka korytarzy; największy z nich, okólny, doprowadza po pewnym czasie z powrotem do komory wstępnej. — Szczegółne pomiary zmuszeni byliśmy odłożyć na później. — Od wylotu Zbójeckiej Dziury otwiera się prześliczny, rozległy widok na dolinę Chochołowską.

2. Grota „Piwnica Miętusia“ w dolinie Miętusiej. Już w roku 1922 wspominał nam stary baca na Hali pod Przysłopem o „dziurach w Wyżniej Miętusiej dolinie, których górale nie zwiedzali zresztą nigdy — a młodsza generacja juhasów nie znała nawet wcale. W czerwcu wybraliśmy się więc z bratem na poszukiwania. Po długim wspinaniu się i przewijaniu wśród ukrytych w lesie turni lewego (orogr) zbocza doliny, znaleźliśmy kilka niewielkich dziur i rozpadlin bez znaczenia (jedna z nich liczy ok. 15 m. długość i zawiera nieco kości zwierząt kopalnych) — aż wreszcie poza kotłem Małej Świstówki natrafiliśmy na okrągły, obrosły mchem i krzakami otwór groty. Leży on u stóp zbocza, zwanego przez górali „Dziurawe“. Zbocze to powymywane jest od góry do dołu przez wodę w nader osobliwe żłoby. Formy te, typowe dla erozji krasowej, a zwane w literaturze geologicznej „karrami“ występują tu nader pięknie. — Otwór groty rozszerza się ku głębi w obszerny korytarz, wreszcie w wysoką i piękną komorę, zniżającą się za zakrętem w lewo. Wchodzimy do rozległej sali, liczącej 13 m. długość, 8 m. szerokość i ok. 6 m. wysokości. Sala ta przypomina budową i wyglądem groty Magury, wznosząc się stopniowo — zwęża się ku głębi i kończy się zasypałym gładzi korytarzem, w jednym z rogów sali, pod strumym kominem — znajdujemy starą „ostrewkę“ ślad pobytu poszukiwaczy skarbów.

W następnej wyprawie wraz z prof. Steckim pomierzyliśmy groty szczególnie i nazwaliśmy „Piwnicą Miętusią“.

3. Studnia w Dziurawem leży znacznie wyżej, prawie pod skałami „żarów“ — również wśród wzmiankowanych wyżej żłobów wapien-

nych, pokrywających całe zbocze Dziurawego. Jest to owalny otwór jak-gdyby studni o ścianach gładkich i zupełnie prostopadłych. Głębokość jej — licząc do płatu śniegu, zalegającego dno — wynosi 25 m. Co dalej, nie zdołaliśmy stwierdzić z powodu tegoż śniegu. Wspomniany baca w Przysłopu opowiadał nam poprzednio, że na dnie tej studni le-żeć mają ciupagi i kapelusze, pogubione przed laty przez juhasów, a na-wet zabite owce.

Podobne studnie, przypominające spotykane we Francji t. zwane „aven'y“ — znajdują się w kilku innych miejscach w okolicach Czerwo-nych Wierchów.



Wnętrze „Piwnicy Miętusiej“. (Fot. S. Zwoliński).

4. Dziury w zboczach „Organów“ i dotarcie do końca groty Zimnej. — W czerwcu wybraliśmy się z bratem i p. Malickim na przeszukiwanie lesistych zboczy i turni Organów w dol. Kościeliskiej—poniżej Okien Zbójnickich. Struktura ich jest niesłychanie fantastyczna, wszędzie mnóstwo rozpadlin i grot pomniejszych, niekiedy kilkunastome-trowej długości, które zasługiwały na uwagę, lecz wobec trudnego do-stępu i obfitości innych grot w pobliżu — znaczenia turystycznego nie mają, mimo niezwykle pięknego położenia. Niektóre z nich opisał już prof. J. Gw. Pawlikowski w artykule „Podziemne Kościeliska“. Schodząc

tem zboczem w kierunku groty Zimnej, napotykaemy w przepaścistym żlebku na ślad jak gdyby kładki z belek, przerzuconej obok gładkiej ścianki skalnej dla umożliwienia zejścia, roboty bardzo dawnej.

Zwiedzając przy sposobności grootę Zimną, zdołaliśmy odkopać zasypaną w dolnej części piargiem szczelinę, kończącą znaną dotychczas i opisaną część groty. Z odgłosu rzucanych w nią kamieni — wnoszono, że

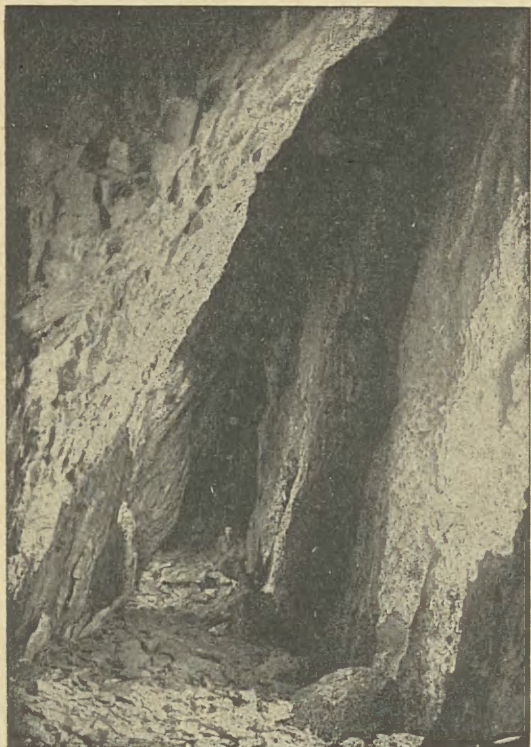
za nią znajdować się miały dalsze komory. Weisnąwszy się tam z trudem, znajdujemy poza szczeliną obszerny korytarz 28 m dług., kończący się wreszcie naprawdę już niedostępnymi szczelinami; silny przeciąg, wiejący z nich, każe przypuszczać, że wychodzą one ku powierzchni w następnym za Zimną grocią żlebku.

5. Zwiedzeniu jaskini wodnej pod Pisaną poświęcam poniżej osobny rozdział.

6. Nowe groty w turniach Gładkiego Jaworzyńskiego nad doliną Kasprową.

Liczne kominy, wiodące ku górze w sklepieniu Groty Kasprowej, największej zeznanych dotąd grot w Tatrach Polskich (której pomiar rozpozczeliśmy w marcu 1923 r.) —

nasunęły nam przypuszczenie, że powyżej znajdować się mogą nieznanne, rozległe systemy jaskiń. Sądziliśmy, że uda się znaleźć do nich jakiś dostęp od zewnątrz. W tym też celu przeszukaliśmy wraz z bratem — w maju 23 r. — wapienne, urwiste turnie Gładkiego Jaworzyńskiego od groty Kasprowej aż po przełęcz w połowie jego grzbietu. Natrafiliśmy na wiele pomniejszych grot i zwiedziliśmy nawet niektóre trudno dostępne, czerniejące w skałach dziury, zdające się otwierać dostęp do górnych



Grota Zimna. (Fot. S. Zwoliński).

partyj Kasprowych Grot. (Jedna z nich, położona nad 16-to metrową ścianką, tworzy piękną komorę 15 m dług.)

Wreszcie w niewidocznym od dołu miejscu, dostępnym jedynie po wąskiej, przzerwanej płytą półce, znajdujemy ciasny otwór, wzniesiony około 20 m nad piargi u podnóża skał i wiodący do obszernej komory. Wprost wejścia wznosi się ku głębi niezbyt stromy komin o pięknej strukturze, doprowadzający do małej, zewsząd zamkniętej niszy. Miejsce to zawiera w minijaturze wszystkie najpiękniejsze utwory wapienne świata

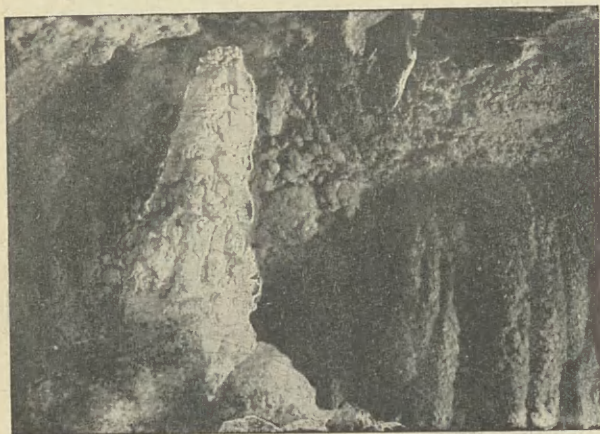


Transport drabin linowych do Wyżniej groty Kasprowej. (Fot. T. Zwoliński).

podziemnego; ściany pokryte wykwitami i fantastycznymi różnobarwnymi naciekami, a pośrodku sterczy okazały stalagmit wysokości 1 m, ozdobiony gronkowatymi naroślami. Jest to — jak dotąd — największy ze stalagmitów znanych w Tatrach Polskich.

Zachęceni tak obiecującym wstępem, wracamy do komory u wejścia i wpełzamy w niski, choć dosyć szeroki otwór korytarza, wiodącego w głąb. Czołganie przykre i uciążliwe, gdyż zaledwie po usunięciu niektórych głazów — zmieścić się można między dnem a sklepie-

niem, — tak zasypany jest piargiem ten obszerny niegdyś korytarz. Po 35 m opada on zlekka w dół i rozszerza się, pozwalając na swobodniejsze ruchy. Stromość staje się niebezpieczną dla dalszej wędrówki, zaś w głębi czernieje otwór jakiejś czeluści. Rzucamy w nią kamienie—lecą długo, nie odbijając się o ściany i rozgłosnem echem uderzają po pewnym czasie w dno... Więc pod nami, w znacznej głębokości, są jakieś rozległe groty? Roimy już o możliwości dotarcia tędy do labiryntu grot Kasprowych — byłyby to największy problem badań jaskiniowych w Tatrach Polskich.



Stalagmit w Wyżniej grocie Kasprowej. (Fot. T. Zwoliński).

potrzebne, zaś Inż. K. Stryjeński, dyrektor Szkoły zawodowej przem. drzewn. w Zakopanem — dostarczył szczebli jesionowych do sporządzenia 60-cio metrowej drabiny, którą potem wykonaliśmy własnymi siłami.

Wyprawa nasza, złożona z 6 osób — (bracia Zwolińscy, pp. Malicy i dwaj towarzysze pp. Szczepański i Olbrychtowicz, gdyż uczestnik wielu naszych wypraw prof. Stecki niestety wyjechał)—wyruszyła 1 listopada, zaopatrzona w 2 drabiny linowe po 30 m dług., oraz ogromną ilość lin, ubrań specjalnych „jaskiniowych“, przyborów, latarni i t. p. Niemalą kłopot sprawiło wyniesienie ciężkich stosunkowo drabin na stromą górę; wszystkie przybory wciągaliśmy potem linami do otworu groty, wreszcie z ogromnym trudem udało się przeciągnąć zwoje drabin przez ciasny korytarz nad otwór podziemnej czeluści. Drabiny związane

Lecz zejście w tę olbrzymią studnię podziemną bez użycia drabin sznurowych — niemożliwe. Wracamy zatem.

Problem ten zajmował nas przez całe lato; jednak dopiero w październiku udało się dzięki staraniom prof. Steckiego a przy pewnym zasiłku materialnym ze strony Oddz. Zakopiańskiego P. T. T. oraz Muzeum Tatr. im. Dra Chałubińskiego, zakupić liny

w jedną umocowywaliśmy do „ostrewki“ zapartej w szczelinę sklepienia i spuszczailiśmy w komin, licząc 50 m głębokości.

Pierwszy schodzący, asekurowany na linie, opuszcza się z latarnią u pasa, przechodząc szczebel po szczeblu, tracąc wkrótce z oczu światła pozostałych na górze towarzyszy. Drabina wisi luźno w przestrzeni, nie dotykając przeważnie prostopadłych ścian czeluści (szerokiej w niższych partiach na 4 do 8 m). Wreszcie, po 27 m — licząc od góry — rozszerza się ona w olbrzymią salę. Światło nie sięga jej dna; jeszcze 23 m zejścia po wolno wiszącej drabinie i nareszcie dno osiągnięte! Znajdujemy się w sali rozmiarów około 10×16 m, wysokości 23 m i zasłanej olbrzymimi głazami, oderwanymi od sklepienia. Widać jakgdyby początki korytarzy, rozcho-dzących się ku głębi, lecz niestety zawalonych kompletnie.

A więc droga zamknięta! dostęp do grot Kasprowych od góry tędy niemożliwy; nadzieje nasze zawiodły tym razem!

W jednym zakątku sali, nieleżącym u podnóża komina, znajdujemy kości i czaszki kilku gryzoniów niezbyt dawnej daty; kości te nie pochodzą napewno z epoki lodowej. Jaką więc drogą te zwierzęta tu dotarły? Utwierdza nas to w przekonaniu, że korytarze do grot dalszych istnieć musiały.

Czas jednak wracać, więc pospiesznie wspinamy się po drabinie, wciągając ją za sobą. Była to prawdziwie syzyfowa praca: ostatni z nas dźwigać bowiem musiał cały kłęb zwijanej drabiny, zahaczającej co chwila o występy skalne i opadającej z powrotem. Po wielu próbach i wysiłkach



drabina i liny wciągnięte, spoczywają w górnej grocie, gdzie z powodu przemęczenia i późnej pory pozostawiliśmy je tymczasem.

Wypelzamy do wylotu. Na dworze wita nas ciemna lecz bezwietrzna i ciepła noc. Przy blasku świec i latarni spuszczamy plecaki i przybory ze ściany skalnej, wreszcie przechodzimy kolejno niełatwą i za dnia nawet półkę ponad nią. Idący na przędzie przykleja na wystęпах skalnych płonące świece, wytykając nimi kierunek „wspinaczki“... Osobliwie i fantastycznie wyglądała ta iluminacja — „zaduszki“ grotołazów w noc z 1 na 2 listopada...

Raz jeszcze wybrał się brat mój do opisanej groty, którą nazwa-
liśmy grota „Wyżnią Kasprową“, przed samem spadnięciem śniegów, celem
zniesienia pozostałych drabin i przyborów.

Wyżej wśród tychże turni znaleźliśmy inną jeszcze, nader ciekawej
budowy grota, lecz nadchodząca zima zniewoliła nas do odłożenia badań
na rok następny.

Zakopane, grudzień 1923.

Tadeusz Zwoliński.

II. Jaskinia Wodna pod Pisaną w dolinie Kościeliskiej.

Odrębność krajobrazu tatrzańskiego, jego niedawna jeszcze odleg-
łość od ośrodków kulturalnych, wreszcie siła wrażeń, jakie wyciskają
góry na duszy człowieka, stworzyły naokoło tego rąbka ziemi świat
tajemny, świat legend i baśni.

Nie przeszkadza światło dzienne płasom dziwożonek po cichych
ostępach leśnych, nagłym wypadom wilkołaków, samotnym wędrownikom
„Mnicha“. A cóż dopiero — świat podziemny, bogactwo rozpadlin, cze-
luści i jaskiń? Ten świat, przejmujący grozą, wiejącą z podziemnych
ciemności, pogrążony w przeraźliwej ciszy, przerywanej jedynie mono-
tonnym szeptem spadających kropel wody, szeptem przez ciszę właśnie
spotęgowanym do huku gromów, świat, którego progi przekraczał tylko
śmiełek — otóż ten świat musiał zaognić i podniecać ciekawość, a tem-
samem bujną fantazję ludu góralskiego.

Fantazja ta wybuchała najwyższym płomieniem w czasach zbójnictwa,
owego „heroicznego okresu“ góralszczyzny, w grotach bowiem mieścić

się miały — jak głoszą podania — nieprzebrane składy skarbów nazbitych po ciepłej, bogatej węgierskiej stronie Tatr, a zaklętych na wieki w podziemnych kryjówkach.

Najczęściej opiewaną w podaniach ludu jest jaskinia pod Pisaną, w dol. Kościeliskiej, położona przy głównym szlaku, wiodącym niegdyś kupców na Węgry. U wylotu tej doliny wypada z hukiem podziemny potok. Cała zresztą dolina Kościeliska otoczona wspaniałymi turniami, wąwozami i lasami oraz jej liczne grotty i kryjówki — była areną wielu faktycznych i legendarnych wydarzeń. Echa jakichś walk z Tatarami i za Jana Kazimierza, echa wspomnień o wysokich gniazdach zbójnickich — tam znalazły umiejscowienie. W istocie też — znajdujemy dzisiaj w najniebezpieczniejszych zakątkach doliny — całe ściany skalne zapisane tajemniczymi znakami, imionami zbójników i t. p. (np. w wąwozie nad Bramą Kraszewskiego, przy Pisanej, w Krakowie, przy grocie „Poszukiwaczy“ — o czem w I roczniku „Wierchów“). Ryli je ci, których życie i działalność w górach doszły do nas jedynie w postaci legendy — i ci, którzy w trop za nimi szli, szukając skarbów schowanych i „zaklętych“.

Prastare baśnie i podania wiodą nas w stronę jaskini wodnej pod Pisaną. Rozumowano poprostu, że grota ta, leżąca na terenie bezpośrednich działań zbójników i to grota zalana wodą — na co innego służyć nie mogła, jak „na schowanie“. Fantazja ludu widziała więc tam olbrzymie sale, jeziora, ruchome kamienie i „zaśnione wojska“ rycerzy króla Bolesława. W myśl tych znanych legend wykuł Bełtowski na turni Pisanej zadumaną, marsową głowę husarza, w myśl zaś innych legend uwieczniono naiwnym rysunkiem postać zbójnika, czy raczej poszukiwacza, na ścianie niedaleko grotty.

Tajemnicza ta jaskinia ściągała ku sobie od niepamiętnych czasów zarówno górali, wierzących w istnienie skarbów zaklętych, jak i poszukiwaczy skarbów z dalekich niekiedy stron, których nie zniechęcały trudne warunki dostania się do zalanych wodą korytarzy. Byli tam i górnicy, ślady bowiem ich pracy znaleźliśmy sami.

Z pomiędzy turystów, którzy w innych już celach zwiedzili pieczarę pod Pisaną i spostrzeżenia swoje pozostawili na piśmie, pierwszym był Seweryn Goszczyński w dniach 22 i 23 sierpnia 1832 roku, drugim Jan Gwalbert Pawlikowski w r. 1879¹⁾. Trzeciej wreszcie podobnej wyprawy

¹⁾ Seweryn Goszczyński: „Dziennik podróży do Tatr i Pieniu“ (ostatnio w zbiorowym wydaniu pism S. G. dokonaniem przez Z. Wasilewskiego; Lwów, H. Altenberg 1909). — Jan Gw. Pawlikowski: „Podziemne Kościeliska“ (Pam. Tow. Tatr. t. XI. 1887).

dokonali Jan Kasprowicz wraz z prof. Estreicherem w r. 1902; o tej wyprawie jednak wiemy tylko z krótkiej wzmianki w Pamiętniku Tow. Tatrz., tom XXIII.

Zagadka Pisanej wyprawami temi nie została jednak rozwiązana i nie przestała ęcić do dalszych prób. Weszła tedy Pisana także w program naszych wypraw speleologicznych na rok 1923.



Wejście do pieczar pod Pisaną. (Fot. S. Zwoliński).

Rankiem dnia 26 września wyruszyliśmy dwoma powozikami do doliny Kościeliskiej. Ekspedycja nasza, złożona z 7 osób (T. i St. Zwolińscy, T. Malicki, J. Kotarbiński, prof. K. Stecki wraz z towarzyszymi p. p. Szczepańskim i Olbrychtowiczem), przedstawiała ciekawy widok. Mnóstwo przyborów i ubrań wypełniało plecaki i toboły ponad normę w taternictwie praktykowaną. Na mostku przed wypływem z pod Pisanej rozbiliśmy obóz, w którym została „warta“ dla „uwarzenia herby“ i pilnowania rzeczy, — poezem rozpoczęło się ubieranie uczestników wyprawy, zapuszczających się w głąb. Każdy z nas ubrany był w dwie pary amerykańskich gumowanych ubrań, obwiązanych szczelnie nad kostkami i napiętkiem dla ochrony przed lodowatą zimną wodą, — na nogach wysokie buty gumowe, co nadawało nam wygląd zbliżony do

nurków, ku niemałej uciesze gawiedzi, zebranej na drodze. Nadto zwykły jaskiniowy ekwipunek, jak latarnie acetylenowe z zapasem karbitu, świece, aparaty fotograficzne, magnezja, przybory miernicze, zapas prowiantu itp. Przed wejściem do groty usunęliśmy większe „żabice“, stanowiące tamę, przez co zniżyliśmy nieco poziom wody u wejścia. Wchodzimy wreszcie pod sklepienie wylotu, brodząc w bystrym potoku po kolana. Już w tym przedśionku trzeba się nieco pochylić. Prąd wody dość silny. Dalej napotykamy próg podwodny, poza którym przebrnąć trzeba głęboką, bo prawie po pas sięgającą wyrwę. Korytarz wodny zakręca tu w lewo i po 12 metrach od wylotu rozszerza się w niską, lecz dość obszerną komorę, z której rozchodzą się trzy korytarze. Komorę tą, na pamiątkę bytności w niej Seweryna Goszczyńskiego przed blisko 100 laty, nazwaliśmy jego imieniem. Idąc za nurtem wody, zataczając łuk w lewo, zapuszczamy się w dalszy korytarz wodny (w którym był również Goszczyński). Liczy on 14 metrów długości i rozwidla się dalej na dwie wąskie szczeliny, z których wypływa woda. Charakterystycznym jest dno tego korytarza, w którym przez kryształową wodę, widać na długiej przestrzeni wązką i głęboką szczelinę (czekan zanurza się wraz z ramieniem). Głuchy szum wody, ściśniętej tu w ciasną gardziel korytarza i migocącej w świetle latarni pod szarpanem sklepieniem, sprawia potężne wrażenie i przenosi nas w jakiś widmowy świat, który widzimy tylko w snach.

Dalej biegiem wody iść niepodobna. Wracamy tedy do „komory Goszczyńskiego“, z której po prawej ręce mamy dwa rozgałęzienia. Są to korytarze suche — i po raz pierwszy od wejścia w głąb groty możemy wynurzyć się tu z lodowatych nurtów potoku. Korytarz prawy (idąc w głąb) jest ciasny i zamulony, — lewy zakręca silnie w lewo i biegnie prawie równoległe do opisanego korytarza wodnego. Dno jego zasłane jest piaskiem, zmieszany ze złocistymi blaszkami łyszczyku; może nawińni poszukiwacze skarbów, zbierając go — sądzeni że jest to szczere złoto i że droga do wymarzonych kopalni już pewna. Korytarz ten nazwaliśmy „Złotym“. Dno jego suche pochyla się łagodnie znów ku wodzie (od Komory Goszczyńskiego 25 m). Brnąc zrazu dość płytko, wyczuwamy pod stopami uginające się deski i dyle, rodzaj podwodnego rusztowania. Sondując tu wodę czekanem stwierdziliśmy, że głębokość jej pod deskami musi być znaczna, gdyż czekan wraz z ramieniem zanurzał się nie sięgając dna. Po kilku metrach brodzenia spotykamy zmurszałe zupełnie stępowania z grubych belek. Służyły one nie tyle do podparcia sklepienia, w tem miejscu dość wysokiego, lecz dla ochrony od piargu i żwiru,

zmieszanego z namulem i sypiącego się z szerokiej rysy w stropie. Na stęplach leży szeroka deska, która szczelinę tę zatyka, chroniąc korytarz przed zasypaniem. Czyje to roboty? Zapewne poszukiwaczy skarbów, którzy jednak posiadać musieli fachowe wiadomości górnicze.

Posuwając się dalej tym korytarzem i brodząc po pas w wodzie — napotykały niespodziewaną zaporę; otwór zaklinowany dwoma czółnami. Jedno z nich leży na dnie, zmurszałe i zatopione — na niem drugie, jakby przyniesione prądem wody, dnem do góry. Z trudem przešli-



Podziemny potok pod Pisaną; „komora Goszczyńskiego“. (Fot. S. Zwoliński).

zgujemy się między sklepieniem a dnem czółna i zagłębiamy się w wodę w dalszej części korytarza. Sięga ona już wyżej pasa, a nurt główny podziemnego potoku wcieka obok czółen popod skałę i przedziera się do szczelin, kończących najpierw przeszukiwany korytarz wodny. Wspólnym wysiłkiem stoczyliśmy górne czółno na wodę. Jest to koryto z desek (dług. 2·80, szer. 80 cm) zupełnie jeszcze nowe, łączone śrubami; wewnątrz dwie wąskie ławeczki. Łódź była wniesiona częściowo i poskładana na miejscu. Więc i w dzisiejszych czasach żyją poszukiwacze? Rozpytując później dowiedzieliśmy się, że robił ją niejaki Grajcarek,

który w towarzystwie górali próbował pod Pisaną szczęścia przed dwoma laty.

Zbadanie dalszej części korytarza wodnego odkładamy do następnej wyprawy. Wracając do suchego „korytarza Złotego“, znajdujemy w połowie jego długości niski lecz obszerny otwór, prowadzący w prawo do rozległego labiryntu suchych, dotychczas nieznanych korytarzy. Trzymając się kierunku osi głównej, wchodzimy w niski korytarz o prześlicznej strukturze skrzelowej. Posuwamy się na kolanach dalej, mijamy przedziwne filary i „noże“ wymyte przez wodę, — charakterystyczne dla budowy jaskiń pod Pisaną; w wielu miejscach czernieją po bokach otwory, łączące się okrężnymi korytarzami z osią główną. Kreślenie planu przebytych korytarzy i ich pomiar przyczynia wiele pracy i kłopotu, opóźniając i tak dosyć uciążliwe czołganie się przez naogół niskie i ciasne korytarze. Po kilkugodzinnym pobycie w grocie, spóźniona pora oraz brak karbidu w latarniach zmuszają nas do odwrotu.

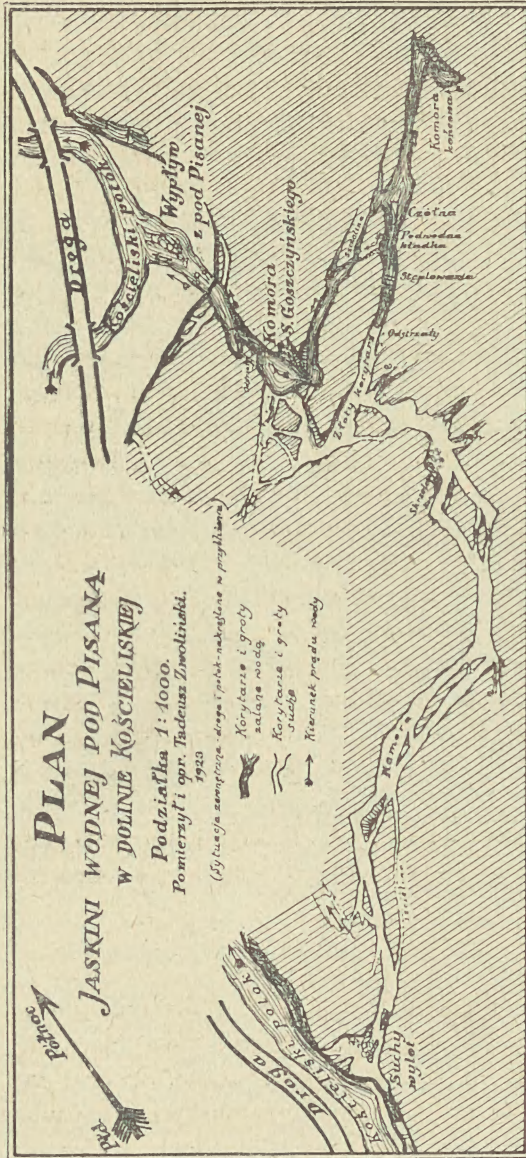
Pierwsza ta wyprawa przyniosła potwierdzenie wielu znanych już szczegółów oraz odkrycie nowych suchych korytarzy i stwierdzenie licznych śladów dawnych robót, jak w kilku miejscach znalezione odstrzały prochem skał, dla rozszerzenia przejścia, czółna itp. Wyprawa trwała 15 godzin, z tego w grocie 7 godzin.

Na polu ciemna i zimna noc. Przy blasku ogniska „grotołazy“ wybierają się w suchą odzież i bieliznę, przy akompaniamencie kłapania zębów; bo jakkolwiek ubrania gumowe nie przepuściły wody, — dostała się ona przecież przez cholewy butów. Podczas osobliwej tej tualety i zbierania rozrzuconych po obozowisku rzeczy, nie brakło komicznych epizodów i sytuacji.

Następną wyprawę w dniu 30. września poświęciliśmy głównie badaniu suchych korytarzy, którymi posuwaliśmy się ostatnio. O kilkanaście kroków od miejsca, skąd zawróciliśmy poprzednio, napotykamy rodzaj komory, w której po raz pierwszy wyprostować się można (rozmiary 10×2 m, odległość od wypływu z pod Pisanej 93 m). Ku końcowi przechodzi ona w dalsze korytarze; pełzamy znowu. Wtem — na ścianach spostrzegamy lekką błękitną poświatę! „Salve sol“ wykrzykuje idący na przedzie. Ostatnim ciasnym przełazem wydobywamy się z trudem do obszerniejszej wnęki. Jak się okazuje, jest to drugie, suche wejście do jaskiń pod Pisaną, którem niespodzianie wydostaliśmy się na światło dzienne tuż nad brzegiem Kościeliskiego potoku, powyżej wypływu z pod Pisanej — po przebyciu ok. 135 m krętymi podziemnymi przechodami. Wylotem tym, leżącym prawie na poziomie potoku, wpływa czasami przy nieco wyż-

szym jego stanie woda, jak to w trzeciej wyprawie stwierdziliśmy, a zalewając suche korytarze, łączy się w „komorze Goszczyńskiego”, z podziemnym potokiem, wypływającym stale z pod Pisanej. Potok ten jest w rzeczywistości odpływem wód z wąwozu „Krakowa“, a nie odnogą boczną Kościeliskiego potoku, jak to poprzednio mniemano. Drugi wylot jaskiń, tu opisany, znany był skądinąd prof. Pawlikowskiemu, który w swych poszukiwaniach dotarł doń również, jednak nie wypływem z Pod Pisanej, lecz ciasnemi, suchymi norami, otwierającemi się w jego pobliżu.

Po wypoczynku wracamy do „Komory Goszczyńskiego“ i korytarza wodnego, w którym leżą czółna. Próby użycia tychże okazały się bezskuteczne; brnąć tedy niemal po szyję we wodzie płynącej dość bystro w ciasnej gardzieli podziemnej, docieramy do końca prostego korytarza wodnego (liczącego ok. 37 m długości), który zakręca w prawo i przechodzi w zamkniętą komorę (długość 5 m). Z dna jej szczeliną bije woda. Więc niema legendarnego jeziora? Niema suchych sal ze stawami? niema przejścia do wąwozu „Krakowa“?



Poznawszy w ten sposób jaskinie oraz uzupełniwszy ich plan i po-

miar, wracamy ciemną nocą wśród mgły do domu. Coraz bardziej zagadkowe wydają się wobec tych rezultatów — ślady poszukiwań i prac górniczych, dokonanych z tak wielkim nakładem wewnątrz groty. Jakże silną musiała być wiara poszukiwaczy i górników w istnienie legendarnych skarbów! Że nie wygasła ona do dziś dnia wśród górali, dowodzi niezwykle zainteresowanie, jakie wzbudziły wśród nich opowiadania naszych furmanów o wyprawach pod Pisaną. Gdy po raz drugi byliśmy wewnątrz jaskini, pozostawiając przed jej wylotem część towarzyszy przy obozowisku — kilku górali czekało długo i cierpliwie w pobliżu, obserwując cały przebieg wyprawy bacznie, lecz z daleka.

A jednak legendy, opowieści i „spiski“ o jeziorze podziemnym etc. i nas zsummerowały. Raz jeszcze (dn. 14. października) wybraliśmy się pod Pisanę!

Wchodzimy suchem wejściem, do którego dostaliśmy się dopiero po zbudowaniu prowizorycznego mostku, gdyż wody potoku Kościeliskiego, wezbranego od jesiennych słońc, sięgały do samego podnóża skał. Wypadło nam nawet odprowadzić wodę ze „suchego“ korytarza przez odwalenie zatoru z naniesionych u wylotu tramów i gałęzi. Korytarze nawilgłe, kałużę wody i błoto utrudniają czołganie się. Zabieramy się tym razem do przeszukania dwu bocznych korytarzy, mniej więcej równoległych do „korytarza czółen“, a stanowiących — jak sądziliśmy — rodzaj przejść okólnych w kierunku dalszego biegu podziemnego strumienia. Niestety — jeden zasypany gruzem, zamulony i zalany dalej wodą, niesłychanie ciasny, drugi zaś zawalony wielkimi blokami, zapewne po odstrzałach prochem, których ślady widać w pobliżu. Tędy więc dostęp do legendarnego jeziora podziemnego — o ile istnieje ono wogóle — niemożliwy.

Wracamy z niczem. Czy jednak pomierzony obecnie plan groty jest ostatecznym, czy nie uda się w jakiś sposób dotrzeć dalej — przewidzieć trudno.

Znane są powszechnie wzmiankowane już legendy i podania góralskie o jaskini pod Pisaną. Przytoczyć tu jednak warto dwa nieznanne i ciekawe opowiadania nieżyjących już starych baczów, zanotowane i łaskawie użyte przez art. malarza p. Janusza Kotarbińskiego z Zakopanego. Píše on co następuje:

„Baca z hali Pyszej, † Jamiół z Klikuszowej, był wręcz przeciwnego zdania z Sabałą zdania co do „Śpiących rycerzy“ i tak mi to tłumaczył:

— „Kaby tam wojáci bély zaśpione! Do dziury przecie na škapsku wjechać nieporada — zje ba jakos byś kóniska hań wiód, kie sam wlec sie musis na brzuku! — To wej béło tak, co hań pod Pisanom zbójnicy gazdowali. Kie fcieli, to se wantami zaparli wode, co sie widziało, nie puści do nuka, telo jej sie waliło z jamy. Kie nazbijali dutków po dziedzinak, to nasuli w kotliki i schowali w komorak pod Pisanom, zaś pote puścili Ornacki potok, to wej syékie te jamy i dziury zaleli wodom, coby im fto dutków nie ukrád. Haj!

Co sie nie robi, zwiedziál sie o tem bogactwie Jasiek Danielcyn i fciał im zabrać te kotliki z dutkami. — Juści sie i ci zbójnicy o tem zwiedzieli i kie wláz we wodnom jame—ozbili beculke z wódkom i zapálili wode — jaze ogień plynom po same Kiry.

Hłopisko sie osmendliło, palénki sie nie napiél, a na pysku dziobaty béł pote jak po ospie. Haj!

Cy já tam béł? — mówił Jamioł — ba jakoz! Som jest nory dłu-
zażne, okrutne komorska wykute — dziury seleni jakie. Jednom zalála woda co od Cérwonyk Wiérchów sła. Ftoz tom wode wpuściél? Zbój-
nicy. Ej Boze, kieby to cłek umiál wypuścić tom wode, toby sie spro-
ściél! Jedy tam majontku a majontku — zatopione.

Tak to wej béło, pánie. Kiek béł parobké — to hodziétek, suká-
łek — no i nie. Naślimé ino dyle uzdajane, w styrbném miejscu we wo-
dzie, i stare zgnite koryto na jeziorku — zatopione. Widno sie ospucyło
od starości.

To Wám ino powiem — kotlicków z uherskimi dukátami my nie
našli — Haj“!

Baca z hali Smreczyńskiej, † Jan Krzysiak Stercula z Cichego, kro-
tochwilnie sie odnosil do wieści o „Śpiących rycerzach“ :

„Kieby óni hań spali, toby ik ci bracia z Pragi ozbudzili“.

Baca ten należał do tych, którzy święcie wierzyli, że są tam skarby
zakłete w podziemiach i że o nich dobrze wiedzieli obaj „bracia z Pragi“.
Byli to według opowiadania Sterculi dwaj Czesi, którzy przy poszukiwa-
niach skarbów pod Pisaną przepadli niegdyś bez wieści. Miał on jakąś
starą „zapiskę“ czyli „spisek“, którą mi w przystępie zaufania pokazał —
nie pozwalając jednak odpisać i skopjować. Tekst był pisany gotykiem
po niemiecku z dodatkiem podanej mapki rysowanej dziwacznie, pełnej
symbolicznych jakichś znaków. Nie mogłem się dowiedzieć, od kogo ją

ma, przypuszczam jednak, że była mu przekazaną przez dziadka jego, po którym miał również spinkę z siedmiu gwiazdami, który to znak — jak się później przekonałem — był symbolem związku poszukiwaczy skarbów. Związek ten — czy raczej bractwo — istniał jeszcze w XIX wieku między góralami, pasterzami owiec. Stercula twierdził więc stanowczo, że tam „cosi zagrzebione — bez coż by telo burzyli pod Pisanom kieby nie nie béło“?

A gdym go dopytywał o szczegóły — obiecywał z tajemniczą miną: „Kie hań pódziemny oba, to uwidzicie, co hań drzewiej ludzie uzdajali“. Niestety, rok 1914 pokrzyżował projektowaną wyprawę.

Stercula opowiadał też, że jest podziemne jezioro i suche wejście do grot od strony Krakowa, ukryte gdzieś za smrekiem, i że można „w ocymieniu“ zalać podziemia Pisanej zapomocą pewnych sposobów.

Wspominałem mu o „złotej kacce“, pływającej pono w grocie Kasprowej... Twierdził, że i to podanie odnosi się do Pisanej.

„Kacka to, wiécie, znacy łódka — a to jajko złote, co znosi co roku — to wej bedzie kotliczek z dukátami“... Prawie dosłownie to samo utrzymywał baba z Miętusiej, Karol Miętus Straszak z Cichego.

Zakopane w grudniu 1923.

Tadeusz Malicki i Tadeusz Zwoliński.

W sprawie eksploatacji granitu na obszarze Tatr Polskich.

Sprawa eksploatacji granitu tatrzańskiego da się przyrównać do węża morskiego. Od szeregu lat myśl eksploatacji tej skały pojawia się sporadycznie, zaprzęta mniej lub więcej głośno opinię publiczną w Polsce, czyni „mął“ wśród rozmaitych sfer, aby znowu zacichnąć i schować się w mrok, czekając sposobniejszej do „eksplozji“ chwili. Lata przedwojenne — to okres szczególnie żywej walki o tę sprawę. Stroną atakującą byli rozmaici zwolennicy uprzemysłowienia Tatr, stroną broniącą się przedstawiali miłośnicy pierwotnej i dzikiej przyrody tatrzańskiej. Opinia publiczna

rozłamała się na dwa zacięcie zwalczające się obozy. W jednym i drugim znaleźli się ludzie inteligentni rozmaitego autoramentu. Część inżynierów np. była za eksploatacją granitu, ci grupowali się głównie we Lwowie około autora projektu kolejki na Świnicę, inż. Dzieślewskiego; część zaś przeciw eksploatacji skupiała się w krakowskim Towarzystwie Technicznym. Część geologów i mineralogów pracujących w Tatrach opowiadała się za eksploatacją; ci znaleźli swego głównego rzecznika w prof. Józefie Morozewiczu, który pogląd ich opracował syntetycznie. Przeważająca część jednak tak geologów, jak przyrodników tatrzańskich była przeciw eksploatacji, uzasadniając swe stanowisko w najrozmaitszy sposób. Wśród sfer turystycznych i miłośników Tatr i Podhala zaznaczył się również rozłam: część pokolenia starszego oświadczała się za eksploatacją z powodów głównie ekonomicznej natury, część starszych turystów i całe młodsze pokolenie taterników gwałtownie eksploatację zwalczało. Dyskusja wrzała zażarta, wypełniała hotele i pensjonaty zakopiańskie, rozbrzmiewała na licznych zebraniach i wiecach, przenosiła się do schronisk górskich i na szczyty tatrzańskie, a nadewszystko wypełniała łamy rozmaitych czasopism i wydawnictw periodycznych w postaci niezliczonych artykułów pro i contra. Wśród wrzawy bitewnej od czasu do czasu zagrzemiały działa cięższego kalibru w postaci większych broszur i prac, poświęconych z rozmaitego punktu widzenia sprawie eksploatacji granitu. Prawdziwa fachowość mieszała się w tych polemikach z nieuctwem, głębokie i poważne ujęcie problemu z powierzchownością, nieudolność pisarska i polemiczna z talentem literackim i polotem. Szereg praktyków i teoretyków, przyrodników i uczonych, artystów, estetyków i literatów zabrał głos (W. Dzieślewski, J. Morozewicz, W. Kuźniar, M. Limanowski, Z. Weyberg, H. Kunzek, T. Lulek, J. G. Pawlikowski i i.), problem jednak do zupełnego rozwiązania nie dojrzał.

Wielka wojna uciszyła spór o eksploatację granitu tatrzańskiego na lat kilka i przez pewien czas zdawało się, że zamarł ten spór zupełnie.

Aliści ledwie odetchnęliśmy nieco po wielu utrapieniach wojennych, ledwie odradzać się poczęły różne przedwojenne wartości życiowe i ideowe, — powstała i myśl eksploatacji granitu tatrzańskiego, jak Feniks z popiołów i zaczęła na nowo zaprzętać opinię publiczną i wrażliwe jej odbicie: prasę¹⁾. Że tak się stało, dowodzi to żywotności tej myśli oraz

¹⁾ Jest rzeczą symptomatyczną jak w tej współczesnej dyskusji grupuje się opinia. I tak część lwowskich techników opowiada się, podobnie, jak przed każdą, za eksploatacją (porównaj niektóre artykuły „Słowa Polskiego“ 1923-1924). Wszyscy niemal technicy krakowscy, tak samo, jak przed wojną, przeciw eksploatacji. W grudniu 1923 zapadła

opierania się jej na pewnych realnych podstawach i dlatego pragnę i ja zabrać głos w tej sprawie. Czuję się do tego upoważnionym, jako geolog, od lat pracujący w Tatrach i jako turysta i długoletni członek Wydziału i Prezydium Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, związany z turystyką polską serdecznymi i bliskimi węzłami, a wreszcie jako jeden z pracowników na tatrzańskiej i podhalańskiej niwie społecznej.

* * *

Wywód swój rozpoczynam od oświadczenia, że przekonany jestem o dobrej jakości technicznej granitu tatrzańskiego. Granit ten nie ustępuje co do żadnej niemal z właściwości skały użytkowej (wytrzymałość na ciśnienie, ścieralność, twardość, porowatość, oporność na czynniki atmosferyczne i t. d.) dobrym granitom zagranicznym. Wartość granitu tatrzańskiego pod tymi względami uzasadnił szczegółowo i źródłowo znakomity jego znawca prof. J. Morozewicz ¹⁾, jakkolwiek pamiętać przytem należy, że zachowanie się mas granitowych pod względem stanu zachowania, świeżości, ciosu i t. d. jest w rozmaitych punktach Tatr bardzo rozmaite, co znacznie osłabia jego walory przemysłowe, jak to słusznie podnosili geologowie i petrografowie tatrzańscy pp. W. Kuźniar ²⁾, M. Limanowski ³⁾ i Z. Weyberg ⁴⁾, i jak mi to wielokrotnie podkreślał w rozmowach doskonały badacz skał krystalicznych tatrzańskich śp. Władysław Pawlica.

Uwzględniając jednak i te ujemne właściwości granitu tatrzańskiego musimy stwierdzić, że jest to naogół rzecz biorąc skała dobra i przy troskliwym obiorze miejsca na kamieniołom, do eksploatacji niewątpliwie się nadająca, o ile chodzi o samą jakość techniczną materiału.

Wiadomo jednak dobrze, że sama jakość skały, jakkolwiek roztrygana ona podstawowy problem użyteczności technicznej, nie wystarcza. Obok bowiem takich właściwości, jak wytrzymałość na ciśnienie, ścieralność, twardość i t. d., których wartość pozytywną dla granitów tatrzańskich na

uchwała Krakowskiego Towarzystwa Technicznego przeciw eksploatacji granitu tatrzańskiego, (po gruntownej i wszechstronnej dyskusji). Polskie Towarzystwo przyrodników im. Kopernika oświadczyło się na plenarnych zebraniach tak w Krakowie, jak we Lwowie przeciw eksploatacji.

1) Granit tatrzański i problem jego użyteczności technicznej. Lwów 1914.

2) W sprawie kolejki na Świnicę. Kraków 1912.

3) W sprawie kolejki na Świnicę. Kraków, „Zas“ 1912.

4) Słów kilka w sprawie projektu p. Dzieślewskiego. Lwów, „Słowo Polskie“ 1913.

poszczególnych okazach z różnych punktów Tatr uzasadnił dostatecznie prof. J. Morozewicz¹⁾, potrzebne jest dla okolicy, mającej podlegać eksploatacji, wykonanie szeregu prób przeciętnych na szeroko traktowanym materiale, a nadto zbadanie go, o ile chodzi o materiał budowlany, pod względem zachowania się co do ciosu, możliwości otrzymania większych bloków i monolitów i t. d. Tego rodzaju szczegółowe i podstawowe badania techniczne nie były jeszcze w Tatrach przeprowadzone, a konieczność ich jest tu tem większa, że skomplikowana tektonika Tatr i silne na skutek tego strzaskanie wszystkich skał tatrzańskich (szczególnie wzdłuż brzegu zetknięcia się trzonu granitowego z serją osadową, gdzie właśnie jedynie możliwe jest założenie kamieniołomów), nakazuje pod tym względem wielką ostrożność.

Ale gdyby nawet i te badania zostały przeprowadzone i wypadły dla granitów tatrzańskich pomyślnie, nie rozwiązują to zagadnienia eksploatacji. Istnieje wszak na globie ziemskim mnóstwo przepysznych materiałów budowlanych i górniczych, które z rozmaitych powodów nie mogą być eksploatowane. I granit tatrzański podlega tym samym prawom.

W grę wchodzi tu przedewszystkiem sprawa obioru miejsca pod kamieniołom. Ponieważ zdaniem mojem sprawa ta rozstrzyga właściwie kwestję eksploatacji granitu tatrzańskiego w sensie ujemnym na długie, długie lata, a w dotychczasowej dyskusji była traktowaną, z wyjątkiem pracy prof. Morozewicza, głównie z punktu widzenia nierealnego już projektu kolejki na Świnicę, kwestją tą zająć się pragnę szczegółowiej.

Granit tatrzański na obszarze Tatr polskich występuje w południowych częściach wielkich dolin: Chochołowskiej, Starorobociańskiej, Kościeliskiej, Goryczkowej, Stawów Gąsienicowych, Pańszczycy, Pięciu Stawów Polskich i Rزتoki. Z obszaru tego odpadają dol. Chochołowska, Starorobociańska i Kościeliska, ponieważ granit występuje w nich naprzemian z łupkami krystalicznymi. Jak wykazują szczegółowe badania petrograficzne, w ostatnich latach wykonane przez prof. S. Kreutza oraz zdjęcia geologiczne (mapa geologiczna) przeprowadzone przez dr. B. Świderskiego, granit jest w tych okolicach tak ściśle zmieszany z łupkami krystalicznymi, do eksploatacji nieużytecznymi, że myśl o eksploatacji granitu jest tu zupełnie nierealna.

Granity dol. Goryczkowej, Stawów Gąsienicowych, Pańszczycy i Pię-

¹⁾ Dr. J. Tokarski, prof. mineralogii na politechnice lwowskiej, w roku ostatnim również słusznie podkreślił dobrą jakość techniczną granitu tatrzańskiego, oświadczając się jednak ostatecznie po dłuższych dyskusjach, z rozmaitych innych względów, przeciw eksploatacji.

ciu Stawów Polskich (a także i dol. Waksmundzkiej), nie wchodzi w grę przy eksploatacji już to z powodu zbyt wysokiego wzniesienia ich nad poziom morza (od 1600—1900 m), już to z powodu trudnej ich dostępności i braku komunikacji. Większość z tych argumentów, przemawiających przeciwko eksploatacji granitu powyższych części Tatr szczegółowo rozwinął w swej pracy prof. J. Morozewicz, słusznie również podkreślając co do dol. Waksmundzkiej, gdzie jedynie z pośród tych okolic granit występuje nieco niżej (od 1400 m w górę), że granitu w tej dolinie eksploatawać nie podobna z powodu odosobnienia i zbyt małej dostępności, jak z powodu, że „porastają ją gęste, wysokopiennie lasy z rzadkimi na północy Tatr znamionami dziewiczości, których nie należałoby ich pozbawiać przez budowanie dróg i zakładanie łomów“.

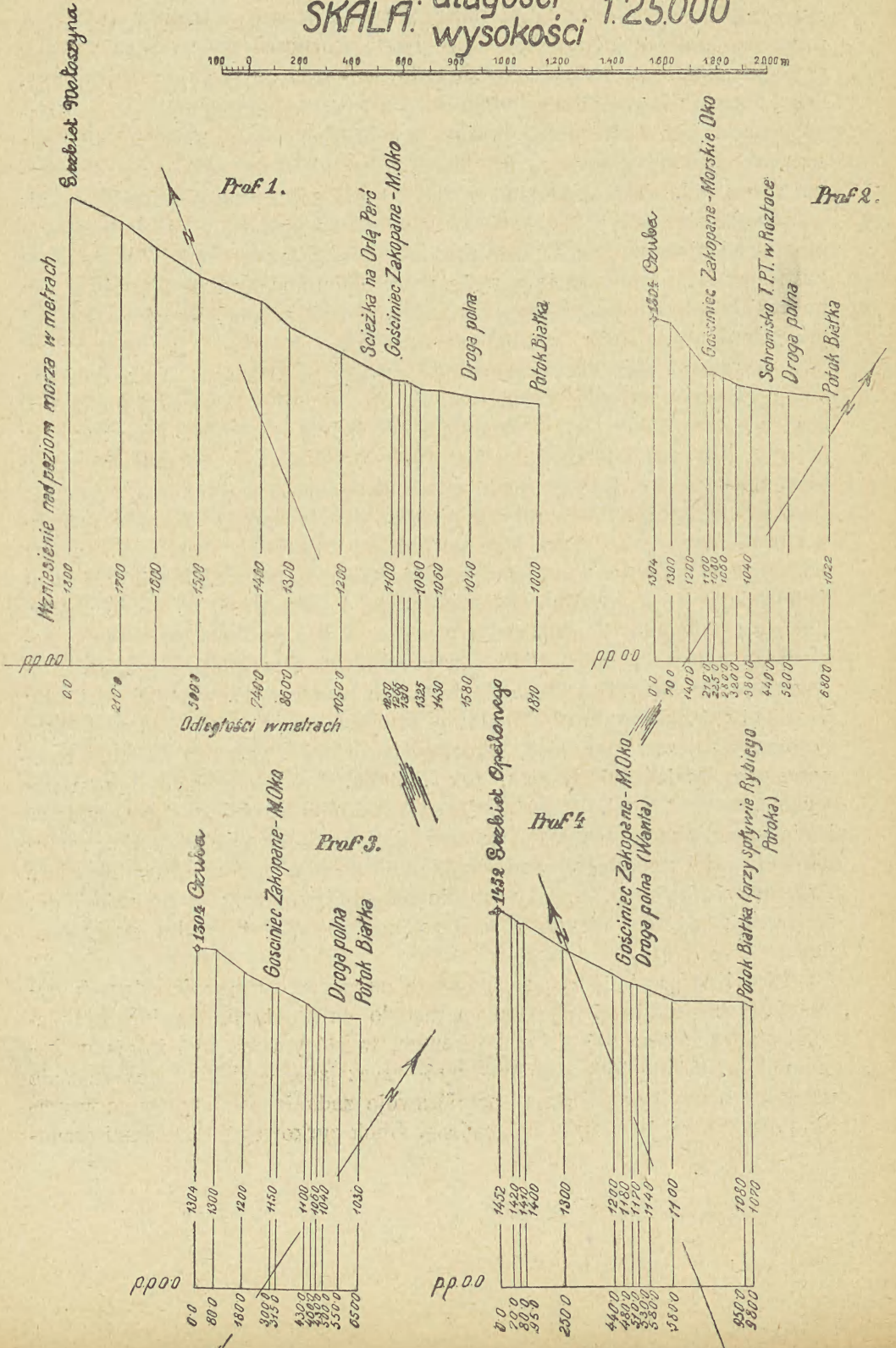
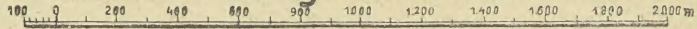
Pozostaje więc dla eksploatacji granitu na obszarze Tatr Polskich wyłącznie dolina Białki wzgl. Roztoki. Jak słusznie wywodzi prof. Morozewicz, są to doliny komunikacyjnie względnie dostępne, granit występuje w nich względnie nisko (od 1050—1200 m), w wielkich świeżych i jednolitych masach i położony jest do eksploatacji stosunkowo dogodnie. Jako punkty, możliwe teoretycznie do założenia kamieniołomów, wymienia prof. Morozewicz trzy, idąc od północy: 1) dolne zbocza Wołoszyna tuż powyżej gościńca Zakopane-Morskie Oko, przy początku ścieżki wiodącej od gościńca na Halę Waksmundzką i Orlą Perć, 2) dolne zbocza Uboczy Opalonego (Czuby) nieco powyżej mostu na Wodogrzmotach Mickiewicza i 3) lewy brzeg Białki przy schronisku w Roztoce im. W. Pola Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego. Do punktów tych dodać możnaby jako 4)-ty rozszerzenie dol. Białki w miejscu, gdzie wpływa do niej Rybi Potok przy t. zw. „Wancie“, jako przedstawiające podobne warunki terenowe i co do jakości granitu, jak Roztoka. Dolina Rybiego Potoku powyżej „Wanty“ i dol. Białki poniżej (na północ) od ścieżki na Orlą Perć i Waksmundzką nie wchodzi w grę: pierwsza z powodu trudności komunikacyjnych i zbyt wysokiego wzniesienia nad poziom morza (od minimalnie 1200 m w górę n. p. m. leży wąskie dno doliny), druga z powodu tego, że granitu już tam nie ma, a miejsce jego zajmują rozmaite skały osadowe.

Jeżeli więc skupimy naszą uwagę na trzech, względnie czterech wymienionych punktach, nadających się do eksploatacji, musimy przede wszystkim zastanowić się nad terenem, w którym ma być założony kamieniołom. Kamieniołom ten musi być—rzecz jasna—wielki i nowoczesnie urządzone, jeżeli wogóle ma spełnić swoje zadanie zaopatrywania w granit Polski, a także wogóle opłacać się. Obok cyrkowego, stopniami wzn-

Fig. 1

Profile poprzeczne doliny rz. Białki

SKALA: długości 1:25.000
wysokości



szącego się w górę kamieniołomu, powstać muszą potrzebne instalacje fabryczne dla siły popędowej, zakłady dla różnorodnej obróbki kamienia, składy i magazyny, dom dla zarządu, a nadto, w okolicy pozbawionej osad ludzkich, domki dla robotników. Dalej trzeba pomyśleć o obszernem miejscu na hałdy kamieniołomu, o ile nie ma się on udusić we własnym szutrze i gruzie w dalszym swym rozwoju, a wreszcie o wielkim terenie dla dworca kolejowego, torów i stacji załadowniczej dla wywozu kamienia.

Każdemu, kto, choć raz w życiu przeszedł nietylko samą drogą do Morskiego Oka, ale zboczył od niej na lewo, lub prawo, lub kto spojrzął na dolinę Białki i Roztoki z któregośkolwiek z okolicznych szczytów, jak Gęsia Szyja, Holica i t. d., wyda się, już na chłopski rozum rzecz biorąc, niemożliwym, aby w małej i ciasnej dolinie Białki czy Roztoki można umieścić wielkie instalacje kamieniołomowe.

Niemożliwość ta wychodzi atoli dopiero ściśle i jaskrawo na jaw, gdy wykona się szczegółowe profile terenowe w naturalnej podziałce przez doliny Białki i Roztoki w okolicy punktów, dla eksploatacji granitu możliwych.

Jak widać z powyższych profilów, wykonanych ściśle z mapy topograficznej 1 : 25.000 w podziałce długość i wysokość 1 : 25.000, w żadnym z nich nie da się pomyśleć założenie i instalacje współczesnego wielkiego kamieniołomu. W najdogodniejszym nawet pod względem terenowym punkcie 1), prowadzącym przez okolicę ścieżki na Orlą Perć (projekt 1), niema miejsca na taki cyrkowy kamieniołom, gdyż eksploatacja granitu mogłaby się rozpocząć tu dopiero powyżej gościńca na wysokości około 1.200 m (na tej wysokości pojawia się dopiero lita skała), a jak rysunek wskazuje, od tej wysokości zaczyna się tak szybkie wznoszenie się terenu w górę (na przestrzeni ok. 300 metrów o 200 metrów w górę), że niepodobna myśleć tu o kamieniołomie bez fantastycznych wręcz kosztów założenia i olbrzymich trudności ruchu i eksploatacji, a to... ze względu na zbyt strome nachylenie zbocza, dochodzące do 50%. Okoliczność ta uniemożliwia tu wręcz założenie kamieniołomu. Natomiast znalazłoby się tu przestrzeń wprawdzie bardzo ciasną, ale ostatecznie możliwą dla pomieszczenia instalacji kamieniołomowych, budynków fabrycznych i administracyjnych, hałd i stacji kolejowej, oraz kolonii robotniczej; przestrzeń ta rozciągnąwszy się dała wzdłuż dol. Białki na szerokości maksymalnej 750 m pomiędzy warstwicą 1200 m a Białką, jakkolwiek i tutaj byłyby do pokonania znaczne trudności terenowe (200 m różnicy wzniesień nierównomiernie, szczególnie pod szosą Zakopane-Morskie Oko, rozmieszczoną na przestrzeni 750 m).

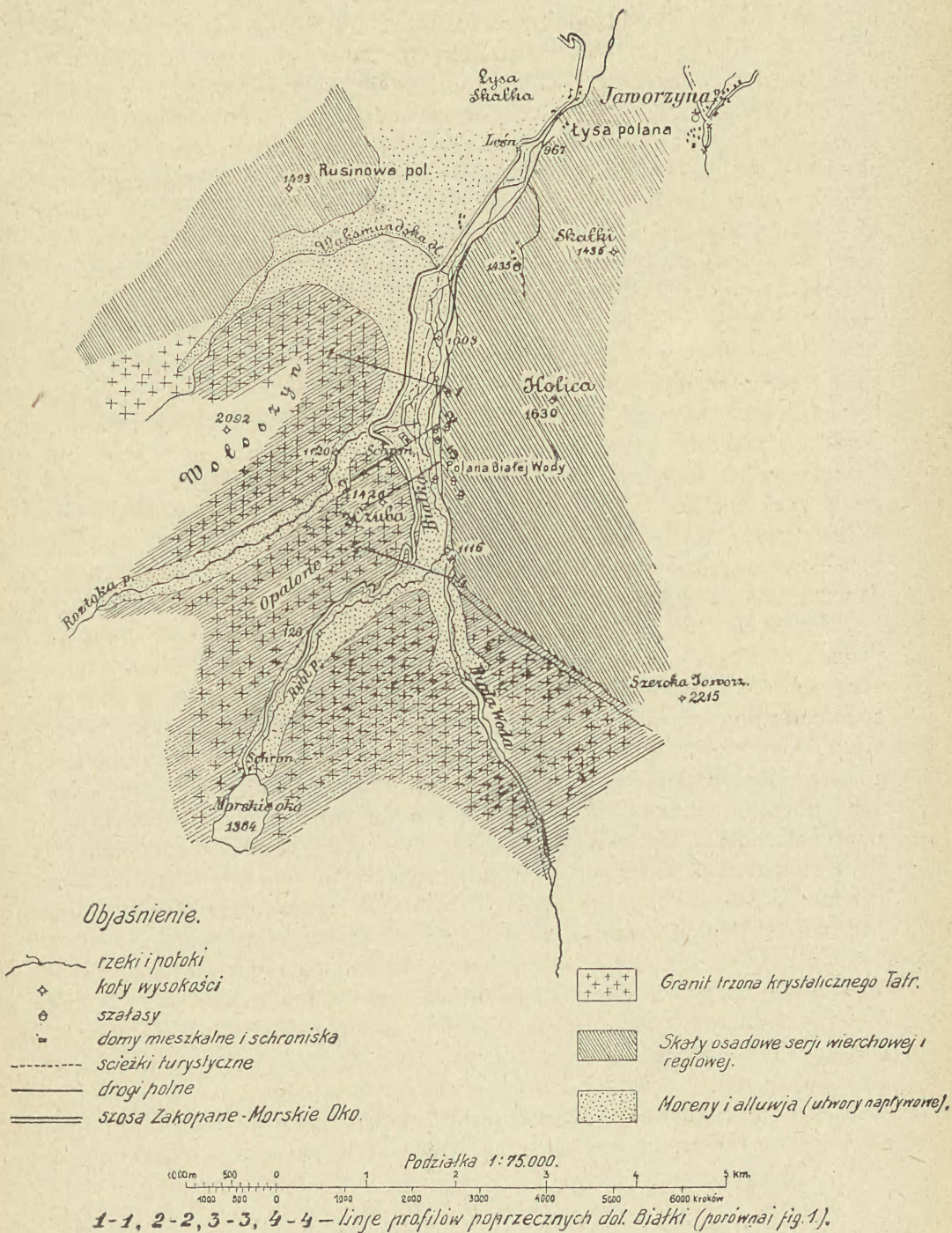
Dwa następne profile 2 i 3 odpowiadają przekrojom doliny Białki przez schronisko Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w Roztoce (projekt 2) i przez zbocza Czuby (projekt 3). Tu eksploatacja granitu mogłaby rozpocząć się niemal od poziomu Białki, a w każdym razie od wysokości około 1040—1050 m. Od warstwy tej wysokości zaczyna się jednak również bardzo silny skok terenu w górę, tak, że na przestrzeni ok. 400—500 m różnica wzniesień przenosi 260 m. Pod tym względem jest tu więc nieco lepiej, jak w okolicy Orlej Perci (przekroju 1), ale za to sytuacja znacznie się pogarsza pod względem ilości miejsca (powierzchni) w stosunku do przekroju 1).

W przekrojach Czuby i Roztoki brak bowiem zupełnie miejsca na jakiegokolwiek większe instalacje kamieniołomowe, a cóż dopiero na hałdy i stację załadowniczą (odległość między szosą Zakopane-Morskie Oko, od kąd w górę musiałyby iść właściwy kamieniołom, a Białką w przekroju 2) wynosi około 450 m, a w przekroju 3) zaledwie nieco ponad 300 m). Wreszcie przekrój przez Wantę (profil 4), przedstawia okaz podobny; i tutaj różnica wzniesień pomiędzy szosą Zakopane-Morskie Oko, od której w górę mogłaby się zacząć eksploatacja, a grzbietem Opalonego jest za gwałtowna dla kamieniołomu (na przestrzeni 500 m około 300 m), a miejsca na instalacje, hałdy i stację kolejową nie ma (odległość pomiędzy szosą a Białką ok. 450 m, przy różnicy wzniesień 100 m).

Podobny okaz przedstawiają wszystkie profile dol. Białki i Rybiego Potoku. Wszystkie te profile mają też tę wspólną, a fatalną dla racjonalnego założenia kamieniołomu cechę, że bardzo strome nachylenie zboczy, niejednokrotnie wprost przechodzące w pionowe ściany, idzie nieprzerwanie w górę aż do głównych grzbietów górskich. Nie ma więc nigdzie miejsca naturalnego na to, aby nad najgórniejszym piętrzem cyrkowego kamieniołomu uzyskać tak potrzebny dla racjonalnej odbudowy pas poziomy dla odróbki oczyszczającej teren pod dalszy rozwój kamieniołomu, dla pomocniczych instalacji wiertarek i t. d. Pas ten musiałyby być wykonywany w pionowych nieraz skałach, co spowodziłoby niezmierne koszty i trudności. Podobnie ciężko przedstawia się kwestja splantowania terenu pod instalacje w dolnych partjach pod kamieniołomem. Koszta byłyby tu niezmierne, a trudności techniczne olbrzymie, tak ze względu na silne i nierównomierne wzniesienie tego terenu, które jest wspólne dla wszystkich profilów, jak na twardy, oporny i ciężki materiał, z którego jest zbudowany brzeg zachodni Białki (granity i zwały morenowe).

Gdy więc rozważy się całokształt spraw związanych z profilami, staje się rzeczą jasną, że już sama sytuacja terenowa dol. Białki i Ry-

Fig. 2. Szkic mapy geologicznej dol. rz. Białki



biego Potoku, jeśli wręcz nie uniemożliwia eksploatacji granitu, to czyni ją iluzoryczną z powodu olbrzymich kosztów i trudności w odpowiednim założeniu, prowadzeniu ruchu i rozwijaniu na przyszłość wielkiego współczesnego kamieniołomu. Jest tu miejsce jedynie na kamieniołomy i instalacje małe, a takie, z góry trzeba powiedzieć, nie mają w tej okolicy racji bytu i możliwości egzystencji.

Powyższą sytuację pogarsza fakt niekorzystnego przebiegu granicy naszego państwa w dol. Białki. Wszak dolina tej rzeki jest naszą granicą państwową, a więc wszelkie poczynania w sprawie eksploatacji granitu są w niej skazane wyłącznie na egzystencję na lewym brzegu Białki, — o rozszerzeniu ich na prawy brzeg Białki nie może być mowy. Gdyby jednak nawet ostateczne załatwienie sprawy Jaworzyny, które decyduje o przebiegu w tym odcinku naszej granicy państwowej, przyniosło nam w posiadanie prawy brzeg Białki, to sytuacja kamieniołomów w którymkolwiek z czterech omawianych punktów ulechy mogła poprawie zaledwie w znikomej mierze i to tylko, o ile chodzi o pewien zysk na powierzchni. Jak bowiem poucza rzut oka na mapę geologiczną tatrzańską, trzon granitowy Tatr ulega właśnie na linii dol. Białki na skutek procesów górotwórczych gwałtownemu przesunięciu poprzecznemu, tak, że granitom tego trzonu, osiagającym na brzegu zachodnim Białki linię dol. Waksmundzkiej, odpowiadają po brzegu wschodnim Białki skały osadowe Czerwonej Skałki na południe od Jaworzyny. Granitów trzonu krystalicznego musimy więc na wschodnim brzegu Białki szukać dopiero w dol. Białej Wody o 4 km na południe od punktu, w którym wysuwają się one najdalej na północ na zachodnim brzegu Białki, a o 1—3 km na południe od punktów możliwej eksploatacji przy Orlej Perci, Czubie, Roztoce czy też Wancie¹⁾. Kamienia więc granitowego nie znajdziemy po drugim brzegu Białki w miejscach do eksploatacji dogodnych. Ale i zysk na miejscu byłby minimalny. Odpada on zupełnie w projekcie 1) kamieniołomu u początku Orlej Perci, gdzie naprzeciw na wschodnim brzegu Białki mamy strome zbocza Czerwonej Skałki i Holicy, zbudowane ze skał osadowych, a opadające wprost aż do Białki, minimalny byłby w pro-

¹⁾ Granitu masywu Szerokiej Jaworzyńskiej, schodzącego ponad Polanę Białej Wody na północ wprost naprzeciw początku Orlej Perci (projekt 1), nie można wogóle brać pod uwagę, gdyż granit ten wtłoczony w postaci silnie sprasowanych i wąskich pasów i gniazd pomiędzy serją osadową, ani pod względem ilości (tektoniczne wyciśnienia), ani pod względem położenia (nasunięty płaszczowinowo i wciśnięty w serji osadowej), do eksploatacji absolutnie się nie nadaje (na szkicu fig. II. nie jest on też zupełnie wydzielony pomiędzy serją osadową).

jeckie 4) Wanty (naprzeciw ujście Spismichałowej doliny), a jedynie w projekcie 3) Czuby i 2) Roztoki przyniósłby wydatniejszy zysk na terenie (naprzeciw Polana Białej Wody). Oczywiście we wszystkich tych wypadkach musiano by w razie chęci zyskania na tak cennym terenie zbudować kosztowne mosty żelazne przez Białkę, mogące wytrzymać gwałtowny napór wód i kapryśność łożyska tej górskiej rzeki.

Ale rzecz jasna, wszystkie te rozważania są czysto teoretycznej natury, skoro wschodni brzeg Białki jest w posiadaniu Czechosłowacji!

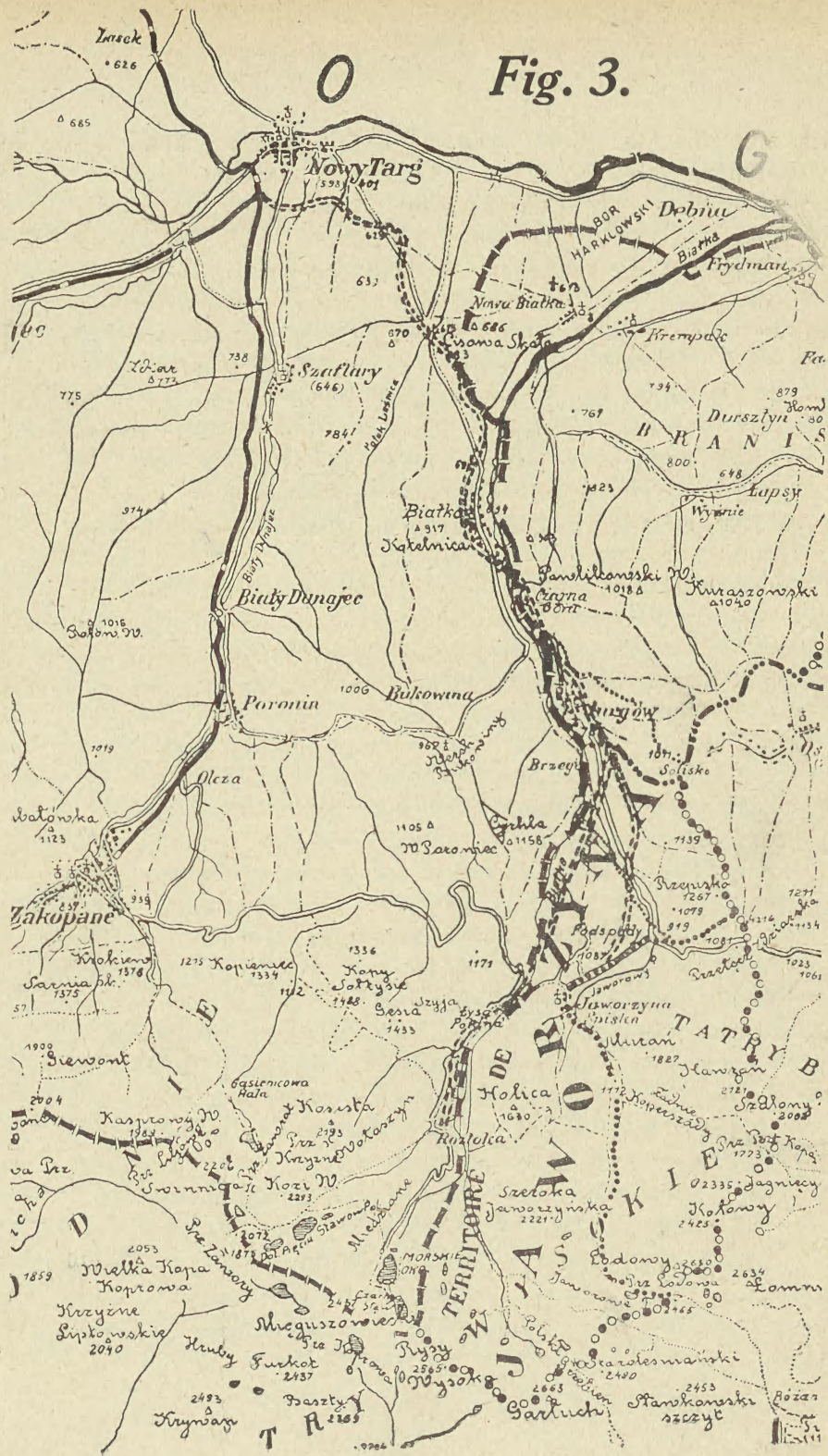
Trzeba jednak uświadomić naszym sferom przemysłowym i opinii publicznej prawdę, z której niezdaje sobie w Polsce wielu ludzi zupełnie sprawy, że jakiegokolwiek dyskusje na temat kamieniołomów w dol. Białki są mówieniem w całkowitą próżnię, jeżeli nie otrzymamy Jaworzyny i pod innym, zasadniczym względem, tj. połączenia kolejowego.

Wszyscy, którzykolwiek zajmowali się sprawą eksploatacji granitu tatrzańskiego, zgadzają się na to, że podstawowym warunkiem dla eksploatacji tego granitu jest, aby był on załadowanym wprost na miejscu eksploatacji do wagonów kolejowych normalnej kolei szerokotorowej. Jest to konieczne aby, gdy w przypadku Tatr nie da się uniknąć drogiego dla każdego masowego artykułu, jakim jest kamień, transportu kolejowego¹⁾, uniknąć przynajmniej zabójczego wprost dla kalkulacji cen przeładowania kamienia z wagonów jakiegokolwiek kolejki przemysłowej i to, jak musiałoby być w Tatrach, nadzwyczaj kosztownej kolejki górskiej, do wagonów kolei normalnej.

Pod tym też kątem widzenia, Wydział krajowy galicyjski, który żywo się zajmował sprawą eksploatacji granitu tatrzańskiego, wygotował tuż przed wojną światową, projekt kolei normalnotorowej Nowy Targ-Roztoka, jako jedynej linii kolejowej możliwej dla połączenia Roztoki, gdzie projektowane były kamieniołomy granitowe, z ziemiami Polski (połączenie Roztoka-Zakopane nie wchodzi w grę z powodu oddzielenia Roztoki od Zakopanego wysokim grzbieciem Gołego Wierchu i Hurkotnego). Przy opracowaniu tego projektu pokazało się jednak, że prowadzenie trasy kolei normalnotorowej po zachodnim, a więc ówczesnym galicyjskim brzegu Białki jest niemożliwe z powodu gwałtownego wzniesienia terenu na południe od wsi Brzegi (grzbiec Cyrhli nad Białką) i stromego urwistego zachodniego brzegu Białki w tej okolicy. Chcąc więc uniknąć budowy kolei zębatej, która przekreśliłaby całą zdrową myśl projektu lub też bu-

¹⁾ Jak wiadomo, właściwym najtańszym i najdogodniejszym transportem dla wielkich kamieni, jako bardzo pojemnych i ciężkich, jest transport wodny.

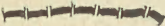
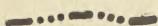


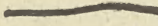
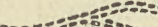
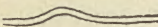

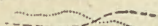
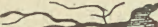



Fig. 3.



dowy dłuższego tunelu na południe od wsi Brzegi, który podrożyłby koszta budowy całej linii kolejowej w sposób ogromny, Wydział Krajowy zdecydował się, na trasę kolei, która w okolicy pomiędzy wsią spiską Jurgów a wsią Brzegi przechodzi mostem przez Białkę, przerzuca się z ówczesnego brzegu galicyjskiego Białki na ówczesny brzeg węgierski (p. fig. III. i objaśnienie ¹⁾) i idzie stąd na południe wschodnim brzegiem Białki, szeroką i wygodną, lekko nachyloną kotliną przez miejscowość Jaworzynę spiską aż do Roztoki, którą osiąga drugim mostem kolejowym, rzuconym przez Białkę, po przebyciu przez kolej ponad 10 km przez terytorjum węgierskie. Trasując w ten sposób projektowaną kolej do Roztoki, liczył się Wydział Krajowy z faktem, że Galicja i Węgry leżały w jednym państwie i że prowadzenie części kolei po terytorjum węgierskiem dałoby się uskuteczyć drogą specjalnych układów i umów pomiędzy Galicją a Węgrami.

Dzisiaj sytuacja zmieniła się zasadniczo. Białka stała się granicą dwóch różnych państw o interesach politycznych i ekonomicznych często-kroć sprzecznych; Jurgów wprawdzie przypadł częściowo do Polski decyzją Konferencji Ambasadorów z dnia 28 lipca 1920 r., ale całe teryto-

¹⁾ Objasnienia do Fig. 3.

-  Stara granica między Galicją a Węgrami.
-  Linja, graniczna według decyzji konferencji Ambasadorów z dnia 28. VII. 1920 r.
-  Linja graniczna proponowana przez Delegację Polską, przy Międzynarodowej Komisji Delimitacyjnej.
-  Linja graniczna zaproponowana przez Międzyn. Kom. Delimitacyjną z dn. 25 IX. 1922.
-  Linja kolejowa Nowy Targ-Zakopane.
-  Projekt linii kolejowej Nowy Targ-Jaworzyna spiska — Roztoka według trasy b. Galic. Wydziału krajowego.
-  Szosy.
-  Drogi.
-  Ścieżki.
-  Rzeki, potoki, jeziora.
-  1732 Koty topograficzne.
-  Δ 2354 Koty trygonometryczne.
-  1/4 Miejsowości.

rum południowego katastru Jurgowa i cały obraz Jaworzyny, a więc niemal cały teren, przez który miała iść projektowana kolej po wschodnim brzegu Białki, należy dzisiaj do Czechosłowacji. W razie więc, jeżeli nie nastąpi tutaj regulacja granic w duchu przyłączenia do Polski całego katastru Jurgowa, i przynajmniej samej miejscowości Jaworzyny z terenem pomiędzy Jurgowem a Jaworzyną, a nadto przynajmniej północnej części dol. Białej Wody aż do Polany Białej Wody, upada cały projekt trasy kolejowej Nowy Targ-Roztoka, a z nim jedyna możliwość połączenia kolejną normalnotorową kamieniołomów granitowych w okolicy Roztoki z Polską.

Kto tego naczelnego faktu w sprawie komunikacji Roztoki z ziemiami polskimi nie uprzytamnia sobie należycie, jest ślepym, mówiącym o kolorach! Ludzi takich policzyć należy do rzędu tych „romantyków uprzedmysłowienia Tatr“, którzy swego czasu chcieli wozić kolejką zębatą z pod Świnicy mleko, ser i siano z Hali Gąsienicowej, a dzisiaj dowodzą, że granit z okolicy Roztoki wozić będzie można wozami i szosą od Morskiego Oka do Zakopanego lub transportować go kolejką linową z kamieniołomów w Roztoce, do góry przez grzbiet Hurkotnego i Cyhrli na przestrzeni wielu kilometrów do stacji kolejowej Brzegi!

Ale na niepokonalnych trudnościach terenowych i komunikacyjnych nie kończą się przeszkody w eksploatacji granitów dol. Białki.

W szeregu nieubłaganych wrogów tej eksploatacji staje klimat tatrzański. Dolinę Białki, podobnie jak wszystkie doliny północne Tatr ponad 1100—1200 m wzniesienia nad poziom morza, zalega śnieg zwartą grubą warstwą przynajmniej 6 miesięcy. Dla eksploatacji nieprzerwanej mogą tu wchodzić w grę tylko maj, czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień i październik, przyczem należy się liczyć z faktem, że dla eksploatacji odpadną części maja i października z powodu zapóźnionych lub wczesnych opadów śnieżnych, a nadto z reguły kilka razy w ciągu lata (szczególniej w maju, wrześniu i październiku) odpadają krótsze okresy czasu, w których zdarzają się opady świeżego śniegu. Można więc przyjąć dla eksploatacji rocznej z powodu samych śniegów tylko 5 miesięcy, jako regułę, a od tego odliczyć wypadnie jeszcze dłuższe okresy czasu, w których uporcezywe i silne deszcze tej bogatej w opady atmosferyczne górskiej okolicy lub niesłychanie gwałtowne wiatry zahamują i utrudnią eksploatację. Okres więc eksploatacyjny kamieniołomów w dol. Białki musi być względnie bardzo krótki, co oznacza niezmierny wzrost kosztów produkcji i ogromne trudności w utrzymaniu koniecznego personelu fachowego (inżynierowie, technicy, personal administracyjny, majstrowie,

robotnicy specjaliści), których utrzymywać i opłacać wypadaloby cały rok, gdy dla większości tego personalu przez pół roku nie ma pracy i zajęcia!

Dalej stwierdzić należy, że wszystkie projekty kamieniołomów w dol. Białki obejmują tereny typowo lawiniaste. Do jakiego stopnia grozi tu niebezpieczeństwo lawin, świadczy o tem fakt, że mimo gęstego lasu, pokrywającego ongiś stoki Wołoszyna nad Wodogrzmotami Mickiewicza spadły tu w ostatnich latach olbrzymie lawiny, które zniszczyły las na wielkiej przestrzeni, zamieniły w pustynię okolicę Wodogrzmotów, połamały i zniszczyły żelazne barjery mostu na Wodogrzmotach i nadwerężyły szosę, oraz zagroziły domom koło Wodogrzmotów. Cóż dopiero działoby się z chwilą, gdy rozpoczęta na wielką skalę rozbudowa kamieniołomów wciąłaby się w strome zbocza Wołoszyna, Czuby czy Opalonego i ogłociła je z lasów na wielkiej przestrzeni! Okolica ta stałaby się terenem nieustannych katastrof lawinowych, które zmusiłoby przedsiębiorstwo eksploatujące do przeprowadzenia wielkich i na wysokich zboczach pod grzbietami bardzo kosztownych budowli ochronnych i zabezpieczających przed lawinami urządzenia kamieniołomowe. Jest to dalsza niezmiernie droga inwestycja jednorazowa i nieustanny wydatek na nadzór i utrzymywanie budowli ochronnych.

Do trudności, które spiętrzyła sama natura, dołączają się trudności natury ekonomicznej, wynikające z ogólnych prawideł gospodarczych, w których znajduje się ta część Podhala. Na pierwszy plan wysuwa się tu sprawa robocizny.

Dolina Białki jest niezamieszkałą, gdyż nie możemy nazwać zamieszkaniem kilku schronisk górskich, leśniczówek i domów na Łysej Polanie. Dopiero o 12—20 km na północ od projektowanych dla kamieniołomów miejsc, znajdują się pierwsze miejscowości góralskie jak Brzegi, Ciche, Białka, Jurgów i t. d. Są to małe wioski o ludności, przywykłej do pracy na skąpej roli, wypasu bydła i pracy w lesie, ale nieznającej i wręcz niechętniej jakiegokolwiek pracy innej, a szczególnie tak ciężkiej i obcej psychice górala, jak kamieniarska. Z pośród tej ludności mogą kamieniołomy w dol. Białki uzyskać tylko niewielu niefachowych robotników, którym do tego ze względu na drożyznę, — na Skalnem Podhalu zawsze bardzo wielką, — płacić trzeba będzie znacznie wyższe zarobki, niż na równinach. Nadto robotnicy ci nie będą mogli do roboty codziennie dochodzić, ze względu na zbyt wielką odległość i bezdroża, wiodące do ich osad i musi się dla nich wybudować kolonję robotniczą na miejscu eksploatacji.

Większość jednak tu robotników nawet zwyczajnych, a niemal wszystkich fachowych (cały powiat nowotarski i spisko-orawski liczy za-

ledwie kilku fachowych kamieniarzy) zmuszone będzie przedsiębiorstwo sprowadzić z innych stron Polski i to sprowadzać rokrocznie na przeciąg 6 miesięcy eksploatacji do zbudowanej dla nich kolonji, a potem ich oddać. Że w tych warunkach, gdy operowaćby się musiało ludźmi sezonowymi, sprowadzanymi do okolicy odległej od ich miejsc zamieszkania i zupełnie im obcej, pustej i niezaludnionej, do pracy ciężkiej w zimnym i surowym klimacie górskim, niepodobna sobie wyobrazić prowadzenia ruchu i całej pracy bez ciągłych najcięższych konfliktów z personelem przedsiębiorstwa — wie każdy, kto choć cośkolwiek zetknął się z życiem przemysłowym.

A dodajmy jeszcze okoliczności, że dla całej kolonji personalu przedsiębiorstwa wszystko trzeba będzie sprowadzić z daleka, począwszy od ubrań, a skończywszy na wszelkiej żywności, gdyż biedne Podhale niemal niczego samo nie produkuje, że znana jest drożyzna tych stron, wynikająca tak z surowego klimatu górskiego, jak z faktu istnienia pod Tatrami szeregu miejscowości klimatycznych, z Zakopanem na czele, ogalających okolicę z wszelkiej żywności. Jestem pewny, że przedsiębiorstwo kamieniołomowe w dol. Białki znalazłoby się w krótkim czasie w tej sytuacji, że nie mogłoby zakupić w okolicy nawet kropli mleka dla swego personalu i musiałyby nawet nabiół sprowadzać z dalszych okolic. I gdy mi któryś z „romantyków eksploatacji“ powie, że przecież ta okolica, pełna wspaniałych łąk i hal, na których wypasają się tysięczne stada wszelakiego bydła, będzie eldoradem mlecznym i nabiółem dla eksploatującego granity Białki personalu, to zaproponuję mu zacerpnięcie fachowej ekspertyzy nabiółowej u dzierżawców schronisk Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego w dol. Białki nad Morskim Okiem. Dzierżawcy ci w lot mu wyjaśnią, że w całej okolicy na wszystkich tych łąkach i halach nie mogą oni, płacąc fantastyczne wręcz ceny, otrzymać nawet kilkudziesięciu litrów mleka dziennie dla turystów i gości w pełnym sezonie letnim.

Gdyby i to owego „romantyka“ nie przekonało, zalecam mu zwrócenie się do do jednego z uprzejmych baców hal okolicznych, celem zakupna rodzimego sera owczego, którego homeopatyczna ilość i cena, wyższa od najdroższego importowanego sera zagranicznego, wyleczy na pewno największego nawet zapaleńca ze wszelkich „nabiółowych“ tatrzańskich złudzeń.

Nie od rzeczy też będzie, o ile chodzi o personal kamieniołomów, przypomnieć, że kamieniołomy te leżeć mają tuż przy granicy państwa w okolicy górskiej, jakby stworzonej do przemyślnictwa, a nadto wśród

lasów, kryjących bogatą zwierzynę, pokusę do kłusownictwa, i nad rzeką górską, sławną z bogactwa pstrągów i lipieni, pokusą do kradzieży ryb. O nieszczęsny dyrektorze przyszłych przedsięwzięć nad Białką, który w krótkim czasie, zamiast myśleć o eksploatacji, zdolnej samej przez się przez rozmaite trudności, pobielić przedwcześnie twój włos, zamienisz się w kamieniołomach tatrzańskich w maszynę, załatwiającą niezliczone afery przemytnicze, kłusownicze i rybołówcze podwładnego ci personalu!

* * *

W dotychczasowych swoich wywodach stałem na stanowisku czysto fachowo-eksploatacyjnym i starałem się dać ogólną ekspertyzę co do widoków eksploatacji z różnych punktów widzenia. Rzecz jasna, każda z kwestji które poruszałem w ogólnych zarysach, ma także szczegółowe uzasadnienie cyfrowe, statystyczne i t. d., nie możliwe do rozwinięcia w ramach tego artykułu; w razie potrzeby mogę materiałami tymi służyć każdemu, kto sprawą eksploatacji granitu tatrzańskiego szczególnie się interesuje.

Uważam jednak, że nad jedną z ważnych kwestji, dotyczących eksploatacji nie ma potrzeby rozwodzić się nawet w tych ogólnych ramach, to jest nad tą, jaką jest kalkulacja rentowności kamieniołomów białczańskich¹⁾. Rentowność ta wogóle jest iluzją, która nie wytrzymuje naporu nawet części argumentów, przedstawionych w dotychczasowych wywodach, nie ma więc powodu do stawiania jej dzisiaj nawet jako zagadnienia do dyskusji.

Możnaby więc uważać kwestję eksploatacji granitów tatrzańskich za rozwiązaną w sensie ujemnym i zakończyć te wywody.

Ale zagadnienie jeszcze się nie kończy. Po rozważeniu go w sensie czystej racjonalności eksploatacji, należy je rozpatrzeć z punktu widzenia stosunku jego do wielkiego zagadnienia społecznego i gospodarczego, jakim jest turystyka polska na obszarze Tatr.

Każdy, kto zastanowił się nieco głębiej nad rolą, którą Tatry odgrywają w naszym życiu, przyzna, że główną podstawą tego znaczenia jest turystyka. Turystyka ta w Tatrach była zawsze żywą, ale w ostat-

¹⁾ Również nie ma powodu rozwodzić się nad kwestją siły wodnej, potrzebnej dla popędu kamieniołomów. Ta siła wodna dałaby się wprawdzie znaleźć w Białce (o ile strona czechosłowacka się na to zgodzi, która jest właścicielem połowy Białki) albo w Rybim Potoku, lub Wodogrzmotach, co jednak jest równoznaczne z zagładą tych turystycznych osobliwości.

nich latach po powstaniu państwa polskiego urosła do rozmiarów olbrzymich.

Ze wszystkich stron Polski, z centrum i najdalszych jej rubieży, z Poznańskiego, Pomorza, Wileńszczyzny, Polesia i Wołynia ciągną w Tatry niezliczone rzesze turystów starszego i młodszego pokolenia, zaludniają w miesiącach letnich i zimowych polskie letniska i miejscowości klimatyczne u stóp Tatr, i zapełniają nasze szczupłe góry tysiącami rzeszami, od których nadmiaru zaczynają Tatry cierpieć.

Ten rozwój turystyki tatrzańskiej stał się potężnym zjawiskiem ekonomicznym o wielkim znaczeniu nie tylko lokalnym podhalańskim, ale i ogólnopolskim.

Znaczenie lokalne polega na tem, że biedne, zimne, nieurodzajne i skaliste Podhale, którego ludność gnębiła i skazywała na tłumną emigrację skrajna nędza, od szeregu lat nie tylko nędzy tej nie cierpi, ale w niektórych przynajmniej okolicach, gdzie ruch turystyczny jest silny, osiąga znaczny dobrobyt. Z okolic tych letnisk i miejscowości klimatycznych spływa ten dobrobyt na całe Podhale: dostawa nabiału i produktów miejscowych, zarobki przewoźne i transportowe, wynajem mieszkań na lato i zimę i t. d. dla turystów, wycieczkowiczów i letników stały się dźwignią rozwoju ekonomicznego całego Podhala. Gdyby dziś strumień turystyczny cofnąć z Podhala i skierować go w inne strony Polski, lub zagranicę, stałoby się to dla Podhala zupełną katastrofą.

Również znaczenie ekonomiczne ogólnopolskie turystyki tatrzańskiej jest oczywiste. Tatry, jako jedyne góry w Polsce o charakterze wysokogórskim, alpejskim, i to góry rzeczywiście przepiękne i wspaniałe, wytrzymujące w swym odrębnym typie porównanie z najpiękniejszymi górami świata, przyciągają ku sobie coraz liczniejsze rzesze ludzkie i co za tem idzie, wstrzymują ogromną i corocznie wzrastającą liczbę obywateli naszego państwa od wyjazdu w góry innych krajów i państw. Niedługa jest też chwila, kiedy za tem pójdzie proces odwrotny: przyciąganie do Tatr polskich obcokrajowców, którzy dotąd w niewielkiej liczbie do nas przyjeżdżają, ze wszystkimi korzystnymi następstwami tego zjawiska.

Czegóż zaś szukają w Tatrach i u ich podnóża te rzesze turystów, letników i kuracjuszy?

Szukają ich przepysznych lasów i ożywczego powietrza górskiego, ich hal pachnących i łąk kwiatnych, wspaniałości i grozy wnętrza Tatr, piękna lazurowych jezior i stawów, białych wodospadów i zielonych potoków, majestatycznego widoku niebotycznych, poszarpanych łańcuchów górskich, dzikości i pierwotności przyrody tatrzańskiej.

Nie po to idzie w góry przemysłowiec czy robotnik, szukający w nich wytchnienia po znoej pracy „na dołach“, aby w nich znaleźć ten sam komin fabryczny, który dymem swoim zasłania mu niebo, i te same instalacje i budynki użytkowe, wśród których spędza całe swe życie, nie po to inteligent miejski, wyczerpany młynem i kieratem pracy miejskiej, aby w górach zastać miast ciszy i ukojenia, łaskot i gwar fabrycznego życia, nie po to chory, a łaknący świeżego górskiego powietrza, aby miast niego wdechać miazmaty dymów i kurzu przedsiębiorstw przemysłowych.

Z tego wszystkiego wynika prosty nakaz dla wszystkich, którym nie na metę krótką, ale z głęboką troską o przyszłość, pragną zabezpieczyć Podhalu i Polsce wielkie korzyści turystycznego ruchu, aby Tatry zachować jako to, przez co one są naprawdę wartościowe, a więc jako wysokie, dzikie góry. Z drogi wytyczonej jasno tą zasadą, możnaby zboczyć jedynie w wypadku, gdyby pewne zakłady i instalacje przemysłowe dały się pomieścić na obszarze Tatr bez zasadniczej szkody dla ich alpejskiego charakteru, lub też, gdyby stworzenie tych zakładów było podyktowane nieuchronną koniecznością ekonomiczną, wobec której interesy turystyki schodzą na drugi plan. Otóż postaram się udowodnić, że na obie te alternatywy w wypadku eksploatacji granitów na obszarze Tatr Polskich istnieje odpowiedź jedynie ujemna.

A więc, ile chodzi o pogodzenie założenia i istnienia kamieniołomów w dol. rzeki Białki z interesami turystyki, to pogodzenie to jest wykluczone.

Przedewszystkiem, jak to wynika z przekrojów fig. 1), każdy kamieniołom w dol. Białki musiałby spowodować przecięcie szosy Zakopane-Morskie Oko przez instalacje kamieniołomowe. Szosę tę, jedyną w swym rodzaju arterję turystyczną w Polsce, musianoby albo przełożyć powyżej kamieniołomu, co jest nie do pomyślenia ze względu na koszty i trudności komunikacyjne i terenowe, albo też musiałaby ona biegnąć przez środek wielkiego kamieniołomu. W razie tej drugiej, prawdopodobniejszej, bo tańszej i łatwiejszej ewentualności, turysta i wycieczkowiec, jadący lub idący do Morskiego Oka, musiałby przebywać na znacznej przestrzeni niedaleko od Morskiego Oka partję, zabudowaną szpetnymi¹⁾ budynkami fabrycznymi, zadymioną wyziewami kominów i pyłem kamieniołomowym, zaludnioną przez tłum robotników kamieniołomowych i t. d.

¹⁾ Trudno wymagać od przedsiębiorstwa, aby stawiało budynki w stylu zakopiańskim lub przystosowanym do krajobrazu górskiego.

Jakby to wszystko podcięło cały urok i znaczenie drogi do Morskiego Oka, nie potrzeba tłumaczyć. Dalej projekt 1) w razie realizacji pociągnięćby musiał za sobą zniszczenie na znacznej przestrzeni oraz przełożenie nadszycząj kosztowne i trudne dwóch pierwszorzędných szlaków turystycznych, jakimi są szlak z Roztoki przez Waksmundzką, i Orla Peré.

Projekt 2) w razie wykonania równałby się zupełnemu zniszczeniu najwspanialszego wodospadu Tatr Polskich t. j. Wodogrzmotów Mickiewicza i całkowitej ruinie schroniska Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego im. W. Pola w Roztoce, tego głównego i jedyne go punktu oparcia dla turystów, udających się w najpiękniejszą z dolin tatrzańskich, Białą Wodę (schronisko to musiałoby być przeniesione w inne miejsce).

Projekt 3) zniszczyłby również całą najbliższą okolicę schroniska P. T. T. w Roztoce oraz szereg ścieżek turystycznych.

Projekt 4) zniszczyłby najbliższe otoczenie Morskiego Oka. Czy pisać jeszcze dalej? Czy to nie wystarczy? Ale komu to jeszcze nie wystarczy, niech uprzytomni sobie, co znaczy kamieniołom w sercu gór, jakim jest Roztoka. Każdy współczesny kamieniołom odbudowuje się dzisiaj zapomocą mechanicznych wiertarek i wysadzania skały. Ilość dzienna wysadzeń rozmaitymi środkami wybuchowymi w twardej i odpornej skale, jaką jest granit i ilość wiertarek elektrycznych, czy też pędzonych zgęszczonem powietrzem w wielkim kamieniołomie, jakim musi być kamieniołom tatrzański, musi być wielka. W praktyce równa się to całodziennemu, niemiłosiernemu łomotaniu kilku, czy kilkunastu wiertarek i kilkakrotnemu na dzień, ogłuszającemu hukowi wysadzeń dynamitowych. Że zaaplikowanie tego rodzaju hałasów w sercu Tatr, we wnętrzu ciasnej i wysokimi ścianami otoczonej doliny tatrzańskiej, w której słabe wołanie rozlega się tysiakkrotnem echem¹⁾, musiałoby za sobą pociągnąć masową ucieczkę wszystkich turystów i wycieczkowiczów oraz wszelakiej zwierzyny górskiej, gdzie pieprz rośnie, a przynajmniej na czechosłowacką stronę Tatr, to jest prawdą zgoła prymitywną!

Rzeczą jest też jasną, że przedsiębiorstwo, które założyłoby i eksploatowałoby tą metodą, a innej wszak nie ma, kamieniołomy białczańskie, spotkałoby się ze wszystkich wymienionych względów z najgwał-

¹⁾ Znanem jest zjawisko nader donośnego rozchodzenia się i powtarzania głosu w przezycstem i rzadkiem powietrzu górskim. Turyści, którzy przed wojną zwiedzali okolicę Morskiego Oka, pamiętają, jak doskonale słycać było n. p. ze szczytu odległych i wysokich Rysów słabe pykanie małego motorka, przyzyczonego do łodzi, kursującej wówczas po Morskiem Oku.

towniejszym oporem tak Polskiego Towarzystwa Tatrzańskiego, gospodarza turystycznego Tatr, konstruktora ścieżek i szlaków tatrzańskich i właściciela schronisk turystycznych w Roztoce i Morskiem Oku, zagrożonego wówczas wprost w swem istnieniu, jak właściciela wschodniego brzegu Białki, ks. Hohenlohego, który w przeciwniejszej Jaworzynie i okalających dolinach tatrzańskich urządził ogromnym kosztem i dorobkiem wieloletniej wyteżonej pracy wspaniałą, jedyną w Europie, park myśliwski alpejskiej zwierzyny.

Nie ma więc możliwości pogodzenia istnienia kamieniołomów w dol. Białki z życiem turystycznym w najważniejszej części Tatr Polskich. Jedno albo drugie musi ustąpić.

Ale nie istnieje też konieczność ekonomiczna, ogólno-polska, która zmuszałaby nas do zakładania kamieniołomów granitu w Tatrach Polskich. Zwolennicy tezy tej konieczności wykazywali i wykazują, że granit tatrzański jest jedyną skałą tej jakości i dobroci na obszarze całych ziem polskich, wobec czego jakiegokolwiek inne względy muszą ustąpić wyższemu nakazowi ekonomicznemu, jakim jest konieczność eksploatacji tej jedynej w swoim rodzaju skały w Polsce. Następcza się tu temat bardzo a bardzo szeroki, który właściwie zasługuje na osobną rozprawę. Nie mogąc w tej chwili tej rozprawy pisać w ramach tego artykułu, ograniczę się do stwierdzenia, że: 1) istnieją rozległe i potężne masy granitów na obszarze państwa polskiego na Wołyniu; granity te są położone nader nisko, w dogodnych warunkach klimatycznych i łatwych warunkach eksploatacyjnych, nad drogami wodnymi, które umożliwiają dzisiaj, lub w przyszłości ich tani spław i transport, 2) istnieją w Polsce skały inne poza granitem, które mają właściwości pod różnymi względami podobne, a nawet przewyższające dobrocią granit tatrzański; wśród licznych tych skał na jedno z pierwszych miejsc wysuwają się andezyty pienińskie w okolicy Czorsztyna i Krościenka, położone na tem samym Podhalu, ale w okolicy znacznie niższej, dogodniejszej pod względem komunikacyjnym, klimatycznym i gospodarczym, niż Tatry, a nadto w punkcie, którego eksploatacja nie następcza żadnych wątpliwości, trudności i kolizji z ruchem turystycznym¹⁾.

* * *

¹⁾ Tu byłoby też miejsce dla popisu inicjatywy tych, którzy chcą zatrudnić przemysłowo część ludności Podhala, znacznie tu biedniejszej i skłonniejszej do przemysłowej pracy, jak ludność okolicy Zakopanego.

W całej mej rozprawce naumyślnie nie dotykałem tej strony zagadnienia, której na imię: ochrona przyrody tatrzańskiej. Pragnąłem udowodnić i mam wrażenie, że udało mi się to, że nie ma potrzeby stwarzania platformy, na której musiałyby się spotykać i walczyć idea ochrony przyrody z projektami eksploatacji granitów tatrzańskich, a to dlatego, że na innych polach rzeczowej dyskusji, sprawa eksploatacji granitów tatrzańskich, jako nierealna, musi upaść.

Nie podobna jednak nie zapomnieć, że dzisiaj u progu realizacji myśli wielkiego parku narodowego, tatrzańskiego, idei, pod którą podwalinę podłożył we wspaniałem swem dziele ofiarowania większej części Tatr Polskich narodowi polskiemu ten wielki a za mało w społeczeństwie doceniany człowiek, jakim jest hr. Władysław Zamoyski; idei, która rozszerzyć się ma, jak do tego usilnie dążą najlepsze i najpoważniejsze jednostki i zrzeszenia w Polsce, na cudowny obszar niezrównanej piękności parku pierwotnej natury, jaki stworzył w obok leżącej Jaworzynie wielkim wysiłkiem najszczerzy miłośnik dzikiej przyrody Tatr, ks. Chrystjan Hohenlohe, idei, która obejmie wreszcie niewątpliwie cały obszar Tatr tak po polskiej jak po czechosłowackiej stronie położonych, w ogromnym rezerwacie granicznym — myśl o eksploatacji granitu tatrzańskiego musi się najpoważniej liczyć z ochroną przyrody Tatr!

* * *

W cudowny, słoneczny dzień późnej jesieni, siedzieliśmy z kolegą-geologiem dr. R. na szczycie Czerwonej Skałki nad Białką.

Pod nogami naszymi urywały się pionowe, czerwone ściany powietrznego szczytu i zapadały w głąb doliny Białki, tonąc w ciemnym płaszczu wspaniałych lasów, zalewających nieprzejrzanem morzem dolinę Roztoki. Jak na dłoni roztwierała przed nami swą przepastną głąb niezrównana w swej dzikości i pierwotności dol. Waksmundzka, blisko, że zdałoby się, skoczyć tam było można; w przeczystem powietrzu tatrzańskiej jesieni, przeblyskiwała wśród borów wązka biała linja pieniających się wód Wodogrzmotów i soczystą zielenią zalana polana Roztoki, a nad nią strzelała w niebo czarno-zielona stroma ściana Czuby.

Wzrok błędził po tych tak drogich i blizkich naszemu sercu, cudownych okolicach, biegł ku szczytom, okalającym zewsząd krajobraz poszarpanym błękitnym pierścieniem, tonął w głębi lasów, łąk, hal, gór, dolin Białej Wody i Jaworowej, przeciskał się przez ściany, ku czarom Pięciu Polskich Stawów i Morskiego Oka, drzemających za grzbietami.

W przepojonem, nasyconem słońcem powietrzu zawisła wielka cisza jesieni tatrzańskiej. Szeleściły w niej cichutko gałązki kosówek i smereków podszczytowych, szumiały szeroko, majestatycznie, rozległe bory Roztoki i Wanty, grały dalekim, zwartym pogwarem wody Wodogrzmotów.

Po chwili zatonięcia w cudzie górskiego świata, zespolenia się z nim w całość, jednego z największych upojeń ludzkiego życia, w wyobraźni mojej zaczęły się podnosić jakieś natrętne, niepokojące obrazy. Z początku broniłem się przed nimi, odpędzałem je, gdy jednak napierały coraz silniej, ze wszech stron, spojrzałem im w oczy, ażeby zmierzyć się z wrogiem.

Wróg ten przybrał wyrazistą, zdecydowaną postać. Oto na miejscu Waksmundzkiego Żlebu, Wodogrzmotów, Roztoki, Czuby, Wanty, leżących przed nami w całej krasie swej wspaniałej przyrody, pojawiały się czeluście kamieniołomów. Na miejscu zielonych polan widniały domki robotnicze i budynki fabryczne, na miejscu ciemnych, jednolitych borów wysypywały się olbrzymie, kopiaste hałdy szutru i bloków, na miejscu skalistych ścian wznosiły się w górę amfiteatralne ściany kamieniołomów. Z cyrku kamieniołomowego w dół zbiegały wagoniki kolejki, zwożące kamień do kolei, której stacja i tory załadownicze rozpościerały się nad Białką. Dymiły kominy fabryczne, łoskotały wiertarki, grzmiały donośnie eksplozje wysadzeń wybuchowych, świstały lokomotywy, ze stukiem toczyły się pociągi. W środku tego pejzażu wlokła się do Morskiego Oka ostatnia furka, wioząca niezwykłych amatorów jazdy do Morskiego, górą pomykał chyłkiem zablakany turysta, szukając nieistniejącej Orlej Perci, Wodogrzmotów Mickiewicza, lub schroniska w Roztoce.

Obraz ten był w porównaniu z tem, co roztaczało się przed nami, tak jaskrawo różny, że z nieprzepartą siłą nasuwało się przypuszczenie jakiejś podstawowej niezgodności i chęć odrzucenia tego okazu za jednym zamachem i raz na zawsze.

Chwila jednak opanowania się, przywołania do władzy chłodnego rozsądku ukazała mi konieczność rozwiązania tej niezgodności. Począłem analizować. Oto pójście za pierwszym porywem uczucia, postawienie kwestji na ostrzu podrażnionego zamięłowania piękna i pierwotności przyrody, nie daje tego rozwiązania. Prowadzi ono co najwyżej do wywieszania sztandaru nieprzejednanego hasła: Tatry mają być absolutną pustynią, któremu w tej chwili odpowie hasło inne, któremu również niepodobna odmówić głębokiej słuszności: obowiązkiem naszym, jako państwa o słabej strukturze gospodarczej jest wykorzystać wszystkie możliwości, jakie

dają nam nasze naturalne bogactwa i Tatry tym obowiązkiem muszą być także objęte.

Pięknym jest obraz wspaniałej i pierwotnej przyrody górskiej, ale pięknym i wspaniałym jest również okaz natężonej pracy ludzkiej, stwarzającej wielkie placówki przemysłu.

Nie w tem więc leży sedno rzeczy, aby te dwa hasła sobie przeciwstawiać i z fanatyzmem „apostołów pustyni tatrzańskiej“ z jednej a „romantyków uprzemysłowienia Tatr“ z drugiej strony uderzać na siebie w zaciętym i bezpłodnym sporze, ale w tem, aby głębokie prawdy w obu tych hasłach tkwiące, stosować tam, gdzie stosowanie ich jest logiczne i uzasadnione...

Myśl, pobudzona raz w tym kierunku, pracowała dalej i zajęła się z tego punktu widzenia zagadnieniem krajobrazu, przed nami rozpostartego i projektowanej na nim eksploatacji granitu. Wszczęła się rozmowa z kol. R., w której przedstawiłem systematycznie i rzeczowo z fachowego punktu widzenia całokształt zagadnienia. Nim doszliśmy do końca rozważań, których rezultat zawarty jest w tej rozprawce, jasno i prosto widniała przed nami jedyna prawda: eksploatacja granitu tatrzańskiego w dolinie Białki jest rzeczą nierzeczywistą i absurdalną pod każdym względem!

Prawda ta odpędziła zmołę, ciążącą na mnie przed chwilą, — dla dalszej wędrówki tego niezapomnianego dnia stworzyła radosny nastrój: zdobycia pewności w zagadnieniu największego dla Tatr znaczenia.

Schodząc ze szczytu Czerwonej Skałki, żegnałem ją myślą szczęśliwą: śliczna skałko, będziesz długie, długie lata spoglądać na ten cudowny, przedziwnej, dzikiej krasy pełen widok, którym nas dzisiaj obdarzyłaś!

Walery Goetel.

Na nartach.

Kiedyś w cichy zimowy wieczór, siedząc w pobliżu ciepłego pieca, wspominałem swoje dawniejsze wędrówki na nartach, w tych czasach (1907/1908) kiedy to wycieczki narciarskie w Karpaty były jeszcze odkrywczymi wyprawami na wierchy niezdobyte dotąd w zimie, chociaż bliskie. Ale wtedy szukało się dopiero dróg, które dziś są utartymi szlakami, ubitemi tysiącami nóg uzbrojonych w narty. Przypomniałem sobie jak wybierając się w Gorgany nie mogliśmy właściwie powziąć stanowczej decyzji, bo olbrzymie śniegi zawałyły tory kolejowe, pociągi odchodziły i wracały bardzo nieregularnie, tak że wyjechaliśmy do Stanisławowa pod złym znakiem niepewności. Jechaliśmy jak zwykle wesoło, oglądając po drodze zasypane śnieżne, aż w jednej, tuż pod Stanisławowem, utkwiliśmy. Tu znowu zaczęło działać fatum, które nad nami zawisło, bo wszczęliśmy spór, czy lepiej zostać w pociągu czy dobić do Stanisławowa na nartach. Długo trwała narada, a kiedyśmy wreszcie wysiedli, to pociąg ruszył wkrótce za nami i wyprzedził nas, wskutek czego spóźniliśmy pociąg do Jaremca i ruszyliśmy dopiero następnym.

Opuściwszy pociąg w Jaremczu przypięliśmy zaraz narty, idąc z początku udeptanymi ścieżkami obok chat, witani zdziwionymi oczami huculskich dzieci. Potem już własnymi śladami podchodziliśmy coraz wyżej, aby zdążyć tego dnia przez Szczewkę do Ilmy. Idąc białym niezalesionym stokiem mijaliśmy jeszcze ostatnie chaty, przekraczaliśmy ogrodzenia, wreszcie — ostatnie spojrzenie w dół na malutkie Jarmcze... i weszliśmy w las.

Wstąpiła we mnie cisza boru i spokój. Potężne świerki dźwigały na gałęziach śnieg zda się jak puch lekki, a jednak widziałem aż do ziemi ugięte potężne konary. Uderzałem w nie kijem — wtedy sypały się cicho duże płaty i znikwały w podłożu bez śladu. A czasem zrywała się zamieć i szły przez las tumany śniegu, rozbijały się o pnie, pędziły dalej wściekle, otrzępywały drzewa z śniegu i gdzieś w dole ginęły. Znowu cisza kołta chwilowy niepokój, ale rozpiętane gałęzie chwiały się jeszcze długo.

Przejęci tą ciszą szliśmy unikając głośnych słów, aby nie budzić puszczy utulonej snem. Nigdzie nie widać śladu człowieka, tylko lekkie stopy zwierząt zostawiły długie ścieżki wijące się wśród drzew. Uderzyły nas później zupełnie świeże ślady, powtarzające się w pewnych odstępach. Wilk nam towarzyszył. Ale jednego, zapewne chudego wilka nie

obawialiśmy się — nieco mniej przyjemnie było, gdy w dole odzywały się naszczekiwanie i wycia.

Tego dnia słońce się nie ukazało, a teraz zciemniało się szybko; trzeba było spieszyć, aby przed nocą dostać się na dół do leśniczówki. Zjeżdżaliśmy gęstym lecz czystym lasem, aż dostaliśmy się w ciasne łożysko jakiegoś strumyka stromo spadającego w dół gęsto obrośniętego krzakami. Była to jednak najkrótsza droga a nocne mroki otuliły już prawie zupełnie gęsty bór, więc wzięliśmy kije przed siebie, aby zasłonić twarz przed dotkliwymi uderzeniami giętkich gałązek i pędziliśmy w dół, przymykając oczy. Niestety zostawały za nami nietylko ślady nart, lecz i głębokie „groby“ upadków. W dolinie puściliśmy się w dalszą drogę z biegiem wody, z latarką na przedzie.

Zostałem na końcu. Przedemną posuwały się czarne postacie oparte na kijach, w ręku pierwszego chwiała się migające światełko. Patrzył na nas księżyc. Czułem, że się gdzieś wkradamy... bo do tego schroniska ciszy i wiatrów nikomu wchodzić nie wolno, a jeśli ktoś wejdzie, to się w tej niezmiernej, tajemniczej puszczy zatraci. Więc z uśmiechem patrzył na nas księżyc — a Potok okrył się pancerzem lodowym i umykał, wił się między stromemi ścianami lasu, kręcił, zawracał, aby zmylić pogoń. Czasem, gdy pękała lodowa skorupa — widziałem znikające z szumem czarne, pokłębione sploty. Długo szukaliśmy leśnej drogi, wreszcie po wdarciu się na jakąś stromą ścianę, znaleźliśmy się na polance. Straciliśmy nadzieję dotarcia do leśniczówki w Ilmie i zaczęły nas kusić do noclegu stogi siana na polance, ale nasz dzielny przewodnik (inż. M. Dudyk) zachęcał do dalszego pochodu i rzeczywiście minąwszy polankę, trafiliśmy na drogę. Byliśmy jednak dobrze już pomęczeni a mieliśmy przed sobą jeszcze około 10 km drogi tem cięższej, że narty zmoczone w niewidocznym pod śniegiem potoku, domarżyły śniegiem i były tak ciężkie, że tylko z wysiłkiem można było posuwać się dalej po świeżym i lepkim śniegu. Wkrótce zupełnie zobojętniałem, stałem się maszyną wyciągającą nogi z głębokiego śniegu w niezmiennem tempie i bez końca. Nareszcie ostatni most — leśniczówka — dobijanie się do drzwi i okien — zapewnienia żeśmy nie zbóje ani niedźwiedzie (leśniczego nie było w domu), potem uderza w nas ciepło izby, leśniczówka zdobyta. Na razie oszołomienie, ale po gorącym mleku i herbacie przenika nas ciepło i zadowolenie, uśmiechają się zarumienione twarze. Uwinąłem się szybko z jedzeniem, wszedłem do sąsiedniej izby i zagrzebałem się w przygotowane siano, a choć śniły mi się wilki — spałem doskonale.

Nazajutrz było jeszcze zupełnie ciemno gdy nas zbudziła gospodyni.

Z trudem wygrzebałem się z siana i poczułem zaraz, że jestem wypoczęty, wesoły i głodny. Żwawo uwijaliśmy się, bo przez zamarznięte szybki wdzierają się coraz więcej światła. — Tylko narciarz wie co to za rozkosz wyjść po takiej nocy na śnieg, oddychać mroźnym powietrzem, mrużyć oczy przed blaskiem słońca. — Wstąpiła w nas radosna ochota i zapał, chciałyby się lecieć, byle prędzej wejść na te rozjarzone szczyty i spojrzeć w jaśniejącą dal. I znowu weszliśmy w las — wesoło, ze śmiechem. Hukaniem płoszyliśmy zaspane głuszce, z radością przyje-libyśmy dziki, niedźwiedzie, ale te siedziały cicho — poważne — obawiały się naszej wesołości. Lecz wyszło do nas słońce, przekradało się między drzewami, uśmiechało z poza ośnieżonych gałęzi i z wiatrem sy-pało nam w oczy błyskotliwe gwiazdy. Tak nas witało wschodzące... Później coś się stało — jakiś mrukliwy wichur zaczął spędzać chmury, tumany śniegu, zaćmił słońce i szedł zwycięzki przez las. Zrazu okrążał nas z daleka, szumiał w dolinie, łamał drzewa i hukiem chciał nas prze-razić, potem przycichł. — Szliśmy dalej wśród ciszy, tylko śnieg pękał i jakby nas ostrzegał z pod ziemi idącym, przytłumionym grzmotem. Tego dnia widzieliśmy słońce tylko raz jeszcze — na szczycie.

Zalesionym grzbietem posuwaliśmy się w górę polany, z której uj-rzeliśmy Gorgany. Przedarliśmy się z trudem przez gęsty laszek u stóp góry, pożywiliśmy się na prędkę przed ciężką pracą i zaczęliśmy wstę-pować z nad Zielonicy na stromy, kamienisty stok Gorgana. Wichur siekł po twarzy ostrym śniegiem, spychał na dół, na zlodowaciałej skorupie coraz trudniej było się utrzymać. Musieliśmy wreszcie odpiąć narty i pie-szo po głazach, to znów zapadając w śniegu zdążaliśmy w górę. Widzia-łem tylko nogi przodownika i stawiając stopy w jego ślady ze złością już „wydzierałem“. Zdawało się, że ta droga niema końca. Nareszcie — u szczytu. I wtedy spojrzało na nas słońce. — Sąsiednie wierchy chwy-tały światło i ubierały się w nie. Mgła uciekała w doliny, kryła się w widnokregu. Przez chwilę było zupełnie ciepło, ale wnet powstała zamieć, pędziła aż chyliły się przed nią przerażone lasy a nas dreszcz przejął. Smagani śniegiem uciekaliśmy na Syniak. Kosodrzewina pokryta zlodowaciałą skorupą utrudniała ogromnie pochód. Co kilka kroków noga wpadała niemożliwie a raczej możliwie głęboko i trzeba ją było z tru-dem wyciągać zaplątaną w Kosówce. Ze szczytu Igniaka zjeżdżaliśmy już na nartach na polankę pod Chomiakiem. Zjazd z początku cudowny, ale potem dostaliśmy się w Potok Rozkiłski, bardzo stromy i najeżony dla wygody dużymi głazami, które im dalej, tem były większe. Coraz częściej też spotykaliśmy przeszkody w postaci przewalonych drzew, które „bra-

liśmy“ rozmaicie. Wreszcie musieliśmy wejść w las a w tedy były nas po twarzy gałęzie, przeskakiwaliśmy pnie i kłody, łamaliśmy drzewa, gubili kije, rękawice, narty, aż wysypaliśmy się w dolinę jak gruszki z worka. Było już prawie zupełnie ciemno. Jakiś przerażony hucuł, który z obowiązku straszył wilki, wskazał nam drogę prowadzącą ku gościńcowi do Mikuliczyna. Oblepiani przymarzłym śniegiem szliśmy jak białe widma koło opuszczonych szałasów, przez mosty aż do gościńca a gościńcem do gospody. Szybko odpinaliśmy narty — wtedy zauważyłem księżyc — i za chwilę siedzieliśmy w ciepłej izbie. To była największa radość tego dnia. Nie wiem ile wypłem herbaty i co zjadłem, ale w przeciągu pół godziny stałem się bardzo szczęśliwy i poczułem, że w butach mam wodę a po twarzy spływa mi stopiony śnieg. Wyszedłem na gościńiec, aby znowu zamarznąć. Pędziłem wlokąc za sobą narty i patrzyłem w spokojne niebo. Wiatr ustał, sen uciszył ziemię, tylko księżyc czuwał i otoczony gwiazdami szedł swą odwieczną drogą. Idąc myślałem naturalnie o wilkach i nasłuchiwałem dalekich kroków towarzyszy, dopiero w pobliżu stacji czułem się bezpiecznie. Ciesząc się myślą o ciepłym piecu wpadłem do poczekalni — niestety była nieopalona i to była najnieprzyjemniejsza chwila tego dnia. Położyłem się na ławie i zasnąłem, ale wkrótce zbudziło mnie zimno w kościach, tupotanie nóg, klaskanie rąk i inne odgłosy szwedzkiej gimnastyki. Zacząłem dla rozgrzania to samo robić, i tak do piątej rano.

Dowiadujemy się, że tor kolejowy zasypany i do Stanisławowa można dojechać tylko przez Kołomyję. Odwiedzamy więc to piękne miasto i dobijamy do Stanisławowa — pociągi do Lwowa nie idą, dopiero następnego dnia rano. Zaszliśmy do hotelu i nareszcie można się było osuszyć, pożywić i wyspać. Nazajutrz rano udaliśmy się na dworzec, by oczekiwać odejścia pociągu. Dla zabicia czasu jedliśmy, czytaliśmy przestarzałe dzienniki — drzemiąc. Czas włókł się w nieskończoność, dokoła ciągle te same twarze znudzone albo gniewne; a po zliczeniu kapitałów przekonaliśmy się, że znowuż tak bardzo jeść nie można — więc lepiej spać. Wreszcie nadchodzi południe — pociąg odejdzie może wieczorem i tak zwodzono nas ciągle. Wszystkie nasze projekty, żeby się dostać do Lwowa przez Stryj, przez Sambor, przez Budapeszt, spełzły na niczem, bo wszystkie drogi były zasypane naszym kochanym śniegiem. Wreszcie ustatkowaliśmy się i przyzwyczaili do bardzo regularnego trybu życia. Chodziliśmy z dworca do miasta i z miasta na dworzec. Pozostały czas dzielił się na dwa okresy: jedzenia i spania (na dworcu, aby nie spóźnić pociągu!) Ktokolwiek kończył jeść, zaraz zaczynał spać. Doszliśmy w tem

do takiej wprawy, że gdy zamykały się usta to równocześnie spadały powieki, a gdy podniosły się powieki to usta się otwierały i wtedy trzeba było coś w nie wkładać, bo gdy nic nie było pod ręką to z otwartych ust wylatywały słowa jak kamienie ciężkie na głowy urzędników ruchu, dyrektorów i ministrów kolei, restauratorów kolejowych i t. d. i t. d. — dopóki nie opadły powieki. Ostatecznie pociągi ruszyły.

Stanisław Dębicki.

O Tetmajerowie „Skalnem Podhalu“.

Podniosły się skrzyżale
Z zasutych wiekami cmentarzy —
Całe skalne Podhale
Ożyło, rozpieśnia się, gwarzy...

Wszystko, co śmiercią spało
Do życia wkracza z nawrotem —
Aby przypomnieć się chwałą
I świat napełnić łoskotem.

Cóż za lud, dziwnie jedyny!
Cóż za orłowe postaci!
Niedarmo drżały niziny,
Szeptały o nich: „skrzydlaci“...

Z martwych wstali z pod darni,
Zwołani wtórnice do życia —
Tacy, jak byli, harni,
Żywe ich istnienie odbicia.

Jeszcze piękniejsi w gieście,
We wzięciu bardziej spali —
Nie dziw: sto lat, i dwieście
W dumach kamiennych przespali.

Wyszli ku nam na jawę,
Jakby z pradawnych wiecy —
Widma białe, choć krwawe —
Tak blizcy, choć dalecy.

Spojrzymy na Zycha z Witowa,
Jak sie na śmierć sposobi...
Wie, iż ciało ziem schowa,
O nic sie więcy nie głobi.

A oto znowu Smaś z Olce
Z Bogem jednać sie jedzie:
Zbrój za pasem, pistolec,
Dwa muzyki, basisty na przedzie...

A któż nie zbaczy se w lęku:
„Bracie mój, ustąp mi tońca!“
Ten ukłon — przed wrogiem — w przykłęku,
Nim zabił... nim wzieni go, Chrońca.

Abo Orlice krwawe...
Te nam wywodzą na oczy
Jakaś zabytą przejawę,
Od której krew sie w nas mroczy.

Abo ten... na Zmarzłym Stawie
W taniec śmierci porwany,
A jeszcze rytmem w „Sto-se“! — w Sławie...
Wid niesłychany!

Abo starzy Nędzowie
Z Nędzewego Gronika —
Gdy im duch dziada przepowie
Śmierć syna, Janosika...

Las cały-by zrachować,
By ich wszystkich wypomnieć,
Którzy żyli, minęli,
I w pieśń poszli ogromnieć...

Władysław Orkan.

Pieniny.

I.

Przyroda Pienin.

Każdemu, kto odbywał podróż koleją z Krakowa do Zakopanego, wpadła niewątpliwie w oczy stercząca przy stacji w Szaflarach urwista skała wapienna z niewielką kapliczką na szczycie, oraz wyniosłe, bielące się wapiennymi piargami wzgórze, na przestrzeni między Nowym Targiem a Szaflarami. Zarówno biały wapień tych wzgórz, wyłaniający się z pod szarych piaskowców i łupków otoczenia, jak i śmiałe kształty morfologiczne skałek, tak rzadkie i niezwykle w Karpatach, a tak przypominające swą rzeźbą turnie znane z dolin okolic Zakopanego, działają na podróżnego jak zapowiedź bliskości Tatr. Rzut oka na najbliższą okolicę podkreśla jeszcze silniej tę pierwszą mimowolną myśl o związku łączącym skałki szaflarskie z masywem Tatr, piętrzących się na południowym horyzoncie nad kotliną Nowotarską. Dostrzegamy, że skałki te są tylko fragmentem długiego pasma skalic wapiennych, ciągnącego się szerokim łukiem od Zamków Orawskich, poprzez dolinę Nowotarską, ku Lubowli na Spisz, i okalającego północną stronę Tatr nakształt szańca rzuconego dokoła nich w promieniu około 30 km. Pasma to zostało na zachodzie, w części przebiegającej Orawę i dolinę Nowotarską, zmyte i zredukowane do nikłych szczątków, sterczących w postaci mniej lub więcej odosobnionych skałek lub wzgórz z pod płaszcza fliszowych piaskowców i młodych żwirowisk Dunajca. Na wschodzie natomiast, a zwłaszcza na przestrzeni pomiędzy Czorsztynem a Szczawnicą, pasmo to potężnieje w wyniosły łańcuch górski, wznoszący się około 450 m nad poziom doliny i noszący nazwę Pienin. Dalej na wschód rośnie ono jeszcze silniej, ale równocześnie zrasta się z otaczającymi je Karpatami fliszowymi i przestaje się krajobrazowo zaznaczać.

Osobliwe ustosunkowanie się przestrzenne pasa skałek pienińskich do Tatr, stoi w związku z ich genezą tektoniczną. Tatry i Pieniny są rezultatem jednolitego kompleksu przesunięć górotwórczych, jakie dokonały się u schyłku epoki kredowej na obszarze Podhala i jego okolicy. W Tatrach, jak wiadomo, da się ponad wszelką wątpliwość stwierdzić istnienie dwu leżących fałdów, t. zw. płaszczowin, nasuniętych na siebie

z południa. Dolna z tych płaszczowin stanowi miejscowy fałd, który pod działaniem sił pracujących z południa obalony został na północ. Na ten fałd leżący nasunięty został drugi, analogiczny, który wypukliwszy się na południowej stronie dzisiejszych Tatr, położył się na poprzednim, pokrywając go jednolitym płaszczem i spłynął na północną jego stronę. Sfałdowana w powyższy sposób skorupa ziemi, uległa równocześnie wyniesieniu pionowemu. Leżące na sobie płaszczowiny zostały w miejscu zajętem przez dzisiejsze Tatry wypuklone na kształt guza. Wytworzyła się wyżyna, z której woda i inne czynniki erozyjne wypłykały dzisiejsze pasmo Tatr. Tak jak guz dotknięty procesem rozkładu odsłania na środku wgłębne tkanki a powierzchniowa skóra otacza dookoła odsłonięty środek, podobnie niszczący proces erozyjny odsłonił w punkcie największego wyniesienia fałdów tatrzańskich najbardziej wgłębne warstwy, należące do dolnej płaszczowiny tatrzańskiej, tworzącej dzisiejszy środkowy trzon Tatr; szczątki zaś wierzchniej płaszczowiny, z której zbudowane są regle tatrzańskie, otaczają ów trzon dookoła. Pasma skalic pienińskich, ścielące się szerokim łukiem na obwodzie Tatr, uważamy dzisiaj za resztkę trzeciej płaszczowiny, która przesunęła się ponad fałdami tatrzańskimi z południa, zsuwając się na ich północną stronę. Śladów tej płaszczowiny na obszarze Tatr nie odnajdujemy już dzisiaj, gdyż zniszczyły ją w zupełności czynniki denudacyjne. Resztki jej jednakże odnajdujemy na obwodzie Tatr, w postaci pasma skałek pienińskich, okalających Tatry podobnie, jak resztki płaszczowiny reglowej otaczają centralno-tatrzańskie okno, przez które przezierają skały należące do wgłębego fałdu tatrzańskiego.

Ruch górotwórczy, który dał początek Tatrom a ławice wapienne, wchodzące w skład dzisiejszych Pienin, przeniósł z okolic południowych ponad Tatrami na ich północną stronę, zaszedł pod koniec epoki kredowej. Nadchodząca era trzeciorzędu i sprowadzona przez nią na obszar Karpat transgresja morska, zastały już płaszczowiny tatrzańsko-pienińskie na siebie nasunięte i rozpostarte w szerokim promieniu, a guz tatrzański podniesiony i rozmyty do rozmiarów zbliżonych do dzisiejszych Tatr. Morza trzeciorzędowe osadziły dookoła wyspy tatrzańskiej ławice wapieni numulitycznych, łupków i piaskowców, i złożyły na obszarze dzisiejszego Beskidu potężne masy fliszu. Masy te, ułożywszy się szeroką płytą dookoła Tatr, skryły pod sobą obwodowe części płaszczowiny pienińskiej. Wapienie skalic Pienińskich zniknęły na jakiś czas z powierzchni ziemi. Wydobył je na wierzch z powrotem ruch górotwórczy, który gdzieś w czasie późnego miocenu spiętrzył Beskidy. Oto prąca od południa siła,

która u schyłku kredy spiętrzyła płaszczowiny tatrzańskie, która niemal po dzień dzisiejszy wygina łuk Karpat ku północy, wciągnęła pod koniec miocenijskiego okresu w sferę swego działania owe masy pokładów fliszowych, złożonych przez morza trzeciorzędowe po północnej stronie Tatr. Talerz płaszczowin tatrzańsko-pienińskich, wypiętrzony na południu w guz



Widok ze szczytu Trzech Koron ku zachodowi na pasmo skalne tak zwane „Flaki“,
(Fot. St. Zwoliński).

tatrzański, na północy pokryty masami świeżego fliszu, party od południa, podsuwać się zaczął pod flisz, ugiął się na swym obwodzie i spiętrzył się wraz z leżącym na nim fliszem w fałd, który przewrócił się twarzą ku Tatom. Ukryte w jego środku ławice pienińskie, przeniesione ongiś z południa ponad Tatrami daleko na ich północną stronę, zostały powtórnie przerzucone w pobliże Tatr i złożone na podtatrzańskim fliszu. Erozja rozmyła z czasem czoło tej t. zw. magórskiej płaszczowiny i wypłukała zeń stare jurajskie i kredowe skałki pienińskie, które dzisiaj pływ-

wają jak kra na młodym, trzeciorzędnym fliszu Podhala. Ławice wapienne Pienin wyłoniły się powtórnie na powierzchnię, zajmując tym razem już definitywne i ostateczne, dzisiejsze swe stanowisko przestrzenne wobec Tatr. W związku z temi ostatnimi ruchami tektonicznymi, dokonały się na obszarze Skałek i w ich najbliższym sąsiedztwie wylewy skał wybuchowych, występujących dzisiaj w postaci żył i lakkolitów andezytowych w obrębie i wzdłuż północnego brzegu Pienin; zaznaczają się one niejednokrotnie krajobrazowo w postaci masywnych wzgórz o zaokrąglonych kształtach, jak n. p. góra Wżar pod Czorsztynem lub Bryjarka nad Szczawnicą. Żyły andezytowe przecinają jednolitemi i nienaruszonymi strumieniami spiętrzone i nasunięte na siebie warstwy fliszowe płaszczowiny magórskiej. Dokonały się zatem po złożeniu i spiętrzeniu fliszu w okolicy Pienin a tem samym po dokonaniu się ostatnich większych przesunięć tektonicznych jakimi dotknięte zostały Pieniny w perjodzie miocenu. Andezyty są skałą młodą, miocenią lub nawet plioceńską, ze schyłku trzeciorzędu pochodzącą¹⁾.

Dzisiejszą, ostateczną swą postać morfologiczną zawdzięczają Pieniny działaniu erozji, przedewszystkiem czynności wód, które ze zwleczonego ruchami tektonicznymi materiału wyrzeźbiły urwiste skały i turnie, oraz dały początek owemu niezwykłemu i uderzającemu swą osobliwością przełomowi Dunajca przez pasmo Pienin. Na przestrzeni pomiędzy

¹⁾ Geneza tektoniczna Pienin należy do najtrudniejszych zagadnień tektoniki Karpat i do dziś dnia nie została jeszcze wyświetlona i zbadana z wystarczającą i zadawalającą pewnością. Naszkicowana powyżej historia narodzin Pienin jest popularnem powtórzeniem ostatniego poglądu na powstanie tego pasma wypowiedzianego przez M. Limanowskiego. W interesie prostoty pominięto w powyższym opisie wszystkie szczegóły i wątpliwości, które wydają się dzisiaj być drugorzędnej natury, ale które niemniej mogą w przyszłości zasadniczo zmienić nasze poglądy na tektonikę Pienin. Dla interesujących się bliżej tą sprawą podajemy poniżej kilka ostatnich prac traktujących o tym zagadnieniu, lub zawierające ważniejsze doń przyczynki: — M. Limanowski. Rzut oka na architekturę Karpat. Kosmos 1905. — W. K. Kuźmiar. Versuch einer Tektonik des Flysches nördlich von der Tatra. Bull. de l'Acad. des Sciences de Cracovie. 1910. — M. Limanowski. Posiedzenia Naukowe P. Inst. Geol. Nr. 2. Warszawa 1922. (Streszczenie dyskusji odbytej na posiedzeniu z dnia 7 marca 1922). — S. Małkowski. Sprawozdanie z badań fliszu magórskiego i fliszu granicznego w okolicy Krościenka nad Dunajcem. Spraw. P. Inst. Geol. Tom II, zes. 1 i 2. Warszawa 1923. — O stosunku żył andezytowych do budowy geologicznej okolicy Pienin. Tamże. — Andezyty okolicy Pienin. Prace P. Inst. Geol. Warszawa 1921. — B. Świdzki. Przyczynki do geologii okolicy Szczawnicy. Rocznik P. Tow. Geol. Kraków 1923.

Czorsztynem a Szczawnicą przecina rzeka w poprzek pasmo skalic, przedzierając się, zdawałoby się wbrew prawu że wszystko w przyrodzie idzie drogą najmniejszego oporu,—wąskim, głębokim i krętym wąwozem z doliny Nowotarskiej w głąb Karpat ku północy. Dzieje tego przełomu i zagadkowy sposób jego powstania da się wyczytać w rzeźbie Pienin i najbliższej ich okolicy.

Pasma Skałek twi w nader charakterystyczny sposób w otaczających je Karpatach. Rzut oka na okolicę pozwala dostrzec, że biegnie ono wzdłuż dna wielkiej doliny, ciągnącej się od zachodu na wschód, zamkniętej od północy pasmem Lubania, od południa pasmami gubałowskimi i Magóry Spiskiej. Zbocza tej doliny rozmyte silnie we wtórne doliny i pasma, wznoszą się wysoko ponad najwyższe szczyty Pienin, dochodząc średnio do poziomu 1000—1200 m, a zatem do poziomu 100—300 m wyższego od najwyższego szczytu Pienin, Trzech Koron. Na wschodzie dolina ta zamyka się wyniosłościami W. Rogacza i Wysokich Skałek, przechodząc ku północnemu wschodowi w dolinę Nowo-Sądecką, a pasmo Pienin nie zmieniając swego zachodnio-wschodniego kierunku wrasta w jej wschodnią ścianę. Dnem tej doliny, wzdłuż północnego brzegu Skałek płynie Dunajec; koło Czorsztyna przebija się na południową ich stronę, aby za Sromowcami i Czerwonym Klasztorem zwrócić się znowu ku północy, przebić pasmo Pienin powtórny przełomem i wejść w dolinę Nowo-Sądecką w głąb Karpat. Dopływy Dunajca spadające z południowych zboczy opisanej doliny, jak Białka lub Biały Dunajec, przecinają także pasmo Skałek poprzecznymi przełomami pod N. Targiem i Harklową; przełomy te zasadniczo podobne do dunajcowego w Pieninach, nie zaznaczają się jednakże wybitnie w krajobrazie, gdyż pasmo Skałek na zachód od Pienin jest zerodowane i rozmyte. Bieg rzek jest jednym słowem prawie zupełnie niezależny od przebiegu pasma skalicowego. Opisana dolina, na której dnie spoczywają Pieniny rozmyte wodami Dunajca i jego dopływów jest dziełem wód. Ślady tej działalności i jej poszczególne fazy widoczne są na zboczach doliny w postaci resztek teras, przebiegających mniej więcej zgodnie z dzisiejszym kierunkiem Dunajca, oraz starych żwirowisk rzecznych złożonych w poziomach 200—300 m nad dzisiejszym dnem doliny.

Żwiry te nagromadziła rzeka, która płynęła wzdłuż naszej doliny w owych wysokich poziomach, zanim wymyła dolinę do jej dzisiejszego dna. Skalice pienińskie wznoszące się średnio na 300—450 m nad dzisiejszy Dunajec, tkwiły prawie w całości pod poziomem ówczesnej rzeki jako żyła wapienna w dnie doliny. O przełomie w dzisiejszym tego słowa

znaczeniu, nie było jeszcze mowy. Wody owego pra-Dunajca błędziły po dolinie, piłując jej dno i wypłukując ukryte w niem pasmo skalic. W poziomie nieco niższym, a mianowicie w wysokości około 100 m nad dzisiejszym dnem doliny widać w jej zboczach terasowate wcięcie, nader wyraźne zarówno w stokach Lubania jak i na południu, w zboczach spadających od Magóry Spiskiej, jak wreszcie w obrębie samych Pienin. Przebieg tej terasy jest zgodny z dzisiejszym biegiem Dunajca i da się prześledzić nawet w obrębie przełomu. Jest to zatem terasa Dunajca w obecnym tej nazwy znaczeniu, który płynął już wówczas prawie dokładnie wzdłuż dzisiejszej linii, lecz w poziomie około 100 m wyższym; pochodzi ona z czasów, kiedy Dunajec ustalił już swój bieg wśród skałek Pienińskich i rozpoczął piłowanie dzisiejszego przełomu. Terasa o której mowa, ścina w Bryjarce nad Szczawnicą andezyty, które jak wyżej powiedziano, pojawiły się na obszarze Pienin w miocenie. Wiek jej jest zatem młodszy niż wiek andezytów, i datuje się ostatnią dobą trzeciorzędu, okresem plioceńskim. Z nastaniem pliocenu nie było zatem jeszcze definitywnego przełomu; zaczął on się dopiero tworzyć wśród Pienin tkwiących jeszcze głęboko w osłonie fliszowej, ale nie mniej zaznaczających się już wyraźnie na dnie doliny ówczesnego Dunajca. Przecięcie przełomu dokonało się w ciągu pliocenu. Następująca po tym okresie epoka lodowa, która pokryła masami lodu całą północną i środkową Polskę aż po Kraków i Lwów, a lodowce tatrzańskie sprowadziła aż w okolice Szaflar, nie dosiegając jednak Pienin właściwych, zastała już przełom pieniński niemal w dzisiejszej formie. Dunajec owej epoki płynął dzisiejszym korytem, w poziomie zaledwie 25–30 m wyższym od dzisiejszego. Fazę tę zaznaczył nader wyraźnie wybitną terasą, ciągnącą się wzdłuż całego swego koryta i widoczną także w przełomie. W czasie dzielącym okres lodowy od dni dzisiejszych przełom pogłębił się zaledwie o 25–30 m, osiągając obecny swój wygląd¹⁾.

Jakkolwiek dzisiejszą swą ostateczną postać zawdzięczają Pieniny długiej działalności czynników rozwijających swą pracę jeszcze w dobie obecnej, niemniej już od pliocenu zaznaczają się Pieniny jako pasemko

¹⁾ Powstanie przełomu Pienińskiego było przez długi czas przedmiotem dyskusji naukowej w naszej literaturze fizjograficznej i oświetlane było w najrozmaitszy sposób. Sprawę rozstrzygnęły prawdopodobnie ostatecznie badania S. Pawłowskiego w sposób odpowiadający powyższemu szkicowi. Bliższe szczegóły znajdzie czytelnik w pracy wspomnianego autora p. t. „Z morfologii Pienińskiego pasa skałek“ Kosmos 1915.

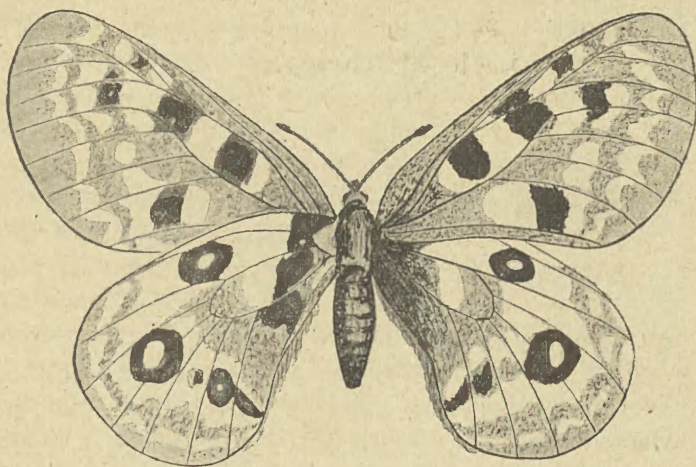
skalne w krajobrazie. Od plicenu też sadowiło się na nich życie roślinne i zwierzęce. Historia flory i fauny pienińskiej jest długa, bez porównania dłuższa, niż n. p. historia flory niżu polskiego, który w dyluwium pokryty został płaszczem lodowca północnego, i całą swą dzisiejszą szatę roślinną zawdzięcza młodym, polodowcowym imigracjom. W związku z tą długą historją, jaką ma za sobą życie rozwijające się w Pieninach, stoi jego niezwykle w porównaniu z przeważną częścią Polski bogactwo.

Roślinność wkraczająca na jakiś teren, wkracza nań masą, której skład jest przypadkowy. Czas, warunki i walka o byt eliminują z tej rzeszy pewne, a utrzymują inne składniki. Z przypadkowej rzeszy gatunków stwarza się zespół analogiczny do społeczeństwa, w którym ustala się skład i stosunek do siebie poszczególnych składników. Zespół zyskuje pewną organizację, ale co ważniejsze, stwarza sam pewne zmiany w podłożu, w fizycznych warunkach środowiska, utrzymuje n. p. pewien stopień wilgotności w zbiorniku, rozkłada w odpowiedni sposób światło pomiędzy swoje składniki, stwarza dla każdego ze swych składników mniej więcej ustalone warunki bytu, zmniejszając do pewnego stopnia zmiany i wahnięcia zachodzące niezależnie od zespołu w otaczającym świecie fizycznym. Powstaje jednym słowem jednostka zorganizowana, nosząca nazwę asocjacji, w której gatunki, podobnie jak w społeczeństwie, w pewnych kierunkach wprawdzie się zwalczają, ale pod pewnemi względami wzajem utrzymują. Stąd gatunek, który zdobył sobie kiedyś w dogodnych dla siebie warunkach, przy tworzeniu się asocjacji pewne w niej stanowisko, trwa i żyje w niej długo, utrzymywany długo raz stworzoną organizacją asocjacji, jakkolwiek ogólne warunki zewnętrzne się zmieniają w kierunku dlań niekorzystnym. Gdyby n. p. uczynić przegląd gatunków naszej flory, żyjących dziś w Polsce w liczbie szeregu tysięcy gatunków, z łatwością przekonałby się można, że ogromna większość tych gatunków, to formy, które ilekroć wyjdą z asocjacji na wolny teren, gdzie się toczy walka o byt, i odbywa proces tworzenia nowych asocjacji, na podstawie dzisiejszych warunków i dzisiejszego układu sił, są bite i wypierane przez kilkaset najwyżej gatunków, do dzisiejszych stosunków szczególnie dobrze przystosowanych. Ogromna większość naszej flory to gatunki trwające wyłącznie w pewnych dawno utworzonych społeczeństwach, poza które wyjść nie mogą. Stąd rezultat następujący: szata roślinna danego obszaru jest wyrazem nie tylko dzisiejszych warunków, ale w znacznej mierze wyrazem historii rozwoju i zmian, jakie przechodził dany teren i rozwijające się na nim życie. Stąd teren stary, na którym życie ma długą za sobą historję, ma zawsze florę i faunę różno-

rodniejszą i osobliwszą. Historia warunkuje charakter roślinności conajmniej w równej mierze, co warunki zewnętrzne. Na tle tego co powiedziano, łatwo zrozumieć bogactwo flory Pienińskiej. Długa historia, to jedna z przyczyn. Bogata rzeźba i różnorodne podłoże, to drugi z warunków pozwalający na życie gatunków i assocjacji o różnych potrzebach, wreszcie średnie wyniesienie nad poziom morza, sprowadzające ze sobą stosunki klimatyczne pośrednie między górami a niżem, nieszczególnie korzystne dla rozwoju wysokogórskiej i stepowej flory, ale zarazem niezbyt groźne zarówno dla stepowych jak wysokogórskich assocjacji osiadłych tutaj w przeszłości, tłómaczą nam jasno charakter flory pienińskiej, uderzający osobliwą mieszaniną roślin wilgotnych i suchych, stepowych i wysokogórskich, południowych i niemal arktycznych.

Początki historii szaty roślinnej Pienin sięgają w trzeciorząd. Świadkiem tej dalekiej przeszłości jest w Pieninach nader liczna w porównaniu z otaczającymi je okolicami arystokracja

roślinna, zamieszkująca Pieniny od trzeciorzędu i sadowiąca się w równie długą mających za sobą historję assocjacji. Jak każda arystokracja tak i nasza pienińska wywodzi swój ród z daleko dzisiaj mieszkających szczepów, z którymi łączą ją minione historyczne związki. Typowym przykładem takiej rośliny trzeciorzędnej jest złocień Zawadzkiego (*Chrysanthemum Zawadzki*), porastający skalice pienińskie, który pozatem pojawia się poza Uralem na Syberji. Dawne odosobnienie rośliny pienińskiej od szczepu przybyłego tutaj ze Syberji, wybiło piętno nawet na jego postaci. Złocień ten wykazujący nader bliskie pokrewieństwo z rośliną syberyjską stanowi jednak już odrębną i swoistą rasę. Roślin tego typu, które dzięki dawnemu osiedleniu się w Pieninach i długotrwałemu odosobnieniu zmie-



Niepylak Apollo (*Parnasius Apollo*); motyl górski nierzadki w Pieninach.

niły się w specyficzne rasy, jest w Pieninach cały szereg. Nadają one florze Pienin swoiste i indywidualne piętno. Należą do nich n. p. orlik pieniński (*Aquilegia Ullepitschii*), piołun pieniński (*Arthemisia calcigena*) porastający piargi wapienne w przełomie, głowianka pienińska (*Brunella pienina*) i inne. Obok tych tak zwanych endemizmów, spotykamy w Pieninach znacznie dłuższy szereg roślin, które wprawdzie nie reprezentują



Nadobnica alpejska
(*Rosalia alpina*).

specyficznych gatunków, nie mniej jednakże stanowią we florze Pienin równie lub prawie równie starożytny element. Są to gatunki, które poza Pieninami pojawiają się także gdzieindziej w tej samej formie, ale dopiero w krainach odległych, nie pozostających dzisiaj z Pieninami w żadnym związku. Na skałach Pienin odnajdujemy gatunki właściwe stepom Podola i południowej Rosji, jak *Alyssum Arduini*, *Alsine setacea* i t. d. lub formy takie jak jałowiec sabiński (*Juniperus sabina*) żyjący pozatem daleko na południu i wschodzie Europy. Obok tych świadków cieplejszej i suchszej epoki niż dzisiejsza, nierzadkie są w Pieninach formy, mające ojczyznę daleko na północy, których przybycie odnosić zwykliśmy do faz oziębienia się klimatu, jakie sprowadziło ze sobą dyluwium. Reprezentują tych przybyszów zarówno pewne roślinne jak zwierzęce gatunki.

Należy do nich n. p. baldaszkowa roślina *Conioselinum Fischeri*, oraz rzadki nietoperz gnieźdzący się po grotach pienińskich t. zw. mroczek poźłocisty (*Eptesicus nilssoni*).

Wszystkie te t. zw. geograficzne relikty są pozostałością dawno istniejących a zarazem dawno zerwanych związków, w jakich życie pienińskie pozostawało w ciągu dziejów z szatą roślinną odległych okolic ziemi, i rezultatem dawnych wędrówek roślinnych i zwierzęcych, jakie wywoływały zmiany klimatyczne w Europie.

Wszystkie wspomniane starożytne elementy florystyczne tkwią w pewnych niemniej niewątpliwie starych asocjacjach, których charakter i skład także ze swej strony jest w znacznym stopniu wyrazem historii flory Pienin. Elementy stepowe w Pieninach tkwią w asocjacji, o wejrzeniu typowego stepu, przypominającej zarówno budową jak zasadniczym



Pierwik (*Cicadetta Megerlei*).

swym składem stepy znane z Wołynia i Podola lub Wyżyny Małopolskiej. Sadowi się ta asocjacja na urwistych, niedostępnych dla lasu skałach wapiennych. Tworzy ją stepowa trawa *Festuca glauca*, o znamienych, sztywnych, pokrytych woskiem liściach, oraz całe towarzystwo roślinne, przeważnie identyczne z towarzystwem występującem na skalistych stepach naszego niżu. Jest ta asocjacja pozostałością fazy suchego klimatu w Pieninach. Towarzyszy jej równie na skałach, lecz w miejscach bardziej połogich i wilgotniejszych zespół zasadniczo w swym składzie odmienny od poprzedniego, utworzony przez trawę noszącą nazwę *Sesleria coerulea*. Mieści on w sobie rośliny o charakterze wysokogórskim, jak *Androsace lactea*, *Helianthemum rupifragum*, *Astragalus australis*, *Euphrasia salisburgensis* i t. d. i przypomina żywo analogiczne zespoły alpejskie, nieznane zresztą na ziemiach polskich znikąd, nawet z Tatr.

Bardzo osobliwym zjawiskiem we florze Pienin jest sosna, rosnąca w bardzo charakterystycznych krajobrazowo gajach na czubach wszystkich niemal skalic i szczytów pienińskich. Sosna ta, nie różna

zresztą od naszej niżowej, występuje jednak w Pieninach na stanowiskach i w towarzystwie zgoła innem niż na niżu. Brak jej zupełnie tego rodzaju towarzyszy, jak borówki, brusznice, tak znamienne dla boru sosnowego na niżu, natomiast występowanie jej przypomina zupełnie stosunki, w jakich sosna pojawia się na płycie wapiennej środkowo-rosyjskiej, a związane z nią towarzystwo roślinne nosi charakter suchego kamienistego stepu. Znamienne i zastanawiającą jest rzeczą występowanie na terenie Pienin jałowca sabińskiego, który jest stałym towarzyszem sosny w Ro-



Pluszczyk (*Cinclus cinclus aquaticus*); ptak zjawiający się licznie na kamieńcach nadrzecznych Dunajca i jego dopływów.

sji środkowej. Być może, że w gajach sosnowych w Pieninach mamy do czynienia ze szczątkiem asocjacji sosnowej podobnej do zespołów sosny rozprzestrzenionych dzisiaj na większą skalę w Rosji środkowej.

Stepowym i górskim asocjacom roślinnym na skałach pienińskich towarzyszy odpowiedni świat zwierzęcy, przedstawiający podobną mieszaninę stepowych i górskich form. Do najcharakterystyczniejszych na-



Żbik (*Felis silvestris*).

leży ptak, pomurnik (*Tichodroma muraria*) i cały szereg owadów, jak górskie motyle niepylak Apollo i Mne-mozyne, piękna alpejska kózka, nadobnica alpejska (*Rosalia alpina*), obok nich formy stepowe jak duży i osobliwy pająk *Phileus chrysops* o czarnym, pomarańczowo splamionym odwłoku i biało owłosionych nogach, wreszcie olbrzymie południowo-europejskie pszczoły granatowe (*Xylocopa violacea*) i zjawiający się czasem wielki pie-wik (*Cicadetta Megerlei*).

Położenie zbocza Pienin zajmuje las jodłowo-bukowy o typie karpackim, odznaczający się jednak większym bogactwem form i kryjący w sobie także pewne osobliwości florystyczne, jak żółto kwitnąca *Corydalis capnoides*. Jak wszędzie w Karpatach nosi on na sobie ślady dawnej gospodarki ludzkiej i stąd prawdopodobnie przedstawia asocjację o wejrzeniu znacznie młodszym niż sąsiednie zespoły stepowe i górskie na skałach. Mimo wszystko, mimo wprowadzenia na znacznych przestrzeniach sztucznej kultury świerka, jest ten las pieniński nader dziką i pierwotną, miejscami trudno dostępną puszczą. Od-

bija się to przedewszystkiem w bogatym jego świecie zwierzęcym. Pojawia się tu jeszcze niekiedy niedźwiedź, żbik i ryś, do niedawna występował wilk, nierzadkie są borsuki, kuny leśne i domowe, sarny i wieńki, nader częste dziki. Z ptaków gnieździ się puchacz, kilka gatunków sów i całe mnóstwo drobnego ptactwa.

Bogactwo form zamieszkujących Pieniny w różnorodnych zespołach obok siebie tu występujących, uwydatnia się także na przejściowych zbiorowiskach dzisiejszych, powstających pod wpływem ludzkiej kultury. Na łąki śródleśne i poręby rzucają się całe rzesze gatunków, nadając im niepotykaną gdzieindziej w Karpatach barwność. Za roślinami idą liczne owady i ptactwo, znęcone bujnie owocującymi krzewami, jarząbki, gołębie, wilgi i grubodzioby. Te świetne napozór ogrody mają jednak nie trwałą wartość. Po krótkiej fazie świetności wkracza na poręby las zubożały w gatunki, a na spasione skałki i zbocza wkracza zespół roślin, w którym przeważają pospolite dzisiaj trawy, jak *Poa compressa* i *Festuca rubra*, tworząc przy sprzyjających im dzisiejszych warunkach na gruzach starych asocjacji nowe, którym podobne spotkać można wszędzie, gdzie gospodaruje człowiek.

St. Kulczyński.

II.

Pieniny pod względem krajobrazowym i turystycznym.

Pieniny, to klejnot krajobrazu polskiego. Skarbiec krajobrazu polskiego nie jest w te klejnoty bardzo bogaty: Tatry, Pieniny, Babia Góra z Pilskiem, Czarnohora, Gorgany, Ojców, Szwajcaria kaszubska, pobraże bałtyckie, puszcza białowieska — to już prawie wszystko. Niemiecki poeta Laube nie byłby napisał tych słów: „das Polenland ist so schmucklos, wie eine unschöne Bauerdirne“, gdyby prócz monottonnych, piaszczystych lub bagnistych płaszczyzn, miał był sposobność poznać choć jedną z wymienionych okolic. Klejnotów jest niewiele — to prawda, ale są — i to takie nawet, które powinny być atrakcją światową.

Cudów wysokogórskich, morskich, puszczańskich — świat posiada wiele — i to osobliwszych i wspanialszych, niż nasze, ale czy świat ma rzeczy takie, o których mógłby powiedzieć „w kąć wobec tego wasze Pieniny, w kąć jazda na łódkach po Dunajcu!“ — można powątpiewać. Są

po świecie przecedne górotwory wapienne, są w nich osobliwości tej formacji górom właściwe, jak olbrzymie pieczary, rzeki podziemne, fantastyczne i przepaściste skały, są — i to okazalsze i potężniejsze od Pienin, ale niema — zdaje się — drugiego takiego miejsca, gdzieby na przestrzeni stosunkowo bardzo niewielkiej nagromadzone było tyle niewysłowionego piękna, romantycznego uroku, fantastyczności, czarodziejskiej wprost mocy górskich krajobrazów, co w Pieninach. Oprócz lodowców, wodospadów i jezior, choć Dunajec miejscami robi wrażenie jeziora, jest w Pieninach wszystko, na co piękno przyrody górskiej wysilić się może. Jest, lecz w minjaturze, bo Pieniny są wogóle minjaturowym górotworem. Jak triumfem nauki jest kropelka skondenzowanego powietrza, tak triumfem przyrody są Pieniny, ekstrakt istny, kondensacja piękna przyrody.

Nie zdaje mi się trafnem porównywanie przełomu Dunajca w Pieninach z brzegami Renu, boć są to rzeczy różne; ci jednak, co mieli sposobność widzieć je obie, twierdzą, iż nad Renem doznaje się przecież wrażenia monotonji, podczas gdy Pieniny można zwiedzać i przejeżdżać po dziesiątki razy bez cienia przesytu.

Pieniny są podłużnym przełomem rzeczny przez wapienny górotwór i tylko z takimi tworam natury porównywane być powinny. Karpaty zachodnie obfitują właśnie w rzeczne przełomy przez różnej formacji góry, a są między niemi rzeczy przepiękne i od Pienin niezbyt nawet dalekie. Zwiedzając z nich niektóre, siłilem się w porównywaniu na obiektywność, boć zawsze człowiek jest na korzyść swego umiłowania stroniczym, lecz przecież Pieniny ze wszystkich tych porównań, czy Karpat czy Alp czy Krasu dotyczących, wychodziły zwycięsko.

Najwięcej znany Polakom przełom rzeki Orawy od Żabińca po Królewiany (Kralovan), mieszczący w sobie prawdziwie urocze krajobrazy skalic wapiennych, a nadto ów przedziwny, zdumiewający rozmieszczeniem po skalnych piętrach nad rzeką Zamek Orawski, robi przecież wobec Pienin wrażenie rozwodnionej ciecicy szlachetnej, bo całość rozciąga się na 50 z górą km. i przerywana jest mniej zajmującemi, zaludnionemi partjami. Przełom dopływu Orawy, rzeczki Zazriwy, między Małą Fatrą a Spiską Magurą, choć bezludny, 9 km. długi i także w grupy skał wapiennych zdobny, ale zgoła nagłych meandrów pozbawiony, także nie może iść w porównanie z pienińskim.

Przełom Wagu pod Królewianami Hradyskim zwany, jest pod względem piękności krajobrazu kopeiuchem wobec Pienin, choć przerzyna tak śliczne góry, jak Mała i Wielka Fatra; następny Streczneński



Czorsztyn.

przełom Wagu, pomiędzy Małą Fatrą a Wiaternemi Halami, budzący z dawna zachwyty w turystycznym świecie i przesadnie jako najpiękniejszy przełom rzeczny w Karpatach sławiony, ledwie w jednym miejscu, a to w zakręcie koło Biesiej Skały, przewierconej kolejowym tunelem, może iść z Pieninami w porównanie. Stwierdza to też prof. Rehman w swem wielkim dziele o Karpatach, mówiąc: „Kto poznał nasze Pieniny, ten zgodzi się bezwarunkowo na to, że wąwóz Streczeński (powinno być Streczeński, od miejscowości Streczo) mierzyć się z nimi nie może, że zaledwie za mały jakiś ich odłamek mógłby być uważanym“.

Innym przełomom rzeczonym słowackich Karpat, przez wapienne skalice idącym, także nie daje prof. Rehman pierwszeństwa nad Pieninami choć za cuda krajobrazowe są pochytywane. Jak tamte w okolicy Kralovanu tak poniższe koncentrują się w okolicy Dobszyny, w bogatych górach Kruszcowych, a tworzą je następujące rzeki: Hornad w paśmie Braniska koło Morgiczan, Hron między Zwoleniem a Świętym Krzyżem i Hniliec (Göllnitz), dopływ Hornadu, odbywający znaczną część swej drogi pod powierzchnią ziemi, a wytwarzający tak bogaty krajobrazowo, skalisty i niedostępny jar Straceński, ulegający czterokrotnemu załamaniu, iż jedynie on jeden godzien jest stanąć do porównania z Pieninami.

Przełomy rzeczne polskich rzek, a więc dwa dalsze Dunajca poza Pieninami, Popradu, Soły i Olzy na Śląsku, mają — jako utworzone w górach piaskowcowych — zgoła inny charakter i nie nadają się do porównywania z pienińskim.

Również nie nadają się do tego światowej sławy przełomy poprzeczne Wschodnich Karpat, t. j. Olty przez wąwóz Czerwonej Wieży w Alpach Fogaraskich i Dunaju koło Żelaznej Bramy, bo one budzą podziw ogromem i długością (pierwszy ma długości w prostej linii 47 km., drugi 98 km., a pieniński 2¹/₂ km.), podczas gdy Pieniny romantycznością.

Z tatrzańskich tworów wapiennych do porównania z Pieninami wysuwa się przede wszystkim Kościeliska Dolina, lecz i ta mimo okazalszej scenerji skalnej i mimo wielu wysokogórskich powabów, których brakuje Pieninom, przecież pod względem fantastyczności krajobrazu miejsca ustąpić im musi.

To samo trzeba powiedzieć i o wapiennych połaciach Alp; wspinała ich jeziora, szumne wodospady, a głównie owe charakterystyczne szczeliny skalne, ujęte w niebosiężne, prostopadłe ściany (Klamm skaliste),

gdzie spodem szaleją spienione potoki, obce są wprawdzie Pieninom, a jednak mimo wszystko, mimo ich dzikości i grozy, daremnie w nich szukałbyś poetycznego wdzięku naszych Pienin. Najwięcej zbliża się do nich przełom Salzachy, zwany Pass Lueg w Księstwie Salzburkskim, a może przewyższyły je nie tyle malowniczością, ile ogromem, dzikością i osobliwościami, gdyby nie to, że bieg tej rzeki jest prawie jedną prostą kreską przez całą długość wąwozu, a dopiero u wylotu jego czyni Salzacha jeden gwałtowny zakręt (Salzach-Öfen), wrzynający się głęboko w skaliste ściany i tak dziko-romantyczny, iż wytrzymuje w tem miejscu porównanie z Pieninami.

Żeby porównania wyczerpać, udajmy się jeszcze do jugosłowiańskiego Krasu, gdzieby form, do Pienin zbliżonych, najwięcej można się spodziewać. Nie widziałem Krasu całego, znam jednak ważniejsze i piękniejsze jego partje od Dunaju do samego morza — i nie pobieżnie, bo po dwakroć wędrowałem po nich. Olśniony nowością i egzotycznością kraju i ludzi, cudami doliny Bosny i Neretwy, szczytami Plassa i Prejnpłanina, widokami Mostaru i Dubrownika, wołałem nieraz do siebie pod wrażeniem chwili, że Laube miał słuszość. Dopiero gdy w wygodnym dyliżansie pocztowym odbywałem długą, 72 kilometrową podróż, przez sławną z piękności dolinę Vrbaśa między Jajcem a Banjaluką, drogą nazwaną w niemieckim przewodniku „eine der grossartigsten Europas“, przypominałem sobie Pieniny i pomyślałem: a przecież mimo wszystko, mimo tych wspaniałych ścian skalnych, miejscami zdobnych w ruiny zameczysk, mimo przepięknej, dzikiej rzeki, mimo kunsztownych mostów, tuneli i t. d., Pieniny nasze piękniejsze; tu pustka, martwość, wielkie ściany skalne, prawie nagie, te same prawie formy i kształty powtarzają się za często, tam zaś różnorodność większa, kształty skał śmiglejsze i tryskające życiem bujnej roślinności; tu monotonia 7-godzinnej jazdy w skwarze słonecznym, tam upajający lot w łódeczkach po rzece. Wolę, wolę Pieniny!

(Z wywodów powyższych dosadnie wynika, iż Pieniny słusznie mogą być uważane za klejnot nie tylko polskiego, ale i europejskiego krajoobrazu, a i w światowych osobliwościach górskiej przyrody zapewne nie na ostatnim wypadnie postawić ją miejscu. Nic dziwnego jednak, że w zagranicznych opisach o naszych Pieninach jest głucho, bo wszakże i opinja polska nie jest jeszcze wartości i znaczenia tego klejnotu należycie świadoma. Czas, w którym Pieniny zostaną przez Polskę i Europę „odkryte“, nie nadejdzie pierwej, zanim nie zyskają one nowoczesnej komunikacji i urządzeń turystycznych, bo na teraz 30 z okładem km.

drogi kołowej z Nowego Targu lub Starego Sącza, albo całodzienna wycieczająca wędrówka przez góry ze spodziewanym noclegiem na deskach, czy pod uczynną koroną smereków, trzymają ją zdala od kulturalnego świata.

Na czemże polega ów urok Pienin, dzięki któremu nie wahamy się stawiać ich tak wysoko w rzędzie mirabiliów świata, zachwyty wyjątkowego godnych?

☉ Sekret piękności Pienińskiego wąwozu leży w szalonych zakrętach



Widok ze szczytu Sokolicy na zakręt Dunajca koło Przechodków Wielkich, oraz na dolinę Leśnicy (w głębi). (Fot. St. Zwoliński).

Dunajca, jakie on czyni, przełamując się przez to niewielkie gniazdo skał wapiennych. Odległość końcowych punktów przełomu, od Czerwonego Klasztoru do Szczawnicy Niżniej, wynosi 2·4 km., a rzeka na tej przestrzeni ma bieg $3\frac{1}{2}$ razy dłuższy, t. j. przeszło 9 km., i robi 7 wielkich i kilka mniejszych zakrętów; są one tak ostre i nagłe, że cały przełom niejako dzieli się na kilka drobnych wąwozów, wśród których traci się z początku orientację, powiększa się w wyobraźni rozmiary przełomu i nie zdaje się sobie sprawy, że te liczne, fantastyczne okolice są temi

samemi, które już raz i drugi widziało, lecz coraz to z innego punktu i boku. Różnorodność widoków jest niewyczerpana, ukształtowanie skalic nader fantastyczne. Strzelają one nad powierzchnię rzeki od 300 do przezło 500 m. wzwyz, miejscami prawie prostopadle, to też robią wrażenie imponujące. W jednym miejscu tworzą te skały gołe ściany, kończące się w górze ostrem ząbkowaniem, w innym strzelają ostremi iglicami lub okrągławkami turniami, to tworzą piętra i uskoki, to opadają pochyłymi zboczami, na których bieleją jasne smugi piargu. Kolor wapieni jest rozmaity, przeważnie biały, to znów czerwony, żółtawy lub różowy. W rysach skalnych, po gzymsach, piargach, roślinie osobiwa flora pienińska; piętra, uskoki, czuby i zbocza opanowała ciemnozielona smreczyna. Pośród tych ścian skalnych otwierają się miejscami dołom lub górą jasne, nader kwieciste polany, a dnem wąwozu przewijają się modre nurty najpiękniejszej rzeki polskiej, szumiąc, pieniać się, rozbijając się o skały, bryzgając pianą i wirując na skrętach.

Rzecz naturalna, że zależnie od pory roku i dnia, od natężenia światła, przybierają Pieniny bajeczne odcienie kolorystyki, fantastyczności i najróżnorodniejsze wywołują nastroje. Suma wszystkich wrażeń spleta się w wieniec najczystszeo zachwytu i upojenia, dusze czule na piękno przyrody poi podziwem i wrażeniami podniosłemi, niezapominalnemi nigdy.

Z przejazdu na czółenkach widziane Pieniny jeszcze większym i potężniejszym wioną urokiem, niż przebywane pieszo.

Fantastyczne kształty otoczenia, niespodziane zawroty rzeki, bezustanna zmiana widoków, szybki pęd łódek, zacierają w podróżnym poczucie rzeczywistości i porywają go w krainę marzeń i ułudy; zaczyna mu się zdawać, iż to, co widzi, jest jakimś snem upajającym, jakimś zaklętym, czarnoksięskim gmachem, ogrodem cudownym, które widział niegdys w dziecięcej wyobraźni, kiedy słuchał opowieści o czarnoksiężnikach i nieziemskich mocach.

Prymitywną jest nasza flotylla pienińska, lecz właśnie w tem leży jej urok. Łódeczki wążiuchne, z jednego pnia drzewa dębane, wiążą górale dla bezpieczeństwa po dwie, trzy, nawet cztery razem i — puszczają je na wartki prąd rzeki, który nas niesie wprost pod przepaściwą ścianą Trzech Koron. Przewoźnicy zaczynają pracować; z kocią zwinnością i z wielką przytomnością umysłu odpychają czółna od nadbrzeżnych, lub tkwiących w łożysku rzeki skał, o które grozi im rozbicie, kierują je na pełną wodę i powstrzymują ich bieg zbyt chyży.

Koło „zbójckiego skoku“ woda pieni się, bałwani, wygina swój grzbiet w ciasnem korycie, skacze falą do góry: faluje z jej ruchem

i łódka, ścieśniają się ku wnętrzu podróźni, woda bryzga na odzież, dostaje się do łódek. Za chwilę rzeka się uspakaja i płyniemy zwolna, jakby po cichem, śródgórskiem jeziorze. Przewoźnicy odkładają drążki, wylewają wodę z czółen, podróźnych opuszcza naprężenie i w spokoju słuchają objaśnień o nadbrzeżnych widokach, o 7 modlących się Mnichach za Hutą, o Zakonniczy na Facimiechu. Lecz wkrótce powtarza się to samo, znów zakręt, znów wiry i skały, znów woda rzuca się w dzikim pędzie w ciasny przesmyk, jak rozhukany rumak stepowy, i porywa nas na swym grzbiecie. Gra w niebezpieczeństwo rozgrzewa krew, nieci ogień w żyłach, podnieca pracę umysłu i nerwów. Każdy zakręt podnosi ciekawość, co dalej będzie, co z nami zrobi ta szalona rzeka, pod której poddaliśmy się władzę? I coraz to nowe migają przed zdumionem okiem widoki i coraz to piękniejsze, choć wierzyć trudno, by mogło być coś piękniejszego nad to, co widzieliśmy lub w tej chwili widzimy. Najgoręcej przecież pracuje wyobraźnia, gdy za otwartą Hutą wjeżdżamy pod Golicą w ciasny wąwóz, zamknięty wyniosłą skałą Facimiechu; skały tak schodzą się blisko, wąwóz tak ze wszech stron zamknięty, iż zdaje się, że rzeka musi tu ginąć w jakimś podziemnym tunelu. Co będzie, pytasz sam siebie, pędząc coraz to szybszym biegiem, zwłaszcza przy wezbranej wodzie, wprost na stromą ścianę? Przewoźnik przodujący trzyma żerdź wymierzoną przed siebie, pchnął mocno, żerdź pękła! Rzutem rysia chwycił drugą z dna łodzi, pchnął o skałę raz drugi, łódź zakręciła silnie i wjeżdżamy na uroczej zieleni Polankę z czardą, zamkniętą w głębi Czerwonemi Skałami.

Najpiękniejszy krajobraz od Pienińskiego Potoku aż po Sokolicę możemy podziwiać dowoli, bo rzeka rozlewa się tu szeroko, jakby jezioro, płynie wolno i w nurtach swych odbija dzikie otoczenie. Ostatnia emocja to zawrotne koło Przechodków Wielkich, za którymi po krótkiej już jeździe kończymy fantastyczną żeglugę u ujścia Ruskiego Potoku.

Kiedy Szczawnica przed półwiekiem mniej więcej kwitnęła pełnią rozwoju, urządzali zamożniejsi kuracjusze paradne i wystawne jazdy po Dunajcu w kilkadziesiąt osób; nie brakowało wtedy góralskiej lub cygańskiej muzyki na przedzie, strzałów wiwatowych koło Hukowej, żywej ochoty i blasku pochodni, gdy nocną obrano porę. Dziś żyje tylko tradycja tych wspaniałych kuligów wodnych, a kto chce obecnie podnieść urok fantastycznej przejażdżki, wybiera porę pełni księżyca.

Z królewską zaiste hojnością sypnęła natura niezwyklej miary pięknościami w Pieninach i stworzyła ten arcytwór, niewielki wprawdzie, ale prawdziwie natchniony i wzniosły. Nie imponują Pieniny wysokością

szczytów ani ogromem masywów, owszem pod tym względem sprawiają pewne rozczarowanie, bo nawet okoliczne grzbiety Beskidów przewyższają je o 200 do 300 m. i przygniatają ogromem masy swych korpusów, lecz imponują swą romantycznością i poetyczną krasą. Były też dlatego bodźcem twórczości dla wielu poetów, od Pola i (równie rymowanego opisu) Z. B. Stęczyńskiego począwszy, a na Konopnickiej i Z. Przesmyckim i innych współczesnych skończywszy. Rozgłos ich nie sięgnął jeszcze poza Polskę i dawne Węgry, lecz że takiego skoncentrowania ślicznych widoków i takiej jazdy szumnej i takich splotów wężowych wspaniałej rzeki nie posiada zagranica, doczekają się i Pieniny szerokiej sławy i podziwu obcych.

Lecz nie tylko pod względem krajoobrazowym są Pieniny wyjątkową osobliwością; na to miano zasługują one także z powodu naukowych zagadnień. Szczególnie ich flora bogata i osobliwa, oraz kwestje geologiczne i klimatyczne, zainteresowały świat uczony i dotąd są dla niego nierozwiązaną jeszcze łamigłówką; to też nie tylko pienińska literatura piękna, ale i naukowa jest dość obfita i powiększa się stale. Ale że nie te zagadnienia są moim tematem, lecz tylko geograficzno-krajoznawcza i turystyczna strona, przeto do niej zawracam.

Poglądowi prof. A. Rehmana, jakoby Pieniny wraz z sandeckiem pasmem Radziejowej i Magurą Spiską tworzyły jeden górotwór, nie można stanowczo przyznać słuszności. I geologiczne i geograficzne względy przemawiają przeciwko temu. Spiska Magura ciągnie się po Spiszu od przełęczy Żdzarskiej pod Tatrami i kończy się w dolinie Lipnika i Czerteżu (gościniec Czerwony Klasztor-Gniazda) i należy do wewnętrznych pasm Karpat Zachodnich, pasmo zaś Radziejowej jest ogniwem zewnętrznego łańcucha Karpat Zach., t. j. Beskidów Zachodnich. Chaotyczność podziału prof. Rehmana powiększa jeszcze więcej ta okoliczność, iż część Pienin z lewego brzegu Dunajca zalicza on do „Niedźwiedzkiego Działu (=Gorców) Beskidów Zach.“. Takie rozkawałkowanie gór prowadzi do zamętu, to też słusznie przez innych geografów nie jest ono uznane.

(Pieniny są odrębnym górotworem, geograficznie przynależnym do Beskidów Zach., choć geologicznie od nich się wyodrębniającym. Sąsiadują one od południa z pasmem Magury Spiskiej, od północy z Gorcami, a względnie z ich odnogą Lubania (1225 m.), i z sandeckiem pasmem Radziejowej (1265 m.). Wraz z dwoma ostatnimi pasmami wchodzi one w skład wielkiego łańcucha Beskidów Zachodnich.)

Geologicznie wśród swego piaskowcowo-fliszowego otoczenia Beskidowego wyodrębniają się Pieniny przez to, iż są zwartą grupą jurajskich

skalic wapiennych, będących częścią długiego, międzykarpackiego pasma skalistego, które się poczyna koło Wiednia, a kończy się w Marmaroszy nad górną Cisą. Skalice te występują na tej przestrzeni w różnych miejscach, przeważnie sporadycznie, mało gdzie tworząc nieco większe skupienia,



Wąwóz Sobczański w Pieninach. (Fot. K. Sosnowski).

jak w przełomie Wagu i Orawy, w Pieninach zaś ukazują się w tak silnym skupieniu, iż za odrębny górotwór słusznie tu uważane być powinny.

Pochodzenie skał Pienińskich wywołało różne hipotezy geologiczne, które jeszcze stanowczo nie rozwiązały tej zagadki, podobnie jak i pochodzenie kilku pomniejszych gór, zbudowanych z wybuchowych law andrytowych, zbliżonych do trachitu, rozsianych równolegle do Pienin po półn. stokach Lubania i pasma Radziejowej (Żar, Sołtysia, Bryjarka i i.).

Nazwa Pienin pochodzi od pieniających się wód w Dunajcowym przełomie, spotykana zaś niekiedy nazwa Pioniny, rzekomo od pionowo spadających skał, zgoła nie wydaje się trafną. Turyści i szeroka publiczność nazwą Pienin obejmuje tylko ów mało-

wniczy przełom z pieniającą się wodą Dunajca między Czerwonym Klasztorem a Szczawnicą, geografja atoli na tem stanowisku pozostać nie może.

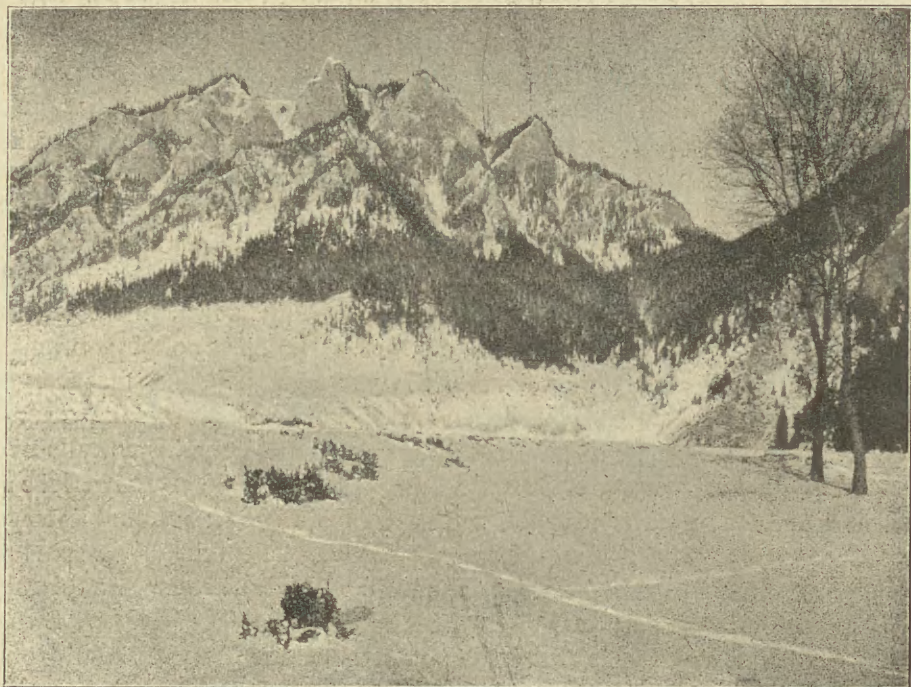
Geografowie nazwę Pienin rozciągają na pas skalic od Czorsztyna na zachodzie po ruską wieś, Białą Wodę, na wschodzie. Sądzę, że i ta przestrzeń jest za krótką, i że do Pienin zaliczyć należy na zachodnim skrzydle także pas skał wapiennych, ciągnący się od rzeczki Białki po Niedzicę, który wraz z poprzednim stanowi nieprzerwaną całość, przeciętą w dwóch miejscach wyłomem Dunajca.

Pieniny zatem poczynają się nad rzeczką Białką koło wsi Nowej Białej i ciągną się jednolitem pasmem skalic wapiennych w kierunku wschodnim aż blisko po górę Eljaszówkę w paśmie Radziejowej. Długość tego pasma wynosi 35 km., a granicami jego z półn. strony są: Dunajec, Krośnica i Rуска Woda; z południowej: Łapszanka, Dunajec (od Czorsztyna po Czerwony Klasztor) i Lipnik. Ten długi pas Pieniński trzeba podzielić na kilka odrębnych części, zależnie od położenia i krajobrazowego charakteru.

Skałki wapienne, już z podhalańskiego fliszu wychylające pojedynczo czuby, jak w Rogoźniku, Szaflarach, Gronkowie (Cisowa, nie Cislowa Skała, 686 m.), ujmują koryto Białki od Nowej Białej w ponętną bramkę skalną, a na prawym brzegu tej rzeczki występują pokaźną masą, tworząc koło wioski Dursztyn bardzo malowniczą, choć niewysoką grupę; dalszy ciąg tej grupy jednakże jest masywny i pokryty lasem, dlatego wiele traci na krajobrazowej ponęci. Część ta zwie się Braniskiem i Hombargiem, a najwyższy jej punkt wynosi 879 m.; u południowego jej podnóża leży wieś Łapsze Niżnie z małym źródłem siarczanem. Zbliżając się ku brzegom Dunajca, obniżają się skały, lecz przybierają więcej powabne postacie; za Falsztynem mają nazwę Zielonych Skał, w których znajdowało się jezioro małeńkie, zawalone jednak zostało ono drzewem, gdyż topiło się w niem bydło. Zwano to jezioro „żyłą od Morskiego Oka“ (Orłowicz: Przewodnik po Spiszu). Na ostatnim wzgórzu tego działu skał stoi wspaniały zamek Niedzicki, tuż nad Dunajcem, podczas gdy wieś Niedzica cofnięta jest od rzeki nieco w głąb doliny Kacwinki. Że ten dział Pienin pomijany był w opisach polskich, powodem tego było zapewne, iż stał na obszarze nieprzystępnym, do węgierskiego państwa przynależnym, obecnie jednak, gdy znalazł się w obrębie państwa polskiego, pora zwrócić na niego uwagę. Godzi się wspomnieć, iż przynależność do Polski tego kawału Zamagurza opłacił ofiarą młodego życia polski komisarz plebiscytowy, ś. p. prof. Józef Wiśmierski; zamordowany w r. 1920 w okrutny sposób w Niedzicy, spoczywa pod Hombargiem przy

Łapszańskim kościele. Zamagurzański dział Pienin niema oczywiście dotąd specjalnej nazwy; możnaby go nazwać Hombarskim, Łapszańskim, sędzę jednak, że ze względu na popularność i sławę Niedzicy, najodpowiedniejszą będzie dlań nazwa: Pieniny Niedzickie.

Z tego samego powodu następny dział Pienin nazwę Pieninami Czorsztyńskimi, gdyż na pierwszej jego czerwonej skalicy stoją zwaliska starożytnego zamku czorsztyńskiego.



Trzy Korony w zimie. (Fot. Z. Hetber).

Między Niedzicą a Czorsztynem skręca Dunajec ku południowi, a pas skalic wapiennych, idąc dalej w prostym kierunku na wschód, przerzuca się na północny brzeg rzeki, towarzysząc jej biegowi równolegle aż pod stoki Trzech Koron. Krajobrazowo są Pieniny Czorsztyńskie najmniej powabną częścią całego górotworu. Skalki nie występują tu w masie zwartej, lecz narzutowo na potężnym zwale fliszowym; wśród polistych przestrzeni tego zwału sterczą tu i ówdzie gołe, to lasem lub krzewami okryte, bloki wapienne, rzadko gdzie stromą ścianą spadające ku rzece.



Widok na Sokolicę i Dunajec z zameczku św. Kingi w Pieninach.

Najokazalsze z nich to Flaki, Usypista, Czarna Góra, sięgające wysokością niewiele nad 800 m.

W biegu swym u podnóża tego działu robi Dunajec dwa duże kolana, a na odsypiskach przez te zakręty utworzonych, leżą dwie interesujące wioski polskie, Sromowce Wyżne i Sromowce Niżne. Ujęte w formalne kleszcze wodne i skalne, mają nader utrudnioną komunikację ze światem, zwłaszcza od czasu zmiany stanu politycznego, gdyż dawniej swobodnie mogli Sromowianie korzystać z gościńca Niedzica-Czerwony Klasztor, idącego prawym brzegiem rzeki, na którym także mają oni swe pola. Jest to ważny wzgląd gospodarczy, przemawiający obok turystycznego za zneutralizowaniem drogi Niedzica-Czerw. Klasztor-Szczawica, o której to sprawie, wielokrotnie przez prasę poruszanej, a mającej być łącznie ze sprawą Jaworzyny załatwioną, całkiem jakoś głucho. Obie te wsi mają z powodu wyśmienitych warunków klimatycznych i krajobrazowych, zadatek na rozwinięcie się w letniska i stacje klimatyczne. Od Sromowiec Niżnich i Czerwonego klasztoru zmienia się zasadniczo krajobraz. Skały przerzucają się tutaj także na prawy brzeg rzeki, łączą się w dwa wyniosłe szeregi i dolinę Dunajca zamieniają w ciasny, kręty wąwóz, ciągnący się około 10 km. aż po Szczawnicę Niżnią. Jest to znany nam już przełom Dunajca, wytwarzający słynne, właściwe Pieniny. Dla tej części górotworu najwłaściwszą byłaby nazwa Pieniny centralne lub Szczawnickie.

Żeby z podziałem skończyć, zaznaczyć jeszcze trzeba, iż u wylotu z właściwych Pienin Dunajec przestaje być granicą, która z nurtów rzeki dźwiga się na skalice, znów pojedynczo na zwale górskim osadzone, i w kierunku wschodnio-południowym biegnąc, spada przez Eljaszówkę na Poprad. Ta część Pienin, równolegle w dolinę Lipnika i Ruskiego potoku ujęta, krajobrazowo do Czorsztyńskiej zbliżona, choć wielce ją malowniczością przechodząca, ma już ustaloną nazwę Małych Pienin.

Cały więc pas skalicowy pieniński rozpada się na cztery działły: Niedzicki, Czorsztyński, centralny czyli Szczawnicki i na Małe Pieniny. Znany jest nam już przełom Dunajca, pozostaje nam jeszcze do omówienia jego sfera górna, jego szczyty, turnie i doliny boczne.

Sromowianie dostają się do Krościenka lub na szczyt Trzech Koron przez dziki wąwóz Sobczański (Sobków, Słobczany?), który godzien jest bliższej uwagi. W dolnej części jest on tak ciasną, ujętą w prostopadłe ściany gardziela, iż to jedno miejsce w Pieninach przypomina rzeźczone alpejskie „Klamm“y; jest to niejako pieniński kenjon, przez który

snuje się strumyczek i ścieżynka stroma, piarżysta i skalista. Skały jego tak opisuje Stęczyński:

Ta nachyla swe szczyty i zdaje się smuć,
Jak gdyby na przechodnia chciała się przewrócić;
Tamtą rozpadlinami czarnemi przeraża,
Że nawet i ptakowi zbliżyć się zagraża;
Inna z łona swojego wysącza strumienie,
Na które nigdy słońca nie świecą promienie.
Jest to parów tak dziki, że nawet roślinie
Nie da kwiatów rozwinąć w swej pustej krainie.

W górnej części wąwóz ten się roztwiera i daje prześliczny rzut oka na zach. zbocza Trzech Koron, które opadają w dziko poszarpanych, żlebami pooranych, piargami zawalonych, smreczyną obwieszonych piętrach i wyskokach, a między nimi sterczą nad inne samotne „Baby“. Największą wszakże osobliwością Sobczańskiego wąwozu jest skała Kopa, rzekomo do kopy siana podobna, więcej atoli ma ona podobieństwa, z powodu tego że jest płaska i śpiczasta, do końca jakiegoś olbrzymiego miecza, z ziemi wystającego.

Wierch po Giewoncie najpopularniejszy, serdeczne i śliczne nasze Trzy Korony (982 m.), dziwnego są kształtu górą, a raczej półgórą. Od strony półn. jest ona tak łagodną i połągą, że wozem da się z Krościenka pod szczyty wyjechać, od południa tak przepaścistą i stromą, iż zda się, jakoby ktoś tym mieczem Sobczańskim rozciął ją na póły, i pół zostawił, a pół gdzieś precz odrzucił. Ta ściana połudn. od dołu dźwiga się pochyło i okryta jest płaszczem lasu; im wyżej jednak, tem ona stromsza, las czepia się tylko kępami, między którymi błyszczą jasne czoła skałek i piarżyste żleby, a u samej góry strzela dziesiątkiem prostopadłych turni, z których trzy najwynioślejsze: Okrąglica, Ostra Skała i Grabczycha, wieńczące ją jak zęby złotą koronę, nadały górze nazwę. Zwiedzaną i udostępnioną jest z nich tylko Okrąglica, szczyt jej sięga 522 m. nad poziom nieco oddalonej rzeki, robi przeto wrażenie imponujące i zachwycające zarazem. Dawniej podziwiano cudny i rozległy widok z Trzech Koron tylko ze Siodła, skałki o kilkadziesiąt metrów niżej od szczytu Okrąglicy w formie wąskiego uskoku wystającej, na samą Okrąglicę drapali się tylko najśmielsi. Stęczyński swój podziw także tylko ze Siodła roztacza. Obecnie po wykutych stopniach prawie każdy wyjdzie na tę iglicę, poręczami ubezpieczoną, lecz zdarzało mi się widzieć tam osoby ze strachu blade i na brzuchu leżące; odmówić sobie muszą

tam wejścia ludzie cierpiący na zawrót głowy, bo na turni tej, wąskim tylko grzbiecikiem u spodu z trzonem góry złączonej, ze wszech stron zieje przepaść i bezdeń, a wiatr dziką gwizdże melodję, lecz

...jeśliś tam był, śnił, wszystkimi poloty
w krynicy piękna tonął — sen prześniłeś złoty —
I już żadna z sił, oskardy ni młoty,
Nie uwolnią ci serca z pęt wiecznej tęsknoty!

(Z. Przesmycki).

Dołem są Trzy Korony silnie rozczłonkowaną górą, a cała połowa przełomu rzeczno, od lipowej dąbrowy w Czerw. Klasztorze po Pieniński potok, wije się u jej podnóży. Różne skały prostopadłe i wysoki skalne zmieniające bieg rzeki, jak Piecki, Ligarki, Fujarkowe, Facimiech, Stolikowe, Klejowa, Ostra, Świnia, Skała, są niczem innym, jak dolną podbudową Trzech Koron.

Z masywu Trzech Koron odbiega w zawiłym układzie kilka odgałęzień, tworząc drugorzędne wierzchołki Facimiechu, Klejowej i i.; w kierunku półn.-wsch. przez przełęcz Niedźwiadki, dającą wspaniały rzut oka na przepaścistą ścianę Trzech Koron, i przez polanę Koszarzysko, dostajemy się na Górę Zamkową (795 m.), która bystrym obrywem spada w dolinę Pienińskiego potoczku. Pod samym szczytem tej góry, w miejscu tak ukrytem i ze wszech stron niedostępnem, iż je do gniazda orlego zawsze porównywano, stał niegdyś na skalnej terasie zameczek św. Kingi. Zachowały się z niego zaledwie ślady, mianowicie od strony potoku fundament muru długości 88 m., oraz tu i ówdzie ledwie dostrzegalne resztki. Jest to zaiste uroczy i błogi kąciek, owiany nie tylko poezją przyrody, ale i poezją legend o cudownem powstaniu Pienin, Dunajca, zamku i jego obronie (W. Pol, S. Morawski, F. Wiśniewski); ze szczytu tej góry otwiera się cudny widok w dół na przełom Dunajca. Nieco poniżej zamku w płytkiej grocie stoi ołtarzyk z posągami św. Kingi, przed którym przy udziale tłumu pątników odbywa się corocznie dn. 22 lipca nabożeństwo. Stała tu też przez kilkanaście lat pustelnia, która jednak została zniszczona przez ludność.

W przeciwieństwie do Sobczańskiego wytwarza Pieniński potoczek dolinę krótką, płytką, szeroką, porośłą lasem bądź krzewami i bujną roślinnością; łączą się z nią jeszcze dwie boczne, a to dolina Szeroka i Jaworowa, przy końcu której miało być — obecnie zanikłe — jezioro, zwane Łażnią św. Kingi. Dolina nikłego Pienińskiego potoku oddziela

zwartą, kolistą grupę Trzech Koron, od grupy następnej, ciągnącej się podłużnie nad Dunajcem, Pieninkami zwanej.

Pieninki są znacznie niższe od Trzech Koron, bo dochodzą ledwie 800 m. wysokości, lecz nie wiele mniej od nich są fantastyczne i śmigte. Najwięcej sławy i wziętości z tego pasemka skalic zażywa lotna Sokolica (746 m.) z poniższą, niedostępną iglicą Cukrowej Głowy. Kto spojrzy na Sokolicę od strony Dunajca, mniema, iż tylko na sokolich skrzydłach wznieść się na nią można, a przecież z przeciwnej strony jest jej szczyt łatwo osiągalny. Najśmigtejsza ta z pienińskich skalic spada ku rzece prawie prostopadle 300 m. w głąb i cała odbija się w spokojnej w tem miejscu wodnej toni; z jej szczytu prawie całe rozkoszne gniazdko Pienin widnieje w swym powabie, widnieje rzeka, po której mkną łódeczki i tratwy, widnieje droga nadbrzeżna, po której posuwają się punkciki ludzkie, a z lewej strony dolata nas szum rzeki, która tu dokoła lesistego kopca w gwałtownym biegu zatacza 3/4 części koła — to Przechodki Wielkie, najwspanialsze miejsce z całych Pienin.

Sąsiadki Sokolicy na prawo i lewo — to Czerwone Skały, (811 m.) opadające urwisto w dolinę Pienińskiego potoku, łukowaty Czertez (764 m.), lesista Burzyna, Sosnowo, Hukowa Skała i i., które razem tworzą grań, wiążącą się w miniaturową orlą perć pienińską, dla ostrożnego nie przedstawiającą żadnych niebezpieczeństw.

Prawy, „słowacki“ brzeg Dunajca jest uboższy krajobrazowo; stromych skał opada tu daleko mniej, miejscami spadają ich zbocza dość umiarkowanie, miejscami otwierają się szersze wyrwy, jak Polanka z „czardą“ (gospodą) i urocza Huta; to też po tym brzegu wiedzie przez wewnątrz Pienin jezdna drożyna, często przez wylewy wody przerywana, bo po lewym zbudowanie drogi byłoby prawie niemożliwością. Nie zdaje mi się rzeczą wiarygodną, że przez Pieniny szła w średniowieczu szosa kupiecka, bo i potrzeby i miejsca ku temu nie było, a i technika ówczesna nie mogłaby takiemu zadaniu sprostać.

Ze skał i wierchów prawobrzeżnych godniejsze są uwagi: lesista Góra Klasztorna; najwynioślejsza Golica, (836 m.), choć nie goła, silnie rozczłonkowana, podnóżami swemi od Huty po Leśnicki potok sięgająca, żlebami zorana, stożkami piargów drogę zasypująca; siedem malowniczych skałek, zwanych Mnichami; Czarna Skała z osobliwą florą pienińską. Najpiękniejszym atoli miejscem na tym brzegu jest ujście Leśnickiego potoku pod Wielkimi Przechodkami. Jest to także skalna gardziel, także rodzaj swojskiego kenjonu, lecz znacznie od Sobczańskiego szersza, ujęta w prostopadłe ściany Osobnej, Wylizanej

i Czubów, za którymi w głębi kryje się graniczny Bystrzyk i uroczysko Siodełko.

Przez ten wąwozik wiedzie ścieżka do wioski Leśnicy, czysto polskiej, jedynej we wnętrzu Pienin (lecz nie w przełomie) przesłanicznie położonej, oraz do grupy skał od Dunajca oddalonych, w których mieści się grota Aksamitka. Prócz tej jednej nieznanne są inne większe jaskinie w Pieninach; niezawodnie są takie jeszcze, lecz czekają na odkrywców.



Na rozburzonych falach Dunajca; w głębi Sokolica. (Fot. K. Górski).

Grota w górze Aksamitce (891 m.) nie jest wprawdzie żadnym nadzwyczajnym fenomenem, lecz nie jest też niepokazną; ma ona spory labirynt pieczar i chodników, a lud zwie ją „mleczną jamą“ od ściekającej ze sklepienia wody wapiennej, z której potworzyły się ładne okazy stalaktytów, noszące różne nazwy, stosownie do swego kształtu; większych pieczar jest trzy: „mleczna jama“ z mnóstwem nacieków, „zbójecka sala“, do której wchodzi się na czworakach, „gacopierze“ z mnóstwem gacków; czwarta i piąta, do której schodzi się po drabinie, są małe i mniej zajmujące.

Małe Pieniny są — jak wspomniano — szeregiem odosobnionych skalic, osadzonych w różnych odstępach na granicznym, gołym grzbiecie fliszowym. Niektóre z nich są bardzo okazałe i misternie rzeźbione.

Największą wszakże atrakcją jest tu wąwóz Homole we wsi Jaworki (6 km. za Szczawnicą-Zdrojem), do którego w ściślejszym zakresie nazwa Małych Pienin się ściąga. Ma on ok. 1 km. długości, a wąska jego czeluść nie tworzy znaczniejszych zakrętów. Jest on jakby pomniejszeniem Pienin właściwych, czemś w rodzaju dolin w Ojcowie, lecz o wiele dzikszem. Sterczą tu z obu stron mniej lub więcej strome skały z czerwonego wapienia, kończące się w górze ostremi turniczkami, do 100 m. ponad dno wąwozu wzniesionemi; po ścianach wąwozu czepia się skarłała smreczyna, wiszą trawiaste upłazki, lecz przeważnie panuje golizna. Dołem szumi biały strumyk, dno zasłane piargiem i głazami, podnosi się bystro ku górze i prowadzi na przełęczkę z widokiem na wyniosłą turnię Wysokich Skałek. Ta górna część wąwozu jest istotnie piękna i przypomina tatrzańskie widoki z Zimnej Wody (Kolbach); teren podnosi się tu stromemi tarasami, a szumiący rozgłośnie potok spada po nich w dziesiątkach kaskad, rozdziela się na ramiona i parska białym pyłem wodnym na wygładzone wielkie otoki i kępy smereków. W opisie Stęczyńskiego spotykamy wzmiankę, iż (w czwartym dziesięcioleciu XIX w.) w Homolu, czy Jaworkach odkryto urny¹⁾.

Postępując w kierunku wschodnim od łysego czubu Polanicy nad samą Szczawnicą po bezdennych ugorach granicznego grzbietu, spotykamy następujące ważniejsze skalice: Szafranówka (735 m.), pod którą leży Zabaniszcze, podobno zarzucona kopalnia węgla i bursztynu; trzy Łażne Skały (772 m.), okryte leszczyną; Rabsztyn (899 m.), gdzie dopatrują się śladów zameczku; polisty, goły Wierch Koguci (935 m.), poniżej którego wznosi się nad Szlachtową okrągła kopa Jar-

¹⁾ Stęczyński tak o tem pisze:

...Dalej wioska Jaworki leży na dolinie.
Przez którą bystry potok z wyższych łożysk płynie;
Tam powiedzą ci ludzie: że palone kości
Chowano w garnkach z gliny, oddając wieczności;
Przy nich tarcze i miecze położone były,
Które stan umarłego i godność znaczyły.
Te pamiątki szacowne bez szumnej pogłoski
Odkrył miłośnik nauk, Gwalbert Pawlikowski.



Hukowa Skała w Pieninach.

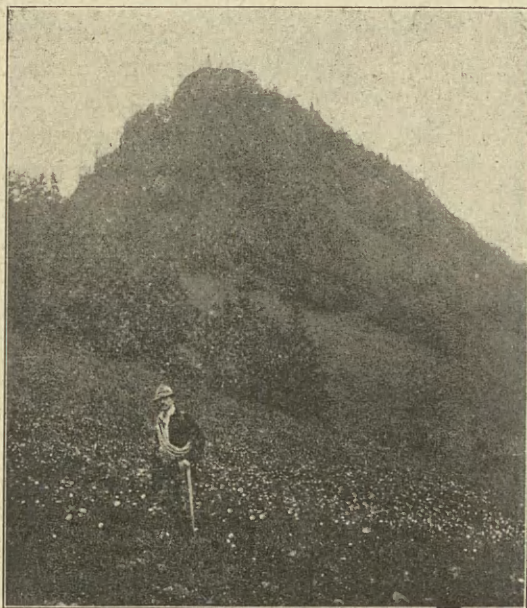
muły z długą, wąską pieczarą, podobno także zarzuconą kopalnią; wreszcie Wysokie Skałki (1052 m.).

Ostra ta, kształtem do Krywania podobna, czerwono-wapienna turnia, jest najwyższem wzniesieniem w całych Pieninach. Z jednej tylko strony przez wąską grań łatwo dostępna, z innych do „zdobywania“ pończta, z powodu ustronności położenia mało zwiedzana, choć jako punkt widokowy niewiele Okraglicy ustępująca. Stoki tej turni prócz urwistych miejsc okryte są lasem, lecz szczyt pozostał goły; u jej podnóża ścielą się kwieciste polany.

Prócz okazalszej Wierchliczki (955 m.) spotykamy w dalszym ciągu jeszcze sporo pomniejszych skałek, z tych ostatnie w przełęczy między Białą Wodą a Littmanową, nieraz bardzo ciekawe kształtem, a przeświecające okienkami i szczelinami na wylot. Tu już kończą się Pieniny, a granica zwraca się na północ i przez połogie wierchy beskidowe podąża w stronę Popradu.

Małe Pieniny wznoszą się na etnograficznym półwyspie ruskim; wioski u ich podnóża w dolinie Lipnika położone, (Littmanowa, Folwark, Lipnik), jak i po polskiej stronie w dolinie Ruskiej Wody (Biała i Czarna Woda, Jaworki, Szlachtowa) są zachodnią kończyną ruskiego cypla językowego.

Gospodarką turystyczną w Pieninach zajmował się Oddział Pieniński Towarzystwa Tatrzańskiego, założony w r. 1893 z siedzibą w Szczawnicy, potem w Krościenku; z węgierskich tow. turystycznych żadne nie zajmowało się bliżej Pieninami. Zostawiony własnemu losowi, nie oparty o żadne większe środowisko ludzkie, mający przeważnie członków przygodnych z pośród letników i kuracjuszów, skazany był z góry Oddział Pieniński na słabą wegetację. Liczba jego członków



Wysokie Skałki w Małych Pieninach
(Fot. Z. Hetper).

trzymała się przeciętnie cyfry 30-tu, dwukrotnie tylko wzmogła się chwilowo ponad 60-ciu. Mimo to zdołał Zarząd Oddziału dzięki zabiegom kilku energiczniejszych jednostek, a zwłaszcza dzięki ofiarności prezesa hr. St. Drohojowskiego i przedsiębiorczości sekretarza Dr. Z. Tałasiewicza, dokonać paru czynów ważniejszych¹⁾.

Do tych należały skuteczne starania u Wydziału Krajowego o wybudowanie wybornej drogi prawym brzegiem Dunajca od Szczawnicy po słup graniczny, organizowanie przewoźników i przewodników górskich, biur informacyjnych, oznaczenie ścieżek farbami i utrzymanie ich w możliwym stanie, postawienie paru altan, ławeczek, ubezpieczenie przepaści na Okraglicy, Czerwonych Skałach, Sokolicy żelaznemi poręczami, zbudowanie łodzi i promów przewozowych przez rzekę, a wreszcie urządzenie noclegowiska turystycznego z kilku łózkami w gajowni w Sromowcach i zbudowanie dwóch schronisk w przełomie pienińskim, a to małego domku im. Zyblikiewicza pod Siodełkiem, oraz dwuizbowego domu z kuchnią i piwnicą na polance Przechodki Małe, w ślicznym położeniu pod Hukową Skałą, który nazwano schroniskiem Sienkiewicza.

Większość atoli tych wszystkich urządzeń była obliczona więcej na wygodę i przyjemność kuracjuszków i miejscowych obywateli, niż na użytek szerokiego świata turystycznego; dla braku urządzeń noclegowych dwa ostatnie t. zw. „schroniska“ nie odgrywały nigdy innej roli, jak szynku dla woźniców (Zyblikiewicza), oraz kawiarni i restauracji dla kuracjuszków i letników ze Szczawnicy i Krościenka (Sienkiewicza).

Czas wielkiej wojny zniszczył i te wszystkie dokonane już rzeczy, Oddział Pieniński zdeorganizował i o śmierć cichą przyprawił. Ze znaków, ścieżek, ławeczek, poręczy ślady ledwie zostały, noclegowisko w Sromowcach przestało istnieć, domek Zyblikiewicza zgorzał, Sienkiewicza istnieje, lecz bezpański i bezużyteczny.

Ze wstydem trzeba to wyznać, iż turysta polski, — cóż dopiero mówić o ściąganiu obcych! — nie ma gdzie pod Pieninami głowy do snu ułożyć. Skromny i szczupły hotelik w Krościenku i przytułek noclegowy, dawany turystom przez życzliwy i czynny Zarząd Zdrojowy w Szczawnicy, nie mogą być tem, czego się domagają Pieniny, aby obok Tatr stać się główną ostoją turystycznego ruchu. Pieniny głośno wołają o przyzwoite i kulturalne urządzenia turystyczne, bo obecnie pod tym względem na nieuropejskim stoją poziomie.

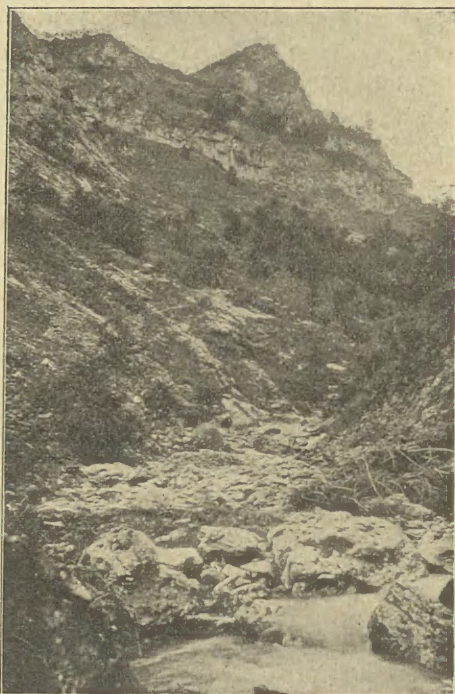
¹⁾ Dokładny obraz działalności tego Oddziału podałem w Pamiętniku Tow. Tatr. z r. 1913.

Zarząd Główny Tow. Tatrzańskiego zwrócił już na to uwagę, a Walne Zebranie Towarzystwa w r. 1922 uznało Oddział Pieniński za nieistniejący, a opiekę nad Pieninami poruczyło Oddziałowi Krakowskiemu, później jednak zgłosiło kilka osób z Krościenka zamiar wskrzeszenia tamże Oddziału, który wszakże dotychczas znaku życia nie dał. Wzniesienie przyzwoitego i obszernego schroniska w Pieninach musi stać się punktem honoru dla polskich organizacyj turystycznych; miejscem dla niego odpowiednim jest polanka poniżej szczytów Trzech Koron, gdzie da się ono w lesie bez szkody dla krajoobrazu ukryć. Stał tam już nawet dom prywatny czy koliba, która służyła za prymitywne schronisko, a która przed kilkunastu laty zgorzała. Jeżeli nie tu, to miejsce na schronisko może być tylko u podnóża gór, w żadnym razie nie wewnątrz przełomu, zanim się to jednak stanie, należałoby w jak najbliższym czasie dom Sienkiewicza z restauracji zamienić w noclegowe schronisko.

Jest jeszcze i druga sprawa, która także punktem honoru stać się powinna dla turystyki polskiej. Jest nią uniezależnienie dostępu do Pienin i swoboda ich zwiedzania.

Ten cichy zakątek pieniński, ta błoga ustronń, ma swoją tragedję. Jest nią granica czeska.

Nie cofając się do czasów bardzo odległych, gdy stan rzeczy był inny, przypomnijmy sobie, że przez długie wieki Dunajec w Pieninach był polsko-węgierską, a do niedawna galicyjsko-węgierską granicą. Granica ta była tu wprost martwą linią, którą z obu stron przekraczał swobodnie, kto chciał i kiedy chciał; prócz słupa granicznego, bandy cyganiat, częstujących „stuletnią wodą“ — i napisu „czarda“ — nic już nie przypominało turyście polskiemu, iż przekroczył granice swojego kraju. Z na-



Wawóz Homole w Małych Pieninach.
(Fot. K. Sosnowski).

stanem czeskiego panowania zmienił się ten stan gruntownie — i na straży piękności pienińskiego wąwozu stanęły... czeskie bagnety.

Rozcięcie jednolitego tworu przyrody, jakim są Pieniny, wznoszącego się nadto w całości na jednolitym i zwartym obszarze językowym polskim — było i jest polityczną niesprawiedliwością i nonsensem. Była chwila, kiedy zachodziła możliwość, iż całe Pieniny mogą się znaleźć przy Polsce, a to w r. 1919—20, podczas plebiscytu na Spiszu, bo teren poddany pod głosowanie sięgał po szczyt Wysokich Skalek. Stało się inaczej — i pozostał stan dawny. Tragedja Pienin nie znikła, lecz zaostrzyła się wiele.

Obecnie całe Pieniny — oprócz opisanych powyżej skalic prawobrzeżnych w samym przełomie rzeki i Małych Pienin, których skalice w połowie między dwa państwa się dzielą — stoją w Polsce i są polskimi górami. Przez kapryśne zarządzenie przyrody droga dojazdowa do wnętrza Pienin z Niedzicy do Czerw. Klasztoru i droga od tegoż do Szczawnicy przez sam przełom pieniński idąca, mogła być poprowadzoną tylko po „czeskim“ brzegu. Przystań dla polskich łódkarzy także przy nim ma dogodne miejsce, a i uciążliwe holowanie łódek przy pomocy lin i żerdzi też siłą rzeczy odbywa się po zagranicznym brzegu. Jednym słowem: Polska ma Pieniny, lecz dostęp, lecz klucz do nich, znajduje się w posiadaniu czeskiem. I turysta i łódkarz i góral Sromowiecki — zdani są tu na łaskę i niełaskę Czechów i zależni od przykrych formalności i szykan granicznych.

Po dobrowolnej konwencji turystycznej, po sąsiedzkiej umowie granicznej z Czechami, niewiele można się polepszenia stanu rzeczy spodziewać; o małej poprawie na granicy z odcięciem na stronę polską całego kompleksu Pienin także — zdaje się — mowy być nie może; pozostaje tedy jedyny sposób do załatwienia kwestji pienińskiej, a tym jest zneutralizowanie całej drogi z Niedzicy przez Czerwony Klasztor do Szczawnicy — i to tylko w drodze konwencji międzynarodowej. Właśnie pora na to w łączności z płynną jeszcze sprawą Jaworzyny. Jeśli tej sposobności nie wyzyskamy, sprawa pienińska może być zgoła straconą. Przy obecnym zaś stanie rzeczy Pieniny będą wprawdzie dla Polski klejnotem, lecz przełupanym na dwoje, a taki klejnot traci pełną wartość.

W Krakowie, styczeń 1924.

Kazimierz Sosnowski.

III.

Na Dunajcu.

(Ustęp z większej całości p. t. „W opuszczonej pustelni“.

Siedział se Chrystus w swej kapliczce zmizerowany i zawsze jednako zafrasowany nad sprawami ludzkiemi. Pustelnik, ilekroć tędy przechodził, przystawał przejęty litością. A oblicze męczeńskie było jakby chustą świętej Weroniki, która starła ból z serca całej ludzkości i krwią jego było przepojone każde boże spojrzenie, każde słowo, wołające w niewypowiedzianej potędze uczucia, na szczycie ziemskiej Golgoty poranione słowo milionem ran: Cierpię.

— Coz wam, Panie Jezu? Biedniście barz. Widzę, ale jo nijak nie poradzę. Ślipkocie nocami i dniami nad złością ludzką. Dojcie pokój, nie płacicie, płakaniem serca cłowiecego z grzechu nie obmyjecie.

I głąskał Chrystusa, pocieszał, tłumaczył. Ale oblicze boże zawsze było jednakie. Chcąc więc ucieszyć, chwycił ptaki, które godzinami szcziotały, zbierał kwiaty, które wonie rozsiewały. Ale ani wonie, ani melodje nie rozweseliły smutku i cierpienia. Bezradny pytał się:

— Panocku święty, powiedzcie co wam jest, coście taki ściemrzony. Jakze wos uradować? No rzeknijcie choć słówecko.

Chodził po lesie, po łące, dumał, ale nigdzie nie znalazł odpowiedzi.

Miał pracę w dole rzeki. Tam musiał jechać. Już odwiązał łódź. Naraz tknięty zbawczą myślą, wyskoczył na ład uszczęśliwiony.

— Zafrasowanego Jezusicka wezmę.

Pobiegł do kapliczki, z czcią wyjął figurę z wnętrza z pośród kwiatów. Ptaki strwożone zaświergotały. Ciszył je, łagodnie przemawiając.

Podźcie i wy, razem hań pódziemy. Wy Panie oboczycie swoje dziedziny. Dyć wy na wsyćkiem gazda. Wsyćko dobro Wase. Wy baca, a my owce, co piją ze źródła wasej miłości, co pasą się na polanie waszego serca — — — a wasa krew serdecno — — — to rosa ranno ló nos. — — — Siedzieliście telo casów i nie uwidzielibyście swoich dziedzin? — — Pojademy wsyckie wroz i jo i te ptoski.

Zasłał ławę smreczyną, guńkę, trawę wonną i pęk kwiatów na dno rzucił, aby nagie deski świętych kości nie utrudzały. Wśród gałązek smreczyny, wśród prześlicznych świeczników złotogłowa umieścił Chrystusa.

Fale z pluskiem uniosły łódź.

Ptaki wieńcem barw i melodji zawisły nad głową bożego synaczka. Fale, chyżo biegnące z pluskiem uniosły łódź. Rzeka płynęła wyrwą wyrąbaną wśród dwu łańcuchów skał. Na zboczach leżały płaszcze lasu, poprzerywane kobiercami łąk, polan, które darzyły wrażeniami ukojenia i błogiego uciszenia. Z pośród smreków wystrzelały nagie turnie i turniczki opasane pasemkami murawy. Czasem z pękniętych szarych ścian wyniosłe drzewa, schłostane wichrami, podobne były do strumieni świeżej zieleni wytrysłej z podziemnych źródeł. Gdzieś w szczybach kamiennych, na progach, barwiły się kielichy kwiatów samotnych, jakby to gwiazdy z niebios spadły, rozprysły się w płatkach wonnych, to znów jakby utrudzone motyle spoczęły i teraz drżą, migocą ich krasne skrzydła, a nie mają sił wzlecieć. W rozpadlinach gnieździły się łączki pieśnińskie osobliwej piękności, gniazda wiosennej radości kwietniej, ustronia niezmaconej ciszy, zaścielone fioletem, który zgubił cień obłoku, zapatrzone w czar obrazów. Dunajec omijał skały, owijał szelestem fal, całował je pluskiem i szmerem. Co chwilę ściany zagraadzały drogę, co chwilę jakby pod zakłębieniem ustępowały, otwierając wejście do coraz bardziej zachwycających komnat krainy górskiej. Wyłaniały się szczyty po kilka razy te same, ale zawsze w innych kształtach, w innych szatach oświetlenia. Dunajec znikał w zacieniach leśnych, w załomach skalnych i znów się wynurzał w całym przepychu swych kras. Płynął raz wartko, burząc się na wysterczających kamieniach, drugi raz ledwo szeleścił, wił się pomiędzy skałami, lasami, wpadał w rozwarte ich bramy, szmaragdowymi ramionami obejmował ściany, zacichał w tych miejscach, jakby w zachwyceniu stawał, pieszcząc falami cuda widziane. Przedzierając się jarem tworzył w nieprzeliczonej ilości załomy, zakręty, wyspy, gaje, ustronia, zacisza, rozsiewając w nich seledynowe, lazurkowe, złote marzenia. Mijali wszystkie zakręty, tajniki wodne. Ich toń zawsze była inna, zmienna. Była raz ciemno, raz jasno zielona, to znów jakby na dnie łąny górskiej gencjany zakwitwały, obok zagonów niezapominajek, jakby słońce swe oblicze obmywało, jakby z łąk, lasów, skał spływały barwy i każdy szmer fali przepoiły. Gdzie smuga światła padła, tam złote skarby przyplływały, gdzie obłok się zjawił, to w przejrzystej głębi kołysał się niby wyraz wzruszonych niebios, czy słowo legendy podwodnej pisanej na błękitach. Bo wody Dunajca przed obliczem Chrystusa pod zakłębieniem jego spojrzeń były skarbcem nieprzebranym snów barwnych, kapryśnych, zniennych, ale zawsze prześlicznych, zachwycających, jak błękity ócz dziewczęcych, przez które przepływają wzruszenia, uśmiechy wyśnione w rozmiłowanem sercu.

Łódź kołysana lekkimi uderzeniami powoli posuwała się naprzód. Za chwilę wody zawarczały, spienione przewalały się wśród zapór głazów w łoskocie wściekłym, w łomocie, jakby to zły duch skłębił otchłań i zagradzał drogę przed Panem. Nurt wzburzony szamocąc się na kamieniach rwał w dół nieokiełznany, wolny niby bojownik na rozpędzonym rumaku ze zwichrzoną grzywą, to znów zdyszany, spieniony miotał się,



Ze Sokolicy.

kręcił wokoło, niby bezsilny więzień w ciasnym zamknięciu hucząc, bryzgając, bałwaniąc się. Gwałtowny prąd porwał łódź, szarpiając ją kołysał, chcąc cisnąć na skały. Woda zalała dno, chlusnęła na Chrystusa.

Człowiek niezmordowanie wiosłując omijał wiry, miejsca skłębione. Spocony, przemoczony, na pociechę zażartował:

— Woda — — woda — — a przecie woda wsendy musi być mokro. Rybok suchy, a strzelec mokry to nic nie wartają.

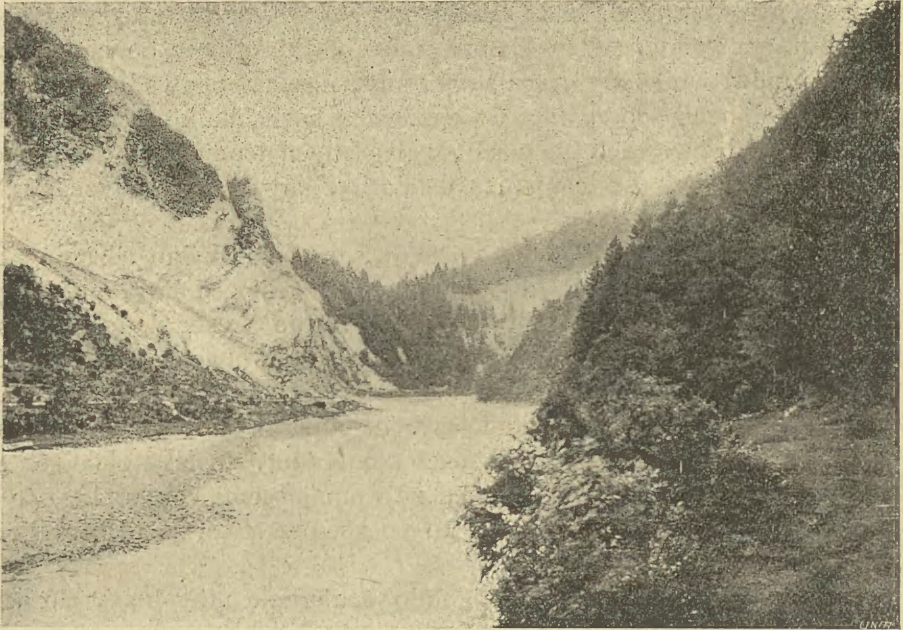
Łódź zaskrzypiała i stanęła, zahaczona o skałę. Pchnął wiosłem z całej siły, rozkołysał ją i znów wywiódł na wolniejszą przestrzeń.

— Łódź wody nacyrpie, o kamień zacypi jako zwyczajnie na rzece — uśmiechnął się dobrodusznie, wiosłując bez przerwy.

Drogę zagroziła brama kamienna, omszała szmaragdem. Zdawało się, że dalej kroku postąpić nie można. Zbocze pokrywały kępy smreków i drzew liściastych, tworzące przedziwną harmonję odmian i odcieni. Z pośród tej zieleni wystrzelały skały poszarpane, dzikie, strome, jakby skamieniałe wyrazy zbuntowanej w prawiekach ziemi, rzucone na uragowisko niebiosom, w grozie zastygłym. Ich zuchwałość łagodziła zieleń traw, mchu i krzewów rozrzuconych po zagonach skalnych. Z ich pęknięć wyrastały samotne drzewa, rozpaczliwie chwytając się głazów, wszczepiając swe spragnione i głodne pazury w wilgotne szczeliny, okruchy ziemi, które wiatr przybłęda przyniósł, pamiętając o tych istotach, walczących ze skałą o życie. W pokręconych gałęziach, w korzeniach wijących się węzowemi skrętami znać było rozpacz śmiertelnego wysiłku. Te na zagładę skazane, wychłostane, zbite, udręczone skarłałe smrekki chwiały się bezsilnie stojąc nad głuchą przepaścią jak skazany na śmierć nad dołem mogilnym. Dalej inne drzewo — pani cudna w powiewnych szatach odsłaniając oblicze — zastygło nad urwiskiem, przechylone patrzyło w czarującą głąb Dunajca. Ramiona konarów rozchyłało, wyciągało, wstrząsane dreszczem szelestów, jakby szeptało zaklęcia wpatrzone w otchłań swej zatruty, ustrojonej w złudę obrazów. Nad nimi unosiły się chmurki, jakby anieli biali rzucali chustę na spieczone zbocza, na polany, a cień swego odbicia w szmaragd wód. Wciąż nowe wylaniały się, płynęły alejami, kryły się za podwojami, znów się wynurzały, ale w kształtach i bardziej uroczych jakby nimi niebios opowiadały bajkę głębinom wodnym i boginiom błędzącym po błękitnych komnatach.

Kilka gwałtownych pchnięć wiosłem i znów otwarła się brama w dal zaczarowego pałacu. Znów wśród dziedzin skalnych rozkwitały wypieszczone polanki, nieziemskie łączki ciszy i szczęśliwości, a tak upajające, jakby obłok ubarwiony pocałunkami zorzy przelatując o świcie, umiłowwał to ustronie, spłynął na nie, aby śnić o jutrzence. — — — A teraz wody rozlewały się spokojnie, przesypując srebro blasków, szmer szmaragdów, wyczarowując krynice źrenic, w których odbijały się przeloty obłoków, tajemnice niebios, powaby krajobrazów, czyniąc wrażenie, że fale złowiły cudny widziane, uniosły je w głębie, pieszcząc w topieli serca Dunajca zjawę nieziemską. Zmieniały się obrazy, zmieniały się wrażenia i z duszy ulatywały na wargi, na oczy przeistoczone w spojrzenie, w promienne słowa wielbiącego. Człowiek ledwo popatrzał, już odrywał wzrok i z podziwem biegł w dal, bo dziwy, obrazy, czar ustroni przemijały jak

obłoki ranne. Wśród alei fanatystycznych, bajecznych ogrodów prowadziła droga tak złudna, tak przedziwna, jakby wiodła do krainy młodości. Rozchyłały się zasłony tajemnicze, ukazując w gajach, grotach, polanach, w głębinach skarby strzeżone przez nimfy, boginie leśne, topielice. Co krok jawiły się widziadła, skalne dziwy słońcem, deszczem, pieczętą ros i zorzy stworzone, wynurzały się obrazy, na widok których w spojrzeniach i westchnieniach w najwyższych wyrazach uwielbień rozdawał serce



Z Pienin. (Fot. St. Dziewulski).

upojone w zdroju czaru. Oczy błędziły w zachwyceniu, a na duszy osiadały wrażenia niby wonny pył na kielichach narcyzów białych.

Wjechali w zaciszną samotnię. Toń przejrzysta była jakby relikwiarzem kryształowym, chowającym wszystkie tajemnice niebios i gór. Panoowało milczenie. Las przycichł, błękit usnął. Najłżejszy powiew nie przeleciał i nie zmącił powierzchni. Łódź płynęła wśród dwóch obłoków, jakby to dwaj przewodnicy prowadzili ją w dale błękitne, złote, szmaragdowe.

Człowiek przestał wiosłować.

Wody w tem miejscu kryły niezbadane tajemnice, fantazję natchnie-

nia, skarbiec wzruszeń barwnych. Nie było słowa w mowie ludzkiej, któreby zdołało wyrazić zmienność, czarowność wizji kolorowych, poezję obłoków, niezgłębioność, tajemniczość, bogactwo przeżyć otchłani, przepaścistość dusz bezdni topieli zakłętych, rozchwije obrazów odbitych w toni. Ta toń podobna do miedzi starożytnych, patyną okrytych dachów, nieba nie dotknęła, a niebem się stała, barwy nie dotknęła, a stała się poematem najcudowniejszych barw i ta toń żyła, czuła, myślała, oddychała błękitami, marzyła wizjami obłoków, zmiennością ich przeżyć, ich uczuć, ich wzruszeń. Lada zabłąkany powiew, lada chmurka przeistaczała obszary wodne. W mgnieniu gasły blaski, ginęły bogactwa skarbów, to znów zmieniały się barwy, sny, uczucia podwodnego świata, jakby w głębinach spoczywała czarodziejska harfa, na której złotych, seledynowych, lazurowych strunach, potrącanych technieniem wietrzyków, rodziły się melodie, westchnienia, uśmiechy, sny zachwyconych gór, lasów, niebios.

Łańcuch gór pokryty delją smreków, urwiska skalne odziane aksamitem mchu, kwietne łąki, krużganki, aleje, groty, doliny, polanki zasłane krasą kobierców kwietnych, szare turnie wystrzelające, strome, spadziste ściany, ich niezwykle ukształtowane formacje dają arcydzieło przedziwne, niezapomniane. Ale ten świat, jego malowniczość, odbity w głębiach był po stokroć piękniejszy. Te błękitne łąki, po których owce obłoków biegły do źródeł światłości słonecznej, te lasy oddające swą duszę szmaragdową, te łąki tchnące najwonniejszemi barwami — to nie obraz ziemski, to jakieś widziadło, to poezja przestworzy, to sen Pienin, legenda ich wysnionego piękna.

W źrenicach człowieka zamigotało spojrzenie niby blask złocego się promienia, wyblęśło słowo jakby z nurtu ciszy zaślnił srebrny plusk ryby.

W najwyższem uniesieniu zachwytu odwrócił głowę.

Chrystus siedział zapatrzony, niemym podziwem zdjęty.

Oczy człowieka szukały oczu bożych i zagłębiły się w błękitach, po których wędrowały obłoki uwielbień.

I to nie wargi ludzkie, ale głębiny lazurowe szepnęły.

— Twój świat Jezusie!

— I twój — bo miłujes cłowiece — — cicho odpowiedział Chrystus — — — skarb w sercu. — — —

Popłynęli dalej w Pieniny. Zmieniały się obrazy, otwierały się podwoje do komnat wrażeń, podziwian, uwielbień, które siły anielskie z zapomnienia wywodziły przed oczu zachwyconych wędrowników.

Wciąż było słyhać ciche śpiewania, zmieszane ze szmerem fal, jakby to kwiaty przedziwnych kształtów w najwonnejszych obłokach mroku rozkwitały w tych ustroniach wodnych. To ptaki unoszące się nad Synaczkim Bożym, zawisały nad każdym zakątkiem, opiewały poezję ich wizji barwnych, stroiły je pieśniami.

Serce boże, człowiecze i serce ptaków były jako toń Dunajca, w której odbiło się wszystko piękno gór i niebios pienińskich i jak z głębin szmaragdowych wód wyłaniały się obłoki zorzą malowane, tak z głębin zaczarowanych toni serca wynurzały się uśmiechy, słowa, melodje, wielbiące ten cud nad cudy, stworzony w zachwyceniu niebios i ziemi.

Jan Wiktor.

Tajemnica Obrazu.

Za oknem wiosna i słońce,
Miasto się zwolna wyludnia —
Na bruki szare, milczące
Skrzy złoty żar popołudnia.

Przez szyby na mroczną ścianę
Sączy się żar ten złoty
I, w cień — jak w potrzask — schwythane,
Tańczą słoneczne migoty.

Tańczą po sennych deseniach,
Po białych plamach i skazach;
W modrych, tęczowych płomieniach
Magicznie lśnią na obrazach.

I wzrok czarują tajemnie
I cudne wywodzą dziwy:
Jakby ktoś ocknął się we mnie,
Jakby ktoś śmiał się tu żywy...

Patrzę w ten obraz na ścianie,
Dar przyjaciela-artysty —
Rzewne, zachwytnie dumanie
W obłok osnuwa mnie mglisty —

W okienku ramy ciemnej
Świetni się pejzaż świetlany:
Opary mgły przyziemnej
I wierzb zielone kurhany —

Wśród mgławej, rośnej polany
Migają nurty rzeczne —
Tam kwiecia tęczowe wiany
Wciąż wiję rano słoneczne —

Tam łuna macierzanki
Różowi białe kamieńce,
Tam tęsknią modre sasanki,
Śmieją się złote kaczeńce —

U krańców jasnej równiny
Lesiste smugi drzemią,
Jak pomost modrosiny
Pomiędzy niebem a ziemią — —

Patrzę w te rośne niwy,
W tę kwiecia krasną polanę,
W ten zwiewny pomost siwy,
Wabiący w dale nieznane —

Mój duch, tęsknicą porwany,
Cicho, jak cień, się skrada
W te dale, w te jasne łąny —
Mgła rzednie i opada —

Jak zwiane duchów dłonią,
Pierzchają mgielne opary
I z blasków się wyłonią
Me dunajckie obszary...

W sennej, słonecznej dali
Wytrysną, ledwie widzialne,
Jak miraż z mgieł i opali,
Tatrzańskie widma skalne...

I przed mem okiem wstaje
Widok serdecznie znajomy:
To naskie łąki i maje,
To wsi mej drzewa i domy!...

Idę po rośnym zagonie,
Przez wązki chodnik polny —
Serce zadrgało mi w łonie
I duch się uczuł wolny...

Idę przez fale zboża,
Przez grzędy macierzanek —
W mej duszy świt i zorza,
W mej duszy złoty ranek...

Mijam srebrzyste brzozy
I wonne kępy ziela
Pełen tajemnej grozy,
Pełen dziwnego wesela...

Oto sędziwe jesiony,
Pamiętne mi od dziecka —
Oto dom jasny, bielony
I furtka staroświecka...

Cicho zawora zazgrzyta,
Drzwi się przedemną otwarły:
Na progu matka mię wita,
Wita mię ojciec umarły...

W podcieniu szarej strzechy
Stanęli uśmiechnięci,
W dwa nieme, jasne uśmiechy
Jakby na wieki zakłęci...

Kroki me stały się drżące
I głośno serce mi bije — —
Więc po tej długiej rozłące
Wszystko tu dotąd żyje?...

Więc snem była, ojcze, ta doba,
Gdyśmy grzebali twe zwłoki?...
Snem gorzkie łyzy i żałoba,
Grobowy dół głęboki?...

Snem były te łyzy i płacze,
Snem głucha trumna i mary?...
Wiedziałem, że cię obaczę
Przy życiu, rodzicu mój stary...

Pamiętasz te płaty śnieżne,
Gdyśmy cię wieźli na cmentarz?
Te pola mroczne, bezbrzeżne —
Pamiętasz, ojcze, pamiętasz?...

Od tej okrutnej chwili
Tyle zim gorzkich zbiegło!
Wyście tymczasem żyli,
Boże was oko strzegło...

Z drogi posępnej, dalekiej
Przyszliście na te pola —
Tu królujecie na wieki,
Spełniona wasza dola...

Wśród tej polany słonecznej,
W tym raju mojej tęsknicy
Żyjecie promienni i wieczni
Po życia błędnej krwawicy...

Falszem jest zgon ponury
I życia mroki i męty,
Prawdą są jasne lazury,
Prawdą jest blask ten święty — —

O matko, o ojcze sędziwy,
Choć wszystko kłam na świecie,
Żywie mój świat prawdziwy
I wy w nim wiecznie żywiecie!...

Jam waszej nie pozbył wiary
I duch mój się nie zmienia —
To Bóg mój rośnie w bezmiary
I duszę mi rozprzestrzenia...

To sen ów niepożyty,
Co kwitł nad wiejską kolebą,
Przez mroki rwie się w świty,
Szturmuje w promienne niebo...

— — — — —

Budzę się z cichem westchnieniem,
W oknie przygasły już żary;
Ściana zasnuła się cieniem,
Pierzchły majaki i mary.

Lecz w pustej, sennej przestrzeni
Zawodzi coś tajemnie,
Jak gdyby z blaskiem promieni
Ktoś żyw odleciał odemnie...

W tych łunach złotej poświaty,
Co w mroczny pokój się wdarły
Jakieś promienne światy
Żyją, choć dawno umarły!...

Bo jakoż przeczyć istnieniu
— Choć zgonem to się wydaje —
Tego, co w okamgnieniu
Odżywa i zmartwychwstaje...

Lwów.

Józef Jedlicz.

Przyczynki do monografii Łomnicy.

I. Stosunkowo nie tak dawno dopiero zmuszona do ustąpienia pierwszeństwa pod względem wysokości *Gierlachowi* (2663 m), nie przestała być *Łomnica* (2634 m) jednym z najpopularniejszych i najbardziej ku sobie wszystkie pokolenia taterników pociągających szczytów tatrzańskich. Monumentalna, jak gdyby z jednej bryły granitu wykuta, kształtem zbliżona nieco do trójgraniastej piramidy, zachwyca zarówno wytworną prostotą, jak i niezwykłą powagą i majestatycznością swej budowy. Z polskiej strony mało skąd widoczna, najwspanialej i istotnie imponująco przedstawia się od południowego-wschodu i od południa, t.j. z przyległych jej równin Spiza, nad którymi też, jak prawdziwa „Królowa Tatr“, niepodzielnie panuje (różnica wysokości pomiędzy Kieżmarkiem a szczytem Łomnicy wynosi przeszło 2000 metrów!).

Wznosi się Łomnica ponad Doliną Zimnej Wody (oraz górną jej częścią — Doliną Pięciu Stawów Spiskich), wschodnią gałęzią Doliny Dzikiej i Doliną Kamiennego Stawu (a ściślej mówiąc — ponad kotłem Lejkowego Stawu i Cmentarzykiem), na wschodnim krańcu Tatr Wysokich, nie w rdzennym ich łańcuchu, lecz w grzbiecie bocznym, odchodzącym od Baranich Rogów (2536 m) ku południowemu-wschodowi. Od północnego zachodu łączy się ona urwistą, czterema ostremi turniami najeżoną granią z Durnym Szczytem (2625 m), od północnego-wschodu zaś — za pośrednictwem dziko poszarpanej Grani Wideł — z Kieżmarskim Szczytem (2556 m). Ku południowemu-wschodowi wysyła długi grzbiet, oddzielający Dolinę Zimnej Wody od Doliny Kamiennego Stawu. Część owego grzbietu od *Ramienia Łomnickiego* (2193 m) po punkt 1688 m nosi nazwę *Łomnickiej Grani* (2202 m). Sam wierzchołek Łomnicy, z poczerniałych głazów złożony, jest niewielki, zaledwie kilkanaście osób pomieścić mogący. Tworzy go — jak u większości szczytów tatrzańskich — dość długa lecz wązka grań. Z dawnej piramidy trjangułacyjnej pozostał tu już tylko drewniany palik.

Jakkolwiek już trygonometryczne zdjęcia Ludwika Greiner'a, dyrektora zarządu lasów węgierskich księcia sasko-koburskiego, dokonane przezeń jesienią 1838 r., a ogłoszone drukiem w jednym z budapeszteńskich czasopism w 1839 r. (patrz Rocz. Węg. Tow. Karpac. z 1896 r., str. 130 — 133) przyznały pierwszeństwo co do wysokości Gierlachowi, jednakże wśród szerszego ogółu jakiś czas jeszcze uchodziła Łomnica za najwyższy szczyt Tatr i dopiero pomiary lewoczańskiego leśniczego

Fryderyka Dawida Fuchs'a (ur. w 1799 r., zm. w 1874 r.) [patrz dziełko tegoż p.t. „Die Central-Karpathen mit den nächsten Voralpen. Handbuch für Gebirgsreisende. Mit 1 Karte und Text. Pest, 1863“] oraz profesora politechniki praskiej Karola Koristki (ur. w 1825 r.) [patrz pracę jego p.t.: „Die hohe Tatra in den Central-Karpathen. Eine geographische Skizze, verfasst auf Grundlage einer Bereisung. Mit 1 Terrain — Karte, 4 Ansichten in Farbendruck und 1 Holzschnitt. Ergänzungsheft Nr. 12 zu Petermann's Geographischen Mittheilungen. Gotha. 1864“] wszelkie wątpliwości w tej sprawie usunęły, wyznaczając Łomnicę pod względem wzniesienia — drugie z rzędu miejsce między wierzchołkami tatrzańskimi.

Od wieków już budziła Łomnica żywe zainteresowanie wśród wszystkich podróżników, zwiedzających Tatry. Poniżej podajemy — w chronologicznym porządku — niektóre dane, dotyczące tych ośmiu najdawniejszych wypraw na Łomnicę, o których wiadomości zebrać się nam udało.

1. Według — nader skąpych zresztą — notatek historycznych, jakie w tej kwestji posiadamy, już w pierwszej połowie XVII-go wieku wycieczka na Łomnicę nie była czemś, na owe nawet czasy nadzwyczajnem i zaliczała się do stosunkowo nierzadko przedsięwziętych. Pierwszy opis wyjścia na nią znajdujemy w dziele geograficznem profesora liceum łacińskiego w Kieżmarku, „nadwornego cesarskiego“ matematyka (tytuł ten nadany mu został przez cesarza Ferdynanda III-ego) *Dawida Frölich'a*¹⁾ (ur. w 1600 r., zm. w 1646 r.), p.t.: „Medulla Geographiae practicae, Peregrinantium imprimis usui, deinde Historiorum et verum hoc tempore bellicosissimo gestarum, gerendarumque, pleniori cognitioni accommodata... Auctore Davide Frölichio, Mathematico Caesareopolitano apud Gepidos Carpathicos, Typis Bartphaensibus, Anno D. 1639“ (rozdział IX, str. 339 — 341) [niemieckie tłumaczenie odnośnego ustępu ogłoszone zostało w Roczn. Węg. Tow. Karpack. z 1891 r., na str. 177 — 179, oraz w „Turistik und Alpinismus“ z 1923 r., Nr. 1 — 2, na str. 285 i 286].

Jeszcze w młodzieńczych swych latach, będąc uczniem Kieżmarskiego liceum, wyszedł Frölich wraz z dwoma swymi kolegami (i — niewątpliwie — z jakimś przewodnikiem, choć o tem w sprawozdaniu swem

¹⁾ Godzi się na tem miejscu zaznaczyć, iż sam Frölich pisał nazwisko bez litery *h*, tymczasem wszyscy niemal autorowie tatrzańscy, wspominający o nim, nazywają go — niewiadomo na jakiej podstawie — Fröhlich'em i tytułują „rektorem“. W rzeczywistości nie on był rektorem liceum w Kieżmarku, lecz jego ojciec (porównaj notatkę w „Turistik nad Alpinismus“ z 1922 r., Nr. 7. str. 198).

zamilcza!) w czerwcu 1615 r. na „najwyższy szczyt (summum cacumen) w Karpatach.“ W opisie swym nie wymienia on wprawdzie ani nazwy owego szczytu, ani też nie podaje z jakiej doliny nań wychodził, niektóre jednakże szczegóły pozwalają nam z niejakim prawdopodobieństwem wnosić, iż szczytem tym była Łomnica. Przypuszczenie powyższe staje się niemal pewnikiem, jeżeli weźmiemy pod uwagę świadectwo Jerzego Buchholtz'a starszego, pastora ze wsi Wielkiej



Widły, Łomnica i Durny z drogi na Jastrzębią Turnię.

Łomnicy na Spiżu (ur. w 1643 r., zm., w 1724 r.), który w pracy swej p.t.: „Das weit und breit erschollene Ziepscher Schnee—Gebürg“ [napisanej w 1719 r., lecz wydanej dopiero — przez Prof. Rudolfa Weber'a w 1899 r. (w Lewoczy)] powiada na str. 23 o Łomnicy (zwanej podówczas „Kesmarker hohe Spitze“), co następuje: „Vor ziemlichen Jahren aber ist Herr David Fröhlich, ein Mathematicus auss der Königl. Freyen Stadt Keysermarkt oder Kesmark, von dem Grünen See her hinauffgestiegen, und allorten viel erfahren, wovon er in seiner Geographia schreibt. Ibidem pag. 339,340“; w innem znów zaś miejscu (na str. 49), mówiąc o Dolinie Kiezmarskiej („Grund, wo man in die Kupffer — Schächte

gehet“), pisze: „Diesen Grund nach, durch Vorwerck, oder Rox bergauff steigend; ist der beste und bequemste Weg, biss unter die Kesmarker hohe Spitzen und Felsen zu steigen; Alwoher auch Dawid Fröhlich der ziepserische Mathematicus, zu seiner Zeit auff die Spitze geklättert, und dorten Alles contemplet, welches Er circumstantialiter in seiner Geographia anführet, wie schon dessen oben Meldung gethan. Allhier zu melden: die Zwo grosse Spitzen, sind nicht ganz der Kesmarker (wie ich berichtet worden bin?) Sondern der Lomnitzer und Hunsdorffer, und zwar also: die Seite der höchsten Spitze, die man von Abend her siehet; ist der Lomnitzer; Und die Seite der anderen gebrochenen und zerschmetterten Spitze, die man auch von Abend siehet, ist der Hunsdorffer; die Seiten aber vor Auffgang und Mitternacht beyder Spitzen, sind die Herren Keysermarkter. [Haec ex relatione Berzevicziana, ¹⁾ da mögen Sie es besser wissen und verantworten.]“ Jak widzimy z tego, Buchholtz, który w młodości swej musiał bezwątpienia znać rówieśników Frölicha, który pracę swą pisał na podstawie różnych współczesnych, świeżych jeszcze opowiadań i który wcale dokładnie zdaje sobie sprawę ze wzajemnego położenia Łomnicy oraz Kiezmarskiego i Hnacowskiego Szczytów, twierdzi, że Frölich był na Łomnicy (a nie na innym jakimś szczycie) i że wychodził na nią z Doliny Kiezmarskiego. Również i ustna tradycja (dziadek zmarłego w 1918 r. Prof. Marcina Roth'a z Nowej Wsi Spiskiej — Jakób Schwartz) fakt ten potwierdza, dodając że Frölich wy dostał się na Łomnicę przez Niemiecką Drabinę i Miedzianą Ławkę [patrz Roczn. Węg. Tow. Karpack. z 1906 r. str. 45 i nast.] Że Frölich nie był pierwszym „zdobywcą“ Łomnicy wynika jasno i niedwuznacznie zarówno z toku i sposobu jego opowiadania, jak i z samej redakcji jego opisu. Przemawia za tem zresztą i cały szereg innych jeszcze względów i okoliczności, szczegółowe rozpatrywanie ich jednak zabrałoby nam tutaj zbyt wiele miejsca.

2. W kilku następujących po wyprawie Frölich'a dziesięcioleciach XVIII-go wieku stanowiło zwiedzanie Łomnicy wśród uczniów Kiezmarskiego liceum swego rodzaju „modę“, jak świadczy o tem książeczka p.t.: „Ungarisscher oder Dacianischer Simplicissimus, vorstellend seinen wunderlichen Lebenslauf und sonderliche Begebenheiten gethaner Reisen i t. d.“, wydana (prawdopodobnie w Ulmie) w 1683 r. ²⁾ W rozdziale

¹⁾ Mowa tu o właścicielu wsi Wielkiej Łomnicy, gorącym miłośniku Tatr — Stefanie Berzeviczy'm.

²⁾ Następne wydanie wyszło nakładem O. Wiegand'a w Lipsku, w 1854 r., ostatnie zaś u T. Sauter'a w Kiezmarku, w 1900 r.

XIII-ym, pod nagłówkiem: „Wie Simplicissimus mit fünf Studenten sammt einem Wegweiser drei Tag das Carpathische höchste Gebirg durchkrebselt“ (polskie tłumaczenie tegoż ukazało się w Pam. Tow. Tatr. z 1907 r., na str. 47 — 58) autor, ukrywający się pod pseudonimem *Simplicissimus'a*, pochodzący z Wrocławia, zapewne Niemiec, kreśli — w sposób nader zajmujący, czasem naiwny lub rubaszny — swe przygody z trzydniowej wycieczki w Tatry, którą był przedsięwziął wraz z czterema towarzyszami i przewodnikiem, jako 18 letni uczeń liceum w Kiezmarku. Prowadził ich na Łomnicę — za stosowną zapłatę — nauczyciel z jednej ze wsi, położonych tuż pod górami [przypuszczalnie ze wsi Folwarki (po niem. Forberg); a może zresztą ze Staroleśnej?], który już kilka razy był na tym szczycie. Opis powyższy (jest to drugi z rzędu z pośród opisów wyjścia na Łomnicę), od odnośnego opisu Frölich'a znacznie drobiazgowszy i obszerniejszy, jest jednak również bardzo jeszcze niejasny i niepewny. I w nim także nie wymieniona została nigdzie nazwa Łomnicy, rozmaite wszakże szczegóły wskazują na to, że wycieczkowcy ten właśnie, a nie inny szczyt tatrzański zwiedzili.

Rzuca on niezmiernie ciekawe światło na stan owoczesnej turystyki tatrzańskiej, który — jak się okazuje — był wcale wysoki. Wspomniany uprzednio przewodnik, zażądawszy od naszych wędrowców przyrzeczenia mu — przez podanie ręki = posłuszeństwa, pouczył ich przed wyprawą ile mają wziąć w drogę chleba, mięsa, wina, piwa i t.d., obejrzał ich obuwie i u dwu z pośród nich zganił wysokość obcasów, polecając im nabyć lub wynająć inne trzewiki. Kazał im także zabrać z sobą worek z linami i żelazami do zarzucania ich na skały w miejscach trudnych do przebycia oraz z żelazami na kolana — do wspinania się, który winni byli nieść na zmianę. Mieli też oni lonty do oświetlania okolicy, w razie gdyby ich noc gdzie zaskoczyła, jak również dalekowiedz i skórzany kubek do piwa. Podczas wycieczki zaglądał ów przewodnik do jakiejś książeczki, w której dla orjentowania się w górach namalowane i opisane były rozmaite znaki. Na szczycie Łomnicy pokazał on wycieczkowcom kopczyk z kamieni, pod którym znajdowały się blaszane pudełka z pergaminowemi w nich kartkami i wpisanemi na tychże różnemi nazwiskami (co jasno dowodzi, że zwiedzanie Łomnicy nie należało już wtedy do rzadkości!) i gdy towarzysze Simplicissimusa zaczęli żałować, że nie mogą się tu i oni także uwiecznić, przezorny przewodnik wyciąga blaszane pudełko, pergamin, pióro i atrament i za osobną dopłatą jednego guldena daje im możliwość zapisania ich nazwisk, wieku, miejsca urodzenia, tudzież daty odbycia wyprawy. — Wybrali się nasi wycieczkowcy z Kiezmarku,

za urlopem i zezwoleniem rektora tamtejszego liceum i z życzeniami szczęśliwej podróży ze strony tegoż. Pierwszego dnia docierają ze wzmiankowanej wyżej wsi — prawdopodobnie Doliną Kiezmarską (przemawia za tem zarówno sam opis drogi, jak i pobyt ich w szałasie bacy; byłyby to w takim razie Kiezmarski Koszar) — do noclegu w zasięgu kosodrzewiny, który urządzono na „zwykłym miejscu“ (dostano się jednak doń — z powodu mgły — „niewłaściwą drogą“). Na drugi dzień po 5-0 godzinnem wspinaniu się po skałach wychodzą na szczyt Łomnicy (höchste Spitze“). Wobec tego, że Simplificissimus nie wspomina tu o żadnym stawie, można wywnioskować, że nie byli oni u Zielonego Stawu Kiezmarskiego, lecz że szli na Łomnicę z Doliny Kiezmarskiej przez Rakuską Przełęcz, Niemiecką Drabinę i Miedzianą Ławkę.

Ze szczytu widzą Kraków. Już wówczas znane były 3 zejścia z Łomnicy. Nasi podróżnicy schodzą najtrudniejszą drogą, przyczem konieczne, a skomplikowane pouczenie się podczas owego zejścia na linie Simplificissimus dokładnie opisuje. Następną noc przepędzają ponad jakimś „wielkim, głębokim i naokoło bagnistym stawem“ (może ponad Kamiennym Stawem?), trzeciego wreszcie dnia, „dolinami, lasami i innymi niebardzo wygodnymi miejscami“ powracają przed wieczorem do wsi, z której pochodził ich przewodnik.

Wycieczkę swą na Łomnicę odbył Simplificissimus (około Św. Jana, t. j. w końcu czerwca) według D-ra Teodora Posewitz'a (patrz Roczn. Węg. Tow. Karpack. z 1913 r., str. 5) — między 1630 r. a 1646 r., według D-ra Augusta Otto zaś (patrz Roczn. Węg. Pow. Karpack. z 1906 r., str. 46 i 49) — pod koniec pięćdziesiątych lat XVII-go wieku.

Około 1680 r. — jakoby wskutek odstrzelenia przez piorun partji skał — stała się owa droga przez Niemiecką Drabinę i Miedzianą Ławkę rzekomo niemożliwą do przebycia. Tak przynajmniej pisze wzmiankowany wyżej Jerzy Buchholtz starszy, w swej wymienionej tamże pracy (str. 23¹⁾ 50²⁾.

Również i syn jego, rektor liceum łańciskiego w Kiezmarku — Jerzy

¹⁾ „Die Kesmarker (t. j. Łomnica), auff welche man heute nicht kommen kann: dieweil das Donner-Wetter, ungefähr vor 40 Jahren dieselbe zerschmettert, abgeschlagen, steile und spitzige Thürme gemacht, die unmöglich zu erklätern sind“.

²⁾ Obgleich die Hunsdorffer oder Kesmarker Spitz (t. j. Łomnica) zur Zeit des Froehlichs weit höher war denn jetzund, ja unter allen die man siehet, die Allerhöchste; So ist sie doch damals weit breiter und auffsteiglicher gewest: Heute aber ist es unmöglich dahin zu gelangen. Denn die Vorrichte unter allen ist die höchste, ist durch das Donner-Wetter abgeschlagen, und unauffsteiglich gemacht worden.

Buchholtz młodszy (ur. w 1688 r., zm. w 1737 r.) w objaśnieniu do wykonanego przez siebie w 1717 r. z okolic wsi Wielkiej Łomnicy panoramicznego szkicu Tatr, p. t.: „Delineatio et Nomenclatura montium Carpaticorum, qualiter sese Lomniczae in Comitatu Scepusiensi conspiciendi sistunt, ibidem anno 1717 signata“ (kopja tegoż znajduje się w Muzeum Karpackiem w Popradzie; miedziorytowa reprodukcja wspomnianego wyżej szkicu umieszczona została w III-cim tomie dzieła p. t.: „Ungarisches Magazin“, wydanego w Preszburgu 1783 r.; patrz także dodatek do Roczn. Węg. Tow. Karpack. z 1913 r.) zaopatruje Łomnicę następującą uwagą: „Petra altissima Kesmarkiensis circa summitatem inaccessibleis“. Wiadomości te należy wszelako zaliczyć do świata bajek, albowiem pastor z Kiezmarku Chrystjan Genersich (ur. w 1761 r., zm. w 1826 r.) w rozprawie swej p. t.: „Reise in die Karpathen mit vorzüglicher Rücksicht auf das Tátra — Gebirge“ (umieszczonej w dziele Samuela Bredetzky'ego p. t.: „Neue Beyträge zur Topographie und Statistik des Königreiches Ungarn“, Wien u. Triest 1807) drogę Frölicha szczegółowo omawia i nigdzie o owem, uderzeniem pioruna spowodowanem oberwaniu się skał nie wspomina, Jan Asbóth zaś, profesor filozofji i fizyki w liceum w Kiezmarku, w opisie swym p. t.: „Topographisch-mineralogische Beschreibung des Felsenkessels, in welchem der Grüne See auf den Karpathen eingeschlossen ist“ (podanym w I-ym tomiku dzieła Samuela Bredetzky'ego p. t.: „Beyträge zur Topographie des Königreiches Ungarn“, Wien 1805) czyni wzmiankę o możliwości wydostania się od Zielonego Stawu Kiezmarskiego wprost ku Miedzianej Ławce, które to dwie notatki dowodzą, że ok. 1800 r. żadnego niemożliwego do przejścia miejsca na drodze Frölicha w rzeczywistości nie było, gdyż w przeciwnym wypadku, autorowie na których się ostatnio powołaliśmy, cośby o tem przecież napomknęli. Zapewne ktoś, komu wyjścia na Łomnicę przez Niemiecką Drabinę i Miedzianą Ławkę dokonać się nie udało, pragnąc niepowodzenie swe w jakiś przekonywający sposób usprawiedliwić, wymyślił ową historyjkę o piorunie, ta zaś — siłą rzeczy — dalsze wyprawy na Łomnicę drogą Frölicha przez czas pewien wstrzymywała.

3. Dnia 17. sierpnia 1793 r. przyrodnik szkocki, doktor medycyny uniwersytetu w Getyndze — *Robert Townson* z Edynburga, wraz z dwoma przewodnikami (strzelcami na kozice ze wsi Staroleśnej.) Wejście na szczyt odbyło się z Doliny Zimnej Wody, poprzez Ramię Łomnickie. Dokonany wówczas przez Townsona barometryczny pomiar wysokości Łomnicy (był to wogóle pierwszy pomiar jej wysokości!) wykazuje wzniesienie 2880 jardów angielskich, t. j. 2633'42 metra ponad poziom morza

Śródziemnego, a więc jest niemal jaknajdokładniej zgodny z najnowszym pomiarem tego szczytu (t. j. 2634 m), co wszakże przypisać należy wyłącznie tylko czystemu przypadkowi, albowiem nieużywanie przez Townson'a termometra i mierność barometra tego podróżnika czynią wszystkie jego obserwacje barometryczne i oparte na nich obliczenia nader niedokładnymi i zupełnie niedostatecznymi i jedynie tylko jako pierwsze próby tego rodzaju pomiarów w Tatrach przedsięwzięte, na wspomnienie zasługującymi. Bliższe szczegóły, dotyczące się powyższej wyprawy znaleźć może czytelnik w XV-ym rozdziale (str. 359—366) dzieła Townson'a p. t.: „Travels in Hungary, with a short account of Vienna in the year 1793; illustrated with a map and sixteen other copperplates, London. Printed for G. G. and J. Robinson, Paternoster — Row. 1797“ [również w tłumaczeniu francuskim: „Voyage en Hongrie. Publié à Londres en 1797. Traduit de l'anglais par le C. Cantwell. 3. Vol. Paris. An VII. (1798—99)“]¹⁾

4. Książd *Stanisław Staszic* (ur. w 1755 r., zm. w 1826 r., minister Stanu, przewodniczący Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Warszawie, znakomity geolog, filantrop i mąż wielkich zasług dla kraju, pierwszy polski badacz Tatr) próbował wyjść na Łomnicę w lipcu 1805 r. zrazu od strony północnej („z strony Polski“), poprzez t. zw. „Ławki“ (być może, że nazwa ta odpowiada dzisiejszej Miedzianej Ławce?), mając jednak złych przewodników zmuszony był cofnąć się i dopiero dobrawszy sobie we wsiach: Staroleśnej i Gierlachowie przewodników, obeznanych z górami, wyostał się dnia 21. sierpnia tegoż roku, około godziny 1-ej po południu na Łomnicę (którą nazywa „Kropakiem wielkim“) od Kamiennego Stawu, poprzez Ramię Łomnickie. Na szczycie jej przepędził noc z dnia 21-go na 22-go sierpnia, czyniąc pomiary barometryczne, tudzież spostrzeżenia „z suchomierzem, rzadkomierzem i igłą magnesową“. (Patrz dzieło Staszica p. t.: „O ziemiородztwie Karpatów i innych gór i równin Polski“, wyd. drugie, Warszawa 1815, str. 177).

5. Dnia 19. sierpnia 1813 r. uczoney szwedzki *Jerzy Wahlenberg*, doktor medycyny, profesor botaniki w uniwersytecie w Upsali (ur. w 1780 r., zm. w 1851 r.), z przewodnikiem Dawidem Fábry'm z Kiezmarku. Przepędziwszy zimną noc w kosodrzewinie u Kamiennego Stawu, o godzinie

¹⁾ Wyborne polskie streszczenie tych rozdziałów pracy Townson'a, które dotyczą Tatr, podał Br. Gustawicz w artykule swym p. t.: „Pomiary tatrzańskie“, umieszczonym w Pam. Tow. Tatr. z 1883 r. (str. 41—53). Poza tem wiele interesujących szczegółów o Townson'ie i jego dziele zawiera nadzwyczaj cenna rozprawa berlińskiego uczonego, rektora H. Seidel'a, p. t.: „Robert Townson, ein Tatraforscher des 18. Jahrhunderts“, wydrukowana w 1908 r. w czasopiśmie krajoznawczem „Globus“ (tom XCIII, Nr. 21—23).

11-ej przed południem wydostano się na Łomnicę poprzez Ramię Łomnickie¹⁾. (Przedtem jeszcze, a mianowicie dnia 10. lipca 1813 r., przemocowawszy również u Kamiennego Stawu, dotarł Wahlenberg — podczas swej próby wyjścia na Łomnicę — do wysokości 7473 stóp paryskich, t. j. 2427 metrów; śniegi i burza zmusiły go do odwrotu). Odnośne szczegóły znajdują się w dziele Wahlenberg'a p. t.: „Flora Carpatorum principalium exhibens plantas in montibus Carpaticis inter flumina Waagum et Dunajetz eorumque ramos Arvam et Popradum crescentes, cui praemittitur tractatus de altitudine, vegetatione, temperatura et meteoris horum montium in genere. Cum mappa physico-geographica, tabula altitudinem montium ostendente et 2 tabulis botanicis. Göttingae, Impensis Vandenhöck et Ruprecht, 1814“ (patrz str. IX, przypisek 79 na str. LIV i str. LXXIII).

6. Na początku lipca 1815 r. baron *Fellner*, hrabia *Fesztetics* i baron *Splény* (patrz Roczn. Węg. Tow. Karpack. z 1903 r., str. 67).

7. W 1822 r. lub 1823 r. *oficerowie austriackiego generalnego sztabu*, podczas krajowych pomiarów tryangulacyjnych (sieci trygonometrycznej okolic Lewoczy), mających służyć za podstawę dla (nigdy zresztą później nieogłoszonego!) topograficznego zdjęcia Tatr [patrz Roczn. Węg. Tow. Karpack. z 1896 r. (str. 127), z 1900 r. (str. 126) i z 1914 r. (str. 16, 17, 19, 21 i 24)].

8. Zachęceni do poznania Tatr wykładami twórcy nowoczesnej geografii, słynnego profesora uniwersytetu berlińskiego — Karola Ritter'a, dwaj słuchacze wydziału filozoficznego tegoż uniwersytetu: *Jan Henryk Blasius* (późniejszy autor cennego dzieła p. t.: „Naturgeschichte der Wirbelthiere Deutschlands. Braunschweig. 1857“), *Gustaw Hartlaub* (znany potem ornitolog) oraz *Aleksander hr. Keyserling* (zoolog, rodem z Kurlandji) wyszli na Łomnicę dnia 25. września 1835 r., od Ramienia Łomnickiego począwszy — bez przewodnika (pseudo-przewodnik Csauder z Kiezmarku i tragarz-słowak towarzyszyli im przy wyjściu, które odbyło się od Kamiennego Stawu, tylko do Ramienia Łomnickiego, a następnie — przy schodzeniu zeń do Doliny Zimnej Wody) [patrz „Bergauf und Bergab“ von Dr. Gustav Hartlaub, Roczn. Węg. Tow. Karpack. z 1900 r., str. 88—134].

¹⁾ Według D-ra Romana Kordysa (wiad. pryw.) zarówno Townson, jak Staszic i Wahlenberg szli na Łomnicę od Ramienia Łomnickiego, nie drogą dziś powszechnie używaną, ułatwioną łańcuchami i oznaczoną czerwoną farbą (t. j. koło Źródła Mojżesza), lecz południową granią Łomnicy, t. j. szlakiem, opisanym w „Przewodniku“ D-ra Gyuli Komarnickiego na str. 361, pod B.

IV. Mniej więcej od 1835 r. stała się Łomnica celem bardzo już częstych wycieczek, należąc przez długi szereg lat — wraz z Krywanem — do największym rozgłosem cieszących się wierzchołków tatrzańskich. Dość powiedzieć, że chlubnie znany w dziejach taternictwa nauczyciel ludowy ze wsi Staroleśnej (trudniący się ubocznie przewodnictwem) Jakób Lux, podczas swej wycieczki na Łomnicę w dniu 21. września 1857 r. był na szczycie tym po raz 52-gi (patrz „Zipser Bote“ z dnia 4. sierpnia 1900 r.), a przewodnik-słowak, imieniem Janosz, którego na wyprawie swej na Łomnicę z dnia 26. lipca 1865 r. profesorowie: Maksymiljan Nowicki i Marjan Łomnicki przybrali w Szmeksie do pomocy Jędrzejowi Wali ojcu, był wtedy na Łomnicy po raz 112-ty (patrz „Tygodnik Ilustrowany“ z 1868 r., tudzież „Zapiski z fauny tatrzańskiej“ M. Nowickiego w „Sprawozdaniu Komisji Fizjograficznej Towarzystwa Naukowego Krakowskiego“ z 1867 r.). Podobnie i Chałubiński, nawiązując w swych niezrównanych „Sześciu dniach w Tatrach“ (patrz Pam. Tow. Tatrzańsk. z 1879 r., str. 58) do spotkania się swego na szczycie Łomnicy (w 1875 r. lub 1876 r.) z pierwszym zdobywcą Gierlachu, nauczycielem ludowym ze wsi nowoleśnej — Janem Still'em, wspomina, że było to 90-te któreś wyjście tegoż na Łomnicę. Także Zygfryd Beck (patrz Roczn. Węg. Tow. Karpack. z 1905 r., str. 34) zaznacza, że towarzyszący mu w wycieczce jego na Łomnicę, odbytej w lipcu 1877 r., przewodnik spiski Paweł Patiga był na jej szczycie więcej niż 50 razy.

Z kobiet pierwsza stanęła na Łomnicy, w czterdziestych latach ubiegłego stulecia, żona jakiegoś aptekarza z Lewoczy (tak przynajmniej opowiadało pani Herminii Gillming z Budapesztu, która była na Łomnicy w 1854 r.), z polek zaś — panna Helena Brodowska, córka profesora uniwersytetu w Warszawie (dnia 1. sierpnia 1884 r.). W zimie po raz pierwszy zwiedzona została Łomnica przez znanego alpinistę, naówczas kapitana wojsk wirtemburskich, Teodora Wundt'a, z przewodnikiem szmeksańskim Jakóbem Horvay'em, dnia 27. grudnia 1891 r.

V. Widok na Tatry rozciągający się ze szczytu Łomnicy, jakkolwiek mniej rozległy od panoramy z Gierlachu, Lodowego Szczytu lub Rysów, należy jednak do bardzo pięknych, ciekawych i pouczających; w dół zaś, ku wschodowi, południowemu-wschodowi i południowi jest bezsprzecznie najpiękniejszym w całych Tatrach¹⁾, z żadnego bowiem innego szczytu

¹⁾ Piękny, panoramiczny widok z Łomnicy, wybornie wykonany w autotypji (w zakładzie firmy C. Angerer & Göschl w Wiedniu) według zdjęć fotograficznych Prof. Ludwika Petrik'a z Budapesztu, ukazał się nakładem czasopisma „Turisták Lapja“, organu Węgierskiego Towarzystwa Turystycznego.

tatrzańskie nie wygląda Spiż (szczególniej w godzinach popołudniowych, w słoneczny dzień letni) tak malowniczo i czarująco, jak stąd.

Janusz Chmielowski.

Górale od Żywca.

Żywiecczyzna rozsiadła się w Beskidzie Zachodnim w malowniczej górskiej okolicy. Pięknością jej zachwyca się Wincenty Pol przed ośmdziesięciu laty w następujących słowach:

„Było 1843 roku.

Czerwcowy prześliczny wieczór palił się na smereków szczycie i uroczysta cisza była w powietrzu. Długie cienie drzew i gór łamały się po przepaściach, a w szmaragdowej zieleni połyskiwały leśne polany i zarąbki ku słońcu, tam gdzie się przerzedzały starodrzewne lasy.

Było to na samym grzbiecie śląskiego Beskidu, który Górny Śląsk od obszaru Soły i Żywieckiej Doliny odgranicza — a my wracaliśmy od źródeł Wisły.

Na przewale samego działu stanęły konie i wytchnęły, a chwila ta miała coś tak uroczystego w sobie, że nas zatrzymała w miejscu.

Na jednej stronie opadała Barania Góra czarnym wierchem, kędy biją źródła Wisły, po drugiej stronie odkrywała się oczom prześliczna Żywiecka Dolina, jak ogród uprawna, budowna, zasiana wiankami wiosek, miasteczek, kościołów i domów.

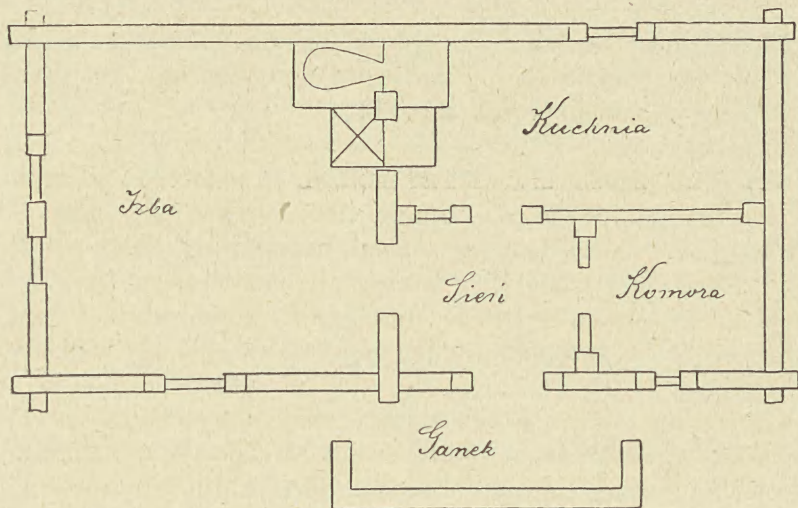
Biły gościniec przemijał się malowniczo wzdłuż doliny ku Żywcowi, na całe mile widny dla oka; jakiś głuchy i stłumiony szum dolatywał nas czasami od jazów i wodospadów Soły“.

Widok ten nie stracił dzisiaj na uroku oglądany nie tylko od zachodu... Czy jedziemy ku Żywcowi koleją z północy od Bielska, czy od wschodu ze Suchej opuszczamy się z Hucisk, odsłania się nam przepyszna okolica z Babią Górą, Pilskiem, Romanką i wiankiem gór dalszych. Musimy zachwycać się precudną okolicą, coraz innymi widokami i dziwić się, dlaczego ten tak uroczy kawał ziemi naszej, dlaczego ten wspałały zakątek ojczyzny naszej tak mało dotychczas jest znany!

Wioski ludne, zabudowane gęsto w dolinach pięknych nad rzeką Sołą i nad licznymi jej dopływami, odprowadzającymi z szumem kryszta-

łowe wody Koszarawy, Radeczki, Słonicy, Żabnicy, Bystrej, Leśnej, Kalnej, Cichej, Kamiennej, Krzyżówki, Pawlicy, Łękawki i t. d. i t. d. Wzdłuż tych rzek i potoków wiją się drogi, a chaty pobudowane obok dróg rozciągają się niekiedy na parę kilometrów w wiosce jednej. Czasem jakaś grupa domów odstrychnęła się od środka wsi, to znów pogubione chaty tu i ówdzie usiadły na stokach gór wśród drzew zieleni.

Chaty budowane są wyłącznie z drzewa i zwyczajnie zwrócone frontem w południową stronę, do słońca. Chaty uboższych górali mają tylko jedną izbę, kuchnię i komorę, u zamożniejszych są dwie izby. Ognisko



Plan chaty uboższego górala w Jeleśni.

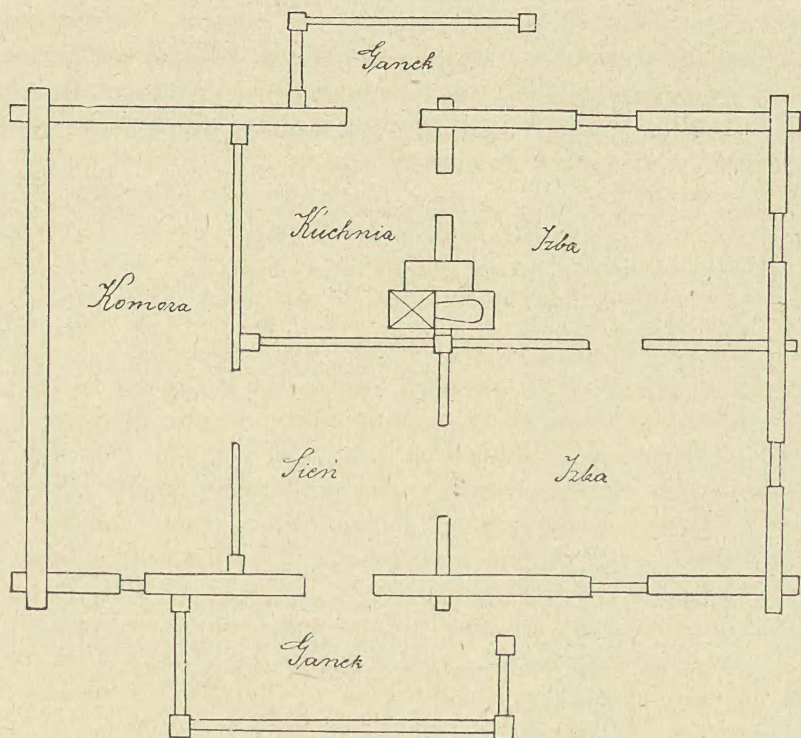
i komin znajduje się zawsze w środku chaty. Okna są niewielkie: w starszych chatach o czterech, w nowszych o sześciu szybkach.

Ponieważ chata bywa zwyczajnie zwrócona do drogi wązkim bokiem swoim, przeto góral stara się jak najpiękniej przyozdobić szczyt dachu z tej strony domu, a czyni to, wycinając w ozdobne zęby deski, którymi bok dachu jest obity.

Podziwiać naprawdę należy pomysłowość tutejszego wieśniaka, jego głębokie poczucie piękna, skoro w zwykłej desce przy pomocy prostej piły może wyciąć tyle różnorodnych wzorów! Wycina on je albo wzdłuż deski, którą następnie zdobi brzegi dachu — albo wycina końce desek, a zestawiając je następnie obok siebie, zasłania nimi węższy bok dachu. A fantazja zdaje się być niewyczerpana u tego artysty - górala.

Wszak w trzech leżących obok siebie wioskach, w Jeleśni, w Przyborowie i w Krzyżowej zebrałem 41 wzorów!

W przeciwieństwie do tego zewnętrznego zdobienia chat wnętrze ich i wnętrze izb jest zupełnie puste i nie okazuje żadnych usiłowań do upiększenia.



Plan chaty bogatego górala w Jeleśni.

Lud rosły, dobrze zbudowany, oryginalnie odziany przedstawia ładny typ górala polskiego.

Mężczyźni noszą guńki z grubego sukna domowego wyrobu, barwy brązowej, które najchętniej zarzucają na ramiona, koszulę białą z domowego płótna, kamizelkę sukieną granatową z cynowymi guzikami, szeroki pas skórzany, spodnie sukienne, białe, obcisłe u dołu, na nogach skórzane kierzki, w ręce laskę, a w ustach nieodstępną fajeczkę: czarny kapelusz filcowy z czerwonym sznurkiem w około uzupełnia strój cały.

Kobiety ubierały się dawniej zupełnie biało: koszule, spodnice,

chustki na głowie i na ramionach, wyrabiały same z płótna domowego, a na nogi wdziewały kierzpce skórzane, podobnie jak mężczyźni. Dzisiaj noszą gorsety sukienne, czarne lub zielone, haftowane w kwiaty, spodnice perkalowe lub wełniane różnobarwne, na ramiona zarzucają wełniane, kosztowne chustki, głowy owijają często chusteczkami jedwabnemi, a zgrabne trzewiki skórzane na wysokich obcasach wdziewają na nogi.

Mieszkańcy trudnią się wypasaniem bydła i owiec po pastwiskach i polanach górskich, uprawą roli i przemysłem drzewnym. Rola jałowa i zimno nie wydają obfitego urodzaju. Już Andrzej Komaniecki, burmistrz żywiecki pisał w r. 1704 o Żywiecczyźnie: ¹⁾

Nie rodzi się w tym Państwie pszenica i żyto,
Ale owies nagrodzi robotę sowito,
Wysiejesz korzec, z korca kopa, to niepewnie,
Z kopy korzec, prócz tego, co idzie do płewnie.

I dzisiaj sieją tutaj najwięcej owsa i sadzą ziemniaki, ale sieją też żyto, a gdzieniegdzie nawet pszenicę; sadzą też kapustę i kartofle. Len, dawniej powszechnie uprawiany, zajmuje obecnie coraz mniejsze kawałki roli, gdyż nie chce się już kobietom pracować koło lnu i chodzić w domowym grubszym płótnie. Jednakże niektóre kobiety umieją prząść równo i bardzo delikatnie i mają własne, bardzo ładne, cienkie płótno. Uprzędzone na kądzieli nici motają z wrzeczona na motowidło i liczą 30 nittek na pasemko, 20 pasemek na łokietek, 12 łokietków na sztukę. 7 lub 7¹/₂ sztuk dawało kopę, t. j. 60 łokci płótna szerokiego na 6 ćwierci, czyli półtora łokcia. (Łokieć równa się 60 cm.). Przędzę zanoszono do knąpów (tkaczy) w Żywcu, w Gilowicach i jeszcze przed 10 laty płacono od utkania sztuki przędzy 1 koronę 40 halerzy (1 markę polską), kwartę masła z kopą (litr z czubem) i bochenek chleba. Gdy tkacz dostał lepszą pocztę (podarunek), to prędzej zrobił płótno; to też mówiono:

Która przędza ma oczy (tłuszcjsze jest od masła),
Ta prędzej na warsztat skoczy.

Utkane płótno bielał kobiety w domu, rozciągając je nad rzeką w dni pogodne i polewając często wodą. Powtarza się to tak długo, aż płótno zbieleje.

¹⁾ Dziejopis Żywiecki do druku podany przez Jana Radwańskiego. Kraków 1866, 8-ka, str. 69.

Mężczyźni pracują w lasach, wyrębiając drzewo i zwożąc je do stacyj kolejowych i do tartaków, wyrabiają też z drzewa naczynia, sprzęty domowe i gospodarskie i zabawki dla dzieci. I tak np. w Sopotni trudnią się bednarstwem i robią konewki, cebrzyki, putnie, w Lachowicach robią gielatki, małe faszeczki na masło, w Koszarawie grabie, widły, łopaty, solniczki, odcedzaczkę, a dla dzieci: stołeczki, wózki, bryczki z konikami, szkatułki. Wszystkie te wyroby są bardzo proste. Sami rozwożą wyroby własne po jarmarkach okolicznych, a najczęściej na Śląsk i w Poznańskie.

Latem zbierają po lasach grzyby, małiny, poziomki, borówki i prowadzą niemi zyskowny handel w Żywcu i na Śląsku, dokąd prawie codziennie wywożą ten produkt leśny.

Góral tutejszy jest pracowity, ale cheiwy, nieużyty, lubi pić, a o byle drobnostkę procesuje się z sąsiadem do upadłego. Łakomy na cudze, kradzieży nie uważa za złe, zwłaszcza kradzieży drzew z lasu, ziemiołódów z pola, owoców z sadu, wypasania zboża i łąki cudzej. Szkodę w lasach tutejszych, wyrządzoną przez górali w roku 1910 wyrąbaniem i kradzeniem drzewa, obliczono na kilkadziesiąt tysięcy.

— Jednego dnia — opowiadał mi pewien proboszcz — przywieziono dziecko zmarłe przed czterema dniami, aby je pochować. Gdym zapytał matki, dlaczego z pogrzebem nie przyjechali dnia poprzedniego, odpowiedziała:

— Jegomościu, wczoraj za żadną cenę nie byłabym dostała koni, bo wczoraj w sądzie w Żywcu była rozprawa w sprawie kradzieży drzewa z lasów dworskich, więc leśniczy i leśni pojechali do miasta za świadków, a został tylko jeden gajowy. To też kto tylko miał konie, wszyscy chłopci ze wsi pojechali do lasu po drzewo pańskie, bo nikt nie pilnował.

W sprzedaży drzewa kradzionego pośredniczą żydzi, którzy prowa-



Góral z Krzyżowej.

dzą wielki handel drzewem i wysyłają je koleją za granicę. Byle chłop wyniósł drzewo z lasu, porznie je na kawałki, kloce metrowe odstawi żydowi, a ten wywiezie wszystko koleją. Kradną tak sprytnie, że trudno przyłapać złodzieja na gorącym uczynku.

— Ja sam — mówił proboszcz dalej — mam las dosyć duży, a nie mam z niego żadnego pożytku i co roku muszę kupować drzewo na opał. A chociaż ja nie tnę drzewa w lesie, przecież z mojego lasu ciągle ubywa drzewo; gałęzie podkrzesują wysoko, nawet mech wyskubią. Więc zastanawiam się nad tem, czy nie korzystniej będzie dla mnie sprzedać las i wyciąć go choć młody. Żal mi to uczynić a przecież pewny jestem, że żadne drzewo nie wyrośnie porządnie przed złodziejem.

Szóste przykazanie nie jest tu także uznawane i szanowane. Przed siedmdziesięciu laty pisał o ludzie tutejszym L. Delavaux:¹⁾

„Dzieci długo tu nie używają odzienia; dziewczyna do lat siedmiu nosi sukienkę niewinności, a po drugich siedmiu już i niewinność utracą. W takim razie, gdy zdradliwe poznaki wykryją tajemnicę, stare matrony biorą ją między siebie i niemiłosiernie czepią. Wszakże ta owdowiałość nie przeszkodzi jej do małżeństwa, jeśli ma dobre wiano, lub z pracy zaletę“.

Stosunki te do dziś dnia nie zmieniły się na lepsze. Księża proboszczowie opowiadają, że na dziesięć dziewcząt wstępujących w związki małżeńskie, siedm lub ośm utraciło już dawniej panieństwo. Dorosłe dziewczęta tutejsze nie śpią w lecie w izbach razem z rodzicami, ale same po stajniach, szopach lub stodółach, gdzie przyjmują swobodnie chłopców bez żadnej przeszkody ze strony rodziców. Często nawet matki chwalały się tem, jeżeli do ich córek przychodzi więcej chłopców, albo przychodzą synowie bogatszych gazdów: a gdyby córka przyjmowała po nocy kogoś z miejscowych dygnitarzy, np. organistę, leśniczego, pisarza gminnego, to matka całą wieś z dumą zawiadomi o tem zaszczycie, jaki spotkał jej córkę.

Stosunki te przedślubne chłopców z dziewczętami nie przeszkadzają bynajmniej tym ostatnim do zawierania związków małżeńskich, a młodzież męską krępuje tylko obawa płacenia alimentów dziewczynie, gdyby powiła dziecko. Nie wstydzą się też bynajmniej tych stosunków.

— Jednego razu, gdym chodził po kołodzie — opowiadał mi ksiądz wikary — zastałem w domu narzeczonych, których zapowiedzi już wy-

¹⁾ Górale beskidowi zachodniego pasma Karpat. Rys etnograficzny zwyczajów i obyczajów włościan okolic Żywca. Skreślił L. D. — Kraków 1851, 8-ka mała, str. 151.

chodziły. Gdym się ich zapytał, kiedy będzie wesele, parobczak odpowiedział mi z uśmiechem:



Kobieta z dzieckiem z Krzyżowej.

— Prose jegomościu, muse przódzi spróbować, jak wozu.
Innego dnia w południe wstąpiłem do chaty i zapytałem matki o jej

doroślą córkę. Odpowiedziała mi, że wyszła gdzieś z chaty. W tem kościelny, który ze mną chodził po kołodzie, rozśmieszony mówi mi:

— Jegomość, ja wiem, gdzie ona jest; ja tu ją jegomości pokażę— i zbliżywszy się do łóżka odchylił pierzyny.

Ku wielkiemu zgorszeniu memu zobaczyłem na łóżku pod pierzyną dziewczynę z parobkiem w dzień, w samo południe, w obecności matki.

Religijność powierzchowna zasada się najczęściej na mechanicznem odmawianiu pacierzy, chodzeniu do kościoła i na odpusty, przestrzeganiu postów, ale w uczynkach jej nie ma.

Lato w 1908 r. było bardzo mokre, deszcze lały bezustannie, nie można było zebrać z pola żyta, później jęczmienia i owsa, a ziemniaki gniły. Gdym rozmawiając o tej klęsce z góralami, odezwał się, że trzeba by prosić Pana Boga o odwrócenie tego nieszczęścia, a może zwrócić się o wstawiennictwo do którego świętego, aby uprosić pogodę, obecna przy tem kobieta, rzekła:

— Temu świętemu to wartałoby dobrze wyspać (obić go) za to, że ciągiem leje.

Przypomina mi to świętego Eutropiusza, patrona Vieux-Beausset we Francji, posiadającego rzekomo moc ściągania deszczu, kiedy chce. Pewnego dnia widział pewien przechodzień, jak stróż pustelni zdjął z postumentu stary posąg świętego, wyniósł go przed bramę i bił go kijem, ile mu sił starczyło. Na pytanie, co czyni, odpowiedział strażnik:

— O, mój dobry panie, gdybym się z nim tak nie obchodził, nie doszedłbym z nim do ładu.

Po niejakim czasie spadł rzeczywiście deszcz upragniony i zasiewy były ocalone.

Biedni święci!

Ale ktoby się był spodziewał, że i w tych zapatrywaniach mamy tak wiele podobieństwa z Francuzami!

Pogodę przepowiadają sobie sami. Jeżeli księżyc w czasie pierwszej lub ostatniej kwadry zwrócony jest różkami do góry, to będzie stała pogoda; jeżeli jest zwrócony różkami na dół, to wróży stały deszcz; gdy zaś obrócony jest jednym różkiem do góry, a drugim na dół, to będzie czas zmienny.

Pogoda w wigilję św. Jakóba przepowiada przyszłą zimę, a to: niebo jasne zapowiada brak śniegu, niebo mniej lub więcej zachmurzone mniejszą lub większą obfitość śniegu.

Nie ufają lekarzom, ale leczą się sami, lub zwracają się po radę i pomoc do znachorów. Takim sławnym na kilkanaście mil w około dok-

torem chłopskim był stary góral w Jeleni, Juraszek, nazywany Ślepkiem. Składał złamane ręce i nogi i leczył zgłaszających się do niego tłumnie chorych, albo jeździł wzywany nieraz w dalekie strony. Umarł 1908 r. a po jego śmierci zajmuje się praktyką lekarską jego syn i córka; jednakże nie mają już tego wzięcia, co ojciec. Zapytany góral stary, czemu nie idzie do lekarza, odpowiada:

— Ej, bo to wiecie, cy ta dochtór na wszyćkiem sie pozno? A choć wie, cy ta zaroz chce poradzić. Roz połknął chłop z cemś kłaki i te owinęły się mu koło żołądka, cy koło serca. Chorowoł długo i ciężko i chodził do dochtora na kuracyją. Ten mu zapisywoł różne lykarstwa, ale to chłopu nic nie pomogąło, chocioz go bardzo duzo kostowało. Raz dochtor przy obiedzie mówi do zony:

— Jo wiem, co temu chłopu brakuje. Połknął z cemś kłaki, te sie mu owinęły koło żołądka, cy koło serca; zeby zjod całego śledzia razem ze skórą i z ościami, toby wnet wyzdrowioł. Ale z cegobyśmy zyli, zebym kuźdego chorego wykurował.

Słysała to służąca w kuchni i jak tego chłopca spotkała, powiedziała mu, ze wie lekarstwo na jego chorość i może go zaroz wykurować. Chłop uradowany obiecoł jej zapisać pół majątku, jak go wykuruje. Dziewcyna kazała mu to zrobić, co dochtor mówił żonie, — chłop zjod całego śledzia i wyzdrowioł. Z radości ozynił syna swojego z tą służącą i dał jem połowę majątku.

Góral spędza tu całe życie na łonie przyrody: na pastwisku, na roli, w lesie, tylko w zimie zamyka się w izbie i to niechętnie, a rad i w tej porze roku chociaź do lasu wyjechać po drzewo. Tem się tłómaczy ów silny związek między góralem a przyrodą, tem owo rozumienie górala, że on ma poniekąd władzę nad uosobionemi siłami natury, a gdy ich nie może przemódz swoją mocą, swoim sprytem, wtedy one panują nad nim i wydziwiają z nim, co chcą.

Był tu gazda, downo juz temu i miał syna jednego i wybrał się z nim po drzewo do lasa. Jechali z chałupy koło kościoła drogą bez Dzioł ku Gajce, a od samego domu prowadziła ich wrona i wrescała nad niemi, az sie tam dzieś w Gajce zatraciła. Tak ociec mówi do tego syna:

— Abo sie wróćmy, abo co, skoro ta wrona nos tak wiedzie i wrescy, bo ta nic dobrego z tego nie bedzie.

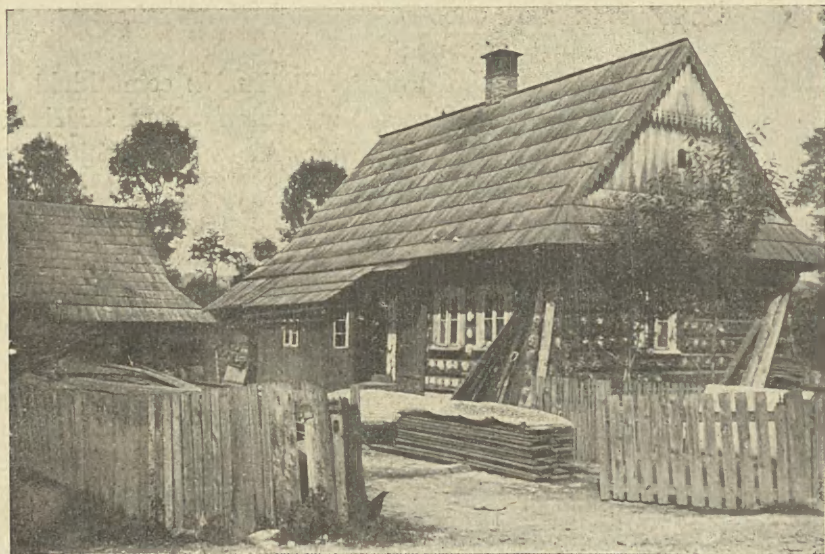
Ale syn:

— Coby my sie ta wracali, przecie jedziemy w dzień, nie w nocy, to sie nam nic nie stanie.

No, i widzicie i pojechali do lasa po to drzewo, — i cy ten syn

spod, cy sie drzewo na niego zważyło, bo tego już nie pamiętom, ale go w tym lesie zabiło. Już też drzewa nie brali, ale nakrzesali choiny i tego syna złożyli i przywieźli do domu. A bez całą drogę to ociec tak krzycoł, tak rozpocoł, co go ludzie słyseli wsędy w polu, bo — wiecie — kopali wtedy ziemnioki. Ano strasnie ten ociec lamentowoł i na pogrzebie i po tem, ze sie zdawało, ze mu sie Bóg wie nie co, stanie. Bo miał tylko tego jednego syna, a kilka dziewczynek, a chłopok był do rzeczy. I matka też go tak płakała wciąż.

Coś za śtyry lata obśnił sie jem ten syn i goda im, coby go tak



Stary dom w Jeleśni.

nie płakali, bo mu tam nie jest tak źle. A oni sie go też pytali, dzie jes tam i co robi. On jem powiedziol:

— Wszyscy my, co nos tam na świecie pobilo, są my przy gradzie.

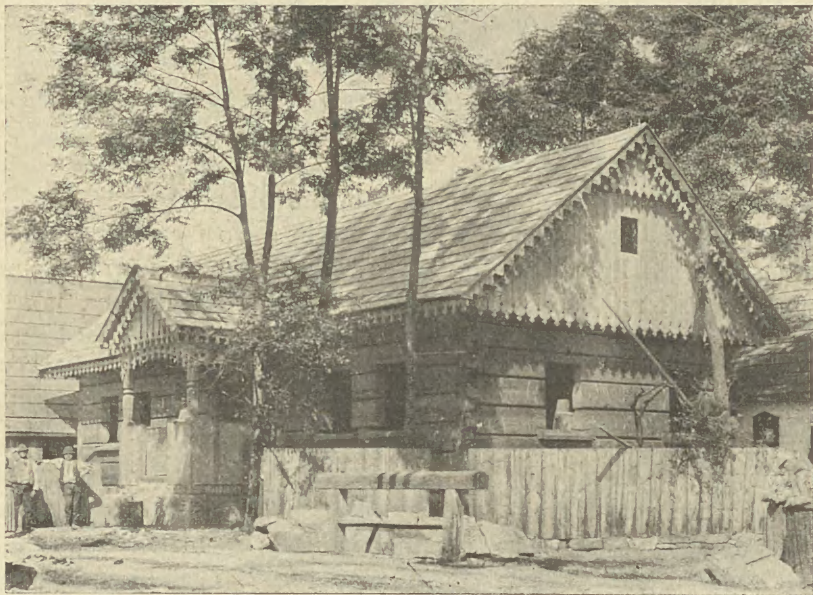
„Przy gradzie“, to jest, robią w lecie grad, rozwożą go chmurami po niebie i sypią nim po polach, czyniąc ludziom wielkie szkody. Ale i między góralami są chłopcy, co mają na to sposoby, aby chmurę gradową przepędzić na lasy i polany.

Starzy ludzie opowiadają, że w Jeleśni był dawniej gazda, który miał taką książkę, co z niej mógł odpędzać złe chmury. U wójta Mizi

był też dawniej taki chłop, ale nie wiadomo, czy teraz jego synowie co umieją. Bo wtedy żadna zła chmura nie przeszła nad Jeleśnią.

Raz szła taka chmura gradowa, straszna. Tak ten gazda, co się znał na tem, nie chciał jej tutaj puścić. Tam z góry krzyczeli na niego, żeby puścił, bo nie mogą utrzymać. Ale on nie chciał. Więc się go znowu pytali tamci z góry, gdzie mają ten grad wysuć.

Wtedy budowali w lesie na polanie szopę i był już zrąb postawiony. Tak ten gazda kazał im do tej szopy zesusć ten grad. Jak wzięło sypać, tak zasulo cały ten zrąb aż z czubem.



Nowy dom w Przyborowie.

W nocy z 15 na 16 lipca 1908 roku przeszła ogromna burza z gwałtowną i nagłą ulewą ponad Żywiecczyzną, która też ucierpiała wtedy bardzo. Ale naprawdę wielkiem nieszczęściem została nawiedzona gmina Juszczyzna, bo owej nocy nawalna woda, niosąc ścięte na stoku góry Romanki belki, uderzyła gwałtownie o zabudowania tej wsi położone w górnej jej części i zniosła doszczętnie kilka domostw, stodół i stajen, ludzi śpiących porwała i potopiła, a pola zasypała kamieniami lub spłukała z nich ziemię urodzajną wraz z ziemiopłodami, powydzierała wyrwy i poczyniła spustoszenia niesłychane.

Przyczyną tak nagłego, gwałtownego, a straszego zaburzenia w przyrodzie i nieszczęścia, jakie dotknęło wieś Juszczyne, górale tłómaczyli sobie, jak następuje:

Na północnym stoku Romanki, od strony wsi Juszczyzny znajdowała się duża rozpadlina, którą ze wsi, z dołu było dobrze widać, ale parobcy pragnący tam zaglądnąć i rozpadliny tej szukali, nie mogli do niej trafić i nie mogli jej znaleźć pomimo starannego i gorliwego poszukiwania.

A w tej rozpadlinie tam głęboko w ziemi siedział smok, taki potwór o siedmiu głowach, który powstaje z węża starego.

Jakoś przed dwoma laty do starego wójta w Juszczyźnie przyszli dwaj czarnoksiężnicy i mówili mu:

— Macie tam w górach żróbka, to jest tego smoka, dejcie nam go wybrać.

Ale wójt prosił ich:

— Dejcie jescie pokój, pokil já żyje, nie biercie go.

Bo się wójt bał nieszczęścia, bo jak się smok ruszy, to robi burze straszne, a wicher łamie lasy, zrywa z domów dachy i szum taki straszny słyhać na dalekie okolice. Coś przed pięciu laty, jak się raz smok ruszył, to nad Łodygowicami przeszła taka burza, że z jednej chałupy jak dach porwało, to go o pół mili dopiero w polu rzuciło.

Kilka dni przed tą nawalnicą szedł przez wieś czarnoksiężnik, taki czarny, jak kominiarz. Szedł do góry, a dzieci nietylko że go wyśmiewały, wyzywały, ale nawet kamieniami rzucały za nim, bo w Juszczyźnie są dzieci bardzo rozpustne, a rodzice na to nie uważają. Tak ten czarnoksiężnik odwrócił się do nich, pogroził im ręką i powiedział:

— Mnie tu nie ubijecie, ani nic nie zrobicie, ale popamiętacie sobie i wy i wasi rodzice, co was tak chowają. Przyjdzie nie zadługo na tę wieś taki dzień, takie nieszczęście, jakiego świat nie widział, że do dziesiątego pokolenia pamiętać będziecie.

Tak przeklął Juszczyne i poszedł i zaraz za kilka dni przyszła taka nawalnica, że chałupy i stodoły zmiotła i pola zniszczyła i drogi potargała i ludzi potopiła.

Teraz musieli czarnoksiężnicy tego smoka ruszyć. Oni potrafią tak go zakląć, że wyjdzie ku nim z ziemi, a wtedy siadają na niego i powietrzem jada, a wicher, burzę straszną i szum wielki robi ten smok.

On jest strasznie zajadły na dziedziny (wioski). Gdy na nim jada, to się ich pyta:

— Dzie my teraz?

Tak oni gadają na odwrót; jak są nad wsią, to mówią, że nad lasem, a jak nad lasem, to mówią, że są nad wsią. Gdy mu powiedzą, temu smokowi, że są nad wsią, to robi taką burzę, że cały las — bo on myśli, że to wieś — zniszczy i drzewa z korzeniami wyrzywa.

Czarnoksiężnicy niosą tego smoka do gorących krajów, gdzie jest takie gorąco, że ludzie nie mogliby żyć, ale każdy nosi pod językiem kawałek ścierwa z tego smoka i to chłodzi tę gorącość, bo smok jest strasznie zimny.

Oprócz czarnoksiężników gospodarzą w Żywieczyźnie także djabli. Na samym szczycie Malinowej Góry znajduje się wielka skała, o której w Szczyrku opowiadają, że ją tam djabli zostawili. Niedaleko na szczycie Jaworznej Góry mieli stawiać młyn, a mieli go wybudować przez jedną noc. Ponieważ jednak siła djabelska trwa tylko do rannego piania koguta, więc ażeby im to pianie nie udaremniło roboty, wymordowali wszystkie koguty w całej okolicy. Tylko jednej starej kobiecie udało się ukryć koguta swego. Gdy djabli obrobili już ten kamień, co teraz spoczywa na Górze Malinowej i nieśli go już na Jaworzna, kogut zapiał, djabli kamień rzucili i przepadli. Żeby już nie mieli żadnej władzy, górale wykuli krzyż na nim.

Takich opowiadań o istotach i potęgach nadprzyrodzonych jest tutaj bardzo wiele; nie możemy ich jednak przytaczać więcej w tym artykule.

Ciekawe tu są sposoby liczenia. I tak, trzy sztuki, to grosz, n. p. grosz jaj, grosz jabłek... to trzy jaja, trzy jabłka. Koło roku 1890 jeszcze w lesistych okolicach Żywca, gdzie było wtedy wielu niepiśmiennych, używano powszechnie przy liczeniu snopków zboża, wiązek siana, jaj, orzechów, w ogóle tych przedmiotów, które się liczą na kopy, następującego sposobu. Brano w rękę po trzy sztuki, a wkładając je na właściwe miejsce, mówiono przy każdej trójce:

Rwie,	=	trzy sztuki
niedorwie,	=	znowu trzy sztuki, więc już 6,
kostrze było,	=	trzy sztuki, to razem 9,
sto pięć było,	=	trzy sztuki więc już 12,
spuść mendel!	=	jeszcze raz trzy sztuki, razem 15.

Piętnaście sztuk czyniło mendel. Rachowanie takie powtarzało się dalej i dawało drugi mendel, potem trzeci... czwarty. Cztery mendle czyniły kopę.

Zwracają na siebie uwagę także niektóre wyrazy używane w gwa-

rze tutejszej, n. p. biadkać = biadać, narzekać, dziwać się = patrzeć, gładziawka = dolinka, gawiednik = gad, gawiedź = drób, jednać = go-dzić, namawiać robotnika do pracy, karkoszki = wykarczowane kawałki pniaka, kastrol = rądel, kępa, kruda = kupa kamieni, kołeczki = zapalki, kosiec = kosiarz, krzyżal, skrzyżal = duży kamień płaski, mu-cierz, mać, ma j = matka, naseński = swój, niepili = obcy, niewiasta = synowa, pacholek = parobek, parzownica = pokrzywa, podstol, podstole = szuflada, ściężory = ostrewki, na których ustawia się w polu kopy zboża, siana, skale = kamienie, skowroźny = żwawy jak ptaszek, słupek = flaszka graniatka, stolica = ława, upytać = zgodzić, zmówić robotników, wyrychlić się = pchać się naprzód.

Nazwiska córek tworzą się od nazwisk ojców tak: Kitkula, ojciec Kitka — Malcula, ojciec Malec — Ślopkula, ojciec Ślopek.

Od świąt Bożego Narodzenia chodzą góralczyki ze skromną szopką, w której ubogo ubrane lalki przedstawiają króla Heroda, żyda, słowaka, kominiarza, grabarza, djabła, śmierć i dziadka. Dyalogi recytują chłopcy szybko, monotonicznie, wreszcie po przedstawieniu śpiewają kolędę.

Chodzą tu także w niektórych miejscowościach tak zwani „nowo-letnicy“, poprzebierani za szlachcica, rzeźnika, górala, dziada i babkę i dają po domach przedstawienie, monologując wierszami.

W dzień świętego Szczepana chodzą po kolędzie chłopcy od chaty do chaty. Stają pod oknem chałupy, albo wchodzą do wnętrza i recy-tują chórem:

Stoi sosna,
Dzie urosła,
Na tej sośnie
Złoto rośnie
Złoto będzie.

My tu z furą nie jezdemy,
Co nom docie, to weznemy;
Suchy rzepy bo nie kcemy,
Talar, złoty to weznemy
I kołoca kęs.

W Wielki Czwartek o szóstej godzinie wieczorem odprawia się po kościołach nabożeństwo „stacyj“, które trwa niekiedy do godziny ósmej. Po nabożeństwie zbierają się chłopci i parobcy po chatach i odpra-wiają tak zwane obchody. Ze wsi zbiera się cała gromada chłopów i z latarniami idą od figury do figury i pod każdą śpiewają stosowną

pieśń wielkopostną. Przed figurami Matki Boskiej śpiewają zwykle: „Stała Matka boleściwa...“ Przy figurach Bożej męki śpiewają: „Wisi na krzyżu...“ i „Stacje“. Te procesje po wsi trwają przez całą noc aż do świtu; poważnie biorą w nich udział mężczyźni, a to na pamiątkę prowadzenia Pana Jezusa od Annasza do Kajfasza. Kiedy dzień pocznie, wychodzą z domu kobiety z dziećmi, dziewczęta i parobcy i idą do rzeki, w której myją się wszyscy. Czynią to znów na pamiątkę „sturzenia“ (popychania) Pana Jezusa do wody przez żydów. Kto się umyje w Wielki Piątek o świcie w wodzie rzecznej będzie zdrów przez cały rok, a dzieci nie dostaną bolaków na głowie, szyi i rękach.

W Wielką Sobotę palą ogień na dziedzińcu kościelnym z gałązek tarniny, zwanych cierniakami, a po poświęceniu ognia przez księdza zabierają do domów napół zwęglone i niedopalone gałązki, z których robią małe, na palec wysokie krzyżyki. W drugie święto wielkanocne wtyka je gospodarz w zagony i kropi wodą świeconą. To samo robi gaździna w ogródku warzywnym. Tym sposobem ściąga się błogosławieństwo Boże na wschodzące zboża i jarzyny.

W niektórych gminach malują dziewczęta jaja, gotując je w łupkach cebuli lub w kupnych barwikach, malując farbką używaną do bielienia. Takie jaja nazywają farbienkami. W czasie świąt wielkanocnych bawią się nimi, rzucając z całej siły: dziewczęta na chłopców a chłopcy na dziewczęta.

Urządzają też sobie śmirkust, zlewając się obficie wodą. A drugi taki śmirkust urządza gazda pasterzowi, gdy pierwszy raz wypędza bydło na paszę, by nie zasypiał pasąc trzodę, ale pilnował jej od złego wypadku.

W Zielone Świątki opaliwają zboże... Gospodarz, parobcy, chłopaki obiegają trzykrotnie zagon z zapalonymi wiechciami słomy, bo takie opaliwanie przyspieszy dojrzewanie zboża.

Po procesji w dzień Bożego Ciała i w oktawę tego święta zabierają ludzie gałęzie drzew, któremi ołtarz był przybrany i zatykają je w izbie za obrazami razem z palmową gałązką. W czasie burzy gałąź taka chroni dom od piorunu. Gospodynie wyzbierają z ziemi nawet najdrobniejsze niteczki kwiatków rzucane w czasie procesji przez dziewczynki przed księdzem idącym z monstrancją. Kwiatki te suszą i przechowują starannie, a gdy kto dostanie uroków, albo zasłabnie czy to na ból głowy, czy na inną chorobę, okadzają nimi chorego.

Górale tutejsi są muzykalni, śpiewają chętnie, a przez całe lato

rozlegają się na polanach donośne, wesołe śpiewy pasterzy. Do ostatnich czasów muzyka weselna składała się ze skrzypiec i kobzy, którą nazywają gajdy a muzykanta grającego na tym instrumencie gajdosem. Części drewniane do kobzy wyrabiano w Sopotni Wielkiej z cisowego drzewa i inkrustowano je ozdobnie cyną.

Dzisiaj ginie w Żywieczyźnie i ten starodawny instrument, jak giną oryginalne stroje góralskie, zmienia się wewnątrz izby i chata cała, ztracając się prastare zwyczaje i wierzenia, a cywilizacja wciskając się i w te ciche górskie dziedziny, a szczególnie ostatnia wojna, która ludność tu-tejszą jako wojaków rozprószyła po całym świecie, zacierając gwałtownie różnice rodowe i plemienne.

Niechaj ten szkic chociaż w drobnej mierze uzupełni nieliczne dotychczas prace etnograficzne o góralach od Żywca i niechaj uratuje od zapomnienia tę garstkę spostrzeżeń o tym ludzie, którą powyżej podałem.

Seweryn Udziela.

O potędze wód i lodowców w Tatrach.

Dzięki prostej a w swej prostocie gienjalnej interpretacji J. Playfaira nie ulega wątpliwości, że krajobraz jest dziełem wód płynących. Oto, co pisze w tej mierze przed wiekiem ten dobrze widzący, a dobrze myślący filozof przyrody: Układ dolin wśród gór wskazuje wyraźnie, jaki jest ich początek. Oto stoimy we wielkiej dolinie, która wypada w równinę, przewijając się zrazu między wysokie grzbiety gór, podczas gdy woda sływa po płaszczyźnie, nieznacznym odznaczającej się spadkiem. W tę dolinę wpada mnóstwo dolin pobocznych, przecinających zbocza doliny głównej, przynoszących jej dopływy, których rozmiary stoją w uderzającej proporcji do wielkości doliny, a których wzajemne przystosowanie spadków jest tem bardziej uderzające i zdumiewające, im bardziej nierówne i górzyste jest otoczenie. Doliny poboczne mają dopływy jeszcze mniejsze, a w wysokich górach jest pospolite to rozwidlenie wód i dolin do trzecio-czwarto- i piąto-rzędnych, z których każda w tym stopniu się pomniejsza, w jakim się wznosi na coraz to większe wysokości, pomniejszając równocześnie swe zasoby wód. Do wszystkich tych dolin da się zastosować prawo, że łącząc się tworzą one kąty, które statecznie ku dołowi rosna.

Prawo to jest naturalne dla wód spływających i łączących się na płaszczynie równi pochyłej. Oto dowód, że doliny są dziełem wód płynących, cóż też wreszcie innego, jak nie woda, byłoby zdolnem sobie utorować i utrzymać połączenie w poprzek nierówności alpejskiego krajobrazu?¹⁾

Zatrzymajmy się chwilę tylko przy pierwszej wielkiej obserwacji Playfaira: Wszystkie rzeki, wszystkie doliny, bez względu na różnicę zachodzącą między ich rozmiarami wzajemnymi, między spadkiem, z jakim płyną w swych górnych biegach, bez względu na to, czy jedna płynie



Fig. 1. Dolina Buczynowa wisząca nad Roztoką. Przykład niezgodności ujęć dolin w Tatrach.

z wysokich gór, druga przepływa równiny, łącząc się w ostatnim swego biegu odcinku przystosowują swe spadki do siebie i łączą się ostatecznie zawsze w tym samym poziomie. Oto prawidło nigdy nie zawodzące, a dowodzące niezbicie, że krajobraz dolinny jest dziełem wód płynących. A wszak krajobraz dolinny, to świat cały w granicach klimatu, o tyle

¹⁾ John Playfair, Illustrations of the Huttonian Theory (The Works of J. Playfair, 1802, p. 124, § 359—361).

wilgotnego, że stale płynące wody są jego produktem, a krajobrazu rzeźbiarzem.

Synteza, dająca się sprawdzić na całym licu ziemi, poza nie dostępnym wodom płynącym dnem morskim i pustyniami, zyskała sobie rychło powszechne uznanie, stała się naukowym pewnikiem.

Nagle z dwu stron, niemal równocześnie, skierowano przeciw poglądom Playfaira atak, tak skuteczny, że na przełomie wieków XIX i XX nie ulegało już niemal kwestji, że w dziedzinach, w których wody są najhuczniejsze, w których największą potęgę władania wód nad krajobrazem należało przypuszczać, krajobraz i jego geneza innym siłom i innym ulegają prawom. To świat gór wysokich, świat dzisiejszych i nie dawno zanikłych lodowców.

W wysokich górach niezgodność poziomów ujściowych potoków i dolin należy do zjawisk niemal pospolitych. Zjawisko to, rozwinięte potężnie, staje się dominującym rysem w krajobrazie. Wystarczy stanąć u wylotu kotliny Pięciu Stawów Polskich i rzucić okiem na zawieszoną nad Roztoką doliną Buczynową (p. Fig. 1.), wystarczy z doliny Białej Wody rzucić okiem ku Żelaznym Wrotom i wglądać w Kaczą Dolinę, lub z drogi na Polski Grzebień strychować okiem ponad barjery na lustro Czeskiego Stawu (p. Fig. 2.), by się przekonać, że i w Tatrach nie brak krzyczących dowodów na to, że prawo Playfaira o przystosowaniu się poziomów łączących się ze sobą dolin nie da się wszędzie zastosować.

Dwaj rozgłośnej sławy uczeni, William Morris Davis¹⁾ z Harvard University w Ameryce i Albrecht Penck²⁾ z Uniwersytetu wiedeńskiego zjawisko to pochwycili, ujęli w syntezę tak niesłychanie prostą, a tak wymowną, że lotem okrążyła ona świat cały i bezspornie niemal zapanowała.

Teorja Davisa-Pencka da się ująć w kilku słowach.

W normalnym, wodami płynącymi rzeźbionym krajobrazie, wszystkie doliny przystosowują poziomy wzajemnego połączenia. Tak jest wszędzie i tak było też w górach, póki one nie były zlodowacone. W Tatrach i w Alpach, zanim się jeszcze nie rozwinęły lodowce, wszystkie potoki górskie uchodziły do siebie w poziomach zgodnych. Wodospadów nie było zgoła. Tymczasem ze zmianą klimatu rozwinęły się lodowce, małe w małych, duże w dużych dolinach. Małe nitki wody i większe górskie

¹⁾ Davis, Glacial erosion in France, Switzerland and Norway. Proc. Boston Soc. of Nat. History. 1900. Vol. XXIX, p. 273—322.

²⁾ Penck, Die Übertiefung der Alpentäler. Verh. VII Intern. Geogr. Kongr. Berlin, 1899, p. 232—40.

potoki zamienione w lodowce powiększyły niesłychanie swą objętość w miarę tego, że lód lodowcowy porusza się z chyżością kilkudziesięciu metrów na rok, podczas gdy wody płyną w dolinach górskich z chyżością co najmniej dwukrotnie większą na minutę. Zrozumiałe przeto, że lód lodowcowy musi mieć okrągło milion razy większą objętość i przekrój, aniżeli wody przepływające te same górskie doliny, jeszcze lub już nie zlodowacone. (Te same przyczyny tłumaczą, dlaczego w mniejszych do-



Fig. 2. Rygiel stawu Czeskiego. Przykład wiszącej doliny mniejszej nad większą.

linach górskich lodowiec osiąga tylko kilkadziesiąt metrów grubości, podczas gdy walne doliny górskie są wypełnione żyłą lodu wiele set metrów grubą).

Stawiając hipotezę, że masa lodu spływającego dolinami górskimi szoruje i ściera ich dno, a więc je złobi i statecznie obniża i pogłębia, a czyni to w miarę i w stosunku do grubości, czyli miąższości mas lodu, rozumowali Davis i Penck, że dno dolin wielkich musiało zostać znacznie silniej pogłębione aniżeli dno dolin małych. Z chwilą, gdy lodowce stały, musiały dna dolin małych zawisnąć nad dnem dolin

wielkich, musiał powstać krajobraz doliny Buczynowej, Kaczej, czy Czeskiej. Tak to było oczywiste!

Teoria ta została nazwaną teorią przegłębienia dolin zlodowaconych, a krajobraz lodowcowy został nazwany krajobrazem przegłębionym. Nazwa ta znajdowała uzasadnienie w teorii Playfaira, który stworzył koncepcję krajobrazu normalnego, tzn. pogłębionego do normalnego poziomu, który wielkie lodowce zakłóciły, żłobiąc go poniżej poziomu normalnej erozji wodnej, czyli go „przegłębily“.

Należy zauważyć, że teoria przegłębienia nie kłóci się zgoła z koncepcją Playfaira. Wszak zgodne poziomy ujęć dolinnych nie tylko nie wykluczają, ale nawet domagają się zawieszenia dna małej doliny nad dnem doliny wielkiej. Miarą tego zawieszenia jest różnica głębokości dwu rzek łączących się, wynosi przeto zwykle tylko kilka cm, dm, lub metrów, bo tyle tylko wynosi różnica głębokości rzek. Ba, ale różnica grubości lodowców idzie w dziesiątki i setki metrów, nic przeto dziwnego że zawieszenie dolin ongiś zlodowaconych jest tak potężnem w krajobrazie zjawiskiem.

Jak wspomiałem powyżej występ Davisa i Pencka był isticie triumfalnym pochodem, a nieliczni oponenci ponosili klęskę za klęską, a zerwawszy się do zbiorowego ataku podczas międzynarodowego kongresu w Sztokholmie przeciw teorii przegłębienia, przyczynili się bodaj najsukteczniej do wyłączenia jej w nauce panowania.

* * *

Obcowanie jednak z mojami górami nie pozwoliło mi nigdy pogodzić się z teorią przegłębienia lodowcowego.¹⁾

Nie zaprzeczając wybitnej indywidualności krajobrazu lodowcowego, przekonany w zupełności, że incydent zlodowacenia jest za owo przeobrażenie fizjognomji krajobrazu odpowiedzialny, nie mogłem się nigdy w moich górach, w których się wychowałem, dopatrzeć ani prawidłowości zjawiska przegłębienia, ani mogłem się pogodzić z konsekwencją teorii przegłębienia: przewagą żłobienia lodowcowego nad erozją wód płynących.

Trudno było wszakże wystąpić z odmiennymi na genezę krajobrazu lodowcowego poglądami na podstawie doświadczeń i refleksyj, zdobytych w tak małych dziedzinach zlodowaconych, jakimi rozporządza krajobraz Polski.

¹⁾ Romer: Kilka uwag o genezie krajobrazu lodowcowego. Kosmos^[XXXIV], Lwów, 1909, p. 239—262.

To skłoniło mię do poczynienia studjów w Alpach. Wrażenia pierwszych mych studjów lodowcowych były potężne. Przyznać się muszę, że pod ich wpływem porzuciłem na czas dłuższy indukcyjne metody pracy i z gotową niemal dedukcją zacząłem stawiać pytania wobec majestatycznych zjawisk przyrody krajobrazu lodowcowego, wśród którego spędziłem cały rok 1909. A odpowiedzi, które zdobyłem podczas tego obcowania wśród nocnej ciszy, a wśród szalonej burzy tonów i zgiełków w blasku południowego światła na pustyniach lodowców alpejskich, wątpliwościami mojemu nie tylko nie zachwiały, ale doznały w klasycznym kraju glacialnego przegłębienia, silnej podpory.

Analiza zjawisk w terenie, a następnie studjum materiałów porównawczych przekonało mię niezbitnie co do dwu tez:

1. Między zjawiskami przegłębienia a miąższością lodowców dyluwalnych nie istnieje stosunek proporcjonalności. „Si les surcreusements de dimension moyenne (400 a 600 m.) apparaissent avec une apaisseur de glace variant entre 200 à 1650 m, inversement a une masse de glace moyenne 1000 m. d'epaisseur) peut correspondre toute la serie des surcreusements, de 200 a 800 m., il est clair que toute relation genetique entre ces quantites est exclue“.

Ponieważ wynik powyższy oparty był o hipotezę alpejskich poziomów preglacialnych, które wchodzi do teorii przegłębienia jako jedno z jej obserwacyjnych podstaw i logicznych założeń, przeto rozważano następnie teorię przegłębienia niezależnie od tego na podstawie obserwacji schodów ujściowych (gradins de confluence). Oto wynik tego rozważania, postawiony tu jako teza druga:

2. Z 86 rozważanych ujść dolin lodowcowych 27% ujść było zgodnych mimo znacznej przewagi zlodowacenia dolin łączących się, 35% ujść wykazywało budowę schodową mimo braku do tego danych w różnicy siły, względnie rozmiarów zlodowacenia, a tylko 38% ujść schodowych znajdowało się, że tak powiem, na miejscu; wszakże i w tych wypadkach brak było jakiegokolwiek zgodności między zjawiskami, a więc między różnicą zlodowaceń dolin łączących się, a rozmiarami schodu ujściowego. Nie mogę też pominąć milczeniem faktu, że na badanym przezemnie obszarze dorzecza Rodanu prócz 51 schodów ujściowych znajduje się 60 schodów dolinnych nie związanych z żadnym ujściem.¹⁾

Penck tymczasem proklamuje dla schodów ujściowych zgoła nie-

¹⁾ Romer: Mouvements épirogéniques dans le haut bassin du Rhône, Bull. Soc. Vaudoise Sc. Nat. 1911, p. 65 sq. Voir sp. p. 106, 126 sq.

dwuznaczną zasadę: „Diesleben sind um so höher je grösser der Unterschied im Einzugsgebiete der zugehörigen Täler ist“, a schody i barjery dolinne nie związane z ujściem uważa za zjawisko wyjątkowe, tłumaczone nie określoną bliżej dyferencją siły erozyjnej lodowca.¹⁾

Moje studja alpejskie nie były ani skończone, ani też były wolne od pewnych luk, a może nawet i pewnych nieporozumień. Ex post je rozważając obawiam się, czy poziom preglacjalny krajobrazu alpejskiego, przyjęty jako taki przezemnie, nie był częściowo przynajmniej plioceńskim... Trudno mi dziś te wątpliwości prostować!

Ukończywszy wszakże wówczas pierwszą serję mych studjów glacialnych, nie wątpiłem, że je będę kontynuować, co się też w znacznej mierze i stało. Wróciwszy do kraju rozpocząłem systematyczne studja nad epoką lodową w Tatrach, nad czem pracowałem, z licznymi co prawda przerwami, do wybuchu wojny.

Ale przerwy mego studjum tatrzańkiego, spowodowane podróżami do wsch. Azji i północnej Ameryki, zwłaszcza zaś ta ostatnia, wzbogaciły mój zasób doświadczeń i coraz silniej mię utrwaliły w przekonaniu, że zarzuty moje przeciw teorii przegłębienia lodowcowego mają powszechne zastosowanie. Zwłaszcza spostrzeżenia moje poczynione w Alasce i we fjordach Kolumbji brytyjskiej rozszerzyły me widnokreśli.

Wszystkie te studja i myśli rozbudzone pograżyły się w chaosie wielkiej wojny, w którym cała ludzkość utonęła. „Przegrupowanie“ konieczne do osiągnięcia nowych i wielkich celów dotyczyło nietylko wszelkich sił fizycznych i społecznych, ale w tej samej mierze porwało za sobą i całą psychikę. Jak głęboko sięgło owo „przegrupowanie“ duszy ludzkiej, odczuł każdy, gdy po lat szeregu usiłował wrócić do przedwojennego kręgu myśli i zadań.

Gdy ubiegłego lata usiłowałem po raz pierwszy przeprowadzić ze sobą repetytorjum moich przedwojennych doświadczeń tatrzańskich na podstawie własnych notat, rysunków, fotografii, a nawet na poły gotowych manuskryptów, czułem się wśród nich zupełnie obcy. Gdy w tym samym czasie wszedłem w tatrzański świat gór, w których młodość spędziłem, a któremu szereg dojrzałych lat pracy poświęciłem, doznałem dziwnie obcych wrażeń: moc ich zbladła nieporównanie, a zdawna już gotowej nici syntezy, ani rusz było nawiązać do roztrzaskanych się form krajobrazowych. Nie podobna było wrócić na dawne trakty myśli i rozumowania, przyszły więc nowe, bo nowych też doznało się wrażeń.

¹⁾ Penck — Brückner, Alpen im Eiszeitalter, p. 302, 621.

Zanalizujmy panoramę Zakopanego, której poszczególne elementy jak kulisy układają się względem Giewontu. Z tyłu od południa widnieją za ścianą turnie granitowe Tatr wysokich, z przodu ustawia się szereg niskich, według jednolitego planu ukształtowanych wałów reglowych. Cały kompleks gór, łącznie z Giewontem, przedstawia szereg łusek (płaszczyzn), okazujących w tym zwłaszcza miejscu wszędzie bardzo stromy i bardzo zawiły układ warstw, ale ułożony w tak prawidłowe niemal



Fig. 3. Dwie strefy wałów reglowych, Łysanki i Grzybowiec, dwie linie przełęczy, 1335 m i Warzęcha. Widok z Przysłopu Miętusiego. Z przodu na prawo brzegowa morena Małej Łąki.

równoległe pakiety, że zależność zewnętrznych form górskich, morfologii od wewnętrznej architektury gór z jednej, a materiału budowlanego z drugiej strony, występuje w dolinach, przecinających tę krainę odrazu na jaw.

Rozglądnijmy się w tym schemacie z wnętrza walnych dolinek, przecinających ten kompleks w poprzek, z doliny Strażysk, Małej Łąki lub Bystrej. I tu i tam widzimy to samo. U wrót dolin kilka wąskich, stromo wzdłuż krawędzi Tatr zapadających pakietów wapieni numulito-

wych (u górali „jarzec“), pstrych łupków i dolomitów wieku tryjasowego, które tworzą pierwszy, zwarty wał „reglowy“. To Hruby (1358 — własny pomiar) na zachód od Małej Łąki, — Łysanki (1457) między Małą Łąką a Strażyskami, — Sarnia (1375) między Strażyskami a Białym, — Krokiew (1378) między Białym a Bystrą, — wreszcie Kopieniec (1334) na wschód od Bystrej. Na południe od pierwszego pasu „regli“ rozpościera się szeroki pas łupków (gresteńskich i kajprowych), a w jego obrębie wykształca się strefa przełęczy, obniżona na południe od Łysanek do 1335, na południe od Sarniej do 1305, na południe zaś od Krokwi 1310. Poza strefą przełęczy piętrzy się ku południowi znowu pakiet dolomitów z drugim pasem regli, równoległym do pierwszego, ze szczytami nie dobrze określonymi, ale wznoszącymi się do uderzająco zgodnej wysokości 1480—1500 m. (Siwarowy, Grzybowiec, Suchy). Między dolomity pasu reglowego a potężne ławy (liasowego) wapienia górnotatrańskiego, z których jest zbudowany strzelisty Giewont, są wprasowane cienkie wkłady (górnokredowych) łupków marglistych. W tych marglach nie dochodzi już do wykształcenia kompletna strefa przełęczy, ale nie mniej wyraźną jest, a nawet uderzającą w krajobrazie strefa rynienek typu „Warzęchy“, które wymodelowane w ścianach turni Giewontu, tem plastyczniej je wypuklają. (Fig. 3, Fig. 4).

Musi się dobrze uprzytomnić tę niezwykłą relację między budową a kształtami tej dziedziny, dochodzącą aż do zupełnie zgodnej wysokości poszczególnych elementów krajobrazowych, by zrozumieć znaczenie pewnego wrażenia, na pozór małego, natury fizycznej, którego doznałem kilkakrotnie podczas ubiegłego lata, zwiedzając te dziedziny i uzupełniając, względnie powtarzając moje tu przed wojną czynione spostrzeżenia.

Oto ilekroć szedłem z doliny Strażyskiej do Małej Łąki, czy to przez Warzęchę, czy przez przełęcz pod Łysankami, czy przez którykolwiek z regli — ile razy szedłem z doliny Białego przez Wrotka do Kondratowej doliny, a nie na odwrót, odczuwałem stopień znużenia nieporównanie większy. Wrażenie to, zapewne lat temu 8 lub 9, zgoła nieuchwytnie, nasunęło mi poraz pierwszy myśl, że w krajobrazie tym, w którym nie tylko kształty, ale i wysokości szczytów i przełęczy reglowych tak dokładnie ze sobą korespondują, dna dolin stanowią zastanawiające pod tym względem wyjątki.

Dla lepszego uzmysłowienia tych, bardziej niezwykłych, niżby się zdawać mogło stosunków, wykonano szereg podłużnych przekrojów wzdłuż dolin przecinających opisany pas reglowy.

W pierwszej parze przekrojów (Fig. 5), uderza mała dolinka, pra-

widłowo erozyjnie rozwinięta,¹⁾ to Strażyska; druga silnie zakłócona, to Mała Łąka. Mimo, że Mała Łąka jest dwa razy dłuższą od Strażyskiej, a ma też odpowiednio większe dorzecze, jest dolina Strażysk na całej długości położona niżej od Małej Łąki, z wyjątkiem najgórniejszej części którą w Strażyskach reprezentuje jeden ze skalnych kominów Giewontu. Różnica wysokości obu dolin zrazu nieznaczna wzrasta wyżej 35 m. właśnie w poziomie, w którym kończył się lodowiec w Dolinie Małej



Fig. 4. Widok z Nosala. W części prawej dwa wały reglowe, Krokiew i Suchy, oddzielone od siebie przełęczą 1310. W tyle na lewo Kondratowa i Goryczkowa.

Łąki (Fig. 3). Powyżej tego punktu różnica wysokości dna obu dolin gwałtownie rośnie i dochodzi do 115 m. Dodać należy, że dolina Strażysk, przynajmniej podczas ostatniego zlodowacenia Tatr, nie miała zgoła lodowców.

Jeszcze osobliwsze stosunki wysokości i kształtów panują w grupie dolin, które związane wypadają z Tatr jako Bystra. Doliny te są zakoń-

¹⁾ Dolinę uważamy za rozwiniętą normalnie, gdyż poszczególne jej odcinki mają coraz mniejszy spadek ku dołowi.

czone ku górze kotłami, których pięknie zaokrąglone niemal geometryczne kształty uderzają w panoramie Zakopanego (Fig. 6).

W sieci dolin i potoków Bystrej nie trudno wyłączyć dwie grupy: doliny i kotły Goryczkowe z Kondratową, to jedna grupa — a Kasprowa dolina ze Staremi Szałasiskami, to druga. Dla obu grup dolin wykonano osobno profile, a w profilu pierwszej grupy wyróżniono Goryczkowe Kotły liczbami rzymskimi I, II, III od zachodu ku wschodowi (Fig. 7 i Fig. 8).

Doliny pierwszej grupy stanowią jeden bardzo prawidłowy wachlarz, układ przeto klasyczny dla powstania, w myśl teorii glacialnego prze-głębienia, potężnego schodu ujściowego w punkcie zbiegu tych licznych dolin, a ongiś lodowców. Nic podobnego! Schodów ujściowych w dorzeczu Bystrej z wyjątkiem pozornego śladu przy połączeniu III Goryczkowej z Kondratową zgoła niema. Cztery wymienione powyżej doliny mają tylko w tyłach swoich rozwinięte piękne kotły, uderzające o tyle, że zarówno ich tylne ściany, jak też ich dolne progi w jednej płaszczyźnie się znajdują. Ta zgodność jest tak uderzającą, że mimowoli myśl się nasuwa, czy ustawienie ścian i progów w sąsiednich dolinach w tych samych płaszczyznach pionowych nie jest następstwem architektury ta-trzańskiej.

Niemniej, jakkolwiek brak jest typowych schodów ujściowych, hypsometryczne stosunki dna owych dolin są osobliwe. Stosunki te uderzają przede wszystkim w zachodniej grupie dolin. Oto dna trzech dolin Goryczkowych, są w każdym ich punkcie znacznie wyżej położone niż dno doliny Kondratowej. Różnice te rosną ku górze dolin wogóle, a ku wschodowi w szczególności i tak rzecz można, że III Goryczkowa wisi nad Kondratową; II wisi jeszcze bardziej, a I jest najsilniej zawieszoną. Rozmiary zawieszenia wynoszą przeciętnie między Kondratową a Goryczkową III: 60 m — Goryczkową II: 145, a Goryczkową I: 155 m.

Zawieszenia analogiczne występują także i we wschodniej grupie dolin, a słabsze jego wymiary — średnio 50 m. — potęguje fakt, że zawieszenie dotyczy doliny Kasprowej, znacznie większej i w stosunku do doliny Stare Szałasiska pierwszorzędnej. (Fig. 8).

Wspólnem wszakże i dla obu dolin uderzającym zjawiskiem jest to, że w jednej i w drugiej bez względu na wielkość dorzeczy, a nawet mimo przewagi dorzeczy, doliny zlodowacone wiszą nad dolinami niezlodowaconymi. Mówimy i musimy mówić o przewodzie dorzecza dolin zlodowaconych, bo wszak musimy i w zachodniej grupie dolin przeciwstawiać trzy doliny Goryczkowe jednej Kondratowej, nad którą wszystkie

Goryczkowe wiszą, a dopiero zjednoczone powoli do jej poziomu się przystosowują.

Przewaga pracy żłobienia dolin dokonanej przez wody płynące nad pracą lodowców występuje w dorzeczu Bystrej jeszcze bardziej bezpośrednio i jeszcze bardziej jaskrawo, niż w parze równoległych i sąsiednich dolin, Małej Łąki i Strażyskiej.

Zanim jeszcze dorzucę garść spostrzeżeń, które mię o owej wyższej potężde tatrzańskich wód płynących nad lodowcami upewniły, muszę poświęcić kilka uwag temu niewątpliwie uderzającemu faktowi, że dolina Kondratowa, ze składowych dorzecza Bystrej najważniejsza, była w ciągu ostatniego okresu lodowego pozbawioną lodowców. Gdy bowiem stosunki wysokości wschodniej części doliny Kasprowej (Stare Szłasiska) tłómaczą dostatecznie ich niedorozwój lodowcowy, to zważywszy średnią wysokość grani Goryczkowej wynoszącą 1881 m., a Kondratowej wynoszącą 1865 m., anomalja Kondratowej jest istotnie nie łatwą do zrozumienia i do wytłumaczenia.

Dopiero szczegółowe poznanie ukształtowania całego dorzecza, a przede wszystkim nikłości ostatniego zlodowacenia lodowca Bystrej, mimo maximum grubości, które przekraczało 100 m., a długości zjednoczonego lodowca która dochodziła 4, 5, km. nasuwa myśl, że całe dorzecze Bystrej znajdowało się podczas ostatniego okresu lodowego zaledwie u kresu warunków niezbędnych dla rozwoju lodowców, że tem samym najmniejszy wpływ lokalny mógł pewną część dorzecza od rozwoju lodowców uchronić.

Z doświadczeń zimowych znane jest dziś powszechnie, jak wielką rolę w gromadzeniu śniegu na północnych stokach Tatr odgrywa nawiewanie go ze stoków południowych.

Wiatry panujące w zimie od południowego zachodu wyjaśniają

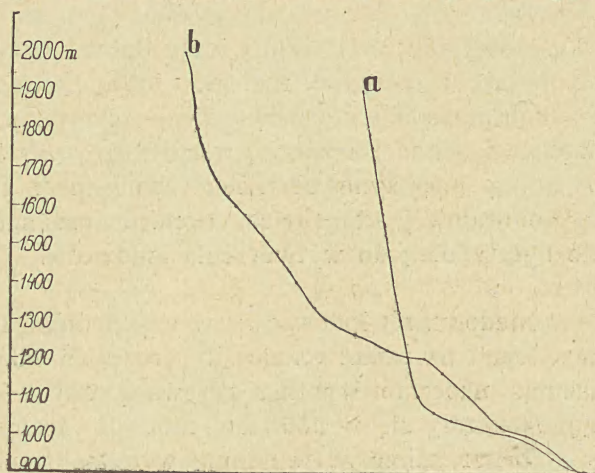


Fig. 5. Przekrój podłużny Strażysk (a) Małej Łąki (b)
(długości 1: 100,000, wysokości 1: 20,000)

dostatecznie to zjawisko i tłumaczą lodowcowe uprzywilejowanie północnych a zwłaszcza północno-wschodnich zboczy górskich, mimo, że są one częstokroć pod względem ilości bezpośrednio spadłych opadów (deszczów i śniegów) uderzająco upośledzone. Północne więc stoki Tatr mają dziś nawisy śnieżne, w dyluwjum miały zaś lodowe, przedewszystkiem dzięki masom śniegów spadłych na stokach południowych i z nich przez wiatry na stoki północne odtransportowanych.

Taką jest też prawdopodobna geneza lodowców Goryczkowych i Kasprowego, których kotły były dobrze odżywione śniegiem nawianym z południa, z szerokiej, rozległej doliny Cichej. Ale pomiędzy doliną Cichą a Kondratową istnieje barykada — to grań poprzeczna, wybiegająca od Rzędów i dolina Ospadlina, wsparta o grań Kondrackiej. Ta to dolina Ospadliny magazynowała śniegi zwiewane z Cichej i niedopuszczała ich do Kondratowej, która ograniczona do mas śniegu spadłych bezpośrednio, nie była zdolną do wytworzenia lodowców.

Niedorozwój lodowcowy w części dolin Tatr Zachodnich dostarczył nam lekcji na temat różnic siły erozyjnej wody płynącej i lodowców, wykazując naocznie wybitną przewagę siły wód płynących. Poziomy erozyjne okazały się w dolinach niezlodowaconych daleko silniej cofnięte w głąb gór, mimo że w danym wypadku musiało się porównywać małe doliny niezlodowacone z dużymi dolinami lodowcowymi, w których przeto zasób sił żłobiących musiał być a priori znaczniejszy.

Aby ocenić doniosłość owych różnic poziomów denudacyjnych dla oceny energii poszczególnych czynników żłobiących, należy zwrócić uwagę na niezwykłą trwałość i stałość poszczególnych charakterystycznych poziomów denudacyjnych w każdym zespole krajobrazowym.

Na wstępie daliśmy obraz trwałości poszczególnych punktów górnych poziomów denudacyjnych. Podczas gdy jednak w górnych poziomach denudacyjnych różnice struktury i różnorodnej odporności warstw niemal nigdy się nie zacieraają, przeciwnie ma się rzecz z dolnymi poziomami denudacyjnymi. Te wykazują już w bardzo wczesnem stadium rozwojowem niemal zupełną niezależność od struktury i odporności warstw i stałość uderzającą na wielkich przestrzeniach.

Przypatrzmy się tym stosunkom w Tatrach, ograniczając się do jednego tylko szeregu porównawczego dolnych poziomów denudacyjnych, a mianowicie tych, w których potoki tatrzańskie opuszczają Tatry.

Punkty odnośne są oczywiście w każdej dolinie tatrzańskiej bardzo charakterystyczne, a ich wysokość da się oznaczyć ze znacznym stosun-

kowo stopniem dokładności. Pewne wąpłiwości nastęrcza tylko jedna dolina Suchej Wody, której potężne akumulacje morenowe nietylko zamaskowały charakterystyczne formy wylotowej bramy dolinnej, ale zakryły brzegową strukturę Tatr.

Oto zestawienie poziomów, w których doliny tatrzańskie opuszczają krawędź górską. Zestawienie wykonano od zachodu ku wschodowi.

Nazwa doliny:	Poziom wylotu z Tatr	Budowa geologiczna:	Powierz- chnia dorzecza:
I. Zuberecka (Studena)	877	wap. numulitowy i dolomit. choczański	37.9 km ²
n. Bobrowiecka	870	łupki neokomskie	10.0 „
n. Biała Woda	835	dolomit choczański	4.4 „
I. Chochołowska	920	„ „	35.6 „
n. Lejowa	910	wapień numulitowy	4.9 „
I. Kościeliska	919	„ „	33.8 „
I. Mała Łąka	920	„ „	6.1 „
n. Strążyska	895	„ „	3.8 „
n. Biały	905	dolomit śr. tryjasowy	2.9 „
I. Bystra	920	wapień numulitowy	16.5 „
n. Olczyško	895	„ „	4.4 „
I. Sucha Woda	1000	„ „	21.1 „
n. Suchy od Kopy Soltysiej	956	„ „	1.9 „
n. Filipka	935	łupki kajprowe	4.0 „
I. Białka	955	zlepienieć numulitowy	54.7 „
I. Jaworzynka	980	„ „	34.2 „

(litera I, względnie n, umieszczona przed nazwą doliny, określa zlodowaoną, względnie niezlodowaoną dolinę.)

Rzut oka na zestawienie powyższe winien być bardzo pouczający, winien wzbudzić to wrażenie, które sto lat temu natchnęło Playfaira do postawienia swej prostej a tak wielkiej koncepcji o pochodzeniu krajobrazu. Wszak owo zestawienie stwierdza, że nawet w kraju o tak burzliwym krajobrazie, wyrażonym tak wielkimi różnicami wysokości i tak bujną różnaitością kształtów, w dziedzinie, w której skały tak wielkich różnic twardości na powierzchnię występują, gdziekolwiek wody na zewnątrz tej krainy doliną wypływają, małe czy duże, bez względu na opór, który im stawia budowa gór, czynią to zawsze i wszędzie w tym samym niemal poziomie.

Poziom wylotu poszczególnych potoków tatrzańskich jest przeto w znacznym stopniu ujednostajniony bez względu na wielkość dorzecza danego

potoku, a więc zasoby i siły wody i bez względu na petrograficzne właściwości bram, przez które potoki tatrzańskie wypływając na Podhale się przebijają.

Niemniej bliższe rozpatrzenie się w poziomach wypadowych potoków tatrzańskich wiedzie do wydzielenia trzech grup: zachodniej, orawskiej, o poziomie niższym niż 900 m., środkowej o poziomie wynoszącym okragło 900 m., jakoteż wschodniej o poziomie wynoszącym naogół 950 — 1000 m.



Fig. 6. Kotły Goryczkowej

Różnice poziomów wypadowych, widoczne w tych trzech grupach, naprowadzają na niejaką relację między szczegółami rzeźby, a ogólnym planem architektury Tatr.

Oto wiadomem jest, że Tatry są masą górską wypiętrzoną pod wpływem ciśnień górotwórczych, działających od południa. W następstwie tych ciśnień nastąpiło nietylko masowe wypiętrzenie, ale też nasunięcie od południa w poprzek jądra pierwotnego kilku pakietów warstw sfałdowanych i wzajem na się w stanie leżącym przesuniętych. Prócz ciśnień

wywieranych od południa, a powodujących ułożenie się głównych fałdów tatrzańskich w kierunku wschodnio-zachodnim, współdziałały w Tatrach inne siły w poprzek kierunku głównego i spowodowały w osi podłużnej łańcucha poprzeczne wydzwignięcia i wklęsnięcia. Zewnętrznie ujawnia się to pofalowanie poprzeczne osi głównej konserwacją pakietów nasuniętych w miejscach zakłęsłych, a znikaniem owych pakietów w następstwie silniejszego niszczenia erozyjnego w miejscach znacznie większego wypiętrzania głównej osi tatrzańskiej.

Wiemy więc, że obraz Tatr, przykryty fałdami granitów Goryczkowej jest linią najpotężniejszego obniżenia poprzecznego masy Tatr. Wiemy prócz tego, że na zachodzie (dolina Zuberecka) Tatry się gwałtownie, poprzecznie ku zachodowi zanurzają. Znamy też jeszcze kilka guzów i wgięć poprzecznych

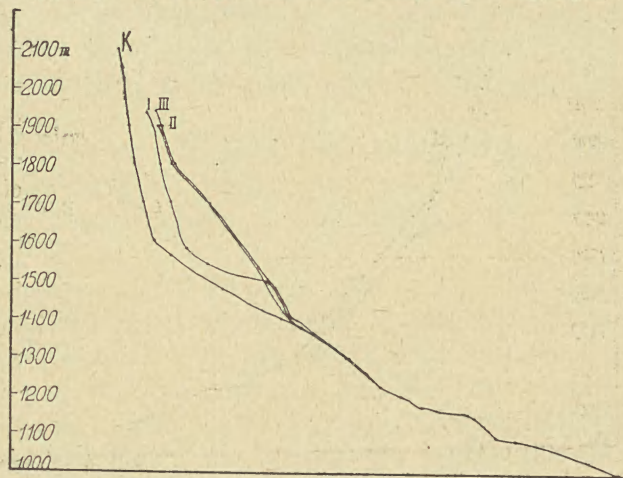


Fig. 7. Profil dolin Goryczkowych i Kondratowej (długości 1:100.000 wysokości 1:20.000)

tatrzańskich. Do pierwszych należy n. p. masa górna linii Kosistej—Krywania, lub na linii Bystrej — Tylkowych — Kominów, Szeroka Jaworzyńska natomiast lub Bobrowiec znaczą nam wtórne wgięcia Tatr.

Te szczegóły struktury tłómaczą nam niemal cały zasób rozczłonkowania, a nawet rozmieszczenia wysokości w Tatrach. Wystarczy zaznaczyć, że na linii głównej zakłęsłości poprzecznej rozwinęły się takie doliny, jak Bystra od północy lub Cicha i Koprowa od południa, że na linii wtórnej zakłęsłości Szerokiej Jaworzyńskiej powstał rozległy system wód i dolin Białki.

Bohdan Świdorski¹⁾ śledzi te relacje zachodzące między architekturą a rzeźbą Tatr szczegółowo.

¹⁾ Świdorski: Geneza dolin tatrzańskich. Przegląd Geogr. III 1922, p. 9—17.

Korzenie leżącego fałdu Czerw. Wierchów, oraz nowe elementy budowy trzonu Tatr. Rozpr. Akad. Um. W. mpr. 1921.

Plan rzeźby zewnętrznej jest zgodny z planem wewnętrznej budowy Tatr. Rzuty poziome planu architektonicznego godzą się z liniami głównych wypiętrzeń i wytycznymi liniami sieci wodnej Tatr. Relacje te idą tak daleko, że nareszcie ich ślady znajdziemy nawet i w tem zjawisku, które jest przedmiotem naszej dyskusji.

Oto poziomy wypadowe dolin tatrzańskich są najniższe na zachodzie, gdzie Tatry w całości pod orawskie podhale się zanurzają, na wschód

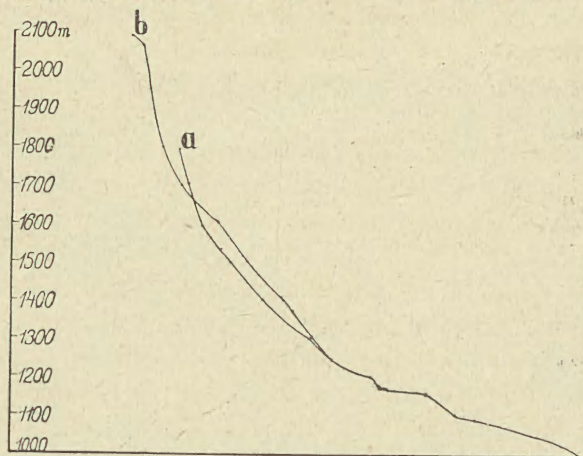


Fig. 8. Profil doliny Kasprowej (b) i Stare Szałasiska (a) (Długości 1 : 100.000, wysokości 1 : 20.000)

zaś od wielkiej poprzecznej depresji Goryczkowej poziomy wypadowe dolin gwałtownie się podnoszą. Jest godne uwagi, że w odcinku środkowym, mimo że poprzecznie pogiętym przez wypiętrzenia wtórne i wgięcia, poziomy wypadowe nie wykazują żadnej od nich zależności.

Tak więc najwięcej interesu budzą zdaniem mojem właśnie potoki grupy środkowej, których poziomy wypadowe zdają

się być od tektoniki Tatr najmniej zależne, a przynajmniej w danym momencie już najmniej uzależnione. I oto co się okazuje? Jedyną cechą towarzyszącą niższym poziomom wypadowym w tej grupie potoków jest fakt, że dorzecza ich nie uległy podczas ostatniego okresu zlodowacenia. Potoki dorzeczy zlodowaconych opuszczają krawędź Tatr w nieco wyższych poziomach. Różnica przeciętna poziomów w tej grupie potoków wynosi 12 m. Różnica ta w tym samym bez wyjątku kierunku zaznaczona, jest na zachodzie i wschodzie Tatr znacznie większą, wynosi mianowicie dla trzech potoków zachodnich 38 m.

Przeciętnie dla całej północnej krawędzi Tatr przedstawia się ten stosunek następująco. Poziom wypadowy dolin potoków lodowcowych znajduje się w wysokości 935 m., natomiast poziom wypadowy dolin potoków niezlodowaconych w wysokości 901 m. Ta stosunkowo nie znaczna, ale powszechna różnica, rośnie niepomierne, gdy się zważy, że powierzchnia dorzecza potoków zlodowaconych jest bez wyjątku znacznie

większą od dorzeczy, które w ostatnim okresie lodowców nie miały, że powierzchnia ta wynosi przeciętnie dla pierwszej grupy dorzeczy 30.0 km. kwadrat., dla drugiej zaś grupy tylko 4.5 km. kwadrat., że tym różnicom powierzchni odpowiadają jeszcze znacznie większe różnice sumy opadów atmosferycznych i przepływu wody.

Powszechne to na północnej krawędzi Tatr zjawisko zachwiewa zdaniem mojem do gruntu podstawami teorii glacialnego przegłębienia.

Ogólne saldo każdego okresu lodowego wyraża się w konserwowaniu form i we wstrzymaniu rozwoju krajobrazowego z jednej strony, a w obniżeniu transportów masowych, a więc ogólnego niszczenia gór z drugiej strony.

Studjum rzeźby Tatr sprowadza do właściwej miary nie tylko ilościowe znaczenie procesów związanych ze zlodowaceniem; zdaje mi się, że będzie ono zdolne wyrzucić pewien wpływ na charakterystykę i ocenę jakości tychże procesów.

Północne stoki Tatr, jak się to dopiero podczas moich dopełniających studjów wykonanych ubiegłego lata przekonałem, uległy czterokrotnemu zlodowaceni. Objawy natomiast przegłębienia, poza formami kotłów (karów) powszechnymi, są tak różnorodne, a dają się tak wyraźnie podług regionów sklasyfikować, formy zaś wielokrotnych koryt i schodów są do tak tylko szczególnego regionu Tatr wschodnich ograniczone, że próba tłumaczenia tego zespołu form procesami zlodowacenia wydaje mi się zgoła beznadziejną.

W publikacji, którą przygotowuję, wrócę jeszcze do tego tematu szczegółowiej.

Eugenjusz Romer.

Na marginesie sporu o Jaworzynę.

Ostatni przewlekły spór o Jaworzynę, jest jednym tylko luźnym ogniwem odwiecznych sporów, jakie się toczyły od tysiąclecia między Polską a sąsiadami południowymi o granice państwowe na linii obszarów górskich.

Właściwie mówić można o jednym sporze o granice południowe Polski, na który patrząc z perspektywy dziejowej, widzimy cały szereg ognisk tego sporu, wybuchających na długiej linii granicznej tu i tam płomieniem silniejszej waśni i walki. Raz w jednym, drugi raz w drugim

miejsu gorzał płomień gwałtownego sporu, przybierający czasem wygląd otwartej walki.

Nie tedy dziwnego, że swarzące się o granice swe państwa, starały się spory zażegnywać po linii swoich interesów. Ponieważ zaś interesy stron przeciwnych sprzeczne były, więcej mówiło się o potrzebie zażegnania sporu, aniżeli spór się faktycznie zażegnywało.

Można powiedzieć, że jak długo istniała Polska, tak długo również istniała dla niej kwestja konieczności uregulowania granicy południowej od strony Węgier, na której ciągle wybuchały spory graniczne. Te same spory nie upadły jednak i nie zanikły nawet po upadku Polski, chociaż sporne obszary znalazły się w granicach jednego państwa. Prowadził je bowiem dalej zabór austriacki, mianowicie austriacki kraj koronny Galicja przeciw Węgrom i to przez cały niemal czas trwania okupacji austriackiej. W tym okresie czasu ogniskował się spór dokoła sprawy Morskiego Oka, który ciągnął się blisko wiek cały a w ostatnich kilkunastu latach przed rozstrzygnięciem samym tak się zaostrzył, że nie schodził z porządku dyskusji publicznej. Przewlekły ten spór o Morskie Oko (opisany dokładnie w 2 lata po wyroku przez prof. Balzera, obrońcy w procesie całym: „O Morskie Oko. Wywód praw polskich przed sądem polubownym w Hradcu“. Przewodnik naukowy i literacki 1905. Odb. Lwów, 1906), rozegrany korzystnie dla Polaków, zahaczył i o część spornego terytorjum jaworzyńskiego, a strona polska zrobiła wówczas zastrzeżenie co do dalszego przyległego terytorjum tatrzańskiego aż do Polskiego Grzebienia, które należało również do Polski. Tem samem i spór o Morskie Oko łączy się do pewnego stopnia z dzisiejszym sporem o Jaworzynę i zastrzeżenie polskie złożone przed sądem polubownym w Hradcu, winno być w sporze jaworzyńskim również podniesione.

Odrodzona w wojnie światowej Polska podjęła znowu odwieczny spór o dawne swe granice południowe, a raczej tylko o pewne części tych granic, ale już nie z Węgrami lecz czesko-słowacką republiką, jaka otrzymała te obszary po zmniejszonych terytorjalnie Węgrach.

W zmienionych warunkach i stosunkach politycznych, wywołanych wojną światową, upadkiem Austro-Węgier, powstaniem Polski i Czecho-Słowaczyny, stary spór odżył na nowo, zaznaczając się dość jaskrawo i ostro na tle dążeń i aspiracji tak politycznych jak i etnograficznych, czeskich i polskich.

Odnowiony spór objął pogranicze śląsko-morawskie, śląsko-trencyjskie, północną Orawę i Spisz, to jest te strony, które i w przeszłości niejednokrotnie były jabłkiem niezgody polsko—czeskiej, czy polsko—

węgierskiej, a nawet widownią walk otwartych na tle przewlekłych sporów granicznych.

Spór ten cały o zachodnio-południowe granice Polski, pojęty jako całość, przechodził i przechodzi dotąd różne fazy. Na ogół wypadł on dla odrodzonej Polski niepomyślnie. Nie udało się Polsce nigdzie utrzymać na linii swych postulatów i pretensyj uprawnionych, co więcej — nie zdołała Polska wywalczyć sobie terytorjów etnograficznie polskich, za jakie mieli je nawet etnografowie czescy, nie mówiąc już o tem, że nie obroniła Polska swych interesów państwowych, gospodarczych i strategicznych na tej całej granicy. W Trenczyńskim już od początku nie utrzymaliśmy się, to też o okręgu czacańskim wogóle nikt z nami i mówić nie chciał, chociaż zostawiliśmy tam ludność polską.

Z Orawy otrzymaliśmy strzępy jeno, a ze Spisza szmat tylko kusy i to wbrew naszym wiekowym uprawnieniom historycznym i etnograficznym oraz wbrew żądaniom samejże ludności spiskiej.

Co więcej — od strony Śląska cieszyńskiego cofnęliśmy się daleko od rzeki Ostrawicy i Moraw na wschód, co w świetle historii sporu granicznego od tysiąclecia znaczy poważną klęskę naszą, bo t. zw. nowa granica śląska przepołowiała nam nasz prastary Śląsk cieszyński, którego ludność w 1918 r. może najpierwsza zgłosiła swój powrót na łono Macierzy polskiej po tyłu wiekowym panowaniu czeskim i austriackim. Do licznych dawnych sporów i reambulacji śląsko-węgierskiej granicy, przyłączyła się przed paru laty nowa bolesna reambulacja, połączona z amputacją części ziemi śląskiej na rzecz Czechów.

Nierozstrzygniętą dotąd¹⁾ jest tylko sama sprawa Jaworzyny, ale i nad nią zawisły ciemne chmury ...

Obejmując wyrokiem całość sporu granicznego w jego rozwoju dziejowym i podkreślając dziwną przewlekłość dzisiejszego sporu o Jaworzynę, stwierdzić musimy, że i w przeszłości wszystkie spory na tej granicy oraz wyroki, jakie tu zapadały, nosiły na sobie stałe piętno połowiczności, niedomówień, niejasności oraz zarodki nowych sporów już w samą chwilę rozstrzygnięcia samego. Nie inaczej stało się z wyrokami ostatnich kilku lat. I one nie wróżą nic dobrego na przyszłość. Nie liczyły się ani z wolą ludności, ani z koniecznościami politycznymi odrodzonej Polski, ani ze stosunkami etnograficznymi, ani z warunkami geograficznymi, ani z potrzebami gospodarczymi, ani z wymogami komunikacyjnymi ani też wreszcie z względami strategicznymi. To wszystko nosi w sobie

¹⁾ Praca niniejsza powstała w styczniu r. 1924.

zarody nowych waśni i nowych walk, a więc i potrzebę nowych rozstrzygnięć w przyszłości, liczących się więcej z realnymi warunkami oraz z większą znajomością psychicznej i fizycznej strony sporu polskiego o granicę południową.

Przyszły historyk, rejestrując wytyczenie granic południowych Polski, będzie musiał stwierdzić przede wszystkim prowizoryczność tych granic, które wyłączone zostały jakby rozmyślnie na to, by stały się rychło terenem nowych tarć i zaburzeń. Stąd wynika i sama prowizoryczność rozstrzygnięć, którym brak podstaw i uzasadnień polityczno-historycznych.

Czyż przypominać czasy najdawniejsze, dobę najbardziej odległą, w której krytyka historyczna rejestruje cały szereg przesunięć na tej linii granicznej i długi szereg sporów, od czasu, kiedy całe połacie ziem po drugiej stronie gór przestają należeć do Polski lub stopniowo od niej odpadają?

I trzymając się choćby samej tylko linii gór, historyk podnieść musi długie pasmo sporów granicznych, ciągnących się od granic Moraw na zachodzie aż poza przełom Popradu i po przełęcz dukielską, nie pomnąc już późniejszych drobniejszych, na dalszej linii gór ku stronom Pokucia lub maramuroskim stronom.

Cóż mówią owe ustawiczne i ciągle reambulacje granic od strony trenczyńskiej i śląskiej, choćby nawet sama Polska sporów tych już nie prowadziła sama, lecz tylko ziemia cieszyńska, w dobie, gdy znalazła się już poza granicami państwa polskiego?

Cóż znaczą owe niemilkące spory od strony Orawy, Spisza i Szaryszu, które ciągną się dalej i nie milkną, chociaż Polska straciła obszary pograniczne z temi ziemiami węgierskimi w pierwszym rozbiórce Polski?

Znaczą i znaczyły te spory, że załatwić je trzeba definitywnie, sprawiedliwie, tak, aby nie mogły odradzać się co pokolenie ludzkie nowe, że załatwić je trzeba po dojrzałym obopólnym zbadaniu i przyczyn i powodów tych sporów, które są starsze nad pamięć ludzką i chwilowe sytuacje polityczne czy inne.

Jak czuła była zawsze i jest dotąd granica nasza górską na wszelakiego rodzaju dzikie pretensje i roszczenia, wiemy dokładnie tak z przeszłości jak i z teraźniejszości.

W wieku XVIII, w przededniu pierwszego rozbioru Polski, a mianowicie w latach 1769—1770 wystąpili Węgrzy, a raczej dwór wiedeński, z pretensjami i roszczeniami do całej Nowotarszczyzny i Sądecczyzny południowej, pod pretekstem, że tak daleko sięgały granice dawnej Orawy, Spisza i Szaryszu, albo, jak co do Sądecczyzny, iż było to wiano kró-

lewny węgierskiej św. Kingi, a wogóle „*avulsa*“ królestwa węgierskiego, dokonane przez Polaków w ciągu wieków.

I czemże różnią się owe pretensje od niedawnych czeskich, gdy radzi byli zabrać nietylko Śląsk cały cieszyński, prastarą ziemię polską, jako przynależność korony św. Wacława, a prócz etnograficznych ziem polskich w dawniejszych granicach Węgier (północny Trenczyn, Orawa, Spisz) dowodzili, że Czesi (jako Ślązacy) mieszkają po sam Bielsk i Białą, a ochota ich szła w kierunku Podhala i innych podgórszych krain i to na podstawie momentów etnograficznych! Pretensje podobne dziwić nas nie mogą. Znali je dobrze od dawna i nasi przodkowie. Znał je dobrze i ostrzegał przed nimi Polaków Stanisław Herakljusz Lubomirski, starosta spiski a później i marszałek w. kor., zwany „mądrym“, a którego prace literackie zjednały mu imię „polskiego Seneki“. Napisał on w roku 1671 obronę praw polskich do ziemi spiskiej, pierwszy u nas tego rodzaju wywód polski przeciw pretensjom węgierskim.

Pismo to zatytułował: „Informacja potrzebna bardzo Rzeczypospolitej o prawie własnem i dziedzicznem, które ma Rzeczpospolita do Spisza i części ziemi węgierskiej, przeciwko pretensjom Cesarza Imci, tudzież jako wiele Rzeczypospolitej zależy na utrzymaniu tego kraju“.

Między innemi czytamy tam: „Rzeczypospolitej zaś należy całość swoją tak mieć na oku, aby więcej już nie umniejszać krajów i granic, dosyć przez te czasy obarczonych. Czego jawne dowody widzi Ojczyzna z szkodą i diminucją coraz swoją, z utratą ziem i prowincyj, które przodkowie nasi krwawą pracą i długich wieków kosztem nabyli. Świadkiem są utracone Inflanty, Prusy zawiedzione, Śląsk dawno oddalony, Pomorska ziemia stracona, nuż tak od Niemiec jako i od Ukrainy, zgoła od obojga nigdy morza poczynające się, a teraz ubywające Rzeczypospolitej granice. Co wszystko przez niedbalstwo nasze i niesłuszne sąsiadów pretensje z szkodą nienadgradzoną utraciliśmy i po dziś dzień, żadne sejmiki, żadne sejmy nie odprawiają się, aby pretensja externorum, do nas nie była na placu. Nie masz pana i sąsiada, o granice z nami się nie drącego, któryby nam czego wziąć i wydrzeć nie pretendował i tak weszliśmy w tę opinię u obcych, że nie mamy swego, każdy w nas widzi swoje piórko, z któregoby nas rad skubnął“.

A wiedział dobrze Lubomirski, że utrata Spisza była „*cum periculo* całego Podgórze“ i że Rzplita „miałaby o dziesięć mil od Krakowa munsztuk nad sobą, bo tam żadnej fortecy nie masz oprócz Spiskiego Zamku, to jest Lubowlę“, wreszcie, że Rzplita straciłaby „kąć do obrony sposobny

i od nieprzyjaciela dla gór niedostępny“, cytując przykłady z historii o znaczeniu tego górskiego zakątka dla Polski.

Tak sprawę ziemi spiskiej jak wogóle i wszelkich sporów granicznych stawiały często sejmy tak polskie jak i węgierskie na porządku dziennym. Wybierano komisje graniczne i wyznaczano komisarzy, mimo to sprawa granic nigdy nie została uregulowana. Ratowano się niejednokrotnie półśrodkami, komisje zapowiadane częstokroć nie dochodziły do skutku, inne nie miały daleko idących pełnomocnictw lub je przekraczały a zazwyczaj na niekorzyść Polski wyrokowały. Wszelkie ważniejsze decyzje odkładano do komisji generalnych, które miały definitywnie rozpoznać także i sprawę granic państwowych, ale do takiej komisji za dni Rzplitej nie doszło.

Najważniejsze komisje, jakie działały na pograniczu polsko-węgierskim, ale nie generalne i tylko do sporów na pograniczu spiskiem wyznaczone, to były t. zw. „Commissio Rüberiana“ z r. 1580 oraz „Commissio Barhoczina“ z r. 1755—6. Przyniosły one poważne szkody Polsce, mimo, że rozstrzygnięcia zapadały z zastrzeżeniem: „salvis semper juribus utriusque regni“, jakie miała rozstrzygnąć komisja generalna.

Charakterystycznym jest, że nigdy nie mogło dojść na południowej granicy do „komisji generalnej“, któraby załatwić mogła najważniejsze sprawy graniczne i to definitywnie. Lecz kiedy dość często uchwalano na sejmach polskich zwyczajne komisje graniczne, nigdy nie doszło do uchwalenia komisji generalnej, która tak dla długości linii granicznej jak też i dla specjalnej trudności sprawy zastawnej ziemi spiskiej z 13 miastami nie rokowała nadziei powodzenia.

Na ogół te wszystkie komisje lokalne, jakie załatwiały najbardziej zapalne ogniska i punkty linii granicznej, wypadały na niekorzyść Polski. Częstokroć dla świętej zgody strona polska nawet wbrew interesom oraz mimo protestów swych poddanych godziła się na wyrok dla Polski niekorzystny. A każda piędź ziemi, odstąpiona prowizorycznie Węgrom aż do czasu komisji generalnej, jaka miała sprawę definitywnie załatwić, straconą była dla Polski, ponieważ do komisji generalnej nigdy nie doszło, chyba tylko do komisji większych z r. 1580 i 1755—6, które jednak nie były generalnymi i tak dalekich pełnomocnictw nie miały.

I czyż dziwić się można, że nawet mieszczanie podolinieccy, protestując przeciw orzeczeniom i dekretem komisji z r. 1755—6, przewidywali na czem się skończy zbyt ustępliwe stanowisko Polski?

„Accedit i drugie periculum — pisali oni w proteście — ledwie nie amissionis cum tempore całego starostwa spiskiego, bo gdy terazniejsza

komisja nie według dokumentów in petitorio granicznych, ale iuxta praesens possessorium granice postanowiła, non obstante eo, że to possessorium było per potentiam od ściany węgierskiej usurpatum i tyłą protestacjami Podolenczanów reclamatum...“

Drastycznie również określa tę komisję graniczną list ks. Udalryka Krzysztofa Radziwiłła z r. 1758, krytykujący ostro króla (którego małżonka posiadała wówczas starostwo spiskie), który „przez Pacta Conventa nam przysiągł avulsa recuperare a temu dwie lecie przez gabinetowy reskrypt w sekretne wszedł z królową węgierską (Marią Teresą) konwencje i traktata i wydawszy instrument bez sancytów sejmowych, bez Senatus Consilium na komisję rozgraniczenia pod imieniem Rzeczypospolitej był ekspedjowany, tytułując destynowanych na to komisarzów: pełnomocnymi komisarzami... którzy... zakonkludowali rozgraniczenie i za prezent coroczny alias za korrupcję od królowej węgierskiej, co rok ze skarbu królowej po 200 beczek wina tym komisarzom dawania i transportowania do ich rezydencji, gdzie mieszkają bez ceł i tryciołków i favore dworu, ustąpili od dawnych granic na mil cztery Węgom i kopce posypali, dukt wyprowadzili, mieszczan Podolnickich, Lubowieckich i Bilelskich (Podoliniec, Lubowła, Biała) protestujących się, więzili i bili. A to była darowizna króla królowej węgierskiej tych gór, gdzie złoto i srebro się znajduje, tak iż cztery mile w poprzek te wszystkie góry złote cesserunt do Węgier anno 1756 a tylko portiunculum sterilis glebae przy starostwie spiskiem zostawili...“

Pomijając widoczną przesadę i przejaszkawienie niektórych momentów, list ks. Radziwiłła odsłania nam jednak pewne zakulisowe sprawy w wysyłaniu komisji granicznych, które miały na celu nie tyle dobro Rzeczypospolitej jako takiej na celu, ale umożliwienie spokojnego korzystania z bogatego starostwa przez usunięcie różnych spornych spraw tego starostwa z Węgrami.

Jeżeli, i obecnie sprawa Jaworzyny miałyby znowu niekorzystnie dla nas wypaść, nie wadzi przypomnieć, że precedensy podobnych rozstrzygnięć ciągną się również od wieków. Rąbek sporu o granice djecezji krakowskiej z arcybiskupstwem ostrzyhomskim odsłaniają nam akta XIII i XIV w. I tu chodzi o spór graniczny na linii południowej. Spór przechodził różne fazy i koleje a wyrok jaki zapadł w r. 1332 pod powagą Stolicy Apostolskiej przywracał biskupowi krakowskiemu jurysdykcję kościelną w kilku wsiach od Lubowli, Gniazd i Podolińca począwszy po szczyty Tatr „per summitates montium sursum progrediendo ad alpes nivium...“ prawdopodobnie działem wód, jaki wyznaczały „aquae seu

rivuli versus Poloniam defluentes in Dunajecz et in Poprad“. W ten sposób określony obszar obejmowałby i teren sporny Jaworzyny, a biegłby od Popradu na linii Lubowli, Gniazd i Podolińca na Magorę spiską i ku grzbietowi Tatr. — Ale już w rok potem wyrok ten został przez papieża zawieszony i nowy proces miał się rozpocząć. Czy zapadł nowy wyrok, niewiadomo, dość, że biskupi krakowscy nie odzyskali swych praw jurydykcyjnych. Dopiero w XVII wieku częściowo tylko wywalczyło sobie biskupstwo krakowskie dawniejsze swe granice spiskie, aby je znowu utracić niedługo po pierwszym rozbiorze.

Z rozpatrzenia dawniejszych sporów wynika, że lokalne regulacje granicy południowej nigdy nie dawały rezultatu pozytywnego i spory ustawicznie się odnawiały. Jednym remedjum na to mogła być tylko owa generalna komisja wysłana przez oba sporzące się państwa, o której tyle po obu stronach mówiono, a do której aż do upadku Polski nie doszło.

Zmartwychwstała Polska winna dążyć do takiej komisji generalnej i w myśl dawnych uchwał sejmowych domagać się rewizji wszystkich dotychczasowych rozstrzygnięć na całej linii południowej. Bo i my mamy pretensje do swoich sąsiadów, a nie tylko oni do nas, jak to było dotychczas naszym udziałem.

Pewnem jest, że republika czesko-słowacka będzie się broniła przed przed taką komisją generalną oraz rewizją dotychczasowych rozstrzygnięć. Czesi są dziś „beati possidentes“, ale sytuacja ich wobec stanowczej postawy rządu i społeczeństwa polskiego będzie dość trudna i z każdym rokiem pogarszać się będzie wobec zdecydowanej woli narodu polskiego. Czesi okazali się dotąd bardzo złymi sąsiadami Polski, co jest rzeczą zupełnie zrozumiałą, ponieważ Czesi posiadają ziemie, które Polsce się należą. Ale prowadzenie polityki strusiej na dalszą metę, nie da się utrzymać i Czesi z czasem przekonają się o tem dowodnie.

Polacy popełnili również cały szereg omyłek w przeszłości. To też Polska straciła Inflanty, nie umiała postawić należycie sprawy Gdańska, nierozważnie również stawiała sprawę ziemi spiskiej, tak niekorzystnie położonej enklawami w komitacie spiskim. Węgrzy względnie dwór wiedeński, ustawicznie domagali się zwrotu zastawnej ziemi spiskiej z 13 miastami. Polacy stale odmawiali, ale przez kilkadziesiąt lat nie umiano sprawy tej załatwić. To też sprawa spiska wylaniała się co lat kilka i to rzecz jasna zawsze wówczas, gdy Polska miała kłopoty, wojny i t. p. Gdyby umiano wówczas doprowadzić do regulacji granicy spiskiej od strony Nowotarszczyzny i Sądeczczyzny, to kto wie, czy Węgrzy za cenę zwrotu samych 13 miast spiskich nie byliby się zgodzili na pozostawienie Polsce

właściwego starostwa spiskiego t. j. dominium lubowelskiego i podolińckiego a nawet na oddanie zamagórzańskiej części Spisza, tak że Polska z tej strony oparłaby się o cały trzon tatrzański, o linję Magóry spiskiej i o Poprad. W takich warunkach można było stanąć na linii momentów wyroku z 1332 r. i dziś nie istniałaby była dla nas kwestja Jaworzyny.

Czy taka regulacja granicy była możliwa? Zdaje się nikt w Polsce o tem nie myślał. Polska chciała zatrzymać całą ziemię spiską a Władysław Łubieński w r. 1740 pisał: „gdyby miano wykupić starostwo spiskie, to lubowelskie starostwo nie podlegałoby wykupnu, bo zawsze należało do korony“, t. zn. że tylko t. zw. 13 miast spiskich podlegałoby wykupnu a właściwe starostwo miałoby pozostać przy Polsce. Niezależna sprawa spiska po 360 latach panowania polskiego wyłoniła się znowu i to w jak najniekorzystniejszych w Polsce warunkach; w r. 1769 w przededniu I rozbioru Polski dwór wiedeński okupował ziemię spiską, która już do Polski wrócić więcej nie miała.

W XVIII w., na jakie 10 lat przed pierwszym rozbiorem Polski nie kto inny, jeno właśnie mieszczanie z Podolińca wzywali Rzplitą i stany sejmowe do rewizji sporów granicznych z Węgrami. W licznych swych suplikach i memorjałach wskazywali na niebezpieczeństwo utraty z czasem całego starostwa spiskiego. Przodkowie tych samych mieszczan spiskich protestowali już w roku 1580 przeciwko komisji granicznej Rübera. Mieszczanie podolinieccy w suplicie przedstawiali dokładnie zabiegi o komisje generalne i liczne uchwały sejmowe „aby z różnych szkód i krzywd... dla pewnych defferencyj do rozerwania nie przyszło“. A wiedzieli dobrze mieszczanie spiscy, że „komisje ex parte Królestwa Polskiego *graniczne* jako publiczne nie mogą być inaczej, tylko na sejmach de consensu totius Inclytae Reipublicae Polonae wyznaczone...“

Czy głos Spiszaków z poza grobu a ich potomków z poza granic Polski dzisiejszej przemówi do sumienia narodu, czy dojdzie do uszu dzisiejszych posłów polskich i senatorów?

Podoleńczanie wołali napróżno o rewizję granic, o rewizję komisji granicznej z r. 1755—6, o komisję generalną, któraby im sprawiedliwość oddała?

Czy znajdzie się kto w Polsce, ktoby podniósł głos o rewizję granic południowych Polski? Także w razie upadku Jaworzyny? A może właśnie dla tego!...

Dr. T. E. Modelski.

Na skalnych krawędziach.

W południowo-wschodnim zakątku Tatr Wysokich, pomiędzy Łomnicą (2630 m.) a Kieżmarskim Szczytem (2556 m.) spiętrzają się z przepastnego muru skalnego czarne urwiska trzech wierzchołków, noszących zbiorową nazwę Wideł.

Grań, wiążąca te szczyty ze sobą, a zarazem spajająca je z najbliższymi sąsiadami, uchodzi za najwspanialszą, najtrudniejszą z pośród grani tatrzańskich i należy do najmniej polskich taternikom znanych wypraw skalnych. Oba te względy dostatecznie może usprawiedliwiają mnie, że we wspomnieniu niniejszem o przejściu tej właśnie grani chcę opowiedzieć.

* * *

...„Jak pech, to pech! Znowu djabli biorą Widły!“ — zakląłem siarczyście, znalazłszy się nieoczekiwanie pod szerniałym, wyniosłym stropem Łomnickiej koleby¹⁾.

Bo i jak było podłego losu nie przeklinać!

Lat temu jeszcze czternaście, w rozblękitniony cudownie dzień, po raz pierwszy zbliżałem się ku wyżynom grani Wideł, by wśród ponurych ich uskoków swych młodych sił doświadczyć... W kilka godzin później, biczyskami gradu i śnieżycy gnany, ześlizgiwać się musiałem po wodą ociekających płytkach i kominach północnej ściany Łomnicy, rad, by tylko wyrwać się z urwisk i zawiei. Odtąd — aż po lata ostatnie — Widły znajdowały się na honorowym miejscu każdego rocznego mego programu tatrzańskiego. Wystarczyło jednak bodaj zbliżyć się ku nim, by już obudzić czujność demonów górskich, wypłoszyć je ze skalnych legowisk, rozkiełzać ich moce opętające, co przycichały dopiero wówczas, gdy człowieka hen w doliny odpędziły. — Tak i teraz. — Nieprawdopodobnie mocne słońce przyświecało wczorajszej wędrowce naszej przez nudę Lodowej Przełęczy²⁾, uśmiechem radosnego zachodu płomienilo się na iglicach Wideł, gdyśmy jeszcze wieczorem ku nim z Lodowego Szczytu spoglądali. Raptem, nocą, zerwało się z kotła Pięciu Stawów Spiskich złowrogie wichrzysko, zaniósło wierchy mgłami, spędziło nas z płasni, gdzieśmy biwak rozbili, a teraz deszczem i zimnem przynaglało do szukania schronu pod okapem koleby.

¹⁾ W Dolinie Zimnej Wody.

²⁾ 15 sierpnia 1923 r. Wycieczka w towarzystwie pp.: A. Ferensa i H. Grossmana.

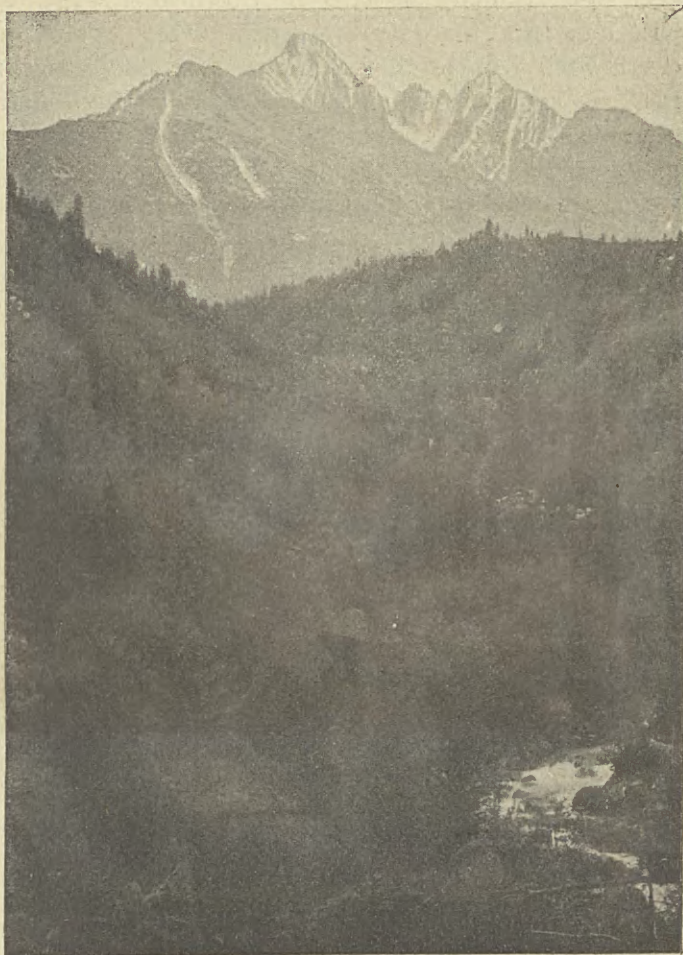
Po dujawicy, zaciekach deszczu tam w górze, dziwnie zacisznie siedziało się tutaj. Olbrzymia zachylina koleby dozwalała na prawdziwie pańskie rozgospodarowanie się, piękna alkowa, w którą wydłużał się prawy jej kąt, wabiła przyjaźnie nadzieją odespania burzliwej nocy.

Zasyczały maszyny turystyczne.

Porcja gęstej zupy grysikowej ułagodziła pierwszy gniew sępa głodu, targającego nasze trzewia od samego świtu. „Mały funcik“ cielęciny z rzodkiewką stworzył ową solidną podbudowę, bez której nie do pomyslenia jest jakiegokolwiek zamierzenie taternickie. A kiedy na zakończenie aromatyczny war cejlońskiej herbaty z rumem rozniósł po zaułkach zziębniętego ciała błogą gorącość — opadły ostatnie mroki pesymizmu i w duszach naszych zbudził się znowu uspiomy lew mocy i zawziętości.

Choćbyśmy — gwarzymy — i tydzień tkwić tutaj mieli, Widły muszą być nasze!

Tymczasem jednak świat beznadziejnie zawlekl się deszczem



Lomnica, Widły i Kiezmarski. (Fot. M. Karłowicz).

i mgłami. Nie pozostaje nic innego, jak wyciągnąwszy się na posłaniu z siana traw nadbrzeżnych, oddać się urokom swoistego lenistwa skazanych na bezczyn tatarników.

Wylot koleby uchodzi na trawiastą równię, skrós zakosem potoku przeciętą. Nad nią jaśni się wąski brzeg upłazu, gdzieniegdzie kępami cherlawych, drżących ze zimna krzewin kosówki zacieniony, gdzieś białym obrywem skał rozorany — i naraz wszystko ęmi się, szarzeje, roztopia, wzrok zapada w jedną wielką rozchwiej mgieł, jedno morze znicestwienia. Posępne, ociężałe, nabrzmiące dżdżem tumany wstają wciąż z zapadlisk doliny, pną się sennie po uboczach, płyną leniwie



Widły i Kieżmarski z pod Łomnicy. (Fot. Z. Klemensiewicz).

wzdłuż krzesanic i przepadają, roztracają się w górnych pustkach, rzucając na nie grozę tajemności, dumę osamotnienia, wielkość samowystarczalności.

A w ślad za mgłami wloką się i myśli ludzkie. Wspinają się po niewidzialnych, bełkotem wezbranych siklawie rozgwarzonych piętrach, wglądają w czeluści oślizłych żlebów, dźwigają się straszliwymi grzędami ścian, aż — świadomością niemocy i bezwładu człowieka zegnane — powracają ku niemu, budząc tem głębszą tęsknotę za bezmiarem błękitu, za słoneczną pogodą turni, za nieokiełzanem, zwyciężskim spojrzeniem ze szczytu. Nigdy wewnętrzny pęd do czynu skalnego, do walki z potęgami gór, nie odzywa się w duszy z taką mocą nieodpartą, jak w takie właśnie strugami deszczu rozplakane dnie, gdy w nagłym zawiewie wichru zako-

łyszę się nad nami majestatyczny cień rogu górskiego, zawisnie chwilę na mgłach i znowu rozwieje się w nicość, jako marzenie, pragnieniom naszym niedosiężne, nieziszczone...

Ku wieczorowi deszcz ustał. Dolinę przygniotła głęboka, chmurna, nieprzenikniona noc.

Co nam świt przyniesie?

...Przebudziłem się późną nocą. Z zadowoleniem stwierdziłem, że dopiero druga i można jeszcze „momencik“ się przespać. Tegoż zdania byli i towarzysze, a znając moją słabość do drzemki, chytrze z niej skorzystali. Jakoż „ledwie“ zmrzyłem oczy — zrobiło się wpół do piątej. Od spiskich równin szedł już dzień. Chłodny, wietrzny, wilgotny. Czuby Łomnicy i Durnego kurzyły się mgłami, Lodowy skrył się w nie po piargi. W innych warunkach, obyczajem uczciwych taterników, czekaliibyśmy wyjaśnienia „niepewnej“ sytuacji, obróciwszy się na drugi bok i ciesząc się, że „już“ są chmurki na zachodzie, tym razem jednak posępny widok pięciostawiańskiego kotła naprawdę budził w nas niepokój, szczerze też ponaglaliśmy się do najrychlejszego wymarszu.

O godzinie wpół do szóstej sunęliśmy ostrem tempem w kierunku ścian Łomnicy, w trzy godziny zaś później staliśmy na jej złomie szczytowym.

W tejsze chwili targnęły nami dzikie podmuchy wichury. To z sinej głębi Doliny Zimnej Wody, to z mrocznej czeluści Kiezmarskiego kotła nadlatując, biła w nas kołowami nawrotami, sypała piach w oczy, szarpała zajadle odzienie, miotła się, jęczała jak owa orlica skalna, co dojrzawszy w swem gnieździe silniejszego napastnika, krąży wokół i raz wraz łopotem skrzydeł i krzykiem rozpaczonym usiłuje go odegnąć.

Daremnie. Zatulamy się w płaszcze, zniżamy popod grań i zwracamy spojrzenia na wschód, skąd po raz pierwszy odsłonić się nam miała upragniona grań Wideł.

Przepastny lej Kamiennego Stawu — aż po skalne obrzeże — zalała powódź kłębiących się mgieł. Wypełnia ona wszelkie wnęki, zakłęśnienia, źleby, szczyrbiny. Napotkawszy na tamy okolnych zwałów granitowych, mgły suną po ścianach ku górze, dopadają grani, by już runąć z niej w otchłań Dzikiej Dolinki, zalać ją w odmętach, przewalić się przez Tatry, lecz nagle — rażone niewidzialnymi pociskami wiatru z północy — przypaść muszą do skał, wtulić w nie swe łby poczarne, spłynąć z trwogą w kotlinę.

Wówczas to oczom naszym jawią się ponad opary, lęk i zachwyt w duszę rzucające ciosy dziwotwornej, fantastycznie potarganej krawędzi skalnej, rozpiętej nad przepaściami jak gigantyczny sosrąb, wiążący sędziwą ścianę Łomnicy z jasnemi, niby wczora krzesanemi, płazami zachodnich urwisk Kieżmarskiego Szczytu.



Kieżmarski i Widły z Przełęczy Stolarczyka. (Fot. M. Dudryk).

Widły! Najzuchwalsza, najdziksza grań tatrzańska!

Z kącin duszy wyczołguje się lekkie drzenie niepokoju, jakiegoś ucisku w gardle, co zawsze nachodzi człowieka przed wielkiem niewiadomem.

Minęły chwile krótkiego spoczynku. Po ruchliwych blokach, spadzi-
stych, tarczami zdradliwego lodu pokrytych płytach, szybko zsuwamy się

w dół ku niezmiernie oryginalnemu początkowi grani, która — wbrew logice grzbietów tatrzańskich — nieoczekiwanie, odrazu płytami przepastna, wyskakuje z poprzecznej tafli Łomnickiej ściany jak owa w pancerz zakuta Minerwa z czoła staruszka Jowisza.

W ciasnej szczyrbie pod pierwszym uskokiem przywdziewamy trzewiczki i wiążemy się liną. Hugo idzie pierwszy.

Grań poczyna się honornie stromym, rozbrykanym koniem skalnym, za którego łbem towarzyszy wkrótce ginie nam z oczu. Po chwili skupiamy się we trójkę w najbliższym karbiku za uskokiem. Odetchnąłem. Nareszcie więc, po latach nieziszczonych planów, po trudach daremnych podchodzeń, siedzę na złomiskach Widel, pewien, że żadna już moc nie spędzi mię z ich napowietrznych gzymsów. — Idziemy dalej. — Zaczyna się systematyczna, mozolna, mechanizmem zasad wspinania unormowana praca taternicka, dzieląca się na drobne, rozpiętością liny wykreślone ogniwa, których suma dopiero decyduje o powodzeniu wyprawy, ale jedno stanowić może o klęsce, a nawet życiu.

Aż po daleką, prostokątną basztę Południowo-zachodniego Szczytu Widel, grań obsuwa się ku dołowi jakgdyby schodami, z których jeden tylko wprowadza w przykrą i kłopotliwą sytuację. Wąska, prostopadle ścięta krawędź kilkumetrowego stopnia nie pozwala dla swej gładkości ześliznąć się wprost po jej ostrzu. Zwisem na rękach trzeba opuścić się ku nieznaczej listewce na lewej, zupełnie skrzęsanej ścianie — prawdziwy to egzamin z obojętności na ekspozycję — poczem, przewinawszy się na sam pion uskoku, zesunąć się okrakiem na dobre już stanowisko. Poniżej grań rozszerza się nieco, traci jednak na zwartości i coraz częściej zieleni się trawkami. Posuwając się nią bez trudności, rychło podchodzimy pod zrąb Południowo-zachodniego Szczytu Widel, stromiącego się czarną, z wejrzenia całkiem gładką ścianą, ku której już od dłuższego czasu zerkaliśmy z powątpiewaniem. Zbliża pokazuje się, że ów niepokojący cios szczytu opada w południowe urwisko na prawo od grani, która wpiera się w niego z boku oryginalną szkarpą o poziomym dachu. Wydostawszy się na ten, jakgdyby balkon ścianką od lewej strony, przrzucamy się w prawo do wżłobionej w ścianę szczytową, niżej podciętej rysy z białawemi, niemile zwietrzałemi skałami. Nad nią ręce opierają się już na krawędzi grani, silny podrzut ciała i niespodzianie lądujemy obok kopeczyka szczytowego na pierwszym z pośród trzech wierzchołków Widel.

Jeden etap górnego naszego szlaku osiągnięty.

Rzucamy okiem na rozpovite już z mgieł sąsiady-olbrzymy, na ja-

śniejący plamami słonecznymi widnokrąg równin i zaraz poczynamy śleźć, co tai dalsza droga. Krawędź grzbietu wlecze się od nas jeszcze chwilę leniwą linią i nagle zapada w przepaść olbrzymiego rozdziela, rozrywającego grań nawskróś t. zw. Przełęczą w Widłach, z której niewidocznego dna wydzwiga się znowu, teraz w imponującą krzesanicę poszerzona, wprost ku Głównemu Szczytowi Wideł. Przedostanie się nań to najbardziej zawikłane, najcięższe zadanie dnia.

Więc do czynu!

Wyjębiona grań szczytowa wiedzie nas do krawędzi, w której załamuje się urwiskiem. Trzeba znaleźć obejście. Na prawo ścięte płyty, na ścianie jednak północnej widać niewyraźne, gruzem przysypane gzymsy, niby galeryjki, przebiegające poziomo w poprzek pionowych turni. Przejmująco działa tu spojrzenie w zmierzch otchłani, gdy wzrok, jak kamień od turni odpadły, stacza się po caliźnie ściany i ryje dopiero w zrudziałych łąkach śniegu i piargach kotliny, wciśniętej w skalne ramiona Durnego i Lomnicy. Skała na ścianie jest lita, mocna, lecz w chwytach i zakłębieniach uboga. W pewnym miejscu zejście na niższe pięterko umożliwiała jedynie pionowa rysa, z góry wychyloną, zwisającym gładem nakryta. Wymagała ona bardzo chytrego przeczołgania się pod dachem przewieszki i kunsztownego balansowania w cieśni pozbawionej chwytów rozpadliny. Dopiero w takich sytuacjach uwydatnia się znaczenie techniki taternickiej i jej odrębności od czysto gimnastycznego wyrobienia. Gdzie gimnastyk, dufny jedynie w swe mięśnie i akrobatyczną zwinność na drążku czy poręczkach, szorowałby bezradnie dłońmi i piętami po goliźnie płyt, tam taternik spokojnie zawierzy swe życie ich pozornej gładkości. Wie on, że nieraz cały dowcip w pokonaniu tego rodzaju terenu skalnego polega — zwłaszcza przy schodzeniu — na przebiegłym rozłożeniu ciężaru ciała na miejsca tarcia i wywarciu w nich pod odpowiednim kątem nacisku na granit. Naturalnie umiejętności takiej nie można wyuczyć się z teoretycznych podręczników, ani fizyko-matematycznych obliczeń, — rzecz to jedynie i wyłącznie z latami przycho-dzącej wprawy i górskiego doświadczenia.

Listwy i gzymsy skalne pozwoliły nam wkrótce rzucić mrok ściany i wydostać się z powrotem na grań. Z małego siodełka, w którym od południa przywiera do grani potężne żebro skalne, po raz pierwszy mogliśmy wglądać w niegłębokie już dno Przełęcz w Widłach. Zbiegała ku niemu stroma, luźnymi blokami wypełniona rynna. U dołu kończy się ona spękany, pionowym progiem, pod którym stopy napotykają na



Kieżmarski, Widły i Durny. (Fot. D. K. K.).

ostrzy piarg. W tym wypadku witamy go wyjątkowo mile: rumowisko to samej przełęczy.

Usiadamy na rzetelnie zasłużony spoczynek.

Mało jest w Tatrach przełęczy o tak zacieśnionem rozpięciu widokowem, jak z tych posepnych wrót, na którychby śmiało można wykuć słynny napis dantejski. Z obu stron łąku przełęczy więżą wzrok framugi — litych, toporem żywiołów natury wykrzesanych — ściani tylko w wąskim ich rozchyleniu ku północy ukazują się masywy niektórych tytanów Kieżmarskiego kotła.

Ale i w Przełęczy w Widłach nie danem nam jest pokrzepić się dłuższem wytchnieniem. Główny Szczyt Wideł wisiał nad nami rozłożoną w słońcu, tajemniczością załomów kuszącą ścianą, którą u góry nakrywał błękit wybłysłej z chmur zatoki nieba. Zawrzała w nas taternicka krew. Uciec od zasępienia i chłodu przełęczy, przedrzeć się ku słońcu przez straszliwe obrywy turni, zanurzyć w topieli powietrznej u szczytu — oto uczucie, które nas porwało i do walki uskrzydliło.

Prawa część ściany wygląda beznadziejnie. W sąsiedztwie jednak północnej krawędzi skały układają się w olbrzymie stopnie, tające dla taternickiego oka różne możliwości przejścia. Niebawem znika poza występami skalnymi piarżyste półko przełęczy. Chwyty i stąpięcia, choć nieraz dalekie i źle rozmieszczone, są tak lite, tak pewne, że obecność rosnącej głębi u nóg nietylko nie przyćmiewa świadomością niebezpieczeństwa radości wspinania, ale ją potęguje i dziwnie podnieca. Zanurzony w przestworzu, człowiek traci — jakoby wedle archimedesowego prawa — znaczną część swego nizinnego ciężaru, odczuwa nieporównaną, nieznaną w innych sytuacjach lekkość i niewzorność każdego ruchu, odzyskuje prężność pierwotnych instynktów, upaja się, oszałamia zuchwałstwem orlego pędu w błękity.

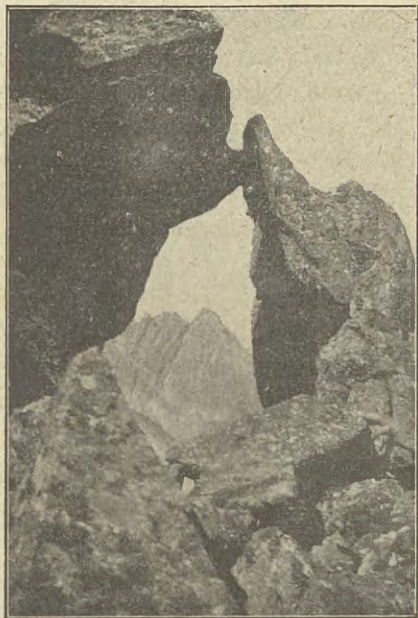
Pod szczytowym blokiem turni spādziłość terenu spycha nas w bok, na lewo, gdzie — przytulając się do pionowych skał — trudnym, powietrznym rozkrokiem dostajemy się w ciasną szczyrbinę między turnią nad przełęczą, a następnym potężnym uskokiem grani. Spiętrza się on nad nami dość szeroka, lecz gładka, gdzieniegdzie bliznami przez pioruny odstrzelonych skał bielejącą krawędzią. Jeden rzut oka upewnia nas, że mamy przed sobą może najcięższy fragment grani Wideł. Inna tu już rozpoczyna się gra. Beztroski pęd w zwyż zmienić się musi w ostrożne przywarcie do skał, cała wiedza skupić w mądrości i celowości ruchów, cała moc ciała stężeć na stal palców, dla których nieraz szorstkość porostów i ziarnistość granitu staje się oparciem jedynem. W samej górze

trzeba przerzucić się na północną ścianę uskoku i od tej strony w zawrotnej, wspaniałej wspinaczce wdrzeć się na zerwisko turni. Dalsze trudności nie mogą się już równać z ostatnio przebytymi. Jeszcze raz grań usiłuje wstrzymać nas zaporą gładkiego progu, w chwilę zostaje on pod piętami i owiewa nas wolny bezmiar powietrza: Główny Szczyt Wieleń jest nasz.

Z chwilą osiągnięcia najwyższego w grani zrębu, po raz pierwszy przycicha w nas ów napór sił wewnętrznych, który pędził nas od czterech godzin poprzez najdziksza w Tatrach krawędź skalną. To, co nas jeszcze w turniach Wieleń czekało — choć wielkie i tajemnicze — miało być już tylko częścią powrotu, tylko dołączeniem pomyslnem dzisiejszego zadania. Uspokojeni i radosni, układamy się na spoczynek wśród ciepłych, poczciwych głazów szczytowych, dobowamy skromnych resztek zapasów i patrzymy w świat.

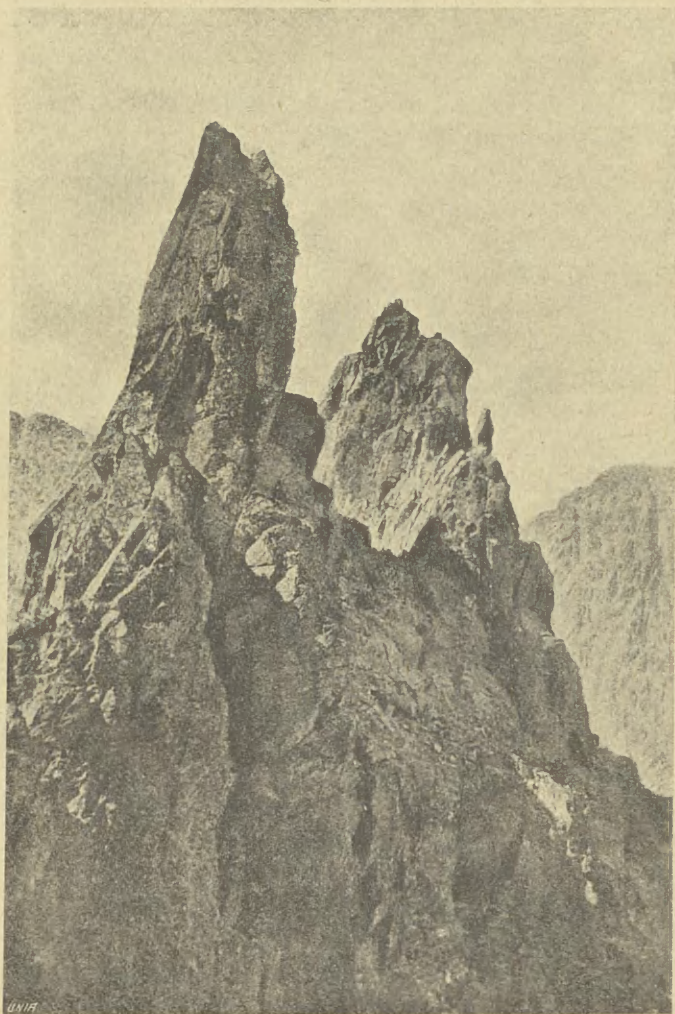
Widok z Głównego Szczytu Wieleń pełen jest głębokiego kontrastu. Zamęt wierzchów i ścian w bezpośrednim otoczeniu — to niby objawienie się w pełni grozy owych sił kosmicznych, co wznoszą się ponad życiem, jako zimne, bezwzględne, obce mu potęgi. Świetlista dal równin, seledyn uboczy Tatr Bielskich — to niby wcielenie ukojnego czaru życia, to jakby kraina minionego dzieciństwa, przez tęczę rzewnego wspomnienia widziana.

Zejście ze szczytu dalszą granią zrazu nie przedstawia niczego szczególnego. Niemniej każdy jej załom budzi w nas zaciekawienie, z niecierpliwością bowiem wypatrujemy miejsca słynnego w taternickich kołach zjazdu na linie. Jakoż i niedługo na nie czekamy. Poziomy, płytowy stół grani nagle ginie w przepaści i dopiero o 6 metrów poniżej, z przewieszanej nieco ścianki, grań występuje dalszem, niezwykle wąskim i urwistem ostrzem. Powietrzność miejsca nie pozostawia nic do życzenia. Zaczepiamy linę za blok i oba jej końce rzucamy poprzez ściankę, aż oprą się w dole o występ, na którym mamy wylądować, i utworzą w ten



Okno na grani. (Fot. R. Kordys).

sposób jakgdyby most, wiążący dwa brzegi możliwości. (Jakżeżby się przydała taka lina i na niedostępnych uskokach życiowych wysileń!) Zjeżdżam jako pierwszy. Szybko miga przed oczyma chropawe złoże gra-



Wschodni i Wielki Szczyt Widel. (Fot. R. Kordys, 1906).

nit; już znajduję się w pobliżu dalszej krawędzi grani, gdy nagle ogarnia mię uczucie, jakby lina odchyłała się w lewo i chciała mię odrzucić nad ściany -- błyskawicznie wyciągam nogę w bok, zaczepiam się o grań

i za chwilę siedzę już na niej okrakiem. Dla następnych zjazd o tyle jest łatwiejszy, że można linę trzymać od dołu naprężoną i przez to nie dopuścić do wyważenia się zjeżdżającego z linii spadku grani.

Poprzez turniczki, zęby skalne, konie i płyty zsuwamy się dalej ku dołowi. Niebawem zatrzymuje nasz wzrok wspaniała, w podłuż grani idąca, głęboka rozpadlina, jakgdyby zacios od rąbanicy, której próbował na skałach gazda-olbrzym z legendy o królu wężu. W rozwarte siodło najbliższej przełęczy sprowadza nas wygodna, miękka ławka trawiasta, oszczędzająca nieciekawego mozołu skalnego na samej krawędzi grzbietu.

Już tylko ostatnia zawora dzieliła nas teraz od złomów Kiezmarskiego Szczytu. Niewysoka, z oddali niepozorna, a przecież w Tatrach jedna z najosobliwszych: Północno-wschodni Szczyt Wideł.

Wsparty na szerzyźnie cokołu, wpijał się w niebo majestatycznym, z jednego odprysku skalnego wyrzeźbionym obeliskiem, którego ku nam zwrócona, z tej strony jedyną możliwość drogi stanowiąca krawędź jężyła się wprost ostraszącym urwiskiem.

Ciężką, uporną była walka na tych ponad otchłanie nachylonych, fantastycznie potrzaskanych spasztach. Z prawdziwą też ulgą, z pionowej ściany wynurzeni, czepialiśmy się owego promienia słonecznego, co ozłacał grań i drogę na pobliski już szczyt wyznaczał.

I znowu usiedliśmy na krótki spoczynek. Tym jednak razem — i to jest ujemne w długich wędrówkach graniami — urok chwil szczytowych przyćmiewało uczucie znużenia, rodzące coraz silniejszą tęsknotę za bezpieczną zapadliną Kiezmarskiej Przełęczy ¹⁾, za łagodną zielenią Kamiennego Stawu, za błogiem zaciszem Łomnickiej koleby. Radowaliśmy się, że stoimy na jednej z najdumniejszych, jednej z najbardziej w kształtach indywidualnych baszt tatrzańskiego zameczyska, radowaliśmy się jednak również, że był to już ostatni zadziór, którym strzepiła się grań.

Programowo, jak i na innych wierchołkach Wideł, grań szczytowa biegnie zrazu niezbyt stromo, by z tem większą furją poderwać się gładkim, płytowym uskokiem. Znowu więc śmiga w przepaść lina, której dzierząc się krzepko, zapadamy w zerwy ściany. Zjazd jest od poprzedniego dłuższy i bodaj trudniejszy, a na dodatek lina zacina się i dopiero po wielkich wysiłkach udaje się nam ściągnąć ją z powrotem. Poniżej grań nachyla się gwałtownym spadem i zaostrza w konie skalne, któremi zsuwamy się na zasypaną rudawym gruzem Kiezmarską Przełęcz.

¹⁾ Nazwy tej używam, w porozumieniu z Januszem Chmielowskim, na oznaczenie przełęczy między Szczytem Kiezmarskim a Północno-wschodnim Szczytem Wideł.

Nie zatrzymując się, przerzucamy się na spękane skały Kiezmarskiego Szczytu, wynajdujemy dogodny gzyms i odwracamy wzrok, by teraz — u kresu — przebieżonym dalom się przyjrzeć. W tej samej chwili z piersi naszych wyrwa się okrzyk zachwytu. Oto Północno-wschodni Szczyt Wieleń w nieoczekiwaniu zuchwały przemienił się kształt! Rzekłbyś: duch prometejskiego buntu w chwili wyzywu Boga w poczwarny gład zastygły, lecz jeszcze w męce konania dumnie niebiosom urągający.



Wielki i Wschodni Szczyt Wieleń i Kiezmarski. (Fot. M. Bröske).

Radosną jest chwila, w której taternik, czując pod stopami bezpieczny piarg, zrzucić może ze swych ramion worek turystyczny, aby wydobyć z niego kute buty: doznaje się wówczas uczucia, jakby wraz z jego ciężarem zbywało się także brzemienia grozy i niebezpieczeństw, co nas dotąd w wędrówce przygniatały.

Za nami leżała już gigantyczna skrzyżal grani Wieleń! Jeszcze wczora była dla nas tylko legendą, siłą wyobraźni na mgłach czarowaną, jeszcze siedm godzin temu — z gładów szczytowych Łomnicy — jawiła się nam obcą, tajemniczą, nad krawędzie niewiomego wychyloną potęgą.

Teraz zgasła jako twór tęsknoty, legła u naszych stóp zwyciężona, równocześnie jednak w duszach naszych rozświetlała się blaskami przeżycia, które zajaśnieć miało nad mrokami codzienności jako ów bajeczny karbunkuł Jasirzębiej Turni nad nocnymi głębiami Kiezmarskiego kotła. Chwile znojących trudów, upornych zmagani zapadały zwolna w przeszłość, przemieniały się, wygładzały w lazuruową toń wspomnienia, w którego przeźroczu oglądać mieliśmy oblicze naszego ducha na szczytach triumfu nad kosmicznymi potęgami.

Była godzina dziewiąta wieczór, gdy w pomroce nocnej zamajaczyły przed nami zarysy złomu, kryjącego porzuconą o świecie kolebę.

Dr. Mieczysław Świerz.

O Kołtunie i kołtunach albo O dwóch muzeach w Zakopanem.

Niewielom zapewne wiadno—boć i ja, choć od lat dwudziestu paru pod Tatrami bywam, dopiero tej zimy ostatniej przypadkiem się dowiedziałem — iż w Zakopanem mamy dwa muzea: jedno znane ogółowi, im. Chałubińskiego przy Krupówkach, drugie — odkryjmy odrazu — muzeum Jana Kołtuna przy ul. Chałubińskiego.

Pierwsze, jak wiadomo, mieści się w gmachu murowanym, który ś. p. Witkiewicz projektował, a gorliwi wykonawcy, jako inteligentni zecerzy autora, podług inwencji własnej poprawili; i gdyby byli, nie krępując się niepotrzebnie planem, dalej w swobodzie wykonania poszli, gmach wyglądałby bardziej swojsko i monumentalniej, jak n. p., tyle przez obcych podziwiany, akropol-hotel Stamary. „Cudze chwalicie, swego nie znacie — sami nie wiecie, co posiadacie“ — jak powiada jeden z wybitnych poetów hiszpańskich (V. Pola).

Zbiory muzealne zajmują w gmachu tym dwie duże sale, na parterze i pierwszym piętrze. Resztę gmachu wypełniają: kancelarja muzeum, pokoik kustosza, pokoje numerowane dla uczonych i sala luźna, o której poniżej.

Odświeżmy sobie w pamięci one zebrane w muzeum przedmioty.

Zacznijmy skraja, z parteru. Jest tam więc chałupa góralska w całej wielkości — izba biała i czarna, ze sienią. Ale to ino na pokaz. Wynając ani sprzedać nie chcą. Są też sprzęty zwyczajne: stoły, stołki, łyżniki, półeczki — jakby my tego w każdej opodalniejszej, zacofanej wsi, w Cichem abo w Ratułowie, nie widzieli. Są i obrazy na szkłe, staroświeckie cudaki, których wikarzy gorliwi, chodząc po kolędzie, nie zdołali po chałupach dotłuc. Jest strój zbójnicki (niema się czem chwalić) i co do tego powołania przynależy: flinty, pistolce, noże zakrzywione, tomahawki... Jest wszystek sprzęt z bacówki: galety, skopce, mody na serki itd., ino sera ni żentycy niema. Są gęśle, basy, trombity, fujarki, na których nikt już nie grywa; jest przystrój chłopski: cuha, pas, spinki itd., jako i przyodziew babska: suknie lisem podbite, czepce, rańtuchy, katanki, w których nikt teraz nie chodzi; jest też dużo na pamiątkę zawieszonych kaganków żelaznych po nieboszczykach hawiarzach kuźniczych. Są jeszcze modele chałup, juści chyba jako zabawki dla dzieci, nie dla budarzy, bo ci, jak wiadomo, modele w głowie mają.

W sali na piętrze znajduje się zbiór rozmaitych skałek, przez różnych pilnych emerytów na ich trudnych wycieczkach do dolin skrzętnie z wysiłkiem nazbieranych, a przez śpasobliwych geologów, jak znanego dramaturga M. Limanowskiego i socjologa W. Kuźniara, w gablotach jak co ważnego poumieszczanych i to z odnośnymi na kartkach napisami, aby Bogu ducha winnego zwiedzacza w błąd wprowadzić. — Jest też zbiór skamienielin; wśród tych sławne, znane nawet panu prezydentowi baranie rogi, gdyż o nie, zwiedzając muzeum, raczył na wstępie zapytać. I tak się tą instytucją, która takie osobliwości posiada — powiadają — wzruszył, iż zaraz polecił skarbnikowi przybocznemu wypłacić subwencję... zakładowi pani Jelskiej i św. Zyty.

W sali tej na osobnym stole piętrzy się mapa plastyczna Tatr, którą ponoć śmiały nasz lotnik i odkrywca, major Lorja, przed zamierzoną podróżą na biegun, z góry z aeroplanu modelował.

Są tam jeszcze wypchane zwierzęta i ptaki. By prawdę rzec, żaden leśniczy-amator nie ma takiej kolekcji. Prócz pospolitych: zajęcy, lisów, kun, łasic, borsuków, jest niedźwiedź, przez samego Kornilowicza schwytany; a z ptaków rzuca się w oczy prawdziwy sęp. Wiadomo, sępów w Tatrach niema. Ten przyleciał z Kaukazu. I według protokołu, gdy go od któregoś z rabszyców nabywszy patroszono, znaleziono w żołądku jego ludzkie oko. Jest to więc ów historyczny sęp, który się karmił wątrobą Prometeusza; a gdy tej nie stało, rzucił się mu do oczu. Dlaczego

tu na oko i na dłoń raubszyca przyszedł, jest to tajemnicą bogów, której dociekać nie myślę (mam już i tak swojego sępa).

Jak widzimy, ciekawe nawet rzeczy znajdują w onem muzeum przy Krupówkach, ale całe bezpożyteczne. Jest wprawdzie sala na II. piętrze, luźna, przeznaczona na dział współczesny. Lecz może lepiej tak ją już luźną pozostawić, zaufawszy wyobraźni zwiedzających, niż gromadzić „eksponaty“, które i tak nie dojdą bogactwa, jakie widzimy u Komen-dzińskiej, Zończyka i t. p. pionierów zakopiańskiego przemysłu. Przytem nieporozumienie małe: współczesności niema. Trzebaby tęgi w przyszłość uczynić skok albo biedz paralelnie pędem obok czasu, aby być choć przez moment współ z czasem.

Tego wszystkiego, co powyżej przytoczone i co ma jeszcze być, strzeże i doziera z oddaniem, godnem lepszej sprawy, młody wyjątkowo kustosz, drobnej wielkości, co nie jest wcale aluzją do jego doświadczonego umysłu. Próbował on w swych latach chłopięcych różnych zawodów; był profesorem-polonistą, zbieraczem wałków śpiewających, etnografem, bezpłatnym redaktorem, korespondentem ideowym, ba nawet czlowikiem wolnym — aż zaszedł do muzeum rzeczzonego, i duch św. go natchnął, że ma być tych oto właśnie rzeczy kustoszem. I tak gorliwie — w czasach wszelkich możliwości, gdy mógł zostać przynajmniej sekretarzem jakiejś ambasady — jął się tego, nie mającego żadnych widoków, powołania, iż rodzina hofratska poważne już sędziwemi głowy czyniła nad nim i czyni kiwania. Nic to jego przyrodzonego humoru nie psowa. — Za to muzeum ukochane odplaca się mu wdzięcznością. Gdy wejdzie krokiem tanecznym do którejś z sal, dyga mu zalotnie i zdaje się figury jego uzupełniać stojąca koło szafy, bogato ubrana mieszczyka z XVII. wieku; zbójnik kłania się czapą, strojne modele się przeją, zwierzęta wypchane przyjmują wdzięczne pozy, ba, nawet sęp (lecz cyt — on też musi mieć swojego sępa).

Pozatem ma, zależnie od pory roku, różne urozmaicenia. Latem zdawać się może kustoszowi, że hotel-pensjon prowadzi. Bo istnie muzeum pod ten czas zaludnia się jak hotel. Nie, żeby taki napływ zwiedzających, broń Boże. Lecz z całej, jak szeroka, Rzeczypospolitej zjeżdżają się tam uczone profesory, — a że to mieszkań w sezonie w Zakopanem brak — zajmują numerowane pokoje w muzeum, kancelarję, pokój kustosza, strychy, nawet w holu wchodowym na dole mieściliby się, gdyby nie groźny Sabała Nalboreczyka, który obtłuczonymi palcami wyraźnie drzwi wskazuje. Odbywają się dysputy, konferencje uczone, wspólna poobiednia

kawa w sali muzealnej, która przybiera wygląd — że to zawdy muzeum kostnicą czuć — dawnej „cukierni warszawskiej“. Kustosz jest jak w ukropie. Biega, tańczy, drga.

Za to zimą, która tu całych 10 miesięcy trwa, muzeum ostawione samemu kustoszowi, mającemu teraz czas na refleksje. Za dwa miesiące używania — dziesięć miesięcy hereštu. Z żałosliwym uśmiechem to znosi, pocieszając się: wróci lato, wrócą piękne dni aragniezu.

Naturalną rzeczą: zimą muzeum się nie opala, aby się zbiory, na przykład skalpele, zdjęte przez zbójników z czaszek panów węgierskich, nie zepsowały. Nie opala się też mieszkanie kustosza, jak i kancelarja. To już z troskliwości o niego (któżby go zastąpił!), aby się, wchodząc do zimnych sal muzealnych z ogrzanego pokoju, nie zaziębił. Z troskliwości czystej, nie z braku funduszków. Fundusze — przesąd. Serce, ofiara — grunt.

Rząd wychodzi zresztą ze słusznej uwagi, że muzeum-hotel, który tyle numerów latem odnajmuje, powinien się opłacać. A gdyby co — to jest społeczeństwo. Społeczeństwo zaś, zakopiańskie zwłaszcza, ma — powiedzmy otwarcie — w wyjątkowej pieczy muzeum tatrzańskie. Oto naprzykład, gdy zarząd muzeum pisał tylko, że pieniędzy brak, w te pędy poszły osoby wymowne do znanych z ofiarności zakopiańskich kupców, do filantropijnego wysoce gremjum, i zebrano znaczną — jak na obecne ciężkie czasy — sumę, którą kustosz muzeum dumnie wręczył listonoszowi, gdy ów ironista przyszedł doń z życzeniami noworocznymi.

W ciągu więc tej dziesięcio- a czasem półjedenasto-miesięcznej naszej cudnej podhalańskiej zimy urozmaica sobie kustosz, jak może, swój samotny, monotony żywot. Gdy srogie mrozy chwyca, jak tej zimy, przenosi się z pokoju swego nieopalanego do również nieopalanej kancelarji. Lecz tam przynajmniej jest się czem przyodziać na noc. Na nogi zwala wszystkie roczniki Tow. Tatrzańskiego — biodra szczelnie otulają czasopisma krajoznawcze — piersi z głową nakrywa tekami rysunkowemi strojów ludowych, wybierając przemyślnie te, w których wiernie przedstawione są kożuchy, gunie, sukmany, słowem solidna przyodziew. A tak pod onym przygniotem, zwinięty w kłębek, wyobraźnią etnograficzną zagrzany, zasypia czasem nad ranem. I miewa rozkoszne sny. Śni mu się np. bardzo długi film o Janosiku, upaja się, rozmarza, jak dobry, wdzięczny, wszystkiemu życzliwy: ma wrażenie, że jest w ciepłym kinie. Albo znowu śni mu się, że jest Dzikiewiczem; wszystkie pokoje na piętrach zajęte, a w sali na dole, zamiast gratów muzealnych, ścisk przy stolikach, hałas, kelnerzy nadążyć wołaniom nie mogą; wszystko to głuszy i przenika

jazz-band, kwiecą i tańczą murzyni, to pokazuje się przed wyjazdem do Warszawy — clou wieczoru — ostatnia z Tatr Mohikaner-Truppe, z Józkiem Bukowianem i Maryną Mocarną na czele.

Lecz miraże snu pierzchają. Kustosz, budząc się, wraca do rzeczywistości. Południe się przybliży. Zdecydowanym ruchem strąca z siebie kożuchy etnograficzne, zeskakuje na lód podłogi, pluska się w zamarzłej wodzie, wciąga na się krótkie niezapominajki, kurtkę; serdaczek z rękawy — jest już gotów, wychodzi. Przedewszystkiem obowiązek. Uchyła drzwi do sali muzeum — wionęło nań powietrze lodowe, nasiąkłe naftaliną. Zatrząskuje więc podwoje mrozu i spiesznym krokiem, jakby to było nieodparcie przez głos wewnętrzny wskazane, udaje się na pobliską, gościnnie zapraszającą, a przedewszystkiem ogrzaną werandę Trzaski. Przez roztargnienie połyka *x* ciastek, jak również przez roztargnienie obiadu nie je. Ogrzawszy się od nuka, zaciera radośnie dłonie i uśmiecha się do słońka melancholijnie.

Przez szyby werandy Trzaski widać ruch uliczny. Wije się film: Zakopane w zimie. Sanki — saneczki — pani w spodniach — poseł z prawicy — policja na nartach — były minister rolnictwa — dwie siumne Zakopianki — woźny magistracki — listonosz — sanki z pociągu — gęby nowe — poseł z lewicy — Korona — narciarz w ubraniu cyrkowym — panna z Łodzi — prezes Klimatyki — Pęksa — profesor gimnazjalny — znów pani w spodniach — dwóch górali — znany architekt — znany lekarz — narciarz w zielonej pończosze na głowie — młody poeta warszawski — stary góral...

Żadna jednak z zaokiennych postaci filmowych nie zwraca tak powszechnej uwagi werandy, jak przechodzący oto człowiek: o szarej, niezbadanej twarzy, w długim, nieokreślonym kolorze kożuchu, sznurkiem zielonym przepasany, z dwoma parasolami pod pachą i w meloniku brązowym na głowie. Wiedno odrazu: człowiek boży. We własnej to osobie Jan Kołtun, twórca muzeum swojego imienia. Nazwisko tu — nieporozumienie. Wielu jest kołtunów — że pominiemy znane imiona — w Zakopanem ale ów chyba jest nim najmniej. Trudno — ostatek Kołtunem, a prawdziwe kołtuny jeszcze drwić z niego będą. Taka to już ustanowa rzeczy.

Muzeum jego, Kołtuna, mieści się (co za zbieg ciekawy) przy ulicy Chałubińskiego, w mniej imponującym, niż omawiane powyżej, ale za to bardziej do miejscowego porządku zastosowanym budynku, o jednym szczyście ściętym — ze słońcem, parzenicą i lelują przewiewną pośrodku — drugim zasię wdzięcznie, jak skrzydło fantazyjne kapelusza, opuszczonym

ku ziemi. Z zewnątrz pojrzawszy, ktośby mógł rzec: szopa. I sądziłby, że już rzecz określił. Ba, szopa... A cóż może być w szopie? „Deus et omnia“ — jak mówi Przybyszewski. W szopie Paniezus się rodził. W szopie na sianie — nie chcę zresztą mnożyć przykładów, by nie odejść od rzeczy. W *tej* szopie, o której mowa, niema siana, ani osła — jest muzeum Kołtuna. Wstęp wolny. Każdego, gdy do wnętrza wejdzie, uderzyć musi na wstępie conajmniej zdumienie. Uderzy go też zaraz niesłychane bogactwo przedmiotów, umiejętnie po ścianach, na ziemi i po kątach rozłożonych. Jest tu istotnie więcej, niż fantazja może nawieść. Są więc: ramy zniszczone z obrazów, obrazy bez ram (przeważnie z ilustracyj rzadkich jak „Nowości“), szyszki od zegarów, puszki z konserw, igły do prymusów, bogaty zbiór kluczków różnej wielkości, zbiór kopert adresowanych, olbrzymie sterty afiszów (na których można się uczyć pogłęboko historii kultury), kawałki blach, przeróżne żelaziwo, obręcze z beczek (nawodzące myśl filozoficzną, iż rdza wszystko przeżera), taczki bez kół, wyszczerbione łopaty, kawałki desek, zbiór pudełek, lichtarze pogięte, kolekcja starych parasoli i kolekcja osobliwa: uszy od butów, kunsztownie na sznurek nanizane, stare wózki dziecinne, nogi od stołków, różne części lamp, flaszki próżne, brytwanny przepalone, garnki dziurawe, słoiki, naczynia nocne nadtłuczone, i t. d., i t. d. Nie zliczyłby wszystkiego.

Przez lata Kołtun to gromadził. Wszystko, co ludzie zwykli wyrzucać lub, wyjeżdżając, zostawiać za sobą, jest tu skrzętnie zebrane i posegregowane. Jak widzimy, w przeciwieństwie do martwych zbiorów muzeum omawianego przy Krupówkach, są w muzeum Kołtuna rzeczy żywe, mogące mieć każdego czasu i w każdej niemal dziedzinie ludzkich potrzeb zastosowanie. Jan Kołtun też nie marynuje tych rzeczy, lecz wymienia lub chętnym sprzedaje. Ceny przystępne. I transakcje się czynią. Potrzebuje n. p. ślusarz klucza, szewc uszów do obuwia — do muzeum Kołtuna! Tam wszystko jest, czego kto zapragnie.

I Kołtunowi onemu wcale dobrze się powodzi. Potrzeb ma mało. Wszystko też sam sobie stwarza. Sam sobie robi obuwie, tj. uplecie na nogach postoiły, które się nie zdejmą, aż się zedrą. Sypia w muzeum swoim — latem, zimą — wysoko na pryczy przy swych zbiorach. Nie jest sam. Bo oto chowa sobie myszkę, która co rano przychodzi doń na pryczę, po swoją część okruszyn.

Jak przeciwieństwem jest muzeum żywe Kołtuna — muzeum-cmentarza przy Krupówkach, tak też z natury rzeczy i kustoszowie tychże muszą być sobie przeciwni. Kołtun jest, jak się już rzekło, człek boży, który

jednak, jak widzimy, wcale praktycznie się urządził; a kustosz zasię tamtego muzeum jest człek — niema co kryć — w całym wzięciu się świecki, który znów nadto po bożemu żyje. Jako ptakowie niebiescy, którzy... Jednak czasem — gdy w optymizm skowronkowy melancholja się wkradnie, a bywa to w środku zimy, kiedy nawet etnograficzne kożuchy nie grzeją — w skrytości serca westchnie z żalem, że nie jest sobie choćby tą małą myszką nietroskliwy przy muzeum rentownem żywot prowadzącą, myszką Kołtuna.

Wł. Orkan.

ALFRED ALTENBERG

Oddział lwowski P. T. T. dotknęła bolesna strata. Alfred Altenberg, wydawca „Wierchów“, zakończył po kilku zaledwie dniach ciężkich cierpień swe młode i czynne życie, poświęcone dla dobra narodowej nauki i sztuki, których był szczerym opiekunem. Ukochał też polskie góry, a w szczególności Tatry, czego wyrazem było podjęcie się nakładu „Wierchów“ i pełne idealizmu starania, aby to wydawnictwo, zastępujące „Pamiętnik Towarzystwa Tatrzańskiego“, było godne tych spraw, którym jest poświęcone.

Urodził się Alfred Altenberg w r. 1878 w Warszawie, a po skończeniu gimnazjum we Lwowie, pragnął poświęcić się jako uczeń Kubali — historii polskiej. Stosunki jednak rodzinne skłoniły go do objęcia kierownictwa ojcowskiej firmy nakładowej. Księgarstwo stało się jego głównym zawodem, w którym doświadczeń bogatych czerpał w Lipsku, Paryżu, Hamburgu i Sztutgarcie.



Według portretu Józefa Kidona.

W r. 1900 wrócił do Lwowa i objął księgarnię, prowadzoną dotąd przez Matkę, Zuzannę, z pomocą Władysława Bełzy. Wystarczy wyliczyć najgłówniejsze Jego wydawnictwa, aby przekonać się o wielkości idei i zamysłów Alfreda Altenberga. A więc: Łozińskiego „Życie Polskie“, „Malarstwo Polskie“ (w reprodukcjach barwnych z przedmową F. Jasieńskiego i i.), Chłędowskiego „Dwór w Ferrarze“, „Ludzie Odrodzenia“,

„Rzym“, i t. d., cykle Grottgerowskie, wydawnictwa autolitografji (Jarockiego, Sichulskiego i in.), Potockiego „Grottger“, Mycielskiego „Portrety Polskie“, „Bibliotekę historyczną“ (prace Dembińskiego, Kubali, Sapiehy), „Lamus“, dzieła J. Żuławskiego, J. G. Pawlikowskiego, „Bibliotekę klasyków polskich“ (w tem wydanie zbiorowe dzieł Goszczyńskiego wraz „Z pamiętnikiem podróży do Tatrów“), przeszło 40 tomów „Wiedzy i życia“ i t. d. Rozpoczął też wydawnictwo „Biblioteki klasyków starożytnych“ (w tem „Ptaki“ Arystofanesa w przekładzie Jedlicza i „Odysseję“ w przekładzie Wittlina); rozglądał się wreszcie za redaktorem dla wydawnictwa „Morze polskie“, które miał wydawać na wzór „Wierchów“.

Że „Wierchy“ zdobyły uznanie ogólne w prasie i wśród publiczności, w tem nie mała zasługa Altenberga. Że rozmiary ich urosły bardziej, niż początkowo zamierzano, to dowód zrozumienia Jego dla wielkiej sprawy, jaką jest sprawa gór polskich.

Cześć pamięci gorącego przyjaciela gór i góralszczyzny, cześć pamięci prawego patrioty i obywatela!

Zarząd Oddziału lwowskiego P. T. T.

Fundacja Zamoyskich.

Właściciel dóbr Zakopane, Kórnik, Trzebow i Babin, hr. Władysław Zamoyski, działając w imieniu własnym, jakoteż z pełnomocnictwa zmarłej niedawno swej ś. p. Matki, oraz swej Siostry Marji Zamoyskiej, przekazał cały swój majątek na wieczystą i niepodzielną własność Narodowi Polskiemu, aby dobro odziedziczone po przodkach stało się „polem pracy polskiej i chrześcijańskiej“ i aby „w najdłuższe czasy polskiej służyło sprawie“.

Powstaje więc na ziemiach polskich jedna z najwspanialszych fundacyj, dzieło epokowego znaczenia dla przyszłego rozwoju kultury polskiej, ostoja pracy obywatelskiej i naukowej.

Według statutu cele fundacji są następujące:

„1. Utrzymanie i rozwój szkoły domowej pracy kobiet założonej w Kórniku 24-go czerwca 1882 r., wygnanej przez Niemców i przeniesionej do Lubowli na Spiszu 9-go lipca 1886, do Kalwarji Zebrzydowskiej 17-go października 1887, do Zakopanego na Bystrze 15-go września 1889, do Kuźnic 11-go czerwca 1891 r., na podstawie ustanowionego dla niej statutu, zasad i przepisów, na której powstała i od przeszło czterdziestu lat rozwijała się mimo prześladowań i wydałań.

2. Wychowanie młodzieży męskiej w duchu polskim i katolickim ze szczególnem uwzględnieniem oderwanych od macierzy.

3. Pomoc naukowa dla wyjątkowo zdolnych, zwrotna gdy zarabiać będą.

4. Utrzymanie zamku w Kórniku. Szczególne zadanie przypominania zwiedzającym co Polska przecierpiała, jak się jej synowie Polsce zasłużyli. Przechowywanie i uczczenie pamięci najszlachetniejszych wśród obcych, którzy dla Polski zasługi położyli, jej się w czasach prześladowań i najsroższych ucisków przyjaciółmi okazali.

5. Utrzymanie Biblioteki Kórnickiej i piecza nad jej wydawnictwami.

6. Założenie zakładu do badania, tak na stokach gór, jak i na równinach, wszelkiego co wchodzi w zakres hodowli, życia, ochrony, utrzymania i należytego wyzyskania wszelkiego rodzaju drzew tak w kraju istniejących, jak zagranicznych, mogących się krajowi zdać, leśnych, ogrodowych, owocowych, użytkowych i ozdobnych, ich drewna, owoców, liści, soków, oraz piecza nad ogrodami kórnickimi.

7. Krzewienie w majątkach Zakładów Kórnickich wśród ludności wiedzy zawodowej rolniczej i wśród młodzieży zasad współdziałania w duchu katolickim i narodowym.

8. Uprzemysłowienie stopniowe i podnoszenie wartości majątku zakładów Kórnickich, przeprowadzanie melioracji i komasacji“.

Wiadomo powszechnie, jakim duchem owiana była dłuioletnia działalność hr. Władysława Zamoyskiego. Doprowadzając osobiste swe potrzeby do krańcowej skromności, uważał zawsze cały swój majątek nie za swą prywatną własność, lecz za własność całego Narodu i dochody obracał na popieranie polskości; bez rozgłosu stawał i spieszył z pomocą wszędzie tam, gdzie trzeba było wyrwać kęs ziemi ojczystej z rąk wrogów, gdzie trzeba było ratować zagrożoną placówkę polską.

Zmarła niedawno śp. Matka hr. Zamoyskiego pani Jenerałowa z Działyńskich Zamoyska, wzór matron polskich, życiem swem całym wiernie i wytrwale służyła polskiej sprawie.

Założony przez nią Zakład Kórnicki szkoła domowej pracy kobiet w Kórniku, stał się ogniskiem wychowania niewiasty polskiej w duchu nawskróś narodowym i chrześciań-

skim. Niedarmo też stał się solą w oku Bismarkowi, który w r. 1886 wypędził rodzinę Zamoyskich z Poznańskiego, wskutek czego i Zakład Kórnicki przez szereg lat tułał się po Polsce, dopóki nie znalazł spokojnej siedziby w Zakopanem, które hr. Zamoyski, jako zniszczony przez niemieckich właścicieli majątek, zakupił na licytacji sądowej.

Dzisiaj wedle woli właściciela przechodzi cały Jego majątek na własność Narodu. — Jakie miał przytem zamiary szlachetny ofiarodawca, to wynika ze wstępu do statutu fundacji. — Wstęp ten, z którego wieje duch bezgranicznej ofiarności i wzniosłego patriotyzmu przytaczamy tutaj w całości:

„Już dawno, za czasów niewoli, postanowiliśmy to, cośmy posiadali, tak zabezpieczyć, aby i nadal polskiej służyło sprawie.

Dzisiaj, gdy możemy zwrócić się do Sejmu, do Senatu, do Rządu Polskiego, składamy przed nimi prośbę, aby raczyli zamierzonemu przez nas dziełu zapewnić opiekę Rzeczypospolitej i potwierdzić załączony tu statut.

Od rozbiorów Polski każde powstanie Narodu celem odzyskania utraconej niepodległości jakiś przynosiło zaszczyt rodzinie właścicieli Kórnicka: śmierć, lub wyrok śmierci dla Działyńskiego.

My, którym ostatni z nich spuściznę swoją przekazał, wydalenii z Kórnicka przez Niemców, od długiego bo 30-letniego szeregu lat, nie jedni musieliśmy przerwać rozpoczętą pracę, nie mogliśmy niejednego tak wykonać jak tego pragnęliśmy.

Mamy jednak nadzieję, że gdy uzyskamy przez potwierdzenie przedstawionego tu statutu zezwolenie, aby majątki nasze nieruchome, tak odziedziczone, jak na wrogach zdobyte, zostały zapisane na niepodzielną własność narodową i zapewnienie, że one pozostaną polem pracy polskiej i chrześcijańskiej, a że zarząd zakładami już na tych majątkach istniejący lub mający na nich powstać oddany będzie w ręce ustanowionego tym statutem kuratora, niejedno da się uzupełnić i uskutecznić na chwałę i pożytek Ojczyzny.

Dla zaznaczenia stosunku Zakładów Kórnickich do Kościoła i Ojczyzny pragnęliśmy gorąco, aby protektorat nad zakładami w Kórniku przyjąć raczyli Prezydent Rzeczypospolitej oraz Ks. Prymas, do których jak i do ich następców w pełni wiary i nadziei zwracamy się z prośbą serdeczną, aby łaską i opieką raczyli otaczać dzieło powstałe z gorącego umiłowania Ojczyzny i z pragnienia, by tych zakładów praca nie przestała, za Bożą pomocą, przy udziale synów wszystkich ziem Polski, w najdłuższe czasy polskiej służyć sprawie.

Do kuratorów, do członków zarządu, do przyszłych naczelników, kierowników zakładów i poszczególnych działów, którzy jakkolwiek udział brać będą w pracy, przez Zakłady Kórnickie podjętej, zwracamy się z równie serdeczną prośbą by strzedz raczyli Zakłady Kórnickie przed każdym, którego by nie polecały jego działalność, zdolność, roztropność, nieskalane ręce, przed wszystkim, coby najmniejszą ujmę komukolwiek przynieść mogło, pamiętając, że na pracowniach, które się w ich ręce oddaje, a które z wielu wysiłków i poświęceń powstały, od długiego szeregu lat wrzała licznych Polaków i Polek praca w imię Boże, w służbie Polski.

Kórnik, 30-ty grudnia 1923 roku.

Za Jadwigę z Działyńskich Jenerałową Zamoyską: Władysław Zamoyski, pełnomocnik Jeneralny z pełnomocnictwem ważnem i na wypadek śmierci, na rokach sądowych, Kórnik 8 lutego 1923“.

Dobra Kórnik i Zakopane obejmują ok. 20.000 ha ziemi, wraz z zamkiem Kórnickim, w którym mieści się słynna biblioteka i wspaniałe zbiory.

Statut wręczony został Prezydentowi Rzeczypospolitej i w najbliższych miesiącach wejdzie fundacja w życie.

Tak powstanie wielkie dzieło, wspaniała placówka polskiej kultury, polskiego ducha.

S. S.

Ostatnie fazy walki o Jaworzynę.

Od trzech lat ciągnący się spór między Polską a Czechami o Jaworzynę zakończył się. Z zapartym oddechem oczekiwaliśmy wyniku sporu o granicę tatrzańską. Z zapartym oddechem śledziliśmy przebieg walki o najpiękniejszy i najcenniejszy zakątek Tatr, walki, prowadzonej z poświęceniem i nadludzkimi niemal wysiłkami przez znanych obrońców sprawy Jaworzyny, mjr. Br. Romaniszyna i prof. Dr. W. Goetla, naszych komisarzy granicznych. Jeśli dla całej Polski walka ta przedstawiała przedmiot wielkiego zainteresowania, to cóż dopiero dla nas, Towarzystwa Tatrzańskiego, związanego serdecznymi węzły z Tatrami. Towarzystwo Tatrzańskie przystąpi też w myśl uchwały ostatniego Walnego Zjazdu swych Delegatów do wydania w 1925 r. obszernego Rocznika T. T., poświęconego wyłącznie historii naszej walki o Jaworzynę w oświetleniu całokształtu naszego sporu o granicę spisko-orawską.

W I. Roczniku „Wierchów“ przedstawiliśmy na naczelnym miejscu, pod tytułem „Dwie sprawy dla Tatr najważniejsze“ obok sprawy narodowego parku w Tatrach, sprawę Jaworzyny i jej przebieg w I fazie, zakończonej znaną uchwałą Komisji delimitacyjnej w dniu 25 września 1922. W obecnym roczniku skreślimy krótko dalszy przebieg tej sprawy aż do jej definitywnego zakończenia.

Sprawa Jaworzyny, zwłaszcza w ostatnim swym okresie, tj. po uchwale Komisji delimitacyjnej z dn. 25 września 1922, za daleko jednak wyszła poza ramy kwestji lokalnej, by i nad tym faktem można było przejść do porządku dziennego bez komentarza. Dla niektórych odłamów opinji i prasy polskiej sprawa Jaworzyny była tylko incydentem — mniej lub więcej przewlekaniem się sporu, coraz wyraźniej faktem sprawdzania siły polityki polskiej wobec polityki czeskiej, stawała się kwestją prestige'u i godności naszego państwa. Jeśli bowiem uchwała Komisji delimitacyjnej z 25 września 1922 stanowiła dla Czechosłowacji wyrzeczenie się Jaworzyny i nic więcej, jak tylko wyrzeczenie się, to dla nas gra toczyła się równocześnie o poważną i zasadniczą stawkę moralną: czy Polska ma zawsze przegrywać w sporach z Czechami, i to bez względu na słuszność zajętego przez nią stanowiska, czy międzynarodowe układy i decyzje (jak w tym wypadku decyzja Konferencji Ambasadorów z 28 lipca 1920) tak długo mają być dotrzymywane i stosowane przez te instytucje międzynarodowe, które je wydawały, jak długo pokrywały się one z żądaniami strony czeskiej?

Przekonaliśmy się niestety, że w walce dyplomatycznej na terenie Konferencji Ambasadorów, a później Rady Ligi Narodów, a więc na terenach, na których względy słuszności nie zwykły odgrywać żadnej roli, zaważyły decydujące siły, na które przemożny wpływ miał stały i jedyny od początku egzystencji państwa czeskosłowackiego minister spraw zagranicznych p. Benesz, a nie co kilka miesięcy zmieniający się polscy ministrowie. Gdy bowiem mające na wiosnę 1923 r. nastąpić zatwierdzenie przez Konferencję Ambasadorów uchwały Komisji delimitacyjnej z 25 września 1922 groziło p. Beneszowi upadkiem, opinja publiczna na Zachodzie, a przedewszystkiem we Francji, poważnie zaczęła się liczyć z temi, tak często wówczas przez p. Benesza wysuwanemi pogrózkami. Po-

dobnego atutu niestety żaden z polskich ministrów Spraw Zagr. nie był w stanie wysunąć, gdyż go nie posiadał.

Kilkuletnie wysiłki nasze o ratowanie tego, co się nam słusznie należało, nie poszły jednak na marne. Nie wychodzimy ze sprawy Jaworzyny naprawdę pokonani, jakkolwiek przegraliśmy ją politycznie. Dwukrotna jednomyślna opinia ekspertów Wielkich Mocarstw w Komisji delimitacyjnej wykazała przed forum międzynarodowym jak i przed opinią Europy, żywo się sprawą Jaworzyny interesującą, że w meritum sprawy słuszność była, jest i będzie nadal po naszej stronie.

Czy jednak oprócz tej korzyści moralnej, która w dalszej perspektywie odgrywać będzie zawsze i niewątpliwie odegra bardzo ważną rolę, walka o Jaworzynę przyniosła nam jeszcze jakieś rezultaty bardziej konkretne i bardziej doraźne? Możemy spokojnie stwierdzić, że tak. Rezultaty te zdobyliśmy w ostatecznej decyzji Konferencji Ambasadorów, w tak zwanych protokołach jaworzyńskich. I należy z całym naciskiem stwierdzić, że nie byłibyśmy ich nigdy nie osiągnęli, gdyby nasi obrońcy sprawy Jaworzyny, mjr. Romaniszyn i prof. Goetel, nie byli wytrwali w tej zaciętej i ciężkiej walce do końca. Przykładem tego, to krwawiący się nadal szmat ziemi cieszyńskiej i wbite słupy graniczne, bez tych szerokich przywilejów i praw, które zdobyli dla Spisza mjr. Romaniszyn i prof. Goetel.

Nim przystąpimy do omówienia epilogu sprawy Jaworzyny i protokołów, stanowiących integralną część decyzji Konferencji Ambasadorów, ustanawiającej granicę na Spiszu, przejdziemy pokrótce ostatnie fazy walki o Jaworzynę, t. j. na terenie Konferencji Ambasadorów, Rady Ligi, Trybunału w Hadze, Komisji delimitacyjnej oraz ostatnio na terenie obrad polsko-czeskich w Krakowie.

Pamiętna jednomyślna uchwała Komisji delimitacyjnej z dn. 25 września 1922 r. spowodowała, jak to było do przewidzenia, gwałtowną kontrakcję rządu czeskiego na terenie Konferencji Ambasadorów, do której aprobaty Komisja delimitacyjna swój wniosek odesłała. Wydana w jesieni 1923 r. przez polskie Ministerstwo Spraw Zagr. tak zwana amarantowa księga jaworzyńska zawiera wiele niezmiernie interesujących dokumentów, odnoszących się do tego okresu. Uderzyć musiało każdego, który miał sposobność dokładniejszego poznania całości kształtu sprawy jaworzyńskiej, jaką wagę i znaczenie przywiązywał rząd czeski, a z nim jednolicie całe społeczeństwo, do ratowania tych „paru skał“, jak to niestety niejednokrotnie w niektórych odłamach prasy i opinii polskiej sprawę Jaworzyny nazywano. Uchwała Komisji delimitacyjnej z 25 września 1922 nie była zwycięstwem Czechosłowacji, jak to usiłowano ze strony niektórych jednostek w Polsce wmówić w nasze społeczeństwo — lecz bardzo dotkliwą przegraną strony czeskiej. Rząd czeskosłowacki poparty jednolitą opinią swego społeczeństwa, zabrał się więc do energicznej akcji na gruncie Paryża i Londynu, zmierzającej do unieważnienia tej uchwały Komisji delimitacyjnej. Akcji tej, którą wszczęli Czesi jednocześnie we wszystkich najważniejszych środowiskach politycznych Europy (dość przypomnieć wydaną w grudniu 1922 w języku francuskim broszurę czeską o Jaworzynie i rozrzuconą przez nich w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy po Szwajcarii i Francji), strona polska¹⁾ przeciwstawiała w swej opinii publicznej nieznaną sprawę a wielokrotnie chaos i zamęt pojęć.

Rząd czeskosłowacki w walce o unieważnienie uchwały Komisji delimitacyjnej miał silną broń w ręku w postaci decyzji Konferencji Ambasadorów z dn. 6 grudnia 1921, decyzji, którą ze zwykłą sobie zręcznością zdołał uzyskać p. Benesz u Konferencji Amba-

¹⁾ Zapewne nie... komisarze graniczni (przyp. Red.).

sadorów w niespełna miesiąc po podpisaniu niedoszłego do skutku traktatu politycznego polsko-czeskiego. Zobowiązywał się w tym traktacie (w aneksie B) przeciw rząd czeski do uregulowania, drogą bezpośredniego porozumienia się, w przeciągu 6 miesięcy sprawy Jaworzyny. Tymczasem w decyzji tej zapowiadała Konferencja Ambasadorów, że o ile w przewidzianym w aneksie B traktatu pragskiego terminie obie strony polubownie sprawy Jaworzyny nie załatwią, Komisja delimitacyjna ma bezzwłocznie przystąpić do wbicia słupów granicznych na tej granicy, którą wykreśliła Konferencja Ambasadorów dn. 28 lipca 1920, zostawiającej, jak wiadomo, całe terytorjum Jaworzyny i część Jurgowa po stronie Czechosłowacji. Nic więc dziwnego, że p. Benesz, mając w kieszeni tą nader wygodną dla siebie decyzję, a z nią Jaworzynę, nie dopuścił do polubownego załatwienia tej sprawy przez powołane ad hoc komisje ekspertów i pozwolił upłynąć ostatecznemu terminowi (6 sierpnia 1922), postawionemu przez Konferencję Ambasadorów, rozumując, że w ten sposób definitywnie ratuje dla siebie Jaworzynę.

Tą to decyzją Konferencji Ambasadorów wysunął więc rząd czechosłowacki przeciwko uchwale Komisji delimitacyjnej z 25 września 1922, kwestjonując kompetentność tej uchwały wobec definitywnego przyznania już Jaworzyny Czechosłowacji decyzją Konf. Amb. z 6 grudnia 1921.

Nie zdołał jednak p. Benesz wówczas poprzeć swojego punktu widzenia u Konferencji Ambasadorów, która w swej decyzji z 13 listopada 1922 nie tylko odrzuciła argumentację czeską w odniesieniu do decyzji z 6 grudnia 1921, lecz potwierdziła kompetentność uchwały Komisji delimitacyjnej, wyraziła przekonanie o konieczności zmiany linii granicznej z 28 lipca 1920 na terenie Jaworzyny i zapowiedziała odnośną decyzję na wiosnę 1923 r.

Okres, na który przypadły wydarzenia w postaci uchwały i decyzji z 25 września i 13 listopada 1922, był dla Polski okresem najpomyślniejszym w dotychczasowym przebiegu walki o Jaworzynę. Po decyzji Konferencji Ambasadorów z 13 listopada mogło się wydawać, że Jaworzyna zostanie przy Polsce. I jeśli Konferencja Ambasadorów od razu w listopadzie 1922 nie powzięła tej ostatecznej decyzji, to tylko dla salwowania pozycji p. Benesza, którego upadek zdawał się być nieuniknionym w razie przegrania Jaworzyny. Mówiono wówczas w kręgach konferencji Ambasadorów, że ta zwłoka w powzięciu decyzji jest konieczna dla p. Benesza potrzebną dla przygotowania opinii czechosłowackiej na utratę Jaworzyny.

Z nadejściem wiosny r. 1923 wewnętrzna sytuacja p. Benesza znacznie się wzmocniła — z tym większą więc energią zabrał się czeski minister spraw zagr. do uratowania straconej niemal pozycji jaworzyńskiej. Już z początkiem wiosny zaczęła kielkować na gruncie Konferencji Ambasadorów myśl, by sprawę Jaworzyny przerzucić na teren Ligi Narodów. Energiczne stanowisko rządu polskiego udaremniło wtedy na razie ten niewątpliwie po myśli czeskiej wysunięty plan. Nastąpił okres zwlekania z powzięciem decyzji niemal z tygodnia na tydzień przez Konferencję Ambasadorów. Im bardziej zbliżaliśmy się do lata, tym bardziej rysowało się prawdopodobieństwo przesilenia gabinetowego w Polsce. I niewątpliwie ostatnie 4 tygodnie zwlekania przez Konferencję Ambasadorów z powzięciem decyzji było tylko wyczekiwaniem przesilenia rządowego w Polsce, aby wykorzystując je, wykonać już w lutym 1923 r. powzięty zamiar przerzucenia sprawy Jaworzyny na teren Ligi Narodów i Trybunału w Hadze, co rzeczywiście w dniu 27 lipca 1923 Konferencja Ambasadorów uczyniła. Z tym dniem sytuacja nasza, dotychczas pomyślna, zmieniła się nagle na naszą niekorzyść, a szanse uratowania Jaworzyny malały do minimum. Wiadomem było, że na tych terenach a zwłaszcza na terenie Ligi Naro-

dów, przemożnym wpływom p. Benesza nie będziemy mogli przeciwstawić siły z naszej strony.

W Polsce pod wrażeniem tej krzywdzącej i stronniczej decyzji Konferencji Ambasadorów zapanowało łatwo dające się usprawiedliwić wzburzenie, którego wyrazem była jednomyślnie przez Sejm polski powzięta rezolucja, wzywająca rząd, by w odpowiedzi na tą decyzję wycofał swych przedstawicieli z Komisji delimitacyjnej — co rzeczywiście nastąpiło, oraz by w Lidze Narodów przystąpił do rozpatrywania sprawy Jaworzyny w oświetleniu całokształtu sprawy polsko-czeskiej a więc łącznie ze sprawą cieszyńską, — co niestety nie nastąpiło. Na wrześniowej sesji Rady Ligi poświęciliśmy (p. Skirmunt) sprawę Jaworzyny sprawie wyboru delegata Polski do Rady Ligi, — którą to sprawę niestety również przegraliśmy.

Sprawę Jaworzyny odesłała Rada Ligi do Trybunału w Hadze. Nie będziemy w niniejszym artykule szczegółowiej rozpatrywać przebiegu sprawy Jaworzyny w Trybunale haskim i jego wyroku. Uczyni to niewątpliwie Tow. Tatrzeński w swym zapowiedzianym na rok 1925 roczniku, poświęconym sprawie Jaworzyny. Należy jednak podkreślić już i w niniejszym artykule kilka najważniejszych i zasadniczych ustępów wyroku haskiego, by rozpatrywując zapadłe po tym wyroku decyzje Rady Ligi, zrozumieć jasno, jak Rada Ligi zniekształciła i naciągnęła tendencyjnie na naszą niekorzyść poszczególne ustępy wyroku Międzynarodowego Trybunału.

Jak wspomnieliśmy powyżej, rząd czeskosłowacki dążył do unieważnienia uchwały Komisji delimitacyjnej z 25 września 1922 wysuwaniem tezy prawnej a mianowicie, że kwestję Jaworzyny rozstrzygnęła już definitywnie na korzyść Czechosłowacji decyzja Konferencji Amb. z 6 grudnia 1921, czyli że w konsekwencji tak Komisja delimitacyjna jak i Konferencja Amb. nie były już kompetentne do powzięcia swych uchwał i decyzji z 25 września i z 13 listopada 1922. Teza prawna rządu polskiego utrzymywała, że uchwała Komisji delimitacyjnej z 25 września 1922, oparta na instrukcjach zawartych w artykule II Decyzji Konferencji Ambasadorów z 28 lipca 1920, była powzięta przez tę Komisję jak najformalniej oraz że Konferencja Ambasadorów, stwierdzająca to zresztą wyraźnie w swej decyzji z 13 listopada 1922, jest nadal kompetentną do rozstrzygnięcia kwestji granicy jaworzyńskiej.

Że tu chodziło o rozstrzygnięcie przez Trybunał w Hadze tej a nie innej kwestji prawnej, widać jasno ze sformułowania i postawienia pytania Trybunałowi przez Radę Ligi, które to pytanie brzmiało, jak następuje:

„La question de la délimitation de la frontière entre la Pologne et la Tchécoslovaquie est-elle demeurée ouverte, et dans quelle mesure, — ou doit elle être considérée comme déjà résolue par une décision définitive (sous réserve de la procédure habituelle de l'abornement sur place, avec les modifications de détail qu'elle peut entraîner“ ?

Wyrok Trybunału haskiego, przed którym z niezwykłą siłą i jasnością bronił stanowiska polskiego p. Mrozowski, wypadł z punktu widzenia ogólnego w przeważnej części swych ustępów raczej dla Polski korzystnie, w sprawie zaś najważniejszej tezy, sformułowanej w zapytaniu Rady Ligi a zasadniczej dla stanowiska czeskiego, opinja Trybunału była wyraźnie dla nas pomyślna. Trybunał haski bowiem stwierdził, że na podstawie decyzji z 28 lipca 1920 Konferencja Ambasadorów, a tym samym i Komisja delimitacyjna, były i są nadal kompetentne do rozstrzygnięcia sprawy granicy jaworzyńskiej, i że Komisja delimitacyjna posiada nadal swe szerokie pełnomocnictwa nadane jej artykułem II tej decyzji, czyli, że może ona przeprowadzić szersze modyfikacje granicy, niż te, które są przewidziane przy zwykłych pracach delimitacyjnych.

W szeregu rozważań, zawartych w swym obszernym wyroku (zajmuje on 57 stron druku), Trybunał haski, poruszając sprawę nienaruszalności dawnej granicy galicyjsko-węgierskiej, stwierdza, że modyfikacje, przeprowadzone na tej granicy, mogą być dokonane w rozmiarach ograniczonych, oraz, że modyfikacja linii granicznej z 28 lipca 1920 nie może się równać całkowitemu zniesieniu tej linii.

Objektywnie należy więc stwierdzić, że wyrok haski zostawiał w każdym razie możliwość Lidze Narodów i Konferencji Ambasadorów dla korzystniejszego rozwiązania sprawy Jaworzyny dla Polski, niż to Rada Ligi Narodów uczyniła. Jeśli bowiem przypatrzymy się uchwale Rady Ligi, powziętej 17 grudnia w Paryżu, to trudno zdobyć się na uczucie szacunku wobec jej autorów. Uchwała ta jest nie tylko bowiem nakręcaniem wywodów Hagi do powziętego już z góry planu, lecz jaskrawem zniekształceniem wyroku haskiego.

Rada Ligi wykorzystała mniej zasadniczy ustęp z wyroku haskiego o nienaruszalności granicy międzynarodowej (Trybunał haski wysunął tą kwestję przy rozpatrywaniu ogólnych instrukcji dla Komisji delimitacyjnych, wydanych przez Radę Najwyższą dla wszystkich komisji delimitacyjnych, a więc tylko pośrednio do Komisji delimitacyjnej polsko-czeskiej się odnoszących), by zapomocą tego ustępu przemycić rezolucję korzystną dla p. Benesza. Zasadnicza kwestja, która była istotnym przedmiotem wyroku haskiego, a rozstrzygnięta dla Polski pomyślnie, t. j. kwestja kompetencji Komisji, została usunięta na bok, a sprawa drugorzędna, t. j. nienaruszalności dawnej granicy galicyjsko-węgierskiej wysunięta na zasadnicze miejsce. Lecz i tu stronniczość Rady Ligi wystąpiła w wyraźnym świetle. Pominąwszy bowiem fakt, że Konferencja Ambasadorów swą decyzją z 28 lipca 1920 tę „nietykalną“ granicę albo całkowicie zniosła albo podarła na strzępy wzdłuż całej granicy spisko-orawskiej, to biorąc ściśle tekst wyroku haskiego, Komisja delimitacyjna mogła przeprowadzić modyfikację tej granicy choćby w ograniczonych rozmiarach.

Tymczasem rezolucja grudniowa Rady Ligi wbrew brzmieniu wyroku haskiego najbezwzględniej zabroniła Komisji delimitacyjnej w jakikolwiek sposób naruszyć wymienioną granicę. Jeśli sobie uprzedzimy, że granica od Rysów do Jurgowa stanowi właśnie granicę Jaworzyny, tendencja tej uchwały występuje wyraźnie. Chodziło o uniemożliwienie Komisji delimitacyjnej przyznania Polsce choćby 1 metra kwadratowego z terytorjum Jaworzyny.

Delegat polski przy Lidze Narodów rezolucji tej nie przyjął. Według dotychczasowego zwyczaju nieprzyjęta przez jedną stronę rezolucja Rady Ligi ulegała zawsze zmianom. Po raz pierwszy zaszedł fakt, że nad nieprzyjęciem rezolucji Rada Ligi przeszła do porządku dziennego, odsyłając ją w pierwotnym brzmieniu do Konferencji Ambasadorów z żądaniem, by Komisja delimitacyjna opracowała nowy projekt linii granicznej, dostosowany ściśle do rezolucji Rady Ligi.

Komisja delimitacyjna, której Konferencja Ambasadorów rezolucję grudniową Rady Ligi do wykonania przekazała, zajęła się ponownie sprawą Jaworzyny na posiedzeniu odbytem w Bernie Morawskim dn. 11 lutego br. Na posiedzeniu tem, na którym stanowiska polskiego świetnie bronił nasz komisarz graniczny mjr. Romaniszyn, odnieśliśmy ponownie poważny sukces. Komisja delimitacyjna podtrzymała swoje stanowisko, zajęte przez nią dn. 25 września 1922, stwierdzając w uchwale jednomyślnie przez Komisarzy aljanckich powziętej, że względy ekonomiczne, które spowodowały Komisję do powzięcia swej uchwały dn. 25 września 1922, zachowały nadal całą swą wartość, że Komisja, wobec skrópowania jej kompetencji rezolucją Rady Ligi, nie może taką modyfikacją gra-

nicy, jaką jej zaleca Rada Ligi, zabezpieczyć interesów ludności pogranicznej w myśl artykułu II zasadniczej decyzji Konferencji Ambasadorów z dn. 28 lipca 1920 i że wobec tego Komisja proponuje ustalenie granicy jaworzyńskiej drogą protokołów, które zabezpieczą wszystkie interesy wchodzące w grę na tem terytorjum, a które będą stanowiły integralną część decyzji granicznej.

Uchwałę tą przesłała Konferencja Ambasadorów Radzie Ligi, dla sformułowania ostatecznego wniosku. Delegat polski przy Lidze Narodów p. Skirmunt nie skorzystał z faktu nieprzyjęcia przez siebie rezolucji grudniowej Rady Ligi i przystąpił do obrad, prowadzonych na tej zasadzie, której w grudniu nie przyjął. Widocznem się więc stawało, że korzystniejszego rozwiązania sprawy Jaworzyny, które umożliwiałoby nam stanowisko Komisji delimitacyjnej w swej uchwale z 11 lutego br. nie osiągniemy, conajwyżej uzyskamy zatwierdzenie samego wniosku Komisji co do protokołów.

Rada Ligi ostatecznie na wniosek Komisji delimitacyjnej się zgodziła, a Konferencja Ambasadorów poleciła Komisji delimitacyjnej sporządzenie protokołów. W myśl zlecenia Rady Ligi Narodów z dnia 12 marca br. i rezolucji konferencji Ambasadorów z dnia 26 marca br. Komisja delimitacyjna zwróciła się do delegacji polskiej i czechosłowackiej w Komisji delimitacyjnej z propozycją uzgodnienia projektu protokołów do 6 maja br., zapowiadając równocześnie, że o ile do tego dnia obie strony zgodnego projektu protokołów nie przedstawiają, do sporządzenia ich przystąpi Komisja delimitacyjna.

Wspólne obrady delegacji polskiej i czechosłowackiej, odbyte w pierwszej połowie maja br. w Krakowie, zakończyły się w dniu 6 maja zupełnem uzgodnieniem projektów protokołów.

Protokoły wprowadzają bardzo daleko idące dogodności gospodarcze i komunikacyjne dla ludności, mieszkającej w 15 km. pasie po obu stronach granicy na Spiszu. Ludność ta będzie mogła w owym 30 km. pasie poruszać się całkiem swobodnie, przechodzić granicę, przewozić bez cła narzędzia rolnicze, udawać się na zarobkowanie i sprządzać drzewo, wypędzać owce na pastwisko itd. Wystarczy do tego posiadanie legitymacji przez starostwo spisko-orawskie wydanej. W Jaworzynie pas ten rozszerzony jest do grzebienia górskiego (17 km.), Jurgowianie zaś będą mogli udawać się swobodnie do swych pól aż do Słowiańskiej Wsi (40 km.), a mieszkańcy Sromowiec Wyższych i Niższych na robotę do Osturni i Frankowej. Z takich samych ułatwień korzystać będą oczywiście także mieszkańcy w pasie granicznym czeskim, którzy są—pamiętać trzeba—takimi samymi Polakami jak i nasi Spiszacy.

Zabezpieczono ponadto w protokołach ochronę ryb w granicznej rzece Białce i Dunajcu (połów ryb dozwolony tylko na wędkę i siecie), oraz zapewniono użytkowanie siły wodnej Białki dla projektowanej polskiej kolei elektrycznej, która z N. Targu poprowadzona będzie do Podspadów, by tam uzyskać połączenie z kolejką czeską do Szmeksu. Zapewniono również budowę polskiej stacji klimatycznej w pasie pogranicznym.

Ogólne znaczenie mają udogodnienia komunikacyjne dla turystyki. Otóż droga: N. Targ—Jurgów—Łysa Polana i Frankowa—Kacwin—Stara wieś będą drogami bezcelnymi dla całego ruchu turystycznego.

Chłopi gmin spiskich otrzymają nadto swobodę wyjazdu na jarmarki do Kezmarku, Podolińca i Spiskiej Białej, a chłopi z pasa granicznego czeskiego prawo do jarmarków w N. Targu i Krościenku.

Wydawane będą 3-miesięczne legitymacje przez starostwo w N. Targu, upoważniające letników do zwiedzania całych Tatr i wszystkich zdrojowisk tatrzańskich czesko-

słowackich, nadto 6-dniowe legitymacje dla wycieczek i roczne dla członków Tow. Turystycznych (P. Tow. Tatr.).

Odnośnie do Pienin przewiduje protokół ułatwienia w przekraczaniu Dunajca, używania drogi na prawym brzegu rzeki, ułatwienia celne, przepustkowe, turystyczne, budowę mostów, sprawę rybołówstwa i t. d.

Dążeniem naszych pełnomocników pp. Goetla i Romaniszyna było uzyskać możliwe zupełne przywrócenie w praktyce jedności gospodarczej Jaworzyny, która jest podstawą utrzymania polskich wsi spiskich. Trzeba przyznać, że cel osiągnęli, a ponadto inne wspomniane wyżej korzyści, jak swobodę turystyczną, ochronę rybołówstwa i t. d. Zapewniono nawet prowadzenie gospodarki leśnej w Jaworzynie w takim stanie, by ludność zarobkująca nie poniosła uszczerbku.

Tekst projektu protokołów został przedłożony komisji delimitacyjnej celem dalszego przesłania ich przez tę komisję do aprobaty konferencji ambasadorów. Po powyższej aprobacie, której wobec osiągniętego porozumienia obu stron interesowanych, należy spodziewać się w niedługim czasie, prawdopodobnie w czerwcu protokoły stanowiąc będą integralną część decyzji konferencji ambasadorów, określającej granicę na Spiszu.

Długotrwały spór jaworzyński zostanie w ten sposób zlikwidowanym... Projekt przewiduje ponadto zawarcie w przyszłości dwóch umów szerszych, a mianowicie: 1) konwencji turystycznej dla całego górskiego pogranicza polsko czeskiego i 2) konwencji o parku narodowym w niektórych gniazdach Karpackich (Tatry, Babia Góra, Gorgany, Howerla).

Czy „sprawa Jaworzyny“ rectius „sprawa Polskich Tatr“ będzie w ten sposób na zawsze załatwiona?

W każdym razie my, którzyśmy śledzili z zapartym oddechem spór o Jaworzynę, musimy wyrazić najgłębszą wdzięczność majorowi Romaniszynowi i prof. Goetlowi, iż nigdy — nawet w najgorszych chwilach — nie opuszczali rąk. Uczynili wszystko, co było w ich mocy.

A. Ch.

Przyszłe drogi Pol. Tow. Tatrzańskiego.

[W czasie Zjazdu odbytego w lipcu roku zeszłego (1923) w Zakopanem z okazji 50-letniego jubileuszu Tow. Tatrzańskiego, na uroczystej Akademii uświetnionej obecnością Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, oprócz przemówień powitalnych i okolicznościowych, wygłoszono dwa referaty. W pierwszym z nich Prezes Towarzystwa inż. Czerwiński przedstawił dotychczasowe dzieje Towarzystwa i uczcił pamięć ludzi około niego zasłużonych, w drugim dr. Jan Gwalbert Pawlikowski, mówił o czekających je w przyszłości zadaniach. Treściwy rys dziejów Towarzystwa ułożony sposobem chronologicznego konceptu, podaliśmy na wstępie poprzedniego Rocznika Wierchów, zatem tu przemówienia Prezesa Czerwińskiego, obejmującego ten sam przedmiot powtarzać nie będziemy. Podajemy natomiast przewodnie myśli referatu dr. Pawlikowskiego].

U słupów milowych drogi, zwłaszcza na jej punktach zwrotnych mówił referent — wędrowiec ogląda się wstecz aby zmierzyć przestrzeń przebytą, ale spogląda też przed siebie dla obrania kierunku i przystosowania sił do czekających go zadań. Spojrzenie wstecz rzucił mówca poprzedni, mnie przypadło mówić o przyszłości. To zadanie „referenta przyszłości“ przypada mi już drugi raz w udziale, powierzono mi je bowiem również 10 lat temu, na obchodzie 40-lecia Towarzystwa w Krakowie. Prosta rzecz przeto, że zbierając myśli do dzisiejszego przemówienia, sięgnąłem do sprawozdań z owego obchodu, dla sprawdzenia czy postawione wtedy przezemnie wytyczne działań Towarzystwa, weszły

naprawdę w życie, czy postawione postulaty się ziściły, co z nich jest spełnione, co do spełnienia pozostaje, czemu może wreszcie, zaprzeczyło życie i co zmienionem być winno, a nakoniec czy i jakie wysunęły się nowe zadania i problemy. I oto, rozpatrując to ubiegłe 10-lecie, zdałem sobie jasno jak nigdy może sprawę z tego, jakąśmy drogę ogromną w tym krótkim przeciągu czasu przebyli. Czyż kto z nas, choćby najsilniej wierzący, wierzył inaczej, jak że dzieci jego lub wnuki albo prawnuki oglądać będą zmartwychwstałą Ojczyznę?! Któż z nas mógł się spodziewać, że już ten 50-letni jubileusz Towarzystwa obchodzić będziemy w obecności Pana Prezydenta niepodległej Rzeczypospolitej, (*Zgromadzeni powstają. Burzliwa owacja dla Pana Prezydenta*). — A fakt ten — ażeby powrócić tylko do zakresu interesów naszego Towarzystwa — ma wagę nieobliczalną i zmienia z gruntu całą dotychczasową podstawę naszego istnienia. Kiedy się mówi do rządu, mówi się dziś do ludzi, dla których tak samo jak dla nas, te góry są skarbem narodowym, — i góry te nie leżą już w „Galicii“, oddzielonej kordonami od innych ziem polskich, ale leżą po prostu w Polsce. I z tem też stoi w związku reforma Towarzystwa, mającego dziś swoje filjalne Oddziały po całej Rzeczypospolitej. Wszystkie więc poczynania nasze nieporównanie mocniejsze znalazły oparcie, ale też powinniśmy sobie w sumieniu naszym zdać sprawę z tego, jak bardzo wzrósł zakres naszych obowiązków. W świetle tego nowego położenia, rozpatrzmy tedy i odnośny nasz program z przed 10-ciu laty.

Zadania Towarzystwa Tatrzańskiego streściłem był wówczas w dwóch hasłach: ochrona Tatr i pomnożenie Tatr.

Ochrona Tatr była przed 10-ciu laty hasłem jeszcze całkiem nowem. O rok przedtem dopiero skiełkowało ono w formie Sekcji Ochrony Tatr. Zaczęto zdawać sobie sprawę, że okres uprzystępniania Tatr już minął, (inne góry polskie zostały w tym względzie jeszcze w tyle); — wypada jeszcze oczywiście nie tylko utrzymywać ale poprawiać schroniska, znaczyć, utrzymywać a nawet przeprowadzać nowe ścieżki itp., ale nie wolno zamieniać schronisk na hotele typu miejskiego, nie wolno ścieżek zamieniać na drogi, ani nadawać im typu ścieżek ogrodowych, nie wolno doprowadzać dróg jezdnych w głąb gór — nie wolno jednym słowem zacierać głównego uroku Tatr, ich charakteru pustyni. Zasadę sformułowano w ten sposób: Tatry, takie właśnie jak są, Tatry dzikie, są bezcennym klejnotem narodowym, który utrzymać trzeba w jego pierwotnej krasie; Towarzystwo Tatrzańskie jest jego stróżem; — dalsze udostępnianie winno się odbywać już tylko w formie polepszenia warunków pobytu u podnóża Tatr.

Walka o to hasło nie była łatwą, i w łonie samego Towarzystwa opinia była chwiejną — że przypomnę tylko zmianę stanowiska wobec projektu kolejki na Świnicę lub wobec projektu schroniska na ryglu Czarnego Stawu Gąsienicowego. Ale przeciw program Sekcji Ochrony w zasadniczych swoich liniach przyjęty już został za zasadę postępowania. — A sama zasada ochrony przyrody, która po raz pierwszy pojawiła się w Polsce w formie organizacyjnej właśnie w postaci Sekcji Ochrony Tatr, została już przez pierwszego ministra oświaty niepodległej Rzeczypospolitej, a gorliwego członka tejeż Sekcji p. sen. Ksawerego Praussa, wysunięta jako jedno z zadań Państwa. I tak powstała Państwowa Komisja Ochrony Przyrody, w której też i hasło ochrony Tatr znajduje obecnie silne oparcie.

Idealnem spełnieniem tego hasła jest nadanie Tatrom charakteru „parku narodowego“, tj. rezerwatu podlegającego ochronie prawnej. Myśl ta, wypowiedziana jeszcze nieśmiało przed 10-ciu laty, wchodzi dziś w sferę rzeczy możliwych, i jeśli nadzieje nie mylą

zbliża się ku realizacji. Państwowa Komisja Ochrony Przyrody, po szeregu badań wstępnych, wydała właśnie obecnie broszurę zawierającą już konkretnie ujęte, realne w tym kierunku propozycje. Oto olbrzymi krok naprzód a zarazem niewątpliwy owoc naszej niepodległości. Czuwanie nad urzeczywistnieniem myśli Tatrzańskiego parku narodowego jest w chwili obecnej naczelnym zadaniem Towarzystwa.

Drugą grupą zadań Tow. Tatrzańskiego ująłem był — jak powiedziano wyżej — w hasło pomnożenia Tatr. Hasło to pojętem było metaforycznie — jako pomnożenie wszelakich korzyści jakie z Tatr społeczeństwo odnieść może. Teraz jednak w nowych warunkach, błysnęła nadzieja że można je będzie pojąć także całkiem dosłownie. Mówią o tak zwanej sprawie jaworzyńskiej... Tow. Tatrzańskie spełniło ze swej strony zadania jakie na niem w tym względzie ciążyły; o wyniku jeszcze przesądzać nie można. Mówmy więc o pomnożeniu Tatr w tem tylko rozumieniu, w jakim mówiłem o tem przed laty 10-ciu.

Chodziło tu tedy najpierw o otworenie Tatr, dla jak najszerzych warstw społeczeństwa naszego. Czyż potrzebuję wskazywać na to, ile się w tym względzie od lat 10-ciu zmieniło? Znajdujemy się dziś raczej jakoby w położeniu owego czarownika, który zaklętych przez siebie duchów opanować nie zdołał. Tatry stały się za ciasne, — dusimy się poprostu od nadmiaru. A w dodatku ten nowy element przybywający w Tatry, nie jest najlepszej jakości. Z jego napływem dusi się i przygasa duch dawnego taternictwa; gromada naszych wróbli wypłasza szlachetne plectwo śpiewające... I tu właśnie otwierają się nowe zadania.

Pierwszem z nich jest otworenie rzeszom turystów oprócz Tatr, całego łańcucha gór polskich. To co się robiło tyle lat dla Zakopanego, należy robić dla wielu dziesiątek innych miejscowości podgórskich, — to co się robiło dla Tatr w postaci schronisk, ścieżek, map, przewodników — należy robić teraz dla Beskidu Zachodniego, Gorców i Karpat Wschodnich. Tu leży jeszcze niezmierzone pole działania, i to jest w najrzeczywistszem tego słowa znaczeniu, pomnożenie gór polskich. Ten sam materiał turystów, o którym wspominałem w znaczeniu ujemnem, a który teraz zapycha Zakopane nie dla Tatr, ale poprostu dlatego, że niema gdzie się podziać, materiał nie mający nic z typem taternika wspólnego, nieprzystosowany do gór wysokich i dzikich, w górach średnich znajduje się zupełnie na swoim miejscu.

Ale „pomnożenie Tatr“ nie polega na samej tylko ilości zwiedzających. Chodzi o to, aby ci zwiedzający umieli z nich rzeczywiście korzystać. To właśnie zależy od typu turystów, a u młodzieży od nadania kierunku. Ogromną wagę mają wycieczki młodzieży szkolnej — jednak w idei tylko a bynajmniej, jak dotąd, nie w praktyce. Tak samo jak się nie czyta z korzyścią wielkiego poematu, pytlując go jak najprędzej a w dodatku wtedy kiedy się raczej spać chce, tak samo nie zwiedza się Tatr, goniąc dzieciaki niewyspane po nocnej podróży, nie przyzwyczajone do trudów wysokogórskiej wycieczki, byle prędzej, („jak na Węgry po tabak“ — mówili o takich turystach przewodnicy starej daty), byle powiedzieć można że się tam było. Wielkie gromady zresztą nie nadają się wogóle do skupienia ducha, już grupa 10-ciu uczestników jest prawie za wielką. Dodajmy że kierownicy sami, źle przygotowani, niczego pokazać nie umieją. To co jest, to nie są wycieczki turystyczne, z pietyzmu dla piękna gór odbywane, to są hałaśliwe bandy snobów, którym chodzi o pochwalenie się tylko że Tatry widzieli a nadto, zostawiają te bandy po sobie zaśmiecienie, zniszczenie roślinności, istne pobojuwisko. Kto się chce o tem przekonać, niech pójdzie przypatrzeć się choćby tylko zбочom Doliny Białego. Wycieczki młodzieży młodszej i żeńskiej, a także wogóle wycieczki gromadne, należy kierować w góry

średnie, w Gorce, na Babią Górę, w Karpaty Wschodnie, — w Tatry prowadzić wolno tylko młodzież starszą, w grupkach nielicznych i pod kierownictwem doświadczonego i wytrawnego. — Wreszcie tak dla młodzieży jak dla starszych, aby mieli naprawdę widzieć na co patrzą, nie wystarczają bynajmniej przewodniki, tem mniej suche przewodniki dzisiejszego typu; trzeba postarać się o popularne broszury geologiczne, botaniczne, etnograficzne i i., a nadto wykorzystać umiejętnie zbiory Muzeum Tatrzańskiego przez wykłady i pokazy. Muzeum Tatrzańskie w dzisiejszej swojej organizacji nadaje się doskonale do takiej współpracy z Tow. Tatrzańskim. Przy współpracy tej Muzeum przyjmie nadto na siebie inne jeszcze zadanie, które od początku jest jednym z zadań Towarzystwa, a na które wskazywałem też z naciskiem przed 10-ciu laty, zadanie naukowego badania Tatr. Sekcja przyrodnicza i etnograficzna przedewszystkiem o Muzeum oprzeć się powinny. Muzeum spełniło już to, o czem dotąd marzyliśmy tylko, dało punkt zborny uczonym badaczom przybywającym w Tatry, otworzyło dla nich wreszcie pracownię, w których przynajmniej z grubsza zbiory swoje uporządkować i poklasyfikować mogą. I ten tedy od dawna wypowiedziany postulat, nie przez nas wprowadzie bezpośrednio, ale w naszej intencji przez bratnią instytucję spełniony został.

W związku z literaturą Tatrzańską mówiłem ongiś o tem że „Pamiętnik Tow. Tatrzańskiego“ w typie dotychczasowym — pomijając już to, że były lata, w których nie wiele ponad sprawozdanie i spis członków zawierał — wogóle nie jest wystarczającym. Proponowałem zamienić Pamiętnik w „Rocznik Tatrzański“, któryby nie przestając być organem urzędowym Towarzystwa, objął daleko szerszy zakres interesów i stał się organem centralnym dla wszystkich spraw i zainteresowań — naukowych, turystycznych, artystycznych, ekonomicznych etc., — z górami polskimi związanymi. Rocznik taki, prócz zalet wewnętrznych miałyby i tę zaletę materialną, której brakowało Pamiętnikowi, że byłby książką mającą pokup księgarski. Zresztą tylko ujęcie ogółu spraw z górami związanych spełnia owo zadanie kształcenia typu taternickiego, utrzymywania tradycji, wiązania ludzi z górami zapomocą węzłów licznych i rozmaitych. Postulat ten podjął jeden z Oddziałów Towarzystwa, Oddział Lwowski, wydając w tym roku pierwszy rocznik pisma pt. „Wierchy“. Poparcie ogółu miłujących góry pozwoli — miejmy nadzieję — pismu temu utrzymać się i rozwinąć.

Mówiąc o tem, że okres właściwego uprzystępniania Tatr już minął, zaznaczyłem, że w miejsce tego należy z całą energią podjąć zadanie, polepszenia warunków pobytu u ich podnóża. I oto w niepodległej Rzeczypospolitej doczekaliśmy się tak długo upragnionej ustawy uzdrowskiej, która mimo różnych braków i niedomagań, stanowi jednak duży krok naprzód, chodzi tylko o to aby nie pozostała na papierze i zamiast pożytku nie stała się nowym ziarnem demoralizacji społecznej, jakim jest każda ustawa niewykonywana. I tu nasze Towarzystwo może działać pożytecznie, domagając się wykonywania ustawy i korzystając z jej uprawnień. Byłaby też może teraz pora do wskrzeszenia myśli przed laty podjętej, ale naprawdę nigdy nie zrealizowanej, myśli utworzenia bądź sekcji, bądź pokrewnego towarzystwa „przyjaciół Zakopanego“. Towarzystwo takie mogłoby wyrabiać opinię, popierać nią usiłowania powołanych organów, dawać inicjatywę, wypowiadać krytykę. Nie zapoznaję trudności z tem połączonych, ale sądzę że nie są one decydującymi. — Przy tem wszystkim pamiętać należy, że dzisiaj zadanie uprzystępnienia gór naszych przez polepszenie warunków pobytu u wstępu do nich, nie może się ograniczać do Zakopanego a nawet do Podtatrza, ale musi być spełnione taksamo dla wszystkich innych gór polskich. Obok sprawy parku narodowego, to „pomnożenie Tatr“

przez otwarcie naprawdę wszystkich gór polskich dla turystyki, jest naczelnem na przyszłość zadaniem Towarzystwa.

W ostatnim roku organizacja Towarzystwa uległa zasadniczej reformie w duchu federacyjnym. Jestto duży postęp z podwójnego względu: raz dlatego, że jest to wyrazem zainteresowania się górami całej Polski, a przez to wzmocnione zostaną także siły Towarzystwa ku spełnieniu jego zadań, po drugie, że w ten sposób zamknięty został okres nieobliczalnych uchwał na całkiem przypadkowo złożonych walnych zgromadzeniach. Ale ta reforma kryje w sobie także i niebezpieczeństwo, trzeba tedy czuwać, aby rodziła same tylko słodkie owoce. Niebezpieczeństwo główne polega na braku jednolitości myśli i programu, gdyby władza centralna okazała się za słaba dla stworzenia prawdziwego ośrodka myśli i woli usiłowaniom wszystkich Oddziałów. Dawna i nienaruszalna zasada, że jeden tylko w Tatrach (i w ogóle w górach naszych) może być gospodarz, Towarzystwo Tatrzańskie, zostałoby przez samą organizację Towarzystwa obalone: w miejsce jednego byłoby kilkudziesięciu gospodarzy, i zapanowałaby anarchia bezplanowych poczynań, gorsza od zupełnej bezczynności. Ale wierzymy w zdrowie naszej instytucji a więc i w to, że nowy jej statut nie będzie źródłem upadku ale tylko źródłem nowego, coraz bujniejszego rozkwitu, ku dobru gór naszych i ku chwale Ojczyzny.

Turystyka polska a Zachodnie Beskidy ¹⁾.

I. Uwagi ogólne. Już pierwszy rok istnienia Rzeczypospolitej spowodował tak liczny napływ letników i turystów ze wszystkich stron Polski w okolice górskie, iż Zakopane i Tatry były przeludnione. Ten ruch olbrzymi i ta pogoń za pięknem górskiej przyrody są wymowną prognozą na najbliższą przyszłość.

Nie można w to wątpić, że ruch ten, po ustaleniu się stosunków politycznych i ekonomicznych państwa naszego, będzie się z roku na rok zwiększał, to też trzeba szukać dla niego wewnątrz kraju nowych przestrzeni, bo interes gospodarczy kraju będzie wymagał, aby nie skierował się on poza jego granice.

Wprawdzie nie tylko góry, ale każda pięćdziesiątka ziemi ojczyściej godną jest poznawania i umiłowania, przecież nie da się zaprzeczyć, że turystyka góraska zawsze będzie miała pierwszeństwo i największą liczbę zwolenników, a to dlatego, że z pośród cudów przyrody góry niezaprzeczenie wywierają na umysł człowieka najgłębsze wrażenie.

A ziemia polska ma gór bardzo mało. Choćbyśmy z walki z Czechami o część Tatr wyszli zwycięsko, to i tak gór nam będzie niedostawać. Wszak dawniej całe Tatry stały dla polskiego turysty otworem, a przecież poczynało mu tam być za ciasno. Cóż dopiero teraz, gdy państwo poczyna dochodzić do 30 milionów ludności?! Turystyka w ogólności, a górska w szczególności, wzrośnie do olbrzymich rozmiarów.

Przed Polskiem Tow. Tatrzańskiem otwiera się najszersze pole działania, czas wyżejających czynów, do przeprowadzenia których potrzeba mu będzie wielkich nakładów pieniężnych, wielu ludzi chętnych do pracy i — nowych górskich przestrzeni.

„Dawniej Tow. Tatrzańskie było w Zakopanem wszystkim. Dalszy rozwój Zakopanego usunął je w cień, ale przyjdzie czas, w którym towarzystwo wysunie się naprzód“—

¹⁾ Artykuł ten, który ukazał się był w jesieni ubiegłego roku w „Przeglądzie sportowym“, ze względu na jego niezwykłą wartość przedrukowujemy tu za zezwoleniem autora, który w nim obecnie porobił kilka drobnych zmian i poprawek. — Red.

pisze prof. J. Pawlikowski o zadaniach Tow. Tatrzańskiego w broszurze, która pozostanie zawsze świetną wytyczną jego działań na dalszą metę. Okres ten bezwątpienia teraz właśnie nadszedł. Szerzenie znajomości i uprzystępnienie nie tylko Tatr, ale i wszystkich innych gór polskich — oto najbliższe leżące zadanie Towarzystwa.

Sprawa uprzystępnienia i udogodnień we wszelkich górach wymaga jednak pewnych zastrzeżeń. Nie można bowiem dopuścić do tego, iżby nadmiar urządzeń i udogodnień turystycznych psuł i naruszał pierwotny gór charakter. Urządzenia te nie mogą przekraczać granicy rzeczy istotnie potrzebnych, charakterem do otoczenia dostosowanych, któreby zostawiając turyście i badaczowi jak najwięcej przestrzeni pierwotnych, chroniły go jednak od zbyt dużego ekspensu sił, znoszenia dzikich niewygód, niebezpieczeństw i uszczerbku na zdrowiu.

Urządzenia turystyczne są przykrą koniecznością, ale zarazem nieodzowną koniecznością, bo bez nich człowiek kulturalny musiałby się wyrzec rozkoszy zwiedzania i przebywania wśród pierwotnej i żywiołowej natury górskiej, albo musiałby stykać się z nią krótko, powierzchownie i w stanie przytępionej wrażliwości, spowodowanej nadmiernym wysiłkiem fizycznym.

Nasze góry nie są jeszcze pod tym względem „przekulturzone“, a nawet poza Tatrami i zachodnim skrawkiem Beskidu, są zgola jeszcze gospodarką turystyczną nietknięte, to też zamierzenia co do udogodnień dadzą się przeprowadzić dyskretnie, zgodnie z duchem czasu i poszanowaniem natury. Ten postulat zdoła Tow. Tatrzańskie pod jednym tylko warunkiem uskutecznić, a to, że jemu wyłącznie zostanie zapewnione prawo gospodarki w naszych górach. Działalność bowiem Tow. Tatrzańskiego nie ogranicza się — jakby z nazwy sądzić można — tylko do samych Tatr; już w pierwszych bowiem latach swego istnienia rozszerzyło ono i za pośrednictwem lokalnych Oddziałów na Beskid Wschodni, a następnie na Beskid Zachodni z Pieninami. Lecz czynności tych Oddziałów — prócz Czarnohorskiego — były z reguły sporadyczne i pozbawione stałej akcji; to ożywiały się one nieco, to popadały w zastój, to upadały zupełnie. To też zachodzi potrzeba, aby działalność tych Oddziałów wesprzeć i ze strony głównego Zarządu Towarzystwa technąć ducha inicyjatywy. Obecnie na terenie Beskidu Zachodniego gospodaruje 5 Oddziałów Tow. Tatr., a to „Beskid“ w Cieszynie, „Babiogórski“ w Żywcu, „Gorce“ w Nowym Targu, „Beskid“ w Nowym Sączu i „Pieniński“ w Krościenku, który z powodu nieczynności zlikwidował Walny Zjazd delegatów, a czynności jego przekazał Oddziałowi Krakowskiemu.

Prócz nich żywą działalność w górach śląskich i żywieckich rozwijał niemiecki „Beskiden Verein“.

Skromna działalność tych Oddziałów jest zupełnie zrozumiałą, gdy się zważy, iż mają one siedzibę w małych miastach, szczerpłą liczbę członków i brak działaczy. Ażeby temu zaradzić i z Beskidu Zachodniego uczynić dla turystyki polskiej nowy szeroki teren wędrówek górskich poza obszarem Tatr, powzięto Tow. Tatrzańskie myśl, aby do współdziałania z temi lokalnymi Oddziałami powołać swe nowopowstałe Oddziały po wielkich miastach Polskich, jak Warszawa, Poznań, Łódź (dla Lwowa, Lublina, Stanisławowa pozostanie Beskid Wschodni) i w ten sposób wesprzeć mniejsze Oddziały materialnie i moralnie.

Tylko w ten sposób, przez takie „rozparcelowanie“ Beskidów, da się uskutecznić zagospodarowanie tych wielkich przestrzeni górskich, na których znajdują pomieszczenie turystyczne rzesze całej Polski. Uprzystępnienie gór Beskidowych polega przedewszystkiem na budowie schronisk i wytyczaniu kolorowymi znakami ścieżek istniejących, bo budowa nowych ścieżek i ubezpieczenie ich jest tu poza małymi wyjątkami rzeczą zbę-

dną. Nad gospodarką atoli poszczególnych Oddziałów musi czuwać Zarząd główny Towarzystwa i działalność ich normować tak, aby ona nie uwzględniała tylko lokalnych potrzeb, lecz na całym górotworze łączyła się i uzupełniała w jeden harmonijny całości kształt, a to tak, iżby turysta Beskidowy latem, czy narciarz zimą, miał zasadniczą orientację głównych szlaków i w odległościach odpowiednich całodziennemu marszowi znalazł przytułek w schronisku.

Nowe przestrzenie dla polskiej turystyki górskiej otwierają się jedynie w Beskidach Wschodnich i Zachodnich. Z tych, ostatnie uważamy za teren wymagający bezwzględnej i energicznej działalności w kierunku uprzystępnienia i zagospodarowania, a to z wielu powodów.

Nasamprzód musimy pokrótce określić, co to jest Beskid Zachodni. Część Karpat, przypadająca na ziemię polskie, nosi nazwę Beskidów. Są one ostatnim od północy łańcuchem górotworu Karpackiego i dzielą się na Beskid Wschodni, Beskid Środkowy czyli Niski i Beskid Zachodni.

Beskid Wschodni jest etnograficznie ruskim, Beskid Środkowy jest raczej pogórzem, Beskid zaś Zachodni, mający około 200 km. długości a przeszło 3000 km.² powierzchni, ciągnie się od źródeł Odry i Beczwy na zachodzie, aż po przełęcz Tylicką (koło Krynicy) na wschodzie. Jest on jedynym i czysto polskim, tak po północnych jak i po południowych stokach przez Polaków zamieszkałym łańcuchem górskim, a dzieli się na następujące ważniejsze grupy: a) Beskid Śląski, b) grupa Pilszczańska i Beskid Polski w Żywieckiem, c) pasmo Babiogórskie, d) Gorce, e) Pieniny, f) Beskid Sandecki.

Temu to Beskidowi Zachodniemu przypadnie po Tatrach najgłówniejsza rola w polskiej turystyce górskiej, on to pomieści w sobie te coraz liczniejsze rzesze wszelakich turystów, zanim one naturalną rzeczą kolejną rozleją się dalej we wschodnim kierunku.

Beskid Zachodni należy do gór średniego typu; przeciętna wysokość jego szczytów dochodzi 1200 m. wysokości nad poziom morza, dwa szczyty zaś (Babia góra i Pilsko) mają charakter wysokogórski. Cechą krajobrazu Beskidowego jest łagodność form i ujmujący wdzięk szaty roślinnej. Kwitnie tu dość licznie koczownicze życie pasterskie na grzbietowych halach, rozpościerają się olbrzymie lasy po stokach i szczytach, życie ludu ma odrębne formyowości góralskiej, są ciekawe okazy zabytków przyrody, dowody pracy lodowców, liczne źródła mineralne — jednym słowem tak krajobrazowo, jak i naukowo są te góry ze wszechmiar godne poznania i badań.

Na ich wartości poznali się pierwsi obcy przybysze, niż ich prawni posiadacze. Niemiecki „Beskiden-Verein“ objął część tych gór aż po Podhale niejako w turystyczne posiadanie i wywierał tu silny wpływ germanizacyjny; popierany przez rząd austriacki i pruski wysokimi subwencjami, nie mniej też przez zarząd dóbr żywieckich (ten popierał i turystykę polską), a głównie cieszyńskich tak moralnie, jak i materialnie, poczynił ten Związek wzorowe urzędzie urzędzenia turystyczne, ale zarazem był on jednym ze znamion znanego „Drang nach Osten“. Szczególnie popierał on wycieczki szkół niemieckich ze Śląska austriackiego i pruskiego, udzielając im w swych schroniskach bezpłatnie noclegu i pożywienia, oraz wszczepiając w dzieci niemieckie przekonanie, że jest to goźdzen miłości kraj niemiecki.

Czy szowinistyczny Związek niemiecki wyrzeka się obecnie swych tendencji dotychczasowych, niema na to dowodu; na zapytanie Tow. Tatrańskiego, czy nie zechciałby przystąpić doń w charakterze samodzielnego oddziału, nie udzielił jeszcze Beskiden-Verein odpowiedzi. Jakikolwiek jednak sprawa ta weźmie obrót, to jest rzeczą pewną, że turyści niemieccy muszą się wyrzec tendencji politycznych i w polskich górach uważać

się za gości, nie za gospodarzy. W Alpach Niemcy są gospodarzami, my gośćmi: tu rzeźry mają się odwrotnie¹⁾.

Oprócz powyższego przemawia też za udostępnieniem Beskidów Zachodnich silny względ pedagogiczny. Zbiorowe wycieczki szkolne zdobyły sobie wszędzie uznanie jako ważny czynnik wychowawczy; i u nas też stają się coraz powszedniejszym zjawiskiem, szczególnie zaś — rzecz naturalna — cieszą się sympatją wycieczki górskie. Szkoły Rzeczypospolitej znajdują w Beskidzie dość miejsca dla siebie, znajdują dostateczne przestrzenie do wyładowania i zdobywania energii, byle im zapewnić odpowiednie pomieszczenie. Dotąd zdany tu był turysta na łaskę losu i sprytu i albo musiał schodzić na nocleg do chłopskiej stodoły, albo nocować pod drzewem, dość bowiem powiedzieć, że od Zawoi aż do Krynicy niema ani jednego schroniska, brakuje go nawet w sławnych Pieninach. Dziś w turystyce naszej daje się zauważyć pewien niezdrowy objaw, który można nazwać manją turystycznej wielkości; nikt nie chce być początkującym, uprawiającym się, a każdy od razu sławnym, bagatelizującym trudności turystą. Nie dziw, że tyle zdarza się nieszczęśliwych wypadków. Ludzie, pierwszy raz przybywający w Tatry, młodzież szkolna, nierozwinięta fizycznie, zaczyna turystykę bez planu, bez stopniowania i na pierwsze wyprawy obiera trudne, często niebezpieczne szczyty, placąc za tę lekkomyślność kalectwem, życiem, a w najlepszym razie przechodzącym siły i powstrzymującym rozwój fizyczny wysiłkiem. Nie trzeba też dodawać, że młodzieniaszek, który w 15-tym roku życia ma już najtrudniejsze i najpiękniejsze partje górskie za sobą, traci zainteresowanie i zarzuca sport turystyczny, któryby mu jeszcze na szereg lat powinien być źródłem radości, nauki i szlachetnych wzruszeń.

Temu niezdrowemu objawowi należy przeciwdziałać. Proszą do tego drogą jest właśnie skierowanie szkolnej i początkującej turystyki na bezpieczny i nie przesilający teren Beskidowy, a trudne partje niech przez pewien czas zostaną dla niej marzeniem, dostępnem dopiero po zdobyciu odpowiedniej wprawy i sił.

Lubo w Beskidzie niema do pokonywania miejsc trudnych i eksponowanych, to przecież są do przebywania duże przestrzenie i dlatego budowa szeregu schronisk, oddalonych od siebie o 10—12 godzin drogi pieszej, jest tu najważniejszym zadaniem. Kolejne wykonanie tego planu uczyni z Beskidu Zachodniego wspaniałą i długi szlak turystyczny prowadzący przez najciekawsze okolice, najważniejsze szczyty i prawie wszystkie zdrojo-wiska polskie, szlak, którego przebycie przyniesie możność spędzenia kilku, nawet kilkunastu dni, w samym ośrodku górskiej przyrody, zimową porą zaś umożliwi we wszystkich okolicach rozwój sportu narciarskiego i saneczkowego, które tu mają pozadzroszczenia godne tereny.

II. Plan zagospodarowania. W planie zagospodarowania Beskidów Zachodnich idziemy od zachodu ku wschodowi. Beskid Śląski wraz z okregiem bielsko-żywieckim posiadał za czasów austriackich 12 schronisk, z tych ośm, wspaniałe przeważnie urządzonych, było własnością Beskiden Verein'u, dwa prywatne, a dwa własnością Oddziałów Tow. Tatrzańkiego. Po zmianie granic politycznych z tych 12 schronisk zostało na obszarze państwa polskiego 6, a czeskiego też 6, a to 5 niemieckich i jedno polskie na Ropiszce, które wszakże spłonęło doszczętnie; zamierza go jednak odbudować polskie Tow. turystyczne, zawiązane wśród rodaków naszych, w Czechosłowacji pozostałych. Ze

¹⁾ Beskiden-Verein nadesłał sprostowanie, że nigdy nie był związkiem politycznym, lecz tylko sportowym; że jednak tak nie było, są na to dowody. Że w przyszłości tak będzie, mamy prawo się spodziewać i żądać.

stojących w Polsce 6 schronisk trzy są własnością Beskiden Vereinu, a to na Klimczoku i Magórcie, a jedno Babiogórskiego Oddziału Tow. Tatrzańkiego na Babiej Górze. W r. 1922 przybyło schronisko Cieszyńskiego Oddziału Tow. Tatrzańkiego na górze Stożek na Śląsku, ogółem więc jest w Polsce 7 schronisk na obszarze Beskidów Zachodnich“.

Z gór Księstwa Cieszyńskiego zaledwie wąski klin pozostał przy Polsce, to też teren działania tamtejszego „Beskidu“ został kolosalnie zacieśniony. Po klęsce pożaru zabrał się ten Oddział z uznania godną energią do czynu i w lipcu 1922 r. oddał do użytku polskich turystów nowe, okazałe i obszerne schronisko na granicznym szczycie Stożka (975 m.), między Jabłonkowem a wsią Wisłą położonego. W tem samym paśmie, o 2 i pół godziny drogi oddalone, stoi na szczycie Czantorji w obrębie Ustronia schronisko niemieckie, które zostało jednak na stronę czeską odcięte. Nowe schronisko na Stożku przynosi chlubę polskiej turystyce; jest to paradny i stylowy dom, mający dość miejsca na kilkadziesiąt oddzielnych łóżek, dwie duże sale restauracyjne z oszklonemi werandami, przepiękne położenie i nader malownicze widoki.

Beskid Śląski ma jeszcze miejsce, drogie sercu naszemu. Jest niem Barania Góra ze źródłami Wisły. Potrzeby schroniska nie trzeba tu nawet motywować; nie mówiąc o frekwencji ze stron dalszych, sami letnicy ze wsi Wisły, letnicy i mieszkańcy miast z powiatu bielskiego, żywieckiego, cieszyńskiego i z Górnego Śląska dostarczają turystów setkami. Że dotychczas nie było tu schroniska, a turystów wprost stąd brutalnie pędzono, powodem tego było to, że rewiry leśne Góry Baraniej stanowiły samknięty obszar myśliwski arcyksięcia z Cieszyna, który pod szczytem postawił sobie dość obszerną willę do tego celu. Dziś w zmienionych warunkach kwestja uprzystępnienia góry i źródeł Wisły dla polskich turystów jest dla Oddziału Cieszyńskiego sprawą najkrótszą i tanio wykonalną; arcyksiężęca willa myśliwska na „Przystopiu“ za zezwoleniem miarodajnych czynników może być bezzwłocznie na schronisko zmieniona. Po dokonaniu tego kwestja zagospodarowania Beskidu Śląskiego może być uważana za ukończoną. Oddział Śląski ma zamiar budować jeszcze nowe schronisko na Błotni w paśmie Wiślańskim. Sądzimy że to nowe zamierzenie nie jest sprawą pilną z powodu bliskości Klimczoka, natomiast urządzenie schroniska na Baraniej Górze jest rzeczą daleko pilniejszą i potrzebniejszą.

W południowo-zachodnim kącie powiatu żywieckiego stoi w rdzennym grzbiecie mało znana, z gołym szczytem, słynnym ze wspaniałego widoku, zwłaszcza na grupę Farty, góra Wielka Racza (1236 m.), otoczona wielu innymi ładnymi wierzchami, jak Rycerzowa, Jaworzyna, Menczoł. Obszary podszczytowe Raczy są wyborem miejscem do budowy schroniska, choćby w nieco odleglejszym czasokresie. Będzie to zapoczątkowanie ruchu turystycznego w południowym cyplu Żywieczyzny, który tu—rzecz dość dziwna—pomimo nadzwyczaj pięknych, a zgoła nieznanych partyj górskich, nawet ze strony niemieckiej prawie całkiem się nie rozwinął.

Po Babiej Górze największe wzniesienie w Beskidach Zach. ma Pilsko z Romanką i pomniejszych szczytami. Są tu wyborne tereny narciarskie i mnóstwo pięknych hal, na których panuje ożywione życie pasterskie. Sam szczyt Pilska ma charakter i florę wysokogórską, ruch turystyczny panuje tu dość znaczny, drogi wytyczone są przez niemiecki Związek, który też pod Romanką wystawił przed paru laty domek dla narciarzy (Ski-hütte), dziś nieistniejący, bo przy przewrocie politycznym przez górali zupełnie został niestety zdemolowany. Budowa schroniska na okazałym Pilsku była zarówno ze strony polskiej jak i niemieckiej postawiona, lecz zamiary unicestwił wybuch wojny.

Grupa Pilszczańska wraz z sąsiednią Babią Górą będzie po wybudowaniu kolei Oświęcim-Żywiec bardzo bliską górnośląskiemu i krakowskiemu zagłębiu węglowemu

i ściągać będzie stamtąd wielkie rzesze wędrowników, spragnionych zetknięcia z przyrodą i czystego powietrza, to też wybudowanie w najbliższym czasie obszernego schroniska na Pilsku jest rzeczą konieczną, a będzie niezawodnie i rentowną. Także i w przełomie Soły, w tak zwanym Beskidzie Polskim, po pewnym czasie też okaże się potrzeba jakiegoś turystycznego schronienia, a to w okolicy przełęczy Kocierskiej.

Po Tatrach najważniejszym ośrodkiem turystycznego ruchu jest B a b i a G ó r a. Ma ona już dość liczne uprzystępnienia, a to dwa schroniska i sieć dróg dobrze wyznaczonych. Jednak urządzenia te już obecnie okazują się niewystarczającymi.

Schronisko polskie Oddziału Babiogórskiego z Żywca stoi za nisko i za daleko od szczytu (przeszło 500 m. t. j. 1 i pół godziny drogi), a choć niedawno zostało rozszerzone przez dobudowanie izby jadalnej, to mimo to dla większych wycieczek zbiorowych okazuje się jeszcze zaszczupłem. Nadto okradzione dwukrotnie, cierpi na niedobór i ubóstwo urządzeń wewnętrznych. Dość skromny ten domek nadawałby się najlepiej do przeniesienia na pobliski szczyt P o l i c y, majestatyczna zaś godność Babiej Góry domagałaby się budowy okazałego, kamiennego schroniska o 200 m. wyżej, w ślicznym karze lodowcowym pod Kościólkami, z czem łączyć musiałaby się budowa nowej ścieżki wprost na szczyt z pominięciem okrężnego wyjścia przez Izdebczyska. Niemieckie schronisko jest typowym domkiem alpejskim, z kamienia, piętrowej wysokości, uposażonym dostatnio i odpowiadającym nowoczesnym wymaganiom. Stoi ono na stoku orawskim, w sferze turni, o 100 m. poniżej szczytu, jest zatem jedynym wysokogórskim schroniskiem szczytowym w Polsce. Dwa tego rodzaju schroniska na Babiej Górze nie byłyby zbytkiem, bo ruch turystyczny jest tu duży, a w stosunku do przedwojennego zwiększył się już trzykrotnie.

I nowych kilka ścieżek trzebaby wytyczyć po olbrzymim masywie tej góry i jej długich odgałęzieniach. A więc pierwszą łącznikową z Makowa do Zawoi, drugą przez Mądralową do stacji Hucisko, trzecią przez Policę do Osielca, a dalsze na stronę orawską. Długa wędrowka szczytami z Osielca ma coraz liczniejszych zwolenników, to też odzywały się głosy o jej wytyczeniu, bo turyści z reguły tu błądzą; wytyczenie tej drogi wymagać też będzie zbudowania ścieżki od przełęczy Krowiarki po wschodniej grani Babiej Góry aż do Sokolicy, bo ta część obecnie dzika i zarosła, nie jest prawie możliwa do przebycia.

To jest minimum czynności, jakich od polskiej turystyki domaga się „Królowa Beskidu“.

Dalsza ku wschodowi część Beskidu, to pod względem urządzeń turystycznych istna — tabula rasa.

Nieodzownej bezwzględnie i postanowionej już budowie schroniska w Goreach na Turbaczu przeszkodziła wojna. Gmina Waksmund darowała plac pod budowę, gmina Nowy Targ uchwaliła na rzecz budowy świadczenia, od których się pewnie nie cofnie, przynajmniej je zapewne zarząd dóbr Poręba i zarząd zdrojowy Rabki. Zawiązanie Oddziału „Gorce“ w Nowym Targu już się urzeczywistniło. Turbacz, najwspanialszy punkt widokowy na Tatry, idealny wprost teren narciarski, wprost woła o budowę przyzwoitego schroniska, latem i zimą dostępnego.

Przez niego też prowadzi droga szczytami z Rabki do Pienin i dalszych zdrojowisk. Można ją skierować przez Lubań nad Krościenkiem, albo też dołem na Czorzstyn, gdzieby wypadło też zrobić noclegowe przytułki.

Że w Pieninach niema gdzie dotychczas turysta głowy do snu ułożyć, to już jest wstydem dla polskiej turystyki. Nie do uwierzenia, a jednak prawdziwe. Przed kilkuna-

stu laty zdział tu Oddział Pieniński dość wiele, gdy atoli brakło głowy i ręki kierującej (Dr. Tałasiewicz) wszystko stanęło, co więcej — poszło w niwecz. Przytułek noclegowy w Sromowcach „szczury pozjadały“, tak zwane schroniska Sienkiewicza i Zyblikiewicza były tylko knajpkami, z promu, łodzi przewozowej i wszystkich urządzeń innych dziś ani śladu niema. Pieniny trzeba turystycznie urządzać na nówo, a że są niewielkie, można to w jednym lub dwóch sezonach wykonać, nad naglącą zaś potrzebą wzniesienia przyzwoitego schroniska na polanie Trzech Koron niema się potrzeby rozwodzić, w czym można liczyć na pewną pomoc ze strony właścicieli Krościenka i Szczawnicy.

Z Pienin z Szczawnicy prowadzi utarty już szlak przez Prehybę do Rytra w dolinie Popradu. Niezawodnie potrzebna budowa schroniska na połowie tej drogi, na Prehybie została już przez sandecki Oddział T. T. rozważoną i postanowioną. Wykonaniu postanowienia znów przeszkodziła wojna, a do podjęcia pracy był już zadatek pieniędzy, byli i ludzie chętni. Zmiana atoli warunków przekreśliła rachunki i bez wydatnej pomocy plan musiałby spełznąć na niczem. Bez tego schroniska zwiedzanie Pienin od strony Popradu o cały dzień się przedłuża, a i ruch turystyczny po sandeckich górach niema oparcia. Przy należytem poparciu finansowem, schroniska na Prehybie i na Turbaczu w przeciągu roku mogłyby stanąć do użytku.

Mimochodem wspominamy też, że na postawienie domku dla narciarzy sandeckich najwięcej nadaje się mało lesista kopa Eliaszówki nad Piwniczą.

Z doliny Popradu są wytyczone dwa szlaki górskie do Krynicy, jeden z Rytra, drugi z Żegiestowa, oba łączą się w jeden na górze Jaworzynie. I na tym szlaku zachodzi potrzeba budowy schroniska, co do swoich przedsięwzięć włączył Oddział Sandecki. Z natury rzeczy wypadłoby ono gdzieś w połowie drogi na Pisanej lub Łabowskiej Hali, w odludziu mało uczęszczanem. Pewne atoli względy, jak dostęp do Żegiestowa i Muszyny, liczna frekwencja letników z Krynicy, przemawiają zatem, że w tej grupie gór schronisko powinno stanąć pod szczytem Jaworzyny. Leży to też w interesie rządu, jako właściciela Krynicy.

Tak przedstawia się plan zagospodarowania turystycznego Zachodniego Beskidu, który społeczeństwu narzuci się jako konieczność, bo przyjść ono musi do przekonania, że samo Zakopane jako „płuco Polski“ nie wystarczy, gdyż tych organów oddechowych dla wielkiego organizmu narodowego więcej będzie potrzeba. Kilkanaście schronisk i liczne tego rodzaju udogodnienia w jednym pasmie górskim, to praca duża i kosztowna, ale nie niewykonalna, jeżeli rozłożona na lata. Domy turystyczne na Baraniej Górze, Pilsku, Turbaczu, Trzech Koronach, Prehybie i Jaworzynie są gwałtowną koniecznością, która w najbliższym czasie wykonaną być powinna.

Zarówno pod względem budowy schronisk, jak i pod względem znaczenia dróg, Beskid Zachodni musi być traktowany jako jedna całość, a gospodarka lokalnych Oddziałów powinna być do tego celu przystosowaną, harmonizowaną i wzajem się uzupełniającą. Coraz częściej staje się zjawiskiem, że turyści, wycieczki szkolne, harcerskie, nie poprzestają na zwiedzeniu jednej grupy górskiej, lecz przeciągają przez cały ten górotwór w jednej wielodniowej wędrówce. Zatem nie tylko rozmieszczenie schronisk, ale i znaczenie dróg powinno być tak regulowane, iżby turysta w oddaleniu jednodniowej drogi mógł natrafić na schroniska i noclegowe domy, a nadto iżby nie gubił się w labiryncie znaków, lecz mógł odróżnić szlaki główne, od bocznych i łącznikowych dróg. Gospodarka Oddziałów, chcąc zyskać miano racjonalnej, będzie musiała obok lokalnych uwzględniać w różnej mierze potrzeby ogólne. Jako zasadę znaczenia dróg przyjęło Tow. malowanie znaków kolorowych na tle białem, bo ten rodzaj — lubo wymagający wiele pracy i ko-

sztu, okazał się najpraktyczniejszym. Z kolorów tylko najwyrazistsze nadają się do używania, a to czerwony, żółty, niebieski, zielony i czarny, liczba ich zatem niewielka.

Ażeby tedy turysta mógł odróżnić, kiedy znajduje się na szlaku głównym, a kiedy ma do czynienia ze ścieżką boczną lub lokalną, należałoby to w sposób wyraźny uzmysłowić. Dotychczas posługiwano się przy tem umieszczeniem tablic orjentacyjnych, które jednak ulegają rychłemu zniszczeniu. Sądzę, że najprostszym sposobem wybrnięcia z tej trudności byłoby przeznaczenie jednego koloru n. p. czerwonego tylko dla szlaków głównych, albo znaczenie szlaków głównych podwójnym kolorowym paskiem np. czerwono-żółtym na tle białem, lub wreszcie — co byłoby najtańsze i najpraktyczniejsze — oznaczanie szlaków głównych kolorem czerwonym, ujętym w dwa paski białe, a bocznych dróg wszelkimi kolorami, lecz tylko z dodaniem jednego paska białego.

Jako główne szlaki szczytowe, w których znaczeniu sąsiadujące z sobą Oddziały mają utrzymywać porozumienie i łączność, uważamy w Beskidzie Zachodnim następujące:

a) z Ustronia przez Czantorję, Stożek, Baranią do Węgierskiej Górki (Milówki), stąd przez Prusów, Lipowską, Romankę, Pilsko, przełęcz Glinną, Głuchaczki, obie Babie, Policę do Osielca.

b) z Bielska przez Klimczok, Baranią, Sołowy, W. Raczę, Oszus, Pilsko, — gdzie łączyłyby się z poprzednim.

c) z Huciska przez Mądralową i Babią do Lipnicy na Orawie.

d) ze Suchej przez Kiczorę, Mądralową i Babią łącznie z poprzednią do Lipnicy.

e) z Policzy przez Żeleźnicę na Turbaczu.

f) z Rabki przez Turbaczu, Lubań, Krościenko, Dzwonkówkę, Prehybę, Rytro, Makowicę, Jaworzynę do Krynicy.

g) z Nowego Targu przez Turbaczu, Kudłoń, Jasień, Mogielnicę, Łopień do Tymbarku.

h) szlak Pieniński z Nowej Białej przez Hombarg, Niedzicę, Czorsztyn, Trzy Korony, Wysokie Skałki, Eljaszówkę — do Piwnicznej.

i) z Żegiestowa przez Pustą Wielką, Jaworzynę, do Krynicy (Muszyny).

Ewentualnie i tu dałoby się wykonać uproszczenie przez złączenie szlaków: a, e, f, (h), w jeden wspaniały szlak szczytowy, idący przez całe Beskidy Zachodnie, co byłoby dziełem, którem turystyka polska mogłaby się pochlubić.

Zapewne, że z projektowanymi urządzeniami będą musiały iść w parze i inne, a więc budowa domów wycieczkowych w ważniejszych centrach podgórskich, jak w Cieszynie lub Wiśle, Żywcu lub Jeleśni, Zawoi, Nowym Targu, Rabce, w Nowym Sączu i Krynicy, dalej budowa nowych linii kolejowych, lotnisk, sanatoriów i t. d.

Co do linii kolejowych, których budowa w planie ministerjalnym została postanowiona, ma Tow. Tatrzańskie nieco odmiennie zdanie i tak: 1) oświadcza się stanowczo za linią Kraków — Myślenice — Mszana, a nie Kłaj — Limanowa, gdyż ta pierwsza tylko dałaby tak pożądane zbliżenie Zakopanego do środka Polski. 2) w miejsce linii Nowy Targ — Roztoka, projektuje linię Zakopane (Poronin) — Łysa Polana i to elektryczną, nie parową, 3) w miejsce dwóch linii Nowy Targ — Krościenko i Stary Sącz — Krościenko z odnogą do Szczawnicy, projektuje jedną linię: Nowy Targ — Szczawnica — Piwniczna. Prócz powyższych koniecznie w górskich obszarach są jeszcze następujące linie: Ustroń — Istebna, Oświęcim — Żywiec, Maków — Zawoja, Jordanów (Chabówka) — Jabłonka — Czarny Dunajec, Tymbark — Łącko — Krościenko, Grybów — Krynica.

Chociażby częściowe tylko wykonanie tych linii przyczyni się wielce do organicznego powiązania naszych zabeskidowych prowincyj z resztą Polski, do uprzystępnienia wielkich obszarów Beskidu dla turystyki i do przemienienia całego szeregu miejscowości górskich w łatwo dostępne stacje klimatyczne i zdrojowiska. A do tego kwalifikuje się ich w tych górach całe mnóstwo, dość wspomnieć Wisłę, Jaworze, Szczyrk, Rajcę, Międzybrodzie, Zawoję, Lipnicę, Kowaniec, Lubomierz, Dobrą, Łącko, Czorsztyn, Głębokie, Łomnicę, Wysowę, pomijając dziesiątki innych.

Nowe drogi, linje kolejowe, wycieczkowe domy, schroniska szczytowe, wytyczenie szlaków — otworzą w Beskidach Zachodnich dla turystyki naszej cały skarbiec przepięknej przyrody górskiej i to nie tylko letnią, ale i zimową porą. Beskidy bowiem mają bez porównania dogodniejsze narciarskie i saneczkowe tereny, aniżeli Tatry. Brak punktów oparcia jest powodem, że tereny te nie mogły być wyzyskiwane, lecz gdy ten powód odpadnie, Beskidy w sportowym życiu zimowym Polski wybiją się na plan pierwszy. Pół roku trwające ośnieżenie, krótkie podejścia, a kilometrami ciągnące się spadki o najróżnorodniejszych nachyleniach, olśniewająco piękne krajobrazy — to są zimowe walory Beskidów pierwszorzędного znaczenia.

Spółczesność nasza nie docenia jeszcze wartości turystyki górskiej i nie dość rozumie, że urządzenie jej na sposób europejski nie tylko wstrzyma odpływ grosza naszego do obcych kieszeni, ale stanie się także obfitym źródłem kształcenia sił fizycznych, umysłowych i moralnych, oraz skarbnicą miłości ojczystego kraju. Pieniądz, wydany na te cele przez państwo i społeczeństwo, zwróci się nam stokrotnie w postaci podniesionej tężyzny młodych pokoleń.

Kazimierz Sosnowski.

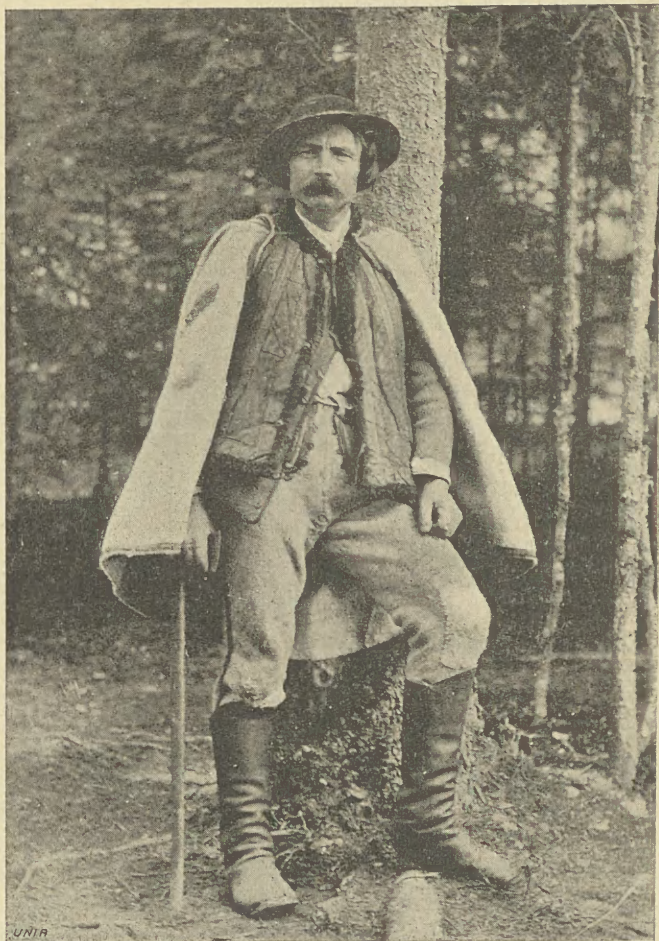
Wspomnienie o Wojciechu Roju.

Ostatniej zimy zmarł w Zakopanem w podeszłym wieku Wojciech Roj, postać dobrze znana i droga dawnym zwłaszcza bywalcom zakopiańskim i taternikom. Z młodszych znali go ci prawie tylko których ojcom niegdyś towarzyszył, których znał dziećmi i do których zawsze z ojcowską niemal życzliwością się odnosił. Ci oddawali mu też góralskim obyczajem uszanowanie, wołając „chrzestnym ojeem“. Inni — od lat już przeszło dziesiątka — znali go tylko jako pochylonego starego człowieka, wlokącego się o lasce na zboląłych upórczywym reumatyzmem nogach, lub przesiadującego na zwykłym swem miejscu w kościele, który niejedną fundacją przyozdobił, oddanego starej dewocyi. Poza nim był już wiek męski twardej pracy, śmierć zabrała mu drogą żonę i syna, przykrzył sobie w domu, mieszkał kolejno u któregoś z licznych swych dzieci, niewielu pozostałych starych znajomych odwiedzał, wspominając dawne czasy.

A stary ten, kaleki człowiek był człowiekiem zgoła niepospolitym. Gdyby nie był tylko zwyczajnym i zaledwie że piśmiennym gazdą zakopiańskim, ale gdyby mu było danem działać na szerokiej arenie, to z temi wrodzonymi zdolnościami i z temi zaletami charakteru, byłby należał niewątpliwie do ludzi całkiem wybitnych. Wincenty Pol zwykł był mawiać z zachwytem o zdolnościach polskiego chłopca: „daj chłopu polskiemu sto batów to ci i zegarek zrobi!“ Otóż ten konieczny warunek „stu batów“ stanowi ciemną stronę obrazu... Ale Wojciech Roj był właśnie tym polskim chłopcem do którego się ten wypadek nie stosował. Nie lubiał mitrzyć ani chwili, żadnej pracy się nie hańbił, i nie było chyba takiej, którejby — kiedy się jej raz przypatrzył — nie umiał zrobić doskonale. Kosa — to kosa, siekiera ciesielska — to siekiera, młot kowalski — to młot, —

nawet ślusarka i kilof górniczy nie były mu obce; — przewodnictwo — to przewodnictwo, służba — to służba, komenda — to komenda. A potem przyszły i zadania o wiele przerastające zakres zwykłego chłopskiego doświadczenia, a i tym dawał rady jakby się do nich urodził.

Byłem jeszcze dzieckiem kiedy go poznałem; było to około roku 1873. Już był wtedy człowiekiem żonatym i dzieciatym (bo tego statku nie brakowało mu od początku), ale wciąż jeszcze dopiero na dorobku. Wypadało gruntu dokupić — a zwłaszcza las, który wtedy (zdaje się z powodu jakichś regulacji serwitutowych) był do nabycia, nęcił niemało. Wojtek postawił przy domu kuźnię i dorabiał kowalką te „dutki“, których chudy owiesek nie dawał. W lecie, kiedy zjechało się tych trochę gości, którzy już „odkryli“ Zakopane, chadzał z nimi w góry, nie za przewodnika jeszcze ale za „sumara“*), dźwigając worek na plecach. A na zimę — odchodził na miesiące z domu do „bani“ w Miskolczu, kopać węgiel. Chodziło ich tam więcej, ale kiedy inni przepuszczali większą część zarobku na „palenkę“, on brał z domu worek mąki owsianej i żył bryją, niezawsze omaszczoną, aby przynieść dutki do domu i lasu dokupić. I tak pazardurami żelaznymi darł się w górę.



Wojciech Roj.

*) Sumarem nazywa się po góralsku osioł, a może wogóle juczne bydło; tak nazywali żartobliwie gązdowie tragarzy, noszących worki za turystami.

Niedługo potem pojawił się w Zakopanem Chałubiński — i odtąd życie Wojtka weszło na nowe tory. Wypadek ten był dla niego prawdziwym zrządzeniem Opatrzności. Chałubiński poznał się na nim i pokochał go. Wojtek stał mu się nieodstępnym towarzyszem. Bez Wojtka nie było gazdostwa w domu, nie było wycieczki. W zimie przywoływał go niekiedy do siebie, do Warszawy. Jedną zimę spędził tam Wojtek całą, ucząc się ślusarki w jakichś warsztatach. To przywiązanie prawdziwie ojcowskie, połączone z pewnym rodzajem dumy z odnalezienia tak modelowego chłopca polskiego, który wydawał mu się — i nie bez pewnej racji — idealnym reprezentantem przymiotów rasy, — odpłacał Wojtek wzruszającym przywiązaniem. Przywiązania tego nie zgasił czas, chował je wiernie do końca życia. Przy Chałubińskim Wojtek dorobił się, ale nie przez dobrodziejstwa tak często nierozsądne, które pomagając materialnie, psują ludzi moralnie; Rojowa gazdowska fortuna, której podwaliny dała służba przy Chałubińskim, była dorobkiem rzetelnie zapracowanym. — Ale służba przy Chałubińskim miała też inne znaczenie w życiu Wojciecha Roja: wyprowadziła go ona niejako z cienia na szeroką widownię. Nazwisko jego stało się znanem jako nazwisko przewodnika Chałubińskiego. Jest to w życiu Roja okres przewodnicki. (Z tego właśnie okresu pochodzi załączony tu jego portret). Chałubiński w opisach swoich wycieczek wstawił go jako przewodnika. A jednak w gruncie rzeczy przewodnikiem z zawodu i temperamentu Roj nie był. Był on z temperamentu gospodarzem. Pamiętam jak jeszcze praktykował jako przewodnik przy Macieju Sieczce i wcale jeszcze nie „wyzwolony“ zaczął służbę przy Chałubińskim. Właściwym przewodnikiem Chałubińskiego, z początku przynajmniej, był Szymek Tatar, którego z Rojem łączyła ścisła przyjaźń. Ale niesłychany spryt Roja wkrótce posiadał wszystkie tajemnice zawodu a osobiste przymioty zrobiły go przewodnikiem z wielu względów cenniejszym od towarzysza. Bo kiedy poważny i milczący Szymek szedł przodem, mało się oglądając na tych co za nim idą, Wojtek był organizatorem, duszą i komendantem wycieczki, gospodarzem zapasów, nieocenionym opiekunem słabszych. Gdy jednak trzeba było szczególnie jakiś taternicki rozwiązać problem, zdarzało się, że rozkładano obóz i posyłano do Zakopanego po Macieja Sieczkę. To był w przeciwstawieniu do Roja, przewodnik „z Bożej łaski“. Można by go przyrównać do artysty niepraktycznego w życiu i niezaradnego w domu, który rośnie dopiero przy swej sztuce. Maciej był jakby jakimś produktem turni. Nawet chodzić drogami dółskimi nieumiał. Pamiętam, jak nieraz, nie mogąc nam nadążyć na drodze, odgrażał się: „poczekajcie, ino się turni chyć!“ — i wtedy my drudzy niemogliśmy mu sprostać. Roj jeszcze jedną miał osobliwość dółskiego człowieka: w drugim dniu wycieczki, (znany, charakterystyczny objaw), przez parę godzin słabnął i mglilo go; podlegał t. zw. „chorobie górskiej“.

Po okresie Chałubińskiego, „okresie przewodnickim“, nastał dla Roja w jakiś czas później drugi okres, związany z innym słynnym imieniem, okres Witkiewiczowski. Z przewodnika Chałubińskiego został Roj „budarzem“ Stanisława Witkiewicza. I tak jak Chałubiński, tak samo wysoko, na tem tak odmiennym polu działania, cenił go Witkiewicz. Tak samo jak z okresem Chałubińskiego, tak też i z okresem Witkiewicza, imię Wojciecha Roja nierozłącznie zostało związane. Ten drugi okres to okres powstania i rozwoju „stylu zakopiańskiego“. Matlakowski styl ten odnalazł, Witkiewicz podniósł go do wysokości sztuki. Był on w stosunku do niego twórczym artystą, projektodawcą. Wykonawcą praktycznym był Roj. Bez Roja zawiodłaby była Witkiewicza praktyka. A przecież Roj nie był znowu zawodowym cieślą. Pracowali przy nim lub pod nim Maciej Gąsienica, pierwszorzędnym i słynnym cieślą, — Jasiek Obrochta, Potoczny i inni. On jednak niepospolitą swoją inteligencją, stawał się pośrednikiem między artystą a cieślą, organi-

zatorem, doradcą, kierownikiem budowy. Dzięki niemu powstały takie budowle, które stokrotnie przewyższały już nietylko techniką wykonania ale samymi wymiarami to z czym miewali do czynienia cieśle góralscy. W tym-to czasie — przy budowie domu „pod Jedłami“ na Koziońcu, w latach 1895 i in., zetknąłem się znowu bliżej z Rojem. I tu miałem sposobność podziwiać jego nadzwyczajne przymioty. Wszystko czego projektodawca Witkiewicz wymagał, lub co choćby dopiero zamyślił, Roj rozumiał i odgadywał w jednej chwili. Widział wszystko, rozumiał się na wszystkim, ręki własnej też umiał dołożyć gdzie trzeba było dać przykład. Było tak nietylko przy ciesielskiej robocie, ale i przy kopaniu dwudziestometrowej, głębokiej studni, plantowaniu terenu, wreszcie kupnie materiału, który trzeba było wyszukiwać dopiero i jeździć poń światami — niekiedy aż za nowy Targ. Zdolności organizatorskich i administracyjnych, precyzji i rzetelności wykonania, mogłaby mu pozazdrościć większość chyba dyplomowanych architektów. A przytem odczuwał piękność dzieła i był do niego silnie przywiązany. Lata biegly — a Roj troszczył się wciąż o dom zbudowany swą współpracą, oglądał zlegi, zarządzał szkolem, dbał jak o własne. I niewiem co bardziej — czy przyjaźń do mnie i mej rodziny, czy troska o dom — przyprowadzały go na Koziniec, nawet i wtedy kiedy już na kalekich nogach na schody wyjść było mu trudno... A teraz — wiem — że nieraz zdawać mi się będzie, że go widzę żywym na ławce przyłapu lub obchodzącego dom, czy niema chyby lub braku, niby duch opiekuńczy...

Z dwoma niepospolitymi ludźmi, z Chałubińskim i Witkiewiczem i z klasyczną epoką Zakopanego, związane jest imię Wojeiecha Roja nierozdzielnie. Minęły się te czasy — i minęli się — na zawsze — tacy ludzie.

Jan Gw. Pawlikowski.

BADANIA NAUKOWE.

Botaniczne prace naukowe dotyczące gór polskich wykonane i opublikowane w ostatnich latach (1919—1924). — W ostatnich latach ukazało się szereg prac i przyczynków naukowych dotyczących Tatr, Karpat zachodnich i Karpat Stryjskich.

W wydawnictwach warszawskiego Towarzystwa Naukowego ukazały się 2 bogato ilustrowane zeszyty obrazów roślinności Polski, poświęcone Tatrom, pióra K. Steckiego (12). Wydawnictwo obejmuje 20 pięknych, opatrzonych wyczerpującymi objaśnieniami fotografii, przedstawiających najcharakterystyczniejsze rośliny regli tatrzańskich. Zeszyt 1-szy zawiera wstęp zaznamiający czytelnika z ogólnym charakterem flory tatrzańskiej oraz opisy i obrazy drzew i krzewów reglowych. Zeszyt 2-gi obejmuje rośliny zielne. W przyszłości mają się ukazać dalsze zeszyty ilustrujące w podobny sposób wysokogórską roślinność Tatr.

Krokus tatrzański doczekał się dwu prac. Jedna jest rezultatem badań nad zmiennością kwiatów tej rośliny (10), druga przynosi bardzo ciekawe wiadomości o znaczeniu nawożenia hal i łąk tatrzańskich (t. zw. koszarze-

nia) dla rozpowszechnienia się dzisiejszego tej rośliny.

Szereg wiadomości o nowych znalezieniach florystycznych zawierają prace Steckiego, Pawłowskiego, Wróblewskiego, Kuleszy i Motyki (3, 4, 7, 8, 13, 14).

B. Namysłowski opublikował rezultaty swych badań nad mikroflorą źródeł, szczaw i cieplic tatrzańskich i karpaccich (6), a J. Wołoszyńska opisała szereg nowych gatunków glonów odkrytych w jeziorach tatrzańskich (2).

Znaczny postęp w poznaniu szaty roślinnej Tatr oznacza ukazanie się pracy o zespołach roślinnych doliny Chochołowskiej w Tatrach (11), zawierające charakterystykę tamtejszych skupień roślinnych oraz mapę geobotaniczną doliny.

Karpaty Sądeckie zyskały w pracy B. Pawłowskiego wyczerpującą monografię florystyczną (9), która poza mnóstwem wiadomości dotyczących rozmieszczenia poziomego i pionowego roślin w tej części Karpat przynosi ciekawe wiadomości o znaczeniu przełomu Dunajca i Popradu dla wędrowek roślinnych z południa w głąb Karpat. Na uwagę zasługuje także mała praca tegoż autora o florze

lasu lipowego w Muszynie, zawierająca dokładny opis tego niezwykłego i rzadkiego już w Europie typu leśnego (5).

Wreszcie S. Wierdak opisał dokładnie stanowiska nadzwyczaj rzadkiego gatunku bzu, występującego w kilku punktach Karpat Stryjskich.

1. Stecki K. — Uwagi o występowaniu szafranu tatrzańskiego. — Kosmos 1918/19 XLIII/IV.

2. Wołoszyńska J. — Glony stawów i młak tatrzańskich I. — Rozpr. Akad. Um. LVIII. 1918/19.

3. Kulesza W. — Wyniki rewizji zielnika wątrobowców w zbiorach Komisji Fizjograficznej Akad. Um. w Krakowie. — Spraw. Kom. Fizj. LIII/IV, 1920.

4. Wróblewski A. — Grzyby zbiorów J. Krupy. — Spraw. Kom. Fizj. Akad. Um. LIII/IV, 1920.

5. Pawłowski B. — Las lipowy w dolinie Popradu. — Ochrona przyrody II, 1921.

6. Namysłowski B. — Mikroflora źródeł podregłowych. — Kosmos XLVIII, 1922.

Stecki K. — *Linnaea borealis* L. w Pol-

sce oraz nowe stanowiska kilku roślin tatrzańskich, — tamże.

8. Wróblewski A. — Grzyby zbioru J. Krupy z okolic Lwowa, Buczacza, Skolego i Tatr. — Kosmos XLIII, 1922.

9. B. Pawłowski. — Die geobotanischen Verhältnisse der Karpathen in der Umgebung von N. Sącz. — Bull. d. Acad. d. Scienc. Crocovie 1921.

10. Stecki K. — Zmienność kwiatu szafranu tatrzańskiego. — Rozpr. Akad. Um. LXI. 1921.

11. Szafer W., Pawłowski B., Kuleczycki S. — Pflanzenassoziationen der Tatra I. — Bull. d. Acad. d. Scienc. Cracovie 1923.

12. Obrazy roślinności Polski. K. Stecki. Tatrzy. — Warszawa 1923.

13. Pawłowski B. — Zapiski florystyczne z Tatr. — Acta Soc. Botan. Pol. I. 1923.

14. Motyka J. — Studja nad florą porostów tatrzańskich. — Acta Soc. Bot. Pol. II. 1924.

15. Wierdak S. — Bez Joziki w Karpatach nad górnym Stryjem. — Tamże.

S. K.

POLSKIE TOW. TATRZAŃSKIE.

Zarząd Główny P. T. T. (Od 20 IV. 1923 do 31. III. 1924). Przebudowa Tow. dokonana w r. 1922 i pierwszych miesiącach r. 1923 a opierająca organizację jego na oddziałach lokalnych z szerokim samorządem, skierowała Tow. na nowe drogi rozwoju, którego radosnym objawem jest mnożenie się oddziałów. Gdy bowiem na Walnym Zjeździe Delegatów 22. IV. 1923 reprezentowanych było 12 oddziałów a mianowicie: krakowski, warszawski, lwowski, poznański, kołomyjski (czarnohorski), żywiecki (babiogórski), nowosądecki (Beskid), zakopiański, nowotarski (Gorce), cieszyński (Beskid śląski), kielecki i łódzki, to w dniu 31. III. 1924 istnieje oddziałów 16, przybyły więc: stanisławowski, pieniński w Krościenku, jarosławski i wileński. Nadto organizuje się oddział górnośląski w Katowicach a przedstawiciele jego wezmą udział już w najbliższym Zjeździe Delegatów. Można też mieć uzasadnioną nadzieję, że w niedługim czasie powstanie oddział w Lublinie. Czynne są również sekcje P. T. T.: sekcja turystyczna, narciarska, przyrodnicza i ochrony Tatr, którym Zarząd Główny na podstawie uchwały Walnego Zjazdu udzielił mandatów, powierzając Sekcji Narciarskiej opiekę nad narciarstwem i sportami zimowymi, Sekcji Turystycznej opiekę nad turystyką górską i przewodnictwem, Sekcji Przyrodni-

czej badanie naukowe Tatr, grot i opiekę nad alpinarjum, wreszcie Sekcji Ochrony Tatr opiekę nad przyszłymi rezerwatami w Tatrach i Karpatach.

Główne sprawy, którym P. T. T. poświęcało swą pracę były: sprawy organizacyjne, pięćdziesięcioletni jubileusz P. T. T., sprawa Jaworzyny, schroniska i roboty w górach, ruch turystyczny i sportowy i przewodnictwo, sprawa udogodnień turystycznych, ochrona przyrody, cele naukowe, sprawa własnego wydawnictwa i sprawy finansowe.

1. Sprawy organizacyjne. Walny Zjazd Delegatów zwołany po raz pierwszy na podstawie nowego statutu odbył się w Krakowie 23. kwietnia 1924 r. wobec licznych gości; liczba Delegatów reprezentowanych na nim wynosiła 12 z 48 głosami, nadto reprezentowane były 4 wyżej wymienione sekcje, którym przyznano na Zjeździe po 1 głosie.

Prezesem P. T. T. wybrał Zjazd inżyniera Jana Waclawa Czerwińskiego (Kraków); wiceprezesami: Stanisława Osieckiego (Warszawa), Dra Walerego Goetla (Kraków), Dra Adolfa Chybińskiego (Lwów). Członkami Zarządu Głównego wybrani: Karol Buzek (Cieszyn), Ludwik Grünh (Kielce), Dr. Ferdynand Goetel, Dr. Adam Lardemer, Dr. Jan Nowicki, Stanisław Porębski, Stefan Porębski, Prof. Kazimierz Sosnowski, Dr. Władysław Szafer

(Kraków), Dr. Roman Kordys (Lwów), Dr. Tadeusz Smoluchowski (Poznań), Inż. Jan Jaroszyński, Dr. Mieczysław Orłowicz (Warszawa), Karol Stryjeński, Dr. Mieczysław Świerż (Zakopane).

Zastępcami wybrani: Mieczysław Białkowski, dyr. Józef Dorawski, dyr. Tadeusz Dropiowski, inż. Stanisław Krawczyk, Dr. Włodzimierz Łaba i prof. Franciszek Sykutowski.

Zarząd ukonstytuował się na posiedzeniu 2. maja 1923, wybierając sekretarzem Dra Ferdynanda Goetla, zastępcą sekretarza prof. Franciszka Sykutowskiego, skarbnikiem Stanisława Porębskiego, zastępcą skarbnika dyr. Dorawskiego.

Do Komisji dla robót w górach weszli: Białkowski, Dropiowski, W. Goetel, Grünh, Łaba, Nowicki, Orłowicz, Stefan Porębski, Sosnowski, Stryjeński, Sykutowski i Stanisław Sokołowski, jako delegat Sekcji Ochrony Tatr. Do komisji administracyjno-skarbowej: Grünh, Dorawski, Lardemer, Łaba, Nowicki, Stanisław Porębski.

Do Komisji wydawniczo-redakcyjnej: Chybiński, Dropiowski, Ferdynand Goetel, Walery Goetel, Kordys, Orłowicz, Sosnowski, Świerż, kooptowany Dr. Szajnocha.

Delegatem do Wydziału Szkoły przemysłu drzewnego w Zakopanem wybrany Dr. Świerż.

Delegatem do Krajowego Związku Turystycznego Dr. Nowicki.

Delegatem do Tymczasowej Komisji Uzdrawiskowej w Zakopanem Dr. Karol Morawski.

Ciężar prac spoczywał na Wydziale Wykonawczym, w skład którego wchodził członkowie Zarz. Gł. zamieszkałi w Krakowie. Zebrania Z. G. odbywały się stosunkowo rzadko; było ich w okresie sprawozdawczym trzy, natomiast Wydział Wyk. odbywał swe zebrania przeciętnie co miesiąc i odbył posiedzeń 11.

Na Walnym Zjeździe ustalono główne podstawy organizacyjne Tow. w myśl nowego statutu a mianowicie podział terytorjalny całego obszaru Rzeczypospolitej na okręgi, stanowiące zakres działania oddziałów. Ten podział terytorjalny ulega stopniowej zmianie w miarę powstawania nowych oddziałów; jest to naturalny wynik rozwoju Tow. Nowością w rozwoju Tow. jest utworzenie przez Oddział lwowski, kołomyjski i stanisławowski komisji międzyoddziałowej, której zadaniem jest porozumiewanie się we wspólnych sprawach i ujednostajnienie kierunku ich prac w Karpatach wschodnich; jest to objaw, któremu można z radością przyklasnąć.

Zarząd Główny na posiedzeniach swych zajmował się ustaleniem i zatwierdzeniem statutów poszczególnych oddziałów; referat tych spraw opracowywał Dr. Lardemer.

Ponieważ zasada, że członek nie mieszkający w siedzibie oddziału ma prawo wyboru oddziału, do którego chce należeć, okazała się w praktyce niedogodną, uregulowano sprawę w ten sposób, iż członek zapisujący się w Zakopanem lub w centralnym biurze w Krakowie do oddziału poza terytorjum swego zamieszkania, otrzymuje przyjęcie prowizoryczne na trzy miesiące i musi wnieść pisemne zgłoszenie do Zarządu oddziału, którego członkiem może zostać po ostatecznym przyjęciu.

2. Jubileusz pięćdziesięcioletni P. T. T. W r. 1923 upłynęło lat 50 od założenia Tow. i Zarząd Główny uważał za swój obowiązek urządzić obchód jubileuszowy w sezonie letnim w Zakopanem, pragnąc przytem rozwinąć szeroką propagandę celem spopularyzowania P. T. T. i pozyskania nowych członków. Na posiedzeniu Wydz. Wyk. 13 VI. wybrano obszerną komisję obchodową, która w porozumieniu z Zarządem Oddziału zakopiańskiego opracowała program uroczystości i wprowadziła go w życie. Obchód nabrał szczególnej świetności dzięki udziałowi Pana Prezydenta Rzeczypospolitej Stanisława Wojciechowskiego, który zaszczycił swą obecnością akademię jubileuszową urządzoną w dniu 5. sierpnia 1923 w sali hotelu „Morskie Oko“ w Zakopanem, wieczór w salach Tow. Czerwonego Krzyża, urządzony staraniem Gminy zakopiańskiej, tudzież raczył wziąć udział ze swą swiutą w wycieczce urządzonej przez Komitet jubileuszowy P. T. T. do Morskiego Oka automobilami i w objędyje wydanym w schronisku tamtejszem na Jego cześć. P. T. T. uważa udział Pana Prezydenta w obchodzie za szczególną nagrodę swojej długoletniej działalności na terenie gór i za szczęśliwą zapowiedź dalszego świetnego rozwoju w wolnej Ojczyźnie. Staraniem Oddziału zakopiańskiego urządzono w dniu 6. sierpnia wieczornicę gólańską z tańcami na stokach Antołówki, przy ogniskach, która zgromadziła tłumy ludzi a którą również zaszczycił swą obecnością Pan Prezydent; również odczyt z przeżościami Dra Świerża „Działalność P. T. T. w obrazach świetlnych“ powtórzono specjalnie dla Pana Prezydenta i Jego swity. W następnych dniach urządzono szereg wycieczek zbiorowych w góry, między innymi Sekcja Turystyczna urządziła kurs dwudniowy użycia liny i wspinania się po skałach, zakończony wycieczką instrukcyjną na trudną południową

grań Kościelca. Uświetnieniem jubileuszu było wydanie przez Oddział lwowski P. T. T. pierwszego rocznika „Wierchów“, w którym pomieszczono na wstępie sprawozdanie z działalności P. T. T. za okres pięćdziesięcioletni. Dzień zbiórki urządzony w dniu 5. sierpnia zapewnił w znacznej części środki finansowe. Uświetnili obchód swą obecnością delegaci Tow. Karpackiego z tamtej strony Tatr i delegaci węgierscy, którzy przemawiali na uroczystej akademii, składając P. T. T. życzenia imieniem swych Towarzystw turystycznych.

3. Sprawa Jaworzyny. Sprawie tej o pierwszorzędnej doniosłości, jako walce o przynależność polskich Tatr Wysokich do Polski, poświęcał Zarząd Gł. i Wydz. Wyk. pilną uwagę we wszystkich zmiennych jej fazach. Dziś — niestety — sprawa jest dla nas na terenie międzynarodowym przegrana. P. T. T., które podjęło inicjatywę do walki o polską Orawę, polski Spisz i Tatry i służyło społeczeństwu wszystkimi swymi siłami i środkami do prowadzenia tej walki, stwierdza to z wielkim bólem.

W roku sprawozdawczym rozegrały się ostatnie fazy sprawy jaworzyńskiej; losy jej znane są dostatecznie ze sprawozdań dziennikarskich i nie tu miejsce na wyczerpujące oświetlenie całego przebiegu sprawy i przyczyn naszej klęski. Po zakończeniu walki na terenie międzynarodowym znajdzie się zapewne pióro, które przedstawi szczegółowo cały jej przebieg. Rozważaniu tej sprawy poświęcano czas na różnych posiedzeniach Wydz. Wyk. a w szczególności na posiedzeniu z dnia 31. stycznia 1924 uchwalono wydać odezwę w tej sprawie do społeczeństwa, Sejmu i Rządu wspólnie ze związkami Podhalan, z Towarzystwem kresów południowych i Towarzystwem krajoznawczym. Odezwę wydrukowano w dziennikach a wzywano w niej do wyczerpania sił w walce o Jaworzynę, gdy szczególnie u Rządu widoczna była chwiejność i osłabienie nacisku w tych zapasach.

Osobne posiedzenie poświęcono Jaworzynie 27. lutego 1924, na którym wysłuchano sprawozdania majora Romaniszyna i Dra W. Goetla, jako delegatów do Komisji delimitacyjnej. Uchwała tej Komisji w Bernie morawskim była dla nas korzystną, bo orzekła, iż nie można uczynić zadość słusznym żądaniom ekonomicznym ludności polskiego Spisza inaczej, jak przez utrzymanie poprzednio zaprojektowanej granicy wzdłuż głównego grzbietu Tatr Wysokich; niestety, nasze Ministerstwo Spraw Zagranicznych już przedtem dało za wygraną. Wydział Wyk. powziął na tem posiedzeniu uchwałę, aby wystoso-

wać memoriał do M. S. Z. wskazujący na niezgodność stanowiska Ministerstwa z opinią szerokich kół społeczeństwa. Memoriał pozostał bez odpowiedzi. W pierwszych dniach marca Rada Ligi narodów wbrew zasadom etnograficznym, ekonomicznym i geograficznym przyznała Jaworzynę politycznie Czechom, pozbawiając nas zarazem tych bezcennych idealnych wartości, jakie przedstawiają dla nas Tatry Wysokie. Dla uwzględnienia naszych interesów ekonomicznych mają być włączone do ostatecznego rozstrzygnięcia Rady Ambasadorów protokoły o charakterze międzynarodowym wedle wniosków Komisji delimitacyjnej, która je powyższe na posiedzeniu w dniu 11. kwietnia w Krakowie. W dniu 30. marca na posiedzeniu Zarządu Głównego P. T. T. po referacie Majora Romaniszyna i Dra Orłowicza uchwalił Zarząd wytyczne dla takich wniosków z naszej strony a mianowicie:

1) Włączenie Jaworzyny do obszaru celnego Polski; 2) swobodę ruchów na terenie Jaworzyny dla naszej ludności pogranicznej i swobodne korzystanie w dotychczasowych rozmiarach z lasów, pastwisk i zarobków, tudzież swobodę ruchu turystycznego; 3) prawo zakładania lotnisk i budowania schronisk na terenie Jaworzyny dla towarzystw i spółek polskich.

Na tem posiedzeniu też wybrano Komisję złożoną z Dra W. Goetla, dyr. Dropiowskiego i prof. Sosnowskiego celem opracowania materiałów do ewentualnej przyszłej konwencji o ruchu pogranicznym i turystycznym wzdłuż całego pogranicza polsko-czeskiego; zarazem jednak uchwalono jednomyślnie na najbliższym Walnym Zjeździe Delegatów P. T. T. wnieść uroczysty protest przeciw niesprawiedliwemu rozstrzygnięciu Jaworzyny, uznając, że żadne wyroki międzynarodowe nie mogą przekreślić praw naszych do tych ziem tak wybitnie polskich.

Nie możemy pominąć w sprawozdaniu naszym pewnych rzeczy, które dały powód do nieporozumień w społeczeństwie i prasie a nawet w łonie samego Tow. a nie były dotychczas dostatecznie wyjaśnione; nieporozumienia te zaś osłabiły nasz front na zewnątrz w walce o nasze prawa. Chodzi tu o sprawę rzekomej rekompensaty, o oddanie Kacwina i Niedzicy za Jaworzynę. Naszym delegatom w Komisji delimitacyjnej zarzucano, że zaproponowali zamianę dwu ludnych wsi polskich za „skaliste pustkowia“ jaworzyńskie. Należy to sprostować. Wniosek o przyznanie tych dwu wsi Czechom wyszedł od delegatów państw sprzymierzonych w Ko-

misji del. przy oględzinach lokalnych, dokonanych na granicy od Rysów do Niedzicy. Delegaci koalicyjni wzięli przy ustalaniu projektu pod uwagę względy ekonomiczne (etnograficzne nie odgrywały żadnej roli) i stwierdzili, że te same powody, które przemawiają za oddaniem Polsce Jaworzyny, przemawiają również za połączeniem Kacwina i Niedzicy z resztą Spisza zostającego pod okupacją czeską, przyczem nie małą rolę odegrały natarczywe życzenia samej ludności nieświadomiej narodowo. Te dwa „odcinki” traktowane były do pewnego stopnia niezależnie od siebie; nie można więc czynić zarzutów co do rekompensaty naszym delegatom a pośrednio P. T. T.

4. Schroniska i roboty w górach. Popieranie i ułatwianie turystyki górskiej stało się w ostatnich latach siłą faktu jednym z najważniejszych zadań Tow., po odzyskaniu bowiem niepodległości wielkie rzesze turystów z całej Polski skierowały swe kroki ku Tatrom i Karpatom. Towarzystwo stanęło wobec trudnego zadania, gdyż istniejące urządzenia i schroniska nie mogą wystarczyć dla wzmózonego ruchu turystycznego szczególnie w sezonie letnim. Także wzrost sportu narciarskiego i turystyki zimowej nastęrczył Towarzystwu daleko idące wymagania w zakresie schronisk zimowych i znaczenia dróg narciarskich. Natomiast w czasie wojny schroniska P. T. T. i jego oddziałów, tudzież slaki górskie i znaki turystyczne uległy częściowemu lub całkowitemu zniszczeniu, tak, że z nastaniem normalniejszych stosunków Tow. musiało przystąpić do planowego odnowienia i uruchomienia istniejących schronisk i do odbudowy nowych tembardziej, że i przed wojną w tym dziale zarówno w Tatrach a jeszcze więcej w Karpatach dawały się odczuwać wielkie braki. Na Zjeździe Delegatów w r. 1923 przedstawiła Komisja do robót w górach imieniem Zarz. Głównego szeroki plan tych robót z uwzględnieniem ich kolejności a po uchwaleniu tego planu Zarząd Gł. Towarzystwa i jego Oddziały przystąpiły do urzeczywistnienia programu.

Z powodu pogorszenia się stosunków w Zakopanem, gdzie dla braku hoteli turystycznych, turyści nie mogą znaleźć przytułku szczególnie w sezonie letnim i zimowym, stanęło przed Towarzystwem pierwszorzędne zadanie stworzenia w tej miejscowości obszernego schroniska turystycznego dla swoich członków. Jest to jakby powrót do dawnych stosunków w Zakopanem, gdy dla braku hoteli T. T. utrzymywała w niem duży Dworzec Tatrzański ze znaczną liczbą pokoi noclego-

wych i restauracją. Obecnie istniejący dworzec murowany, wybudowany po spaleniu się poprzedniego na ten cel mało się nadaje, atoli już z początkiem 1923 Zarząd Gł. na wniosek swego byłego wiceprezesa Sędzimirą postanowił urządzić w nim w ramach możliwości schronisko turystyczne, przeznaczając na ten cel wielką salę na parterze i kilka pokoiów na pierwszym piętrze. Ponieważ sala oddana była dotychczas na użytek Tow. Biblioteki publicznej w Zakopanem, wyłoniła się trudność, którą ostatecznie przezwyciężono w ten sposób, że salę w jesieni 1923 podzielono przepierzeniem drewnianem na dwie części, zostawiając część mniejszą dla użytku Biblioteki, a urządzając w części większej halę turystyczną na dwadzieścia kilka łóżek. Łóżka żelazne i pościel zakupiono już przedtem. W całym domu zaprowadzono instalację elektryczną. Uzyskano też w darze dzięki inż. Krawczykowi urządzenia klozetowe, tak, że i tę instalację wraz z wodociągiem wkrótce będzie można przeprowadzić. Prawo korzystania z tych noclegów przysługuje wyłącznie tylko członkom P. T. T. Jestto urządzenie tymczasowe; Zarz. Gł. i Wydz. i Wyk. zastanawiał się nad potrzebą wybudowania domu turystycznego na gruntach Tow. lub przebudowania obecnego dworca a do rozważania warunków i przygotowania projektu wybrano komisję złożoną z czterech członków z prawem kooptacji.

Pod bezpośrednią administracją Zarz. Gł. znajdowało się schronisko im. Pola w Roztoce. Dokonano w niem drobnych napraw a schronisko oddano w dzierżawę poprzedniemu dzierżawcy Stanisławowi Obrochcie, który gazdował w schronisku ku zadowoleniu turystów.

Stare schronisko na Hali Gąsienicowej oddano w zarząd Oddz. warszawskiego, który dochód z niego obracał na budowę nowego granitowego schroniska, prowadząc własną administrację. Schronisko to staraniem Oddziału odrestaurowano, dobudowano w niem korytarz łączący je z kuchnią i zaopatrzone w nowe tapeczany i piece, zużywając znaczną ilość robocizny i materiału.

Schronisko w Dolinie Pięciu Stawów oddał Zarz. Gł. w administrację Oddz. zakopiańskiego, który przeprowadził znaczne poprawki i ulepszenia; dla powiększenia ilości miejsc noclegowych urządzono w południowej izbie tapeczany do spania. Schronisko było oddane w dzierżawę L. Bigosowej z Bukowiny, podobnie jak roku poprzedniego.

Inne schroniska zostawały pod zarządem Oddziałów, które okazywały ożywioną pracę

celem podniesienia ich stanu i dostosowania do wzrastających wymagań.

Oddział krakowski mający w swym zarządzie oba schroniska przy Morskiem Oku poczynił duże wkłady na naprawę obu. W nowym schronisku wykończono nową lodownię, poprawiono wodociąg, oszklono okna, uszczelniono drzwi i ściany, naprawiono kuchnię, przebudowano piec; odbudowano szopę na łodzie i naprawiono je.

Przebudowano stare schronisko, usuwając nadgniłe już przybudówki, dając nowe zręby pod ściany, naprawiając dach i urządzając wewnątrz izby mieszkalne i noclegowe z tapczanami na pomieszczenie zbiorowych wycieczek; pomieszczono w niem służbę i posterunek straży celnej, przez co zwiększono ilość pokoi noclegowych w nowym schronisku. Te roboty pochłoneły cały dochód ze schronisk. Nad wykonaniem robót czuwał delegat Oddz. Krak. Dr. Jan Nowicki, który przez 3 miesiące mieszkał przy Morskiem Oku i był zarazem informatorem i reprezentantem P. T. T. wobec licznej rzeszy gości i turystów.

Oddział cieszyński pracował nad wykończeniem schroniska na Stożku; parcele ogrodzono, wstawiono drzwi i okna na pierwszym piętrze, oszklono górną werandę i poczyniono inne naprawy; zwiedziło schronisko w tym roku, licząc wraz z młodzieżą szkolną, około 15.000 gości. Na rok 1924 projektowane jest oszalowanie schroniska i urządzenie kompletne sześciu pokoi.

Oddział żywiecki (babiogórski) wykończył schronisko na Babiej Górze na Markowych Szczyinach; nadto wyjechał u zarządu dóbr żywieckich, iż przy budowie gajowni pod Piłskiem dobudowano na użytek turystów dwie izby, które wnet będą oddane do użytku Oddziału. Będzie to doniosła placówka zwłaszcza dla narciarzy w zimie.

Sekcja Narciarska P. T. T. przebudowała schronisko narciarskie na Hali Pysznej, dodając jedną izbę, zaopatrując ją w piec i komin i urządzając miejsc noclegowych na przyczach 16; poddała gruntownej naprawie schronisko w Starej Robociej, urządzając osobne łóżka na 12 miejsc. Oba schroniska zaopatrzono w opał i sprzęty na zimę. Adaptowano również na zimę schronisko na Hali Gąsienicowej.

W dziale budowy nowych schronisk należy w pierwszym rzędzie podnieść duży postęp robót przy budowie granitowego schroniska na Hali Gąsienicowej, staraniem oddziału warszawskiego. W r. 1923 wykończono wszystkie ściany zewnętrzne, wieżę wyprowadzono pod dach, założono belki stropowe i stropy

betonowe nad piwnicami, ustawiono konstrukcję dachową, pokryto i pomalowano dach. Nadto wykonano dużo robót przygotowawczych i zakupiono dużą ilość materiałów. Roboty prowadzono pod dozorem kapitana Ziębkiewicza, który był komendantem plutonu wojskowego, zajętego zwózka materiałów. Nadto kompania saperów zajęta była poprawą drogi z Brzezina na Halę Gąsienicową. Wszystkie te roboty i materiały kosztowały w r. 1923 około 13.000 złp. W końcu sezonu został doprowadzony na Halę Gąsienicową telefon wzdłuż szosy do Brzezina a stąd doliną Suchej Wody. Materiał i robociznę ofiarowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, słupów telefonicznych dostarczył Oddział warszawski.

Oddział czarnohorski krzątał się około budowy schroniska w grupie Czarnohory po zniszczeniu w czasie wojny schroniska na Zaroślaku pod Howerlą. Ponieważ wyłonił się projekt, aby budowę przenieść w inne miejsce więcej na wschód, wybrano komisję która zbadawszy teren w dniu 21. maja 1923, oświadczyła się za budową na dawnym miejscu. Korzystając ze subwencji Ministerstwa Robót Publicznych 3.000.000 Mk., zakupiono za pośrednictwem inżyniera Hirseha i zrąbano materiał budulcowy i zwieziono na miejsce budowy na Zaroślach. Plan schroniska przygotował bezinteresownie p. Wolański. Dalszych robót nie prowadzono z powodu braku funduszy. Prócz tego odrestaurował ten oddział schronisko w Worocheie.

Oddział nowotarski „Gorce“ poczynił przygotowania do budowy schroniska na Turbaczu, uzyskawszy już poprzednio od granicy Waksmund grunt pod budowę a od granicy Nowego Targu budulec. Oddział gromadził fundusze i wypracował plan a Komisja do robót w górach udzieliła na ten cel wydatnej subwencji.

Należy również podnieść, że Oddział zakopiański wypracował plan i przygotowuje fundusze na budowę nowego schroniska w Dolinie Pięciu Stawów na miejsce obecnego schroniska imienia Zejsznera; nowe schronisko ma pomieścić około 80 osób i być adaptowane na zimę. Plan wygotował inż. Stryjeński. Firma Okuniewski ofiarowała 100 m³ drzewa a Tymczasowa Komisja Uzdrawiskowa przeznaczyła na ten cel 1.000 franków; nadto Oddział zapewnił sobie pomoc wojska i Szkoły przemysłu drzewnego, jest więc nadzieja, że schronisko stanie w r. 1924.

Do Oddziału pienińskiego w Krościenku zwrócił się Wydział Wyk. z żądaniem, aby istniejące w Pieninach schronisko im. Sien-

kiewiczza przerobił na schronisko noclegowe przez dobudowanie odpowiednich pokoi.

W końcu należy dodać, że Zarząd Główny przez poparcie właściciela prywatnego schroniska na Lysej Polanie p. Bieńkowskiego w staraniach o koncesję zyskał w tem schronisku dla członków P. T. T. takie zniżki, jakie mają przy Morskiem Oku.

Z altan w Tatrach, z których utrzymane być mogą tylko trzy t. j. przy Stawie Smrezyńskim, przy Siklawicy i na Czerwonej Przełęczy, tę ostatnią gruntownie naprawiono.

Z tego przeglądu widoczna, że w tym dziale ruch był ożywiony a chociaż braki są jeszcze wielkie, jest znaczny postęp i zwolna goją się rany zadane wojną.

W dziale poprawy dróg i znaczenia szlaków turystycznych letnich i zimowych poczęto realizować projekt przyjęty na Walnym Zjeździe Delegatów. Staraniem Zarządu Głównego naprawiono: ścieżki ze schroniska w Roztoce do szosy i Wodogrzmotów, przy czem budowano nowe mostki na Wodogrzmotach; wyznaczono całkowicie szlak przez Waksmundzką do Morskiego Oka; naprawiono ścieżkę nad Regłami od Strążyńskiej do Przełęczy na Patykach.

Oddział krakowski przeprowadził gruntowną naprawę ścieżki od schroniska nad Morskiem Okiem dookoła jeziora i do Czarnego Stawu, tudzież ścieżkę na Opalone.

Oddział zakopiański wyznaczył większość szlaków turystycznych w dolinie Roztoki i Pięciu Stawów Polskich.

Oddział warszawski dokonał gruntownej naprawy ścieżki od schroniska na Hali Gąsienicowej na Przełęcz Świnicką, od Czarnego Stawu Gąsienicowego przez Karb na Przełęcz Świnicką, od żlebu w Pańszczycy na Krzyżne, tudzież dodatkowo naprawę szlaku na Zawrat.

Sekcja Narciarska wyznaczyła kilka szlaków zimowych.

W Beskidzie staraniem Oddziału babiogórskiego wyznaczono kolorem białym nową ścieżkę od stacji Hucisko aż do polskiego schroniska na Babiej Górze.

Staraniem Oddziału Cieszyńskiego wyznaczono kilka szlaków w Beskidzie cieszyńskim.

Nadto przeprowadzono znaczenie niektórych dróg w Goreach i w Beskidzie Nowosądeckim.

5. Przewodnictwo, ruch turystyczny i sportowy. Sprawę przewodnictwa w Tatrach miała pod swą pieczęć Sekcja Turystyczna, której Walny Zjazd Delegatów udzielił mandatu w tym dziale.

Komisja wybrana przez Zarząd Sekcji ustaliła także przewodnika w złotych polskich,

utrzymywała wykaz przewodników, który rozesłano do sklepów i pensjonatów w Zakopanem. Z subwencji Komisji Uzdrawiskowej zaopatrzone częściowo przewodników należnych do Pogotowia Ratunkowego w buty turystyczne. Przeprowadzono nową klasyfikację przewodników i na podstawie egzaminu mianowano nowych przewodników w liczbie 3. Sekcja Turystyczna zajmowała się urządzaniem wycieczek zbiorowych w Tatrach pod kierunkiem przewodników; odbyło się wycieczek 15 przy udziale 139 osób na wszystkie najważniejsze szczyty w okolicy Zakopanego, tudzież na rysy i Gierlach.

Zbiorowe wycieczki urządziły oddziały P. T. T. a w szczególności Oddział poznański w Tatrach, Oddział czarnohorski w Karpaty wschodnie; z tych wycieczka na Chomiak cieszyła się frekwencją około 200 osób, w wycieczce na Howerłę wzięło udział osób 13.

Oddział cieszyński urządził wycieczki w Beskid cieszyński.

Oddział krakowski urządził pięciodniową wycieczkę uczenia seminarjum do Morskiego Oka przez Liljowe i do Białej Wody pod kierunkiem dyr. Dropiowskiego.

Propagandę turystyczną w celu obudzenia zamiłowania do wycieczek górskich prowadziły różne oddziały P. T. T.; szczególnie intensywnie pracował w tym kierunku z pomocą odczytów i wykładów z projektami Oddział warszawski, który propagował ruch turystyczny w Karpaty wschodnie i w Tatrach, tudzież zachęcał do narciarstwa. Działały w tym kierunku także Oddział poznański, cieszyński, zakopiański, krakowski, tudzież Sekcja Turystyczna.

Pewne ożywienie okazuje sport taternicki pielęgnowany przez Sekcję Turystyczną w Zakopanem; członkowie Sekcji dokonali 8 nowych przejść w Tatrach-oraz powtórzyli szereg trudniejszych szlaków jak południową ścianę Zamarłej Turni, zachodnią ścianę Małej Kończystej, trawersowanie Szarpanych Turni, grań Widel, grań Mięszowiecką i t. d.

Powrót wielu wybitnych taterników z czasów przedwojennych a między nimi p. Janusza Chmielowskiego zdaje się zapowiadać nowy rozkwit tego sportu, który przez wojnę podupadł. Organ Sekcji „Taternik“ w roku sprawozdawczym nie ukazał się, Sekcja jednak dokłada starań, aby wydawnictwo wznowić w r. 1924 a nawet wydać niewielki rocznik za rok 1923. Ruch narciarski zostaje pod opieką Sekcji Narciarskiej w Zakopanem, która na Walnym Zgromadzeniu w Zakopanem 28. grudnia 1923 r. wybrała nowy Zarząd; przewodniczącym Sekcji wybrano Ka-

pitana Ziętkiewicza, zastępcą przewodniczącego Karola Stryjeńskiego. Walne Zgromadzenie uchwaliło nadal propagować zarówno turystykę zimową jak sport narciarski mimo trudnych warunków w Zakopanem; w obu też kierunkach rozwinęła się działalność Sekcji. Pieczęć Sekcji nad schroniskami w Tatrach omówiono w dziale schronisk. Sekcja urządziła dwa kursy narciarskie od 26. grudnia do 31. grudnia 1923, kurs z udziałem 35-ciu uczestników pod kierunkiem kapitana Ziętkiewicza i w lutym 1924 kurs z udziałem 10 uczestników pod kierunkiem p. Kąlicyńskiego.

Szczególnie ożywioną była działalność sportowa Sekcji; członkowie jej brali udział w zawodach w Zakopanem, w Krynicy, Westerowie i Krakowie, zdobywając wszędzie szereg pierwszych i dalszych nagród. Mistrzostwo Polski na zawodach w Krynicy zdobył członek S. N. P. T. T. Mückenbrun.

Również ożywionym był ruch narciarski w Beskidach, a dowodem tego jest utworzenie się Koła narciarskiego przy Oddziale żywieckim dla wyzyskania pięknych tamtejszych terenów.

6. Różne sprawy. Nadto zajmowało się P. T. T. innemi jeszcze ważnemi sprawami, jak sprawą udogodnień turystycznych, ochroną przyrody, popieraniem prac naukowych, sprawą własnych wydawnictw, wreszcie sprawami finansowemi.

Udogodnienia turystyczne, to z jednej strony sprawa połączeń i zniżeń kolejowych, z drugiej ważna sprawa przepustek granicznych. Inicjatywę do udogodnienia połączeń kolejowych dał Oddział warszawski, który wniósł w tej sprawie memoriał do Min. Kolei Państwowej. Sprawę tę podjął wydział Wyk. i wybrał komisję, która przygotowała materiały, przyczem zwrócono się o nie do Oddziałów. Stosownie do uchwały Wydz. Wyk. Komisja zaprosiła na konferencję inne instytucje zainteresowane a więc: Izbę Handlową, Krajowy Związek Turystyczny, Tow. Krajoznawcze, Tatrzańskie Tow. Narciarzy, Akademicki Związek Sportowy, Klub Wędkowy. Konferencja odbyła się w lokalu P. T. T. w Krakowie przy liczny udziałem, a rezultatem jej był memoriał do Min. Kol. Państw. Nadto wniósł Wydz. Wyk. pismo z żądaniem zniżeń kolejowych dla członków P. T. T. opatrzonych legitymacją z fotografią.

Utrudnienia robione turystom naszym w pasie granicznym przez nasze strażce celne były kilkakrotnie przedmiotem rozważań. Oddziały i poszczególni członkowie skarżyli się, że strażce celne nie dopuszczają turystów do granicy, przyczem grożą aresztowaniem —

a wszelkie najpiękniejsze partie naszych gór stanowią właśnie granicę z Czechosłowacją. Wydział Wyk. zwrócił się w tej sprawie do Dyrekcji Cłowej we Lwowie, niestety starania nie odniosły pożądanego skutku; lwowska Dyrekcja Cef w piśmie do Wydziału z dnia 31. marca b. r. oświadczyła, że do ruchu granicznego dla turystów konieczne są przepustki wydawane przez starostwa graniczne, nie mogą zaś wystarczyć legitymacje Towarzystw turystycznych; motywem jest obawa przed przemycaniem walut. Jest to orzeczenie wysoce dla turystyki górskiej niekorzystne a nawet zabójcze; szkody z niego wynikające będą bezwątpienia większe niż korzyści dla Państwa. P. T. T. będzie musiał podjąć tę sprawę na nowo w najbliższym czasie łącznie z innemi pokrewnemi Towarzystwami i użyć wszelkich możliwych środków dla usunięcia tych niedogodności.

Ochrona przyrody górskiej była także przedmiotem troski P. T. T., którego Zarząd interweniował dwukrotnie w tym kierunku; raz na wniosek Dra Szafera zwrócił się Zarząd do administracji dóbr Czorsztym w sprawie konserwacji ruin zamku i tamtejszego rezerwatu; drugi raz na wniosek Oddziału lwowskiego podjął Zarząd sprawę ochrony kosówki w Gorganach, gdzie kilka fabryk oleju kosówkowego niszczy na terenie państwowym całe łany kosówki, okrywającej zbocza gór. Sprawa to ważna nie tylko ze względu na krajobraz, bo zniszczenie kosówki na zboczach górskich spowodować może spłókanie ziemi a następnie wzmoczone wylewy potoków i rzek górskich. Zarząd wystosował obszerny memoriał do Ministerstwa Rolnictwa, Oświaty, Robót Publicznych i Spraw Wewnętrznych i oczekuje, że ta interwencja nie pozostanie bez rezultatu.

Popieranie prac naukowych dotyczących gór polskich, ich klimatu i mieszkańców należało w dawniejszych czasach do najważniejszych zadań Tow. obecnie, gdy niejako z łona Tow. powstało w Zakopanem Muzeum im. Chałubińskiego, które prace te wzięło na siebie, działalność P. T. T. w tym kierunku musiała osłabnąć, ku czemu przyczynia się również brak własnego organu, jakim był dawniej Pamiętnik T. T. Jednakże i tych zadań nie spuszcza Tow. z oka, a pracownikom naukowym chętnie spieszy z pomocą. Sekcja Przyrodnicza w Zakopanem, której Walny Zjazd Delegatów powierzył mandat w dziedzinie badania przyrody górskiej, zajęła się stworzeniem alpinarjum w ogrodzie przy dworcu P. T. T. w Zakopanem. Na sztucznie urządzonych skałach zasadzono różne rośliny ta-

trzańskie, tak, że alpinarjum to daje przegład flory Tatrz. Staraniem Sekcji uporządkowano ogród przy dworcu, wycięto niepotrzebne drzewa, które tam rosły za gęsto a pozostawiono specjalnie piękne okazy drzew górskich i oznaczono je. Na roboty przeznaczył Zarząd Gł. znaczną kwotę; część kosztów pokryło się ze sprzedanego materiału drzewnego.

Sekcja Przyrodnicza zajmowała się nadto badaniem grof tatrzańskich a z pomocą przyszedł jej Oddział zakopiański, który dostarczył subwencji na zakup lin i drabin do tych badań.

Oddział krakowski użył P. Dr. Wołoszyńskiej mieszkania w schronisku przy Morskiem Oku na jeden miesiąc i prawa używania łodzi celem prowadzenia badań nad fauną jeziora.

Najwydatniej poparł prace naukowe Oddział lwowski przez wydanie rocznika „Wierchy“, które ofiarował Macierzy w roku pięćdziesięcioletniego jubileuszu. Wydawnictwo to stało od razu na wysokim poziomie i spotkało się z powszechnym uznaniem, zawiera bowiem cały szereg artykułów i ilustracyj pierwszorzędnej wartości.

Zarząd Główny świadom jest atoli, że P. T. T. przy obecnym swym rozroście nie może nadal obywać się bez własnego organu centralnego, czy to czasopisma periodycznego, czy to rocznika na wzór dawnego Pamiętnika T. T. Sprawę tę rozważano na różnych posiedzeniach, odczuwając potrzebę takiego wydawnictwa, któreby łączyło liczne koła P. T. T. i jego członków i było silnym środkiem propagandy celów Tow. Rzecz weszła na realne tory na ostatnim posiedzeniu Zarządu Gł. 30. marca b. r., który na wniosek dyr. Droupiowskiego uchwalił pobierać na przyszłość od każdego członka 1 złp. na ten cel; dodatek ten ma wpłynąć w całości do kasy centralnej i służyć na uruchomienie własnych wydawnictw.

Wszystkie te prace i zamierzenia wymagają dużych środków pieniężnych a w pierwszym rzędzie utrzymanie biura centralnego w Krakowie i Zakopanem. W Zakopanem ustanowił Zarząd Główny urzędnika stałego, który zarządza biurem, dworcem i schroniskiem, w Krakowie wobec rosnących agend Tow. będzie rzeczą konieczną powiększyć ilość godzin urzędowych.

Najwydatniejszym źródłem dochodu obok wkładek członków były subwencje. Wydatnych subwencji udzieliły Zarządowi Głównemu: Ministerstwo Robót Publicznych, Tymczasowa Komisja Uzdrawiskowa w Zakopanem, firma Skarboferm i Tow. Górników

i Hutników w Katowicach, za co Zarząd Gł. składa gorące podziękowanie. Szczegóły gospodarki finansowej przedłożone będą w sprawozdaniu kasowem.

Oddając to sprawozdanie do rąk członków Tow., Zarząd Główny wyraża przekonanie, że w miarę możliwości spełnił swój obowiązek.

Z polecenia Wydziału Wykonawczego
Tadeusz Droupiowski.

Oddział Czarnohorski. Polskiego Tow. Tatrzańkiego w Kołomyi, którego dorobek lat 45-ciu zniszczyła wojna dźwiga się powoli i nabiera sił do dalszego rozwoju. Rok ubiegły zaznaczył się dodatnio, przede wszystkim ożywieniem ruchu turystycznego i rozpoczęciem odbudowy schroniska na Zaroślaku pod Howerlą wedle planu, wykonanego bezinteresownie przez inż. Wolańskiego ze Lwowa. Na ten cel przeznaczyło Ministerstwo Robót Publicznych subwencję w kwocie Mkp. 3,000.000, która to kwota wystarczyła zaledwie na zrąbanie i obrobienie 100 m³ drzewa budulcowego, ofiarowanego na pniu przez Zarząd lasów i dóbr państwowych. Drzewo to zwieziono na miejsce budowy i na wiosnę wspólnie z Oddziałem Stanisławowskim i Oddziałem Lwowskim przystąpił Oddział do budowy schroniska.

Zarząd Oddziału Czarnohorskiego kładł również nacisk na sprawienie sprzętów w dworcu czarnohorskim w Worochcie dla dogodności członków.

Wydatki T-wa na cel powyższy wyniosły 3,230.000 Mkp.

Zarząd Oddz. Czarnohor. zwrócił się do wszystkich Oddziałów P. T. T. z odezwą o pomoc do dalszej budowy wspomnianego schroniska, z którego będą korzystali turyści z całej Polski — lecz tylko Oddział Lwowski uchwalił 20 zł. na omawiany cel.

Ruch wycieczkowy wzmógł się znacznie dzięki zawiązaniu się w łonie T-wa Sekcji wycieczkowej, którą stanowili pp. Hoffbauer, Emil Arbesbauer, Marjan Haleniak i Stanisław Janiszewski.

Wycieczki urządzało od kwietnia aż do października włącznie, ku czemu sprzyjała wyjątkowo piękna wiosna i jesień.

Zwiedzano szereg szczytów w paśmie Czarnohory z Howerlą na czele dalej w paśmie Gorganów: Jawornik, Chomiak (kilka-krotnie) i Doboszanek.

Ponadto urządzało wycieczki na szczyty niższe, między innymi na Magórę, Leśniów, Dłok worochcieński, Rokietę do wodospadu Żeńca i t. d. Ku uczczeniu pięćdziesięciolecia

Tow. Tatrzańskiego (Macierzy) odbyła się wycieczka na Chomiak przy udziale około dwustu uczestników.

W roku 1922 liczył Oddział 183 członków, w roku 1923 przybyło nowych 57-miu, uiszczyło jednak wkładkę ogółem tylko 160-ciu, co przedstawia ubytek 80. Powodem tego ubytku jest bardzo znaczne zwiększenie wkładki (z 500 Mp. na 24.000 Mp.) tudzież powstanie Oddziału Stanisławowskiego na dawnym terenie działalności naszego Oddziału.

Przychód kasowy wynosił: 6,213.964, — rozchód 5,732.721 Mp.

Pole działania naszego Oddziału, który jedyny dotąd opiekował się Karpatami Wschodnimi uległo zmianie skutkiem powstania najprzód Oddziału Lwowskiego a w ostatnim roku Oddziału Stanisławowskiego. Fakt ten musiał zrodzić myśl o pewnej koordynacji prac na terenie gór wschodnich. Na razie myśl ta ujawniła się w utworzeniu Komisji Międzyoddziałowej dla robót we Wschodnich Karpatach, do której wchodziły po dwóch członków z Oddziału Czarnohorskiego, Lwowskiego i Stanisławowskiego.

Ożywia się też w całej Polsce zainteresowanie dla Karpat Wschodnich, które coraz liczniej bywają odwiedzane. Zainteresowanie to szczególnie żywo objawia Oddział Warszawski, który celem propagandy urządził w Warszawie szereg odczytów z projekcjami. Naglącą staję się wobec tego sprawa wydania przewodnika po Karpatach Wschodnich a w szczególności pomyśleć należy o nowym wydaniu wyczerpanego już przewodnika, doskonałego znawcy tych gór i wieloletniego prezesa naszego Oddziału i honorowego członka P. T. T. Hoffbauera: „Przewodnik po Czarnohorze i Beskidach Wschodnich“.

Za sekretarza Oddziału Czarnohorskiego P. T. T. *Marjan Haleniak.*

Oddział Jarosławski. Powstał z inicjatywy pp.: Bolesława Kotziana, prof. Kazimierza Skarbowskiego i dra Mieczysława Staneckiego. Zawiązał się w grudniu u. r. prawnie zaś istnieje od kwietnia b. r. i liczy 65 członków. W skład zarządu wchodzi pp.: dr. M. Stanecki (przewodn.), pułk. szt. gen. Jan Hempel (zast. przew.), kapt. Józef Baran (sekr.), kapt. Jan Świątecki, Bolesław Kotzian (skarbn.) i członkowie zarządu: Dobrzańska Marja, pułk. Edward Kańczucki, prof. K. Skarbowski, Zygmunt Wojtanowicz.

Oddział krakowski. Pierwsze Walne Zgromadzenie Oddziału Krakowskiego w dniu 14. kwietnia 1923 wybrało prezesem: Jana Wa-

clawa Czerwińskiego, wiceprezesem Dra Adama Lardemera; członkami Wydziału wybrani: Mieczysław Białkowski, dyr. Józef Dorawski, dyr. Tadeusz Dropiowski, Dr. Walery Goetel, inż. Stanisław Krawczyk, Dr. Włodzimierz Łaba, Dr. Jan Nowicki, Dr. Kazimierz Piotrowski, Stanisław Porębski, Stefan Porębski, Prof. Kazimierz Sosnowski, Prof. Franciszek Sykutowski, Kapitan Władysław Ziętkiewicz.

Do Komisji rewizyjnej wybrani: Wacław Anczyk, Jan Fiszer, Dr. Faustyn Jakubowski; do Sądu honorowego: Dr. Teodor Kosch, Rektor Dr. Władysław Szajnocha, Dr. Fryderyk Zoll.

Wydział O. K. odbył w roku sprawozdawczym szereg posiedzeń, przeciętnie raz na miesiąc, a główną jego troską były prace około odnowienia nowego schroniska przy Morskiem Oku, tudzież rekonstrukcji starego schroniska, które znajdowało się w bardzo opłakanym stanie. Pod kierunkiem dzierżawcy schroniska p. Teofila Janikowskiego a następnie delegata Oddziału p. Dra Jana Nowickiego poczyniono w nowym schronisku najważniejsze adaptacje bardzo zresztą kosztowne a mianowicie: wykończono nową lodownię, poprawiono i zabezpieczono wodociąg, oszklono okna, uszczelniono drzwi i ściany, poprawiono kuchnię i rury kominowe, w jesieni zaś przestawiono piece w pokojach, zamieniając żelazne na ceglane. Do schroniska sprawiono sienniki i koce. Odbudowano również szopę na łódzie i poprawiono łódzie.

Ponieważ projekt zainicjowany przez Oddział warszawski postawienia nowego schroniska turystycznego na miejsce starego nie doszedł do skutku, postanowił Wydział przebudować stare schronisko, co też skutecznie przed sezonem 1923. Usunięto przede wszystkim nadgniłe już przybudówki, dano pod ściany nowe zręby, naprawiono dach i urządzono wewnątrz izby noclegowe z tapczanami dla zbiorowych wycieczek; pomieszczono w tym budynku również służbę i posterunek straży celnej, przez co zwiększono ilość pokoi noclegowych w nowym schronisku. Te roboty wykonano dużym kosztem, tak, że pochłonęły one całkowity dochód z obu schronisk.

Dzierżawcą obu schronisk był p. Teofil Janikowski, z którym Oddział ma kontrakt na trzy lata i który będąc sam z zamiłowania turystą i tatarnikiem, prowadzi schroniska ku zadowoleniu turystów; schronisko jest otwarte przez cały rok.

Z dróg turystycznych zostających pod opieką Oddziału, naprawiono ścieżkę do schro-

niska dokoła jeziora i do Czarnego Stawu, tudzież ścieżkę na Opalone.

Dla poparcia prac naukowych udzielono Dr. Wołoszyńskiej mieszkania w schronisku przez miesiąc w sezonie głównym, tudzież prawa używania łodzi dla badania fauny Morskiego Oka.

Biblioteka Oddziału, składająca się z dzieł treści naukowej i turystycznej, została uporządkowana; w przygotowaniu jest nowy katalog kartkowy, który ułatwi szybką orientację. Biblioteka posiada obecnie 684 dzieł i wydawnictw, zbiór rycin i fotografii z Tatr i Karpat, zbiór map i przeźroczy, nadto cenny zbiór pamiątek po ś. p. Mieczysławie Karłowiczu, do którego to zbioru wchodzi klisze szklane i filmowe jego znakomitych zdjęć z Tatr, pięć albumów z fotografiami tatrzańskimi, tudzież dwa aparaty fotograficzne. Ruch w bibliotece był dosyć ożywiony, członkowie P. T. T. korzystali ze zbiorów; wypożyczono dzieł 58, nadto wypożyczono przeźrocz do odczytów z projekcjami Towarzystwu Krajoznawczemu, tudzież Dyrekcji Gimnazjum król. Jadwigi a członek Oddziału Dr. W. Goetel miał odczyty z wyświetlaniem tych przeźroczy w Krakowie i na Górnym Śląsku. Klisz drukarskich i fotografii używano też kilkakrotnie czasopismem do ilustracji artykułów o Jaworzynie. Biblioteka zostaje pod zarządem bibliotekarza dyr. Dropiowskiego.

Pod kierunkiem dyr. Dropiowskiego odbyła się w czerwcu 1923 pięciodniowa wycieczka seminarzystek w Tatry w liczbie 12, przy czem uczestniczki wycieczki korzystały z ulg członkowskich na Hali Gąsienicowej, przy Morskiem Oku i w Roztoce.

Wycieczkom młodzieży szkolnej przy Morskiem Oku przyznaje Oddział takie ulgi jak członkom P. T. T.

Zresztą życie wewnętrzne Oddziału nie było ożywione, co przypisać należy głównie temu, że prawie wszyscy członkowie Wydziału wchodził zarazem w skład Zarządu Głównego i Wydziału Wykonawczego P. T. T. i zaabsorbowani są pracami dla centrali.

Członków, którzy opłacili wkładki za rok 1923 liczy Oddział 469.

Z polecenia Prezydium O. K.

Tadeusz Dropiowski.

Oddział lwowski. Działalność Oddziału w r. 1923 rozwijała się w czterech kierunkach: a) z zakresu turystyki należy zanotować 16 wycieczek w Karpaty Wschodnie pod kierunkiem wiceprezesa prof. Lenkiewicza i wicesekretarza p. Niedenthala w miesiącach

letnich przy udziale 180 osób, następnie subwencjonowanie robót w Tatrach kwotą 30 zł., subwencjonowanie schroniska K. T. N. w Sławsku kwotą 1,500,000 mk. i 20 zł. i zawarcie umowy z K. T. N. w sprawie używania tegoż schroniska w miesiącach letnich przez członków P. T. T., wreszcie subwencjonowanie budowy schroniska pod Chomiakiem kwotą 20 zł., i stworzenie międzyoddziałowej komisji dla robót w Karpatach W. z udziałem oddziału czarnohorskiego i stanisławowskiego; b) działalność odczytowa z powodu wygórowanych cen wynajmu sali ograniczyła się do odczytu dra R. Kordysa, powtórzonego przy inauguracji Oddziału w Stanisławowie; c) działalność wydawnicza uwięziona była wydaniem I tomu „Wierchów“, który zyskał ogólne uznanie prasy i miłośników gór, nadto wydanie statutu P. T. T., którego brak oddawna dawał się odczuwać; d) działalność kulturalna objawiła się w subwencjonowaniu Muzeum Tatrzańskiego kwotą 25 zł. i apelem do Zarządu Gł. i innych Oddziałów, aby również przysłużył z pomocą dla Muzeum, wreszcie powołanie „komisji wycieczek szkolnych“ celem uregulowania ruchu wycieczkowego i zapobieżenia dewastacjom i niekulturalnym czynom popełnianym przez nieodpowiednio prowadzoną w górach młodzież. Wyniki tych usiłowań dadzą się stwierdzić w r. 1924.

Oddział lwowski liczył w r. 1923 niespełna 150 członków. W skład zarządu Oddziału weszli prof. dr. Adolf Chybiński (przewodniczący), prof. Adam Lenkiewicz (zast. przew.), dr. Adam Tomaszewski (sekretarz), Władysław Niedenthal (zast. sekr.), Stanisław Czołowski (skarbnik) i członkowie zarządu: prof. dr. Zygmunt Czerny, dyr. Mieczysław Kistryn, prof. dr. Zygmunt Klemensiewicz, red. dr. Roman Kordys, kapitan Roman Loteczka, prof. Rudolf Nałęcki, prof. dr. Jan Gwalbert Pawlikowski (naczelný redaktor „Wierchów“), inspektor Antoni Wróblewski. — Adres Oddziału: prof. dr. Adolf Chybiński, Lwów, ul. Kalecza 20, adres skarbnika: Stanisław Czołowski, Lwów, plac Marjański 8, magazyn Krajański i Sp., adres redakcji „Wierchów“: prof. dr. Jan Gwalbert Pawlikowski, Lwów, ul. Trzeciego Maja 5. — Oddział lwowski posiada swe „Koło“ w Przemysłu, gdzie delegatem Oddziału jest p. Zagórski (adres: Polski Bank Handlowy).

Oddział Nowosądecki, „Beskid“, zreorganizował się i wybrał swym przewodniczącym prof. Feliksa Rapta (Nowy Sącz, I gimnazjum), zaś sekretarzem p. I. Konopackiego.

Oddział poznański. Wydział zdając sobie sprawę ze swoistych warunków rozwoju na gruncie Wielkopolskim położył i w roku 1923 nacisk na wydatną propagandę. Urządzono szereg prelekcji, prawie zawsze ilustrowanych przezroczami. Tematy prelekcji były następujące: prof. dr. Jakubski „Wyprawa na Kilimandżaro“, prof. dr. Dobrzycki „Tatry w literaturze polskiej“, prof. dr. Wodziczko „Flora tatrzańska“, prof. Gosieniecki „Sztuka podhalańska“, dr. Smoluchowski „Turystyka w Tatrach“, prof. dr. Jakubski „Wycieczka na Mont Blanc“, prof. Stecki „Groty tatrzańskie“, prof. Dobrzycki „Pieśń góralska“ (z współudziałem Tow. śpiew. „Echo“), prof. Ułaszyn „Etimologia niektórych nazw tatrzańskich“, prof. Stecki „Malarstwo ludowe na Podhalu“, prof. Dedio „Łomnica“, sędzia Gardulski „Wycieczka narciarska na Babią Górę“, dr. Smoluchowski „Wycieczki Oddziału poznańskiego w Tatry w lecie 1923 r.“, prof. Jakubski „Świat zwierzęcy w Tatrach“. — Ze propagandą ta odniosła skutek, świadczą zwiększona frekwencja Wielkopolan w Tatrach. Postanowiono też przystąpić do popularnego wydawnictwa wykładów, urządzanych przez Oddział, co jednakże odłożono z braku funduszy na rok 1924, podobnie jak roboty w Tatrach. Ilość członków wynosiła w roku 1923: 156. Skład zarządu jest następujący: kurator dr. Bernard Chrzanowski (przewodniczący), dr. Tadeusz Smoluchowski (zast. przew.), inż. Dębicki (sekretarz), członkowie zarządu: prof. Dedio, prof. dr. Dobrzycki, prof. dr. Jakubski, insp. Mroczkowski, M. Niemierkiewicz, prof. Stecki. Kasowe zestawienie przedstawia się następująco: dochody 11,646.807 mk., rozchody 11,646.807. Korespondencję należy skierowywać na ręce inżyniera Dębickiego, Poznań, Śniadeckich 6 a.

Oddział stanisławowski. Dzięki inicjatywie p. Igora Czaykowskiego zawiązał się dn. 14. września 1923 r. komitet organizacyjny dla utworzenia Oddziału w Stanisławowie, gdzie już dawniej istniał Oddział P. T. T., lecz w r. 1892 z nieznanych powodów przestał istnieć. Pierwsze Walne Zgromadzenie Stanisławowskiego Oddziału, liczącego w dniu 18. grudnia 1923 r. pokaźną ilość członków (ponad 200) przy udziale delegatów ze Lwowa i Kołomyj, doprowadziło do wyboru Zarządu, w którego skład weszli: Dr. Adam Raczyński (przewodniczący), inż. Antoni Firich (zast. przew.), Igor Czaykowski (sekretarz), Tadeusz Kusiba (skarbnik), członkowie zarządu: pułk. Wzaliński, insp. kol. Buergeł, p. Petelenzowa, inż. Makulski, prof. Stamper,

inż. Petelenz, inż. Lewicki, por. Dyńko. Korespondencje należy wysyłać na ręce sekretarza: Stanisławów, Dyrekcja kolei, Wydział I, drzwi 64. Oddział St. odbywa posiedzenia w budynku Rady Powiatowej, udzielonym przez Marszałka Rady hr. Wł. Dzieduszyckiego i radcy E. Bukowskiego. Już dotychczasowa praca Oddziału odbywa się w ścisłej łączności z sąsiednimi Oddziałami (Czarnohorskim i Lwowskim), przy pomocy międzyoddziałowej Komisji dla robót w Karpatach Wsch. Od r. 1924 rozpoczyna się właściwa działalność Oddziału Stanisławowskiego. Należy z żywym zadowoleniem podkreślić życiowość P. Wojewody Jurystowskiego dla St. O. P. T. T.

Oddział wileński. Powstał z inicjatywy prof. d-ra Tadeusza Czeżowskiego i prof. Jerzego Lande'go. Statut zatwierdził Zarząd Główny w dn. 30 marca b.r. Pierwsze walne zgromadzenie odbył O. W. w dn. 19 maja b.r. Zarząd O. W. tworzą pp.: prof. T. Czeżowski (przewodniczący), ppułk. inż. Witold Wolański (zast. przewodn.), prof. J. Lande (sekr), p. Piotr Hniedziewicz (skarbnik), p. Michał Brensztejn (bibliotekarz), członkowie Zarządu: p. Benedykt Binkowski, mjr. Janusz Dłużniakiewicz i p. Marjan Niemczynowicz. Ilość członków: 56 Adres Oddziału: prof. Jerzy Lande, Wilno, zauł. Bernardyński 8. — Z szeregu odczytów należy wymienić odczyt prof. Czeżowskiego o wyprawach angielskich na Mount Everest. Tereny okolic Wilna i klimat pozwalają na uprawianie w zimie narciarstwa, które już znalazło w O. W. licznych zwolenników.

Uchwały Walnego Zjazdu Delegatów P. T. T. w dniu 27 IV. 1924 w Krakowie.

1. Przyjęto sprawozdanie Zarządu Głównego i udzielono absolutorjum przez akklamację.
2. Wysokość wkładki ustanowiono na 6 zł. od 1-go lipca 1924, z czego połowa dla centrali z tem, że 1 zł. z tej połowy przeznaczą się na wydawnictwa.
3. Przyjęto preliminarz na r. 1924.
4. Przyjęto program robót w górach na r. 1924 przedstawiony przez Komisję dla robót w górach.
5. Wybrano w miejsce wylosowanych do Zarządu Głównego pp. Adama Konopezyńskiego (Warszawa), Franciszka Mączyńskiego (Żywiec), Dr. Adama Raczyńskiego (Stanisławów), Dr. Adama Lardemera (Kraków), Janusza Chmielowskiego (Górny Śląsk), tudzież jako zastępców: Mieczysława Białkowskiego,

Józefa Darowskiego. Tadeusza Dropiowskiego, Stanisława Krawczyka, Stefana Porębskiego, Franciszka Sykutowskiego (zamieszkałych w Krakowie).

6. Dra Jana Nowickiego przez aklamację zamianowano członkiem honorowym.

7. Udzielono Zarządowi dyrektywy w związku z końcową fazą sprawy Jaworzyny.

8. Przekazano Zarządowi Gł. sprawę za kupną przez Oddziały statutów wydanych staraniem Oddz. lwowskiego.

9. Uchwalono wypracować projekt konwencji turystycznej z Czechami a punktację wstępne przedłożone przez Komisję dla Konwencji turyst. przesłać Oddziałom do oświadczenia się.

10. Uchwalono urządzić w sezonie „tydzień tatrzański“ w Zakopanem na rzecz Centrali, w innych letniskach na rzecz oddziałów a dochód przeznaczyć na roboty w górach.

11. Uchwalono polecić Zarządowi Głównemu wypracowanie zmiany statutu w tym kierunku, że członkowie zamieszkałi w okręgu oddziału mają przymusowo należeć do tego oddziału.

12. Uchwalono podziękowanie dla Dr. Walerego Goetla, majora Romaniszyna, rektora Szajnochy i prof. Semkowicza za pracę w sprawie pisko-orawskiej.

13. Uchwalono wystać telegraficzne podziękowanie hr. Władysławowi Zamojskiemu za fundację narodową.

14. Uchwalono polecić Zarz. Gł. wydanie w r. 1925 „Pamiętnika“, tudzież sprawę pisma periodycznego.

15. Uchwalono stworzyć Komisję porozumiewawczą oddziałów: górnośląskiego, cieszyńskiego i babiogórskiego dla podziału terenu w Beskidzie i robót w górach.

16. Uchwalono Walny Zjazd odbyć w r. 1925 w Warszawie.

Inne Oddziały i Sekcje nie nadesłały nam swych sprawozdań, odsyłamy przeto co do nich Czytelnika do sprawozdania Zarządu Głównego.

Sprawozdanie Sekcji Ochrony Tatr znajduje się niżej pod tytułem: „Ochrona Przyrody“.

OCHRONA PRZYRODY.

Sekcja Ochrony Tatr P. T. T. zajmowała się w roku ubiegłym (1923) następującymi sprawami:

Wniosła do Starostwa przedstawienie w sprawie ochrony roślin tatrzańskich — a w szczególności szarotek i limb. Skutkiem tego wydało Starostwo odpowiednie ogłoszenia, które wydrukowane zostały kosztem Państwowej Kom. Ochr. Przyrody i rozlepione po schroniskach, hotelach i pensjonatach, Policja zaś państwowa interwenjowała energiczniej niż dotąd, zabraniając kupczenia szarotkami. Mimo to brak odpowiedniej ustawy (dotąd istnieje tylko rozporządzenie ministerjalne) któryby nakładało odpowiedzialność kary i określało ściśle granice tego co wolno a czego niewolno, nie dozwala wciąż jeszcze na rzeczywiście skuteczną ochronę. Jako smutny przykład braku zrozumienia tej sprawy przytoczyć wypada fakt, iż na raut wydany dla p. Prezydenta Rzeczypospolitej jedna z pań przybyła w sukni gęsto naszytej szarotkami, i — nie znalazła się w areszcie ..

Sekcja interweniowała w sprawie budowy altany restauracyjnej u wylotu doliny Białego, wprawdzie bezskutecznie, uzyskała jednak przynajmniej zapewnienie, że nie będą tam podawane napoje wysokokowe. Również interweniowała Sekcja w sprawie budowy cegielni w Zakopanem, nie stawiając zasadni-

czych przeszkód, przedstawiając jednak szereg warunków, któreby do minimum zmniejszyły zło z tego wyniknąć mogące. Do Zarządu Dóbr Zakopane wniosła Sekcja pismo zwracające uwagę na ohydny wygląd i zaniedbanie budynków restauracyjnych u wylotu doliny Kościeliskiej. Zaniepokojona pogłoskami o zamierzonym obmurowaniu Żimnego Źródła w Kościeliskach, wysłała Sekcja komisję dla zbadania tej sprawy i uzyskała uspakajające wyjaśnienia. Na prośbę Komisji Uzdrawiskowej zbadała Sekcja komisyjnie na miejscu i zaopiniowała w sensie przychylnym projekt toru bobsleighowego i skocznicy w reglu Krokwi, zastrzegając sobie głos przy trasowaniu i wykonaniu tych urządzeń.

Z wiosną b. r. (1924) postanowiono obsadzić kosówką moreną Morskiego Oka. Wykonanie, za fachowemi wskazówkami prof. St. Sokołowskiego powierzono członkowi Wydziału pni. majorowej Romaniszynowej. — Uchwalono też czuwać nad tem aby z chwilą spodziewanego ukończenia schroniska na hali Gąsienicowej w r. 1924, skłonić odpowiednie czynniki do usunięcia szkód i oszpeceń, które budowa ta na hali spowodowała.

Obserwując liczne szkody, jakie masowe wycieczki szkolne w Tatrach wyrządzają, (obnażanie zbocz z darni i t. p.) wniosła Sekcja do Ministerstwa W. R. i O. P. memoriał wy-

kazujący, że tego rodzaju wycieczki przynoszą więcej szkody niż pożytku, w szczególności zaś że dla młodzieży są niestosowne, gdyż zbyt męczące, a nawet skutkiem trudności dozoru często niebezpieczne. Wycieczki takie powinny być ograniczone do młodzieży starszej i do grup mniejszych, najwyżej do kilkunastu uczestników, inne zaś wycieczki skierować należy w Beskidy i Gorce, zwłaszcza zaś w Karpaty Wschodnie. Należałoby też — jeśli wycieczki mają rzeczywisty przynieść pożytek, aby ich kierownicy byli lepiej przygotowani. Byłoby wskazaniem wydanie odpowiednich broszur, któreby między innymi pouczyły o ochronie przyrody.

Przydjęm Sekcji stanowią: prof. dr. Jan Gw. Pawlikowski prezes, prof. St. Sokołowski i senator Ksawery Prauss wiceprezesi, sekretarze inż. K. Stryjeński i H. Romaniszynowa. — Delegatem do Zarządu Głównego P. T. T. jest prof. St. Sokołowski, do Komisji Robót w Tatrach Marjan Sokołowski. (Adres Sekcji: Zakopane, Muzeum Tatrzańskie, „dla Sekcji Ochrony Tatr“).

Memoriał Sekcji Ochrony Tatr do Ministerstwa Wyznań R. i Oświecenia P. w sprawie wycieczek szkolnych. W ostatnich latach wzmógł się ruch turystyczny młodzieży szkolnej do Tatr. Szlachetny ten objaw, wskazujący na to, że nauczyciele i władze szkolne rozumieją i należyście oceniają wpływ Tatr na młode pokolenie, zwrócił baczną uwagę podpisanych Sekcji, które po wzajemnym udzieleniu sobie uwag na ten temat i po powzięciu odpowiednich uchwał, postanowiły zwrócić się do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświaty Publicznej z następującym memoriałem.

Cały szereg wycieczek szkolnych, zwłaszcza starszej młodzieży, był prowadzony przez nauczycieli obznajomionych z tatrzańskim terenem, z warunkami klimatycznymi i z techniczną stroną należytego przewodnictwa po Tatrach.

Niestety jednak większość tłumnych wycieczek młodzieży musimy skwalifikować jako wycieczki źle obmyślane i niewłaściwie prowadzone, dzięki czemu młodzież nie tylko nie osiąga korzyści, ale wycieczki tego rodzaju przynoszą ze względów wychowawczych bezwzględna szkodę.

Szereg faktów wziętych z życia i sprawdzonych przez członków Sekcji da w przybliżeniu obraz, do jakiego stopnia niewłaściwie są organizowane po większej części wycieczki szkolne.

1) Na Zawracie, w czas mroźny, na klam-

rach, stoi od paru godzin tłumna wycieczka uczniów gimnazjalnych. Nadchodzi wieczór, zapada noc. Chłopcy nie mogą z powodu wyczerpania, złych warunków i nieumiejętnego prowadzenia ani pójść naprzód, ani też cofnąć się z powrotem. Nadchodzi wreszcie zaalarmowane Pogotowie Ratunkowe T. T. i z trudem ściga pojedyncze, przemarzłe postaci.

2) Na tym samym Zawracie, pod przełęczą słyhać wrzaski i ochryple, nie licujące z majestatem gór śpiewy. Gromadka dorastających panienek pod kierownictwem podpisanych kierowników nauczycieli dopuszcza się ku zgorszeniu obecnych górali i taterników rzeczy wysoce niewłaściwych.

3) Na drodze od Czarnego Stawu ku Zmarzłemu Stawowi pod Zawratem biegnie w tempie bersalierów włoskich zdyszany oddział skautów bez przewodnika. Pędzą na oślep ścieżką i poza nią, sypiąc kamienie w dół. Na zwrócenie do nich słowa łagodnego napomnienia przez jednego z członków Sekcji Turystycznej nie zwracają uwagi. Wreszcie osiagają Zmarzły Staw, wydobywają mapy i szukają drogi. Mają iść na Granaty. Okazuje się, że o czytaniu map nie mają elementarnego pojęcia. Trzeba było na tejsze drodze już od Czarnego Stawu począwszy, pokazywać im kilkakrotnie właściwy kierunek i wciąż ostrzegać by nie zbłądzili.

4) Młodzież idzie w góry obok szkoły drzewek leśnych. Pomijając już ten fakt, że młodocieni uczestnicy wyrwyją drzewka, wyrwywa je sam nauczyciel. Kiedy jeden z pracujących przy szkółce, człowiek inteligentny, zwraca się do niego z delikatną admonicją, nauczyciel odpowiada, że go to nie obchodzi.

5) Znany nam jest również fakt przekroczenia Zawratu przez liczną wycieczkę, składającą się z nieletniej dziewczyny, pod przewodnictwem nauczycielki, późnym wieczorem i przeprowadzenia tejsze wycieczki do Morskiego Oka o godz. 11-tej w nocy. Dziewczyna musiała spędzić chłodną noc na werandzie schroniska.

Możnaby powyższe fakty mnożyć. Rezultat tego smutny. Z jednej strony młodzież nie wykwapowana należyście, bez odpowiedzialnych przewodników, zdana na losy szczęścia, bez odpowiednich noclegów, (w Tatrach niema schronisk mogących udzielać noclegów tłumnym zbiorowym wycieczkom) zniechęcona, wynosząca często zaród płucnej choroby z Tatr; z drugiej zaś strony zaśmiecone, zanieczyszczone, poniszczone ścieżki i ubocza górskie, zasypane szkłem z rozbitych flaszek

i puszkami z konserw stawy, popalone łany kosodrzewiny. Jeżeli dodamy do tego nie kulturalną publiczność, która często daje pod tym względem zły przykład młodzieży, (hałasuje, strzela z rewolwerów i t. p.) otrzymamy w sumie fatalny obraz gór i stosunków w nich panujących.

W tym jarmarku głuży się wszelka wzniosła myśl i zabija szlachetne uczucie. Młodzież wychodzi z Tatr nieobznajomiona z niemi, niezżyta z cudem przyrody, narażająca siebie lekkomyślnie i zagrażająca innym, niszcząca bezmyślnie szczypty park narodowy.

Niepomogą tu wysiłki osobiste członków podpisanych Sekcji, by ten prąd zmienić.

Zwracamy się przeto do Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświaty Publicznej z usilną i gorącą prośbą, o wydanie do wszystkich Kuratorów Szkolnych, jakoteż do Komendy Harcerskiej, obowiązujący okólnik w myśl następujących wniosków:

1. Wycieczki górskie uczniów i uczenie należy skierować początkowo przedewszystkiem do Gór Świętokrzyskich, Beskidów i Karpat Wschodnich. Łatwiejszy i odpowiedniejszy teren tych wzniesień nadaje się w całej pełni do tego celu. Dopiero gdy młodzi turyści okażą pewną sprawność, można ich następnie skierować w okolice Zakopanego, w Tatry Zachodnie.

2. W dalszych wycieczkach tatrzańskich mogą brać udział wyłącznie uczniowie trzech ostatnich klas gimnazjalnych. Dla młodszych zaś mogą być organizowane wycieczki piesze jedynie w najbliższe okolice Zakopanego. (dolinki, Hala Gąsienicowa, Tatry Zachodnie np. Bobrowiec, Wołowiec, Rakoń, — Morskie Oko furkami.

3. Przed wyjazdem wycieczek należy w ciągu roku szkolnego pouczać uczniów i uczenie przez wykłady, pogadanki połączone z obrazami świetlnymi o przyrodzie i krajoznawstwie tatrzańskim, o wykładowaniu, o trudnościach drogi górskiej, o kulturalnym zachowaniu się w Tatrach. (Ochrona roślin i zwierząt tatrzańskich).

4. Należy na każdym dziesięciu uczniów przeznaczyć znającego Tatry nauczyciela-kierownika. (Unikać gromadnych wycieczek o większej ilości uczestników). O ile szkoła takiego nauczyciela nie posiada, należy zwrócić się do Sekcji Turystycznej T. T. z prośbą o przewodnika, względnie wynająć wykwalifikowanego górala-przewodnika.

Pozatem byłoby pożądanem wydanie podręcznika dla zbiorowych górskich wycieczek młodzieży, w którymby wybitni znawcy gór i terenów wycieczkowych stosownych dla

wycieczek młodzieży, przedstawili w sposób popularny jakie tury wybierać, jakie należy poczynić przygotowania do nich na jak długo się młodzież ma wybierać na poszczególne wycieczki i t. d.

Jeżeli Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświaty Publicznej uzna naszą myśl za słuszną, jesteśmy gotowi zwrócić się po wiadomieniu nas o decyzji Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświaty Publicznej do znawców gór i pedagogów z prośbą o odnośne prace, względnie wydać subwencjonowany przez Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświaty Publicznej podręcznik.

Wobec braku specjalnych schronisk dla zbiorowych wycieczek w różnych okolicach górskich zwracamy uwagę, że role takich schronisk mogłyby latem odgrywać budynki szkolne w czasie wakacji nie zajęte. Dodajemy przytem, że przyjazd wycieczek do Zakopanego i odjazd ich nie powinien odbywać się nocą.

W pełnem przekonaniu, że Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświaty Publicznej uwzględni nasze postulaty, przedkładamy niniejszy memoriał z prośbą o opracowanie i przesłanie odpowiedniego okólnika w formie obowiązującej do Kuratorów Szkolnych, XX Dyrekcji Szkolnych i Komend Harcerskich.

Za Sekcję Turystyczną:

dr. M. Świerz.

Za Sekcję Ochrony Tatr:

prof. dr. St. Sokołowski.

Zamach na Gierlach. — O sławetnym projekcie obserwatorium na Gierlach i kolejki szczytowej, dowiadujemy się bliższych szczegółów z czasopisma „Turistik und Alpinismus“ (rocznik 3-ci, zeszyt za grudzień i styczeń 1922/23). Znajduje się tam sprawozdanie ze Zjazdu odbytego w dniach 10–12. października 1922 w Westerowie (Westerheim), a poświęconego tej sprawie, na którym — nawiasem mówiąc — pośród licznych reprezentantów nie tylko Czechosłowacji ale krajów ościennych, Polska i Pol. Tow. Tatrzańskie świeciły nieobecnością. — W zagajeniu swoim prezes Tow. Karpackiego dr. Guhr przedstawił cele mającego powstać na Gierlach obserwatorium, które to cele streszczają się w następujących punktach: 1) badanie zjawisk meteorologicznych, elektrycznych i radiologicznych; Gierlach ma mieć to szczególne znaczenie jako najwyższe wzniesienie Europy centralnej, o klimacie kontynentalnym; — 2) badanie wpływu klimatu górskiego na człowieka, zwierzęta i rośliny (?! — w jaki

sposób te objekta badania mają być na Gierlachu pomieszczone, o tem nie było mowy) — 3) Udostępnienie Gierlachu dla turystyki, przy czem mowca wyraża się w ten nader charakterystyczny sposób: „Niechaj budowla, która ukoronuje wierzchołek, służy zarówno nauce jak i tym wszystkim dla których góry stanowią źródło odmłodzenia ducha i ciała; kolejka linowa ułatwiająca dostęp na szczyt uczyni z niego — eine Sehenswürdigkeit ersten Ranges!“... O biedny Gierlachu!...

Co do kolejki, to uznano kolej zębatą za niepraktyczną, gdyż nie dałaby się ona użyć w zimie; oczyszczenie trasy ze śniegu i lodu, o ile wogóle możliwe, byłoby zbyt kosztowne. Kolejka ma być przeto linową. Co do trasy są trzy możliwości do wyboru: 1. Westerowo — Dom Śląski — Bula przy Polskim Grzebieniu zwana „Kauliger Hügel“ — szczyt. Odległość Kauliger Hügel od szczytu wynosi 1100 m., różnica wysokości 500 m., spadek 45%. Jazda po linie w tych warunkach będzie należała do prawdziwych sensacji, mogących konkurować z każdym Luna-parkiem; dotąd tak długiego łuku linowego podobno jeszcze nie budowano. Ta trasa mierzy w całości około 7 km.; jest najdłuższą i najdroższą, ze względu jednak na komunikację z Polskim Grzebieniem, która posłuży licznym turystom i narciarzom, ma być najrentowniejszą. — 2. Westerowo — Dom Śląski — „Teufelsgrat“ — „Blumengartenturm“ — Mały Gierlach — szczyt. Od jeziora Wielkiego wiodzie tędy ta trasa prosto na wschodnią grań Gierlachu. Długość jej nie jest mniejszą od trasy poprzedniej, niema tu jednak takich rozpięć; natomiast brakuje jej najrentowniejszej partii od Domu Śląskiego ku Polskiemu Grzebieniowi. — 3. Od mostu na drodze przy „Stoszwasser“, gdzie ma połączenie z podtatrzańską kolejką elektryczną — Kocioł — Mały Gierlach — szczyt. Ta trasa jest o 1½ km. krótszą od poprzednich, przedstawia najmniej trudności technicznych i jest najtańszą, ale też najmniej efektowną i brak jej pobocznego ruchu, byłaby więc zapewne najmniej rentowną. — Siła pociągowa dla wszystkich trzech tras nie przeniesie 100 HP i może być dostarczoną przez Centralę podtatrzańskiej kolei elektrycznej. — Na zjeździe wyłonił się jeszcze czwarty projekt trasy, od strony Bątyzowieckiej. — Prócz tego dla transportu materiałów budowlanych a później dla apro wizacji obserwatorium, projektowany jest wyciąg od Długiego Stawu prosto na szczyt,

przyczem zauważono, że gdyby nie miało przyjść do budowy kolejki, wyciąg ten może także służyć za komunikację z obserwatorium.

Co do budynku szczytowego, to projektowane były dwa rozwiązania: budynek murowany z kamienia miejscowego, albo też wykuty w skale; zalecanym był projekt pierwszy. W tym celu na zachodnim stoku szczytu 8—10 m. poniżej wierzchołka, ma być przy pomocy rozsadzenia skał urządzoną platforma mierząca około 75 m². Dwupiętrowy budynek ma mieścić obserwatorium, mieszkanie obserwatora i schroniska noclegowe dla turystów. Dach byłby płaskim z betonowym tarasem. Na szczycie miałyby stanąć — dla nadświetlenia Gierlachu — wieża, w rodzaju widocznie fabrycznego komina, gdyż dostęp na jej wierzchołek projektowany jest po drabinie wiodącej z płaskiego dachu budynku. Że dopiero w takim ukoronowaniu stały się Gierlach „eine Sehenswürdigkeit ersten Ranges“ — wątpić nie podobna. — W przyszłości ma być też zaprowadzona radjostacja. Jeszcze parę szczegółów co do urządzenia budynku. Stropy żelbetowe z materiału uzyskanego na miejscu, — izolacja ścian asfaltowa, ściany wyłożone płytami korkowymi, wyprawa gipsowa. Okna potrójne, piece ceglane lub elektryczne. Pięć piorunochronów ma się łączyć kablem około 1200 m. długim z jeziorem w dolinie. Telefon ma być przeprowadzony po jednym ze wschodnich żeber góry.

O ochronie przyrody nie było na Zjeździe westerowskim wcale wzmianki... Kwestja ta zdawała się nie istnieć... Chyba że może ukryto ją dyskretnie w sprawozdaniu. — Reprezentanci rządu oświadczyli, że ze względów strategicznych (! — może tedy jeszcze i armaty wyjadą kolejką na Gierlach!) rząd sam ujmie tę sprawę w rękę. Na razie aż do ustalenia granicy czesko-polskiej sprawa nie jest jeszcze aktualną. A zatem teraz, po haniebnej klapie jaworzyńskiej, przyjdzie kolej na drugą przyjemność: na ukoronowanie króla Tatr, ongiś już raz ukoronowanego nadaniem nazwiska „szczytu Franciszka Józefa“. Tanta nazwa nie przyjęła się nigdy, był to tylko bardzo tani prezent ofiarowany swemu monarsze przez naród węgierski, coś w rodzaju chleba i soli, które się gościowi ofiaruje, a których on nigdy nie je! Oby i ta nowa korona wraz z kablem pięciu piorunochronów wpadła do Wielkiego Stawu.

TURYSTYKA.

Dwa projekty szlaków wiodących zboczami Giewontu. — I. Nad Kondratową na szczyt Giewontu. Do „Wrótek“ za znakami biało-czerwonymi, potem niebieskimi. Z Wrótek idziemy ku grani Giewontu, i bądź samą granią, bądź obchodząc ją owcami perciami od strony północnej, dochodzimy w przeciągu pół godziny do karbu, pozwalającego wygodne przejście na stronę południową. Tu postępujemy dalej owcami perciami, trzymając się ciągle w pobliżu podnóża krzesanie grzbietu Giewontowego i dochodzimy bez żadnych trudności w ciągu $\frac{3}{4}$ godziny do Szczerby, skąd wydostajemy się znanymi szlakami na szczyt.

Całkowity czas z Zakopanego na szczyt: do 4 godzin (z wypoczynkami).

II. „Pod Krzesanice“ wzdłuż północnej ściany Giewontu. Od ocembrowanego źródła w żlebie „Warzęcha“ idziemy na poprzek dol. Małej nieco ukośnie ku górze, do dalszego końca wschodniego z dwu płatów śniegu, zwykle przypierających tu do podnóża krzesanie Giewontowych. Mijamy potem najdalej na wschód wysunięty żlebek w tej dolince i przez łatwy próg skalny, zamykający tam żlebek od góry wydostajemy się na brzeg lasu, pokrywającego grzbiecik, dzielący Dol. Małą od Wielkiej Równi. Z lasu tego wychodzimy zaraz na prawo i trzymając się płytkiego żlebiku, posuwamy się ku górze aż do karbu w tym grzbieciku, poczem spuszcza się ku Wielkiej Równi perciami owcami i krowiami. (Od źródła w Warzęsze na karbik rzeczony używamy $\frac{1}{2}$ g., droga w dół do dol. Wielkiej — 20 min.) Dol. Wielką mijamy po piargach, trzymając się pobliza krzesanie, poczem żlebem między Giewontem a Suchym Wierchem, perciami owcami dość uciążliwymi lecz bezpiecznymi, wstępujemy w ciągu 1 g. na przełęcz trawistą między Suchym Wr. a Giewontem. Stąd w ciągu kwadransa schodzimy na najwyższe piętro zachodniej części doliny Białego. Wycieczkę kończymy albo a) zejściem perciami owcami i krowiami, lasem pokrywającym stok wschodni Suchego Wierchu, do perci nad Reglami w $\frac{1}{2}$ godziny i stamtąd do Zakopanego, albo b) żlebem trawiastym (podobnym do Warzęchy) graniczącym z tą doliną od wschodu, zdążamy ku grani Giewontu a potem na wschód ku Wrótkom (1 godz.), a stąd za znakami niebieskimi do Kalatówek.

Cały ten szlak, 1) traktowany jako osobna wycieczka, można z równą korzyścią przejść i w kierunku odwrotnym; zabierze

on, wraz z odpoczynkami około 7 godzin z powrotem dol. Białego, a przeszło 8 z powrotem przez Wrotka. 2) Prócz tego, jestto bardzo piękny i pouczający szlak powrotny z Giewontu (ze szczytu dokoła Małego Giewontu na Bacug i Warzęchę), zabierający, w kombinacji z drogą na Giewont opisaną pod I, nie więcej niż 12 godzin licząc z odpoczynkami. 3) Wreszcie, poszczególne odcinki tego szlaku mogą być celem wycieczek półdniowych np. a) na Wrótką, stąd na górne piętro Dol. Białego i tąż doliną z powrotem; b) na Wielką Równię, stąd na przełęcz między Suchym Wr. a Giewontem, powrót Dol. Białego; c) do Dol. Małej, stąd opisanym szlakiem górnym do Wielkiej Równi, powrót Dol. Białego i t. p.

Kategoria turystów, którym mogłyby służyć oba szlaki. — Szlaki proponowane przeszedłem kilkakrotnie w obie strony w towarzystwie trójga dzieci od 11 do 14 lat, którym nigdzie nie trzeba było pomagać. Będą one odpowiednie dla wszystkich silnych i młodych ludzi, którym dotychczasowe utarte szlaki na Giewont nie sprawiają trudności.

Sposób oddania szlaków użytkowi publicznemu. — Oba szlaki nie wymagają wyrabiania ścieżek i wogóle żadnych udogodnień ani ubezpieczeń ponad te, które będzie można uskutecznić tu i ówdzie na oczekaniu przy sposobności znaczenia farbą, bez pomocy robotników.

Uzasadnienie pożyteczności szlaków proponowanych. — I. Szlak na Giewont „nad Kondratową“ będzie dla określonej powyżej kategorii turystów bardzo pożądanym urozmaicheniem wycieczki na Giewont. Nie dłuższy od zwykłej drogi spodem Kondratowej, przewyższa ją o całe niebo urokiem przepięknych widoków i dłuższym znaczenie pochodem na wyżynie halnej. Już od Wrótek poczawszy, turysta ma przed sobą ciągle prawie, od przejścia zaś przez karb opisany bez przerwy, ku południu cudną panoramę Tatr polskich, spiskich i liptowskich, ku północy zaś dzikie, nagie krzesanice Giewontu.

II. Szlak „pod Krzesanice“ wzdłuż północnej ściany Giewontu daje, jak żaden ze szlaków dotąd oddanych na użytek publiczny, możliwość poznania z bliska całej romantycznej grozy tego zjawiska, jedynego w swoim rodzaju w Tatrach. Ponieważ Giewont i tak nie odznacza się niczem szczególniejszem jako szczyt „widokowy“, wycie-

czka nań powinna być raczej dla turystów niż dla turyście — możliwość jak najbardziej wszechstronnego poznania samego Giewontu. To zadanie spełnia szlak I+II dla danej kategorii turystów w zupełności. Również jako osobna wycieczka, lub w poszczególnych odcinkach jako wycieczki półdniowe, szlak ten daje wrażenia, nie dające się tak łatwo z czemkolwiek w Tatrach porównać.

Oba szlaki przyczynią się do „pomnożenia Tatr“ (prof. Pawlikowski, 1) rozszerzą zakres korzyści idealnych dla szerokich kół turystów z najpopularniejszej góry w Tatrach, 2) przyczynią się do „odciążenia“ zbyt przepełnionych dziś szlaków utartych pod Giewontem, 3) wskażą właściwe drogi turystom, już dziś nieraz błędzonym bezładzie w tych okolicach z chęcią nasycenia się z bliska czasem urwisk Giewontowych.

E. Piasecki.

Zabytki po poszukiwaczach skarbów w Beskidzie zachodnim. — Wśród ludu zamieszkującego Beskid, podobnie jak na Podhalu, krąży wiele podań o skarbach, zakopanych przez zbójników, albo pozostałych po dawno nie istniejących zamkach, albo też ukrytych przed wrogiem podczas najazdu tatarskiego i szwedzkiego. Oczywiście najczęściej jest mowa o zbójnikach i „kotlikach“ z pieniędzmi, zakopanych przez nich pod skałami.

Poszukiwano skarbów w Beskidzie już w wiekach średnich. Długosz w „Liber beneficiorum“ pisze o loszkach i studniach, mających się znajdować w Beskidzie Sądeckim, a zawierających złoto. Wspomina także o znakach, wskazujących drogę do tych skarbów. Znaki te miały być kute w kamieniu lub wycinane na pniach drzew. Poszukiwacze skarbów używali rodzaju pisanych przewodników, t. zw. „spisków“, opisujących drogę do skarbów i objaśniających znaczenie wyżej wspomnianych znaków. Jeden z takich rękopisów ogłosił drukiem Dr. St. Eljasz-Radzickowski w Pamiętniku Tow. Tatr. (M. Chrościńskiego: Opis ciekawych gór Tatrów, z XVII w.). Jestto wprawdzie opis odnoszący się do skarbów w Tatrach, jednakże znajdują się tam także wzmianki o skarbach na Babiej Górze. Mówi bowiem ten opis o „studni czyli szackie“, w którym miały się znajdować bryłki złota „jako bób“ wielkie.

Wzmianki te zachęciły mnie w r. 1918 do zajęcia się tą sprawą podczas dwudniowego pobytu we wrześniu na Babiej Górze. Poszukiwania wydały rezultat. Na przełęczy Izdebczyńska znalazłem duży kamień ze wcale wyraźnym znakiem przypominającym północ-

ne runy. Następnego dnia znalazłem przypadkowo „studnię albo szackę“ chroniącą się przed ulewą w drodze od Cyłu do przełęczy Jałowieckiej. Poniżej Cyłu, tam gdzie koso-drzew się kończy i ukazują pierwsze karłowate smreki ujrzałem niewielką skałę obrosniętą z jednej strony krzakami. Schroniliśmy się tam przed ulewą. Rozchyliwszy gałęzie ujrzałem kilka metrów długą szczelinę skalną. Zacząłem więc uważnie przeglądać omaszoną skałę, a po chwili ujrzałem wykutą w niej niewielką strzałę. Oczyszczywszy z mchu skałę, znalazłem więcej znaków: koło, krzyż, sierp i inne. Podobne znaki znalazł jeden z kolegów po drugiej stronie. Niebawem zaświeciło słońce, więc zaczęliśmy się rozglądać za dalszymi „szackami“. Znaleźliśmy wąską otwór wśród piaskowcowego rumowiska, wiodący w głąb ziemi. Zziębnięci i przemoczeni nie mieliśmy odwagi przecisnąć się przez tę szczelinę. Dopiero na drugi dzień wróciłem, by ją zbadać. Wąskie i niewygodne przejście, wiodące w głąb, może mieć około 4 m długości. Stajemy następnie w poziomym korytarzu długości około 6 m. Korytarz, zrazu dość wysoki zniża się i zmusza do pełzania. Dla ostrożności pełzając w tył, trafiłem po chwili na próżnię, na końcu korytarza znajduje się bowiem pionowa „studnia“ głębokości może 4—5 m. Widocznie jeszcze nie tak dawno byli ludzie, którzy w jakimś celu tę grootę odwiedzali, znalazłem bowiem w „studni“ poprzeczne paliki wbite w jej ściany i służące jako rodzaj drabiny. Tupnięcie nogą wystarczyło jednak aby paliki rozpadły się w próchno. Pozostałych więc po nich zagłębieni użyłem jako stopni. Pod studnią ciągnie się jeszcze niezbyt nachylony korytarz w kierunku przeciwnym niż górny, lecz również niski i wymagający pełzania. Grota kończy się małą izdebką, w której można tylko kłęcząć. I w niej znajdują się jakieś pale. Niestety z powodu zawilgnienia zapatek nie mogłem zbadać wartości izdebki; powrót odbył się w ciemności.

Wojna w r. 1920 i inne okoliczności pozwoliły mi dopiero w lipcu r. 1923 rozpocząć poszukiwania na nowo. W Beskidzie Sądeckim nie znalazłem nic interesującego. Zwiędziłem tylko powierzchnie „groty zbójceckiej“ pod Jaworzyną niedaleko Krynicy. Jako szczelina w piaskowcu przypomina naogół grootę na Babiej Górze. Po ciasnym wejściu stajemy na rozdrożu. Lewego korytarza nie przeglądałem dokładnie; jest szeroki i wysoki, prawy zaś wąski i niewygodny a zawalony glazami. Grota jaworzynska jest jednak większa niż babiogórska. Dawniej miała być jeszcze

większą. Łemkowie opowiadają, że część jej zapadła się niedawno. Niedaleko od jaworzynskiej znajduje się druga grota, pod Orłowem, kilkaset metrów za granicą słowacką. Szczęsny Morawski pisze w swej „Sądeczyźnie“, iż za jego czasów (a więc ok. r. 1860) znajdował się na Makowicy koło Rytra kamień z wykutym kwadracym i gwiazdą. Lud opowiadał, że to pamiątka po Tatarach. Być jednak może iż to znaki poszukiwaczy skarbów. W Beskidzie Sądeckim nie znalazłem żadnych znaków.

Obfity natomiast plon zebrałem w Gorcach. Idąc grzbietem z Ochotnicy pod szczyt Gorców znalazłem na hali tejeż nazwy duże kamień, na którym wyryte są dwa krzyże i IHS — wszystko dość już zatarte. Idąc z Gorca ku Turbaczowi między Przysłopem a Sredniakiem znalazł mój towarzysz kolega S. Sowiński drugi znak: dwa krzyże wyryte w skale płaskiej. Następnego dnia znalazłem ciekawy znak pod Kudłoniem. Ma on pół metra długości i przedstawia dwa koła z krzyżami w środku. Trzeba było oderwać mech i zmyć skalę aby znak był w całości widoczny. — Czwarty znak znalazł kol. Sowiński na północnym stoku Kudłonia. Jestto kombinacja krzyżów. Piąty znalazł inny mój znajomy, kol. Paszkiewicz jeszcze przed r. 1921 pod Mostownicą, a jestto znak IHS.

Wszystkie znaki w Gorcach znajdują się zawsze na grzbiecie głównym lub pobocznym, co łatwo wytłumaczyć sobie tem, że gdy w górach było jeszcze mało dróg, grzbiet sam przez się stanowił naturalną drogę. Chodziłoby tylko o to, dokąd te znaki prowadziły. Być może iż wiodły z różnych stron do jakiegoś punktu w środku Gorców, do jakiegoś... Eldorado. Może była niem „zbojicka dziura“ pod Jaworzyną w Gorcach. „Dziura“ ta, o której pisze prof. Sosnowski w swym „Przewodniku“ znajduje się w krzakach o kilkaset kroków od szasału na hali Jaworzynie. Otwór jej jest tak wąski, iż dorosły człowiek nie przecisnąć się przez nią. Rzucając kamienie w nią przekonałem się, iż jest dość głęboka. Otwór ten był dawniej prawdopodobnie szerszy, obecnie jest zawalony głazami. Zjawisko zapadania się grot piaskowcowych w Gorcach zdaje się być częste. Podanie góralskie mówi, że w tej grocie kryli się zbrojnicy. Juhasi z Jaworzyny, którzy zresztą nigdy do groty nie wchodzą, twierdzą, że ciągnie się ona niezmiernie daleko, bo łączy się z podobną grota na Mogielnicy koło Dobry. Jestto oczywiście bajka ale warto zaznaczyć, że grota na Mogielnicy istniała podobno jeszcze kilkanaście lat temu.

Była to — niedaleko szczytu — głęboka, pionowa „studnia“, którą w końcu zawalono głazami, gdyż wpadały do niej owce.

Innych grot zbójceckich w Beskidzie nie znam; jak wiadomo, istnieje jeszcze jedna pod Malinowską Skałą na Śląsku. Dowiedziałem się natomiast niedawno, że koło Milówki pod Żywcem ma się znajdować wielki gład, na którym widnieje 9 wykutych krzyżów. Jest legenda, że raz do roku, w Wielką Niedzielę podczas Podniesienia, otwiera się pod tym głazem jaskinia, w której znajdują się wielkie skarby, a toby je chciał brać, wówczas musiały się bardzo spieszyć, gdyż po chwili jaskinia znowu się zamyka, śmiełek zaś mógłby ponieść śmierć głodową.

Zachodzi kwestja, z jakiego czasu pochodzą zachowane znaki, o których mówiliśmy. Sądzę, że nie mają więcej lat jak 100, ale zapewne przed niemi istniały w tych samych miejscach inne, dawniejsze. Nieraz bowiem można znaleźć obok zupełnie wyraźnego znaku, drugi takisam, lecz już bardzo zatarty.

Z tego, co dotychczas zebrałem, sądzą, że w naszych górach musi być jeszcze wiele nieznanych zabytków po poszukiwaczach skarbów. Ja i kilku moich kolegów, t. zw. „Związek włóczęgów“, obraliśmy sobie za cel ich odszukiwanie, nie wątpię, że w najbliższych latach odkrywamy jeszcze niejednen szczegół i przyczynek do badań w tej dziedzinie.

Zdzisław Stieber.

Zdobycie Gierlacha. — Zwykła to rzecz, że pierwsze odkrywcze wyprawy ulegają łatwo zapomnieniu, uczestnicy zaś późniejszych uważają się, lub są uważani za właściwych zdobywców. Podobne wypadki przeoczenia zdarzają się jednak nietylko w historii szczytów pomniejszych, ale nawet pierwszorzędnym, n. p. Gierlacha.

Ośm następujących, pierwszych wypraw na „Króla Tatr“ zestawia najskrupulatniej w swym Przewodniku po Tatrach (Lwów 1912, t. III, str. 135), Janusz Chmielowski:

1) w r. 1834: *Jan Still*, nauczyciel ludowy ze wsi Nowoleśnej na Spiżu, wraz z czterema towarzyszami (strzelcami na kozice);

2) w końcu lat 60-ych przeszłego stulecia: jakiś turysta niemiecki niewiadomego nam nazwiska, wraz z młynarzem ze wsi Staroleśnej Marcinem *Urban'em*;

3) w sierpniu 1872 r.: *Franciszek Holst* z Prus Wschodnich, słuchacz uniwersytetu w Berlinie, wraz z *Janem Still'em*;

4) dnia 7. sierpnia 1874 r.: *Teodor Steinberg*, profesor teologii w Gnadenfeld na Śląsku

i uczeń jego Hugo Elsner, wraz z Janem Still'em i Samuelem Horvay'em;

5) dnia 31. sierpnia 1874 r.: Maurycy *Déchy*, Antoni Dölller, Paweł Schwartz i Józef Schäferling, wraz z Janem Still'em i Samuelem Horvay'em;

6) dnia 22. września 1874 r.; proboszcz zakopiański ks. Józef *Stolarczyk*, wraz z Wojciechem Rojem, Szymonem Tatarem starszym, Wojciechem Gąsienicą, Kościelnym i Wojciechem Giewontem;

7) dnia 12. czerwca 1875 r.: Dr. Oskar *Simony* z Wiednia, wraz z Samuelem Horvay'em;

8) dnia 31. lipca 1875 r.: Prof. Dr. Djonizy *Dezső* z Wiednia i Prof. Karol Holzinger z Wiednia, wraz z Janem Still'em, Marcinem Spitzkopf'em i Erwinem Gelhof'em.

Najgłośniejszą stała się u nas, uważana dotychczas za pierwszą polską, wyprawa ks. *Stolarczyka*.

Wyprawa Jana Still'a z r. 1834, — pierwsza, nie była wyprawą turystyczną i zawsze u prawie wszystkich budziła bardzo wiele wątpliwości. Między innymi powątpiewa o niej nie mogąc niczego pewnego powiedzieć, dr. Gyula Komarnicki w przewodniku: *Die hohe Tatra, Hochgebirgsführer* (Budapest 1918, t. II, str. 197).

Wszystko przyczynia się raczej do stanowczego odrzucenia możliwości zdobycia Gierlachu przez Jana Still'a.

Pomiar, dokonany w r. 1838 przez L. Greiner'a, przyznał pierwszeństwo co do wysokości — Gierlachowi. Jest to bardzo ważne, bo dopiero odtąd stał się Gierlach przedmiotem szczególnego zainteresowania alpinistycznego, tak, że niepodobna wprost przypuścić, by szczyt, który okazał się najwyższym w Tatrach, musiał zbyt długo czekać na zdobywców, — a musiałby czekać aż do wyprawy pierwszych uświadomionych zdobywców: tego bliżej nieznanego turysty niemieckiego i Martina Urbana. Niepodobna tego przypuścić również wobec wiadomości, świadczących o wcale żywym ruchu turystycznym w tych czasach; n. p. „w lecie r. 1857 nie było prawie dnia pogodnego, żeby ktoś nie był na szczycie Łomnicy“, jak to pisze Marja Strączyńska w *Obrazach z podróży do Tatrów i Pienin* (Kraków, 1858; cyt. F. Hoesick, *Tatry i Zakopane*, Poznań b. d., II, str. 116), a przecież klasyczna droga na Gierlach nie jest trudniejszą od ówczesnych dróg na Łomnicę i nie wszyscy po starym chodzili tylko na nią. Nie, stanowczo Martin Urban i jego towarzysze nie są pierwszymi, którzy się pieli po pełnych tajemnic żlebach Gierlacha.

W odnoszącej się do Tatr tece Żegoty Pauli'ego (autora jednego z pierwszych przewodników po Tatrach, ms.), w Bibliotece Un. Jag. w Krakowie (Nr. 5373) znalazłem taką rewelacyjną wiadomość, którą ze względu na jej ważność podaję in extenso:

„Pieniny mają bardzo bogatą podalpejską, górską florę, której rozpoznanie zawdzięczamy Herlichowi, Alex. Zawadzkiemu, Berdanowi i Bośniackiemu. Ostatni ten botanik w towarzystwie X. Grzegorzycy r. 1855, dnia 7. sierpnia [zwiadził] Szczyt Łomnicki, dnia 11. sierpnia Szczyt Gierlachowski, dnia 14. sierpnia Szczyt Wielkiego Kolbaku (czyli lodowej Turni — *Eisthaler Spitze*), dnia 24. sierpnia Krywań, a prócz tego doliny Koperszadów, Kołowe, doliny wielkiego i małego Kolbaku (*Kaltbach* 1258 r. zwane), doliny Felki, Popradu, Koprowej, Wiereichy [sic!], Kościełisk“.

Dr. med. Bośniacki i ks. dr. Wojciech Grzegorzek, (co do jego nazwiska zasła w zapisce zawierającej tak dokładne itinerarium wycieczki, najwidoczniejsza pomyłka) — to znani z prac naukowych, jedni z pierwszych członków i delegatów T-wa Tatrzańskiego. Ks. Grzegorzek był już znany w turystyce tatrzańskiej, (jako towarzysz ks. *Stolarczyka*); dr. Bośniackiego wprowadzono po raz pierwszy do dziejów polskiego tatarnictwa. Oni to dnia 11. sierpnia 1855 r. pozyskali zaszczytny tytuł pierwszych zdobywców Gierlacha i dali już wówczas świadectwo znanej zresztą prawdzie w historii tatarnictwa i turystyki, że ekspansja polska obejmowała zawsze i mimo wszelkich trudności politycznych i ekonomicznych całe Tatry.

Jan Dürr.

Podając powyższą cenną notatkę, nie podzielaamy jednak wyrażonego w niej poglądu, jakoby dr. Bośniacki i ks. dr. Grzegorzek byli pierwszymi zdobywcami Gierlacha. Przeciwnie — stwierdzony przez p. Dürra fakt zwiedzenia Gierlacha w r. 1855 dowodzi, że najwyższy szczyt Tatr był już w tym czasie tak samo zwiedzany, jak Łomnica lub Krywań. Wymienieni turyści byli niewątpliwie w towarzystwie przewodników, a z podanego w notatce itinerarium wycieczki wnioskować wypada, że byli nimi przewodnicy spisy.

Wydobyte przez p. Dürra źródła donoszą zatem, że szczyt Gierlacha był znany przewodnikom spiskim już przed rokiem 1855 i w ten sposób raczej uprawdopodobniają wersję o wyprawie Jan Still'a z r. 1834, niż ją obalają.

Red. „*Wierchów*“.

Sprawa schroniska na Turbaczu. Jak z podanego wyżej artykułu prof. K. Sosnowskiego

wynika, ogromna przestrzeń Beskidu Zachodniego leży jeszcze dla turystyki odłogiem. Wartość turystyczną tego interesu i konieczność otwarcia go szerokim masom wobec przepełnienia Tatr jasno z powołanego artykułu wynika. Potrzebne jest znaczenie ścieżek, mapy, przewodniki, ale przede wszystkim potrzebne są schroniska. Na przestrzeni od Babiej Góry po przełęcz Tylicka, przestrzeni mierzącej około 150 km. niema ani jednego. Wobec reorganizacji P. T. T., wobec powstawania coraz liczniejszych Oddziałów, które na szczupłym terenie Tatr poprostu już nie mają nic do roboty a każdy żąda przecież jakiegoś w pracach P. T. T. przydziału, zdawałoby się, że sił i środków powinno być dosyć aby zaspokoić potrzeby turystyki w Beskidzie Zachodnim. Prof. K. Sosnowski z upoważnienia i imieniem P. T. T. wydał w tym duchu gorącą odezwę do wszystkich Oddziałów, wszystkich członków Towarzystwa i wszystkich wreszcie miłośników gór. Od pomieszczenia całej tej długiej odezwy uwalnia nas pomieszczenie powołanego artykułu prof. Sosnowskiego, odezwa bowiem streszcza tylko argumenty w nim zawarte. Powtarzamy więc tylko konkluzję:

W pierwszym rzędzie staje na porządku dziennym budowa schroniska w Gorceach na Turbaczu. Chwałebny początek dała gmina Waksmund, ofiarując grunt pod schronisko, — miasto Nowy Targ, okoliczne gminy i dwory przyrzekły pewne świadczenia: dr. Wasiewicz, prezes Oddziału „Gorce“, zwiózł własnym kosztem kamień pod fundamenta. Sprawę ma w rękę Nowotarski Oddział P. T. T. „Gorce“; ponadto opiekuje się Gorcami z przydziału Zarządu Głównego P. T. T. Oddział Łódzki. Dotąd jednak daleko jeszcze do urzeczywistnienia zamiaru, — po-

trzeba gotówki około 10.600 zł. Należy popieszyć z ofiarami, składając je na ręce Zarządów Oddziałów lub przesyłając na ręce p. Józefa Czajki, skarbnika Oddziału „Gorce“ w Nowym Targu.

„Czy wiecie, co to są Gorce?“ — pisze prof. Sosnowski w swej odezwie. „Grupa gór między Nowym Targiem a Rabką, między Dunajcem a Rabą, 1.300 m. nad morze piętrzona, grupa śliczna i niezwykła budową. Kształt ma rozgwiazdy. Dwieć potężnych odnóg, lasami i halami odzianych, zbiega się na wyniosłym Turbaczu, jak w kwiecie górskim — dziewięciornikiem zwanym — i wytwarza krainę dziką, bezludną, we wszelkie powaby górskiej poezji hojnie wyposażoną. Wszystkie szczyty Beskidów, Pieniny, Podhale, Orawa, Spisz ze swemi górami, rzekami, osadami widnieją z Gorców naokół, ale ponad wszystko Tatry, widnieją z Gorców, tak wspaniale i plastycznie, jak z żadnego innego punktu na polskiej ziemi. I same w sobie mają Gorce siłę atrakcyjną nieopóźnionej miary: pralasy i wonne zagajniki, kobierzyste hale i kwieciste łąki, szalały owczarskie i pasterskie życie, krynice zimne i srebrzyste potoki, doliny malownicze i wierchy wyniosłe — oto treść tego gniazda gór przemitych. A zimą? W zimie inne cuda, cuda srebrzystej szaty śniegowej i rozkosz wspaniałych lotów narciarskich, kilometrami długich i ponęta takichże torów saneczkowych wśród bajecznie pięknego otoczenia. Dodać też trzeba, że przez Gorce wiedzie górski szlak turystyczny do Pienin i do naszych zdrojowisk. I tutaj turysta polski nie ma mieć przytulku?“

Spieszmy więc z ofiarami na schronisko na Turbaczu!

STOWARZYSZENIA I INSTYTUCJE.

Tymczasowa Komisja Uzdrawiskowa w Zakopanem ogłosiła w myśl przepisu ustawy uzdrawiskowej o publicznem składaniu sprawozdań swoje zamknięcie rachunkowe za rok 1923.

Wydatki:

wydatki administracyjne	12,913 fr. — ct.
utrzymanie i oświetlenie ulic	8,935 „ 30 „
potrzeby sanitarne (szpital, odkażanie, badanie środków spożywczych, budowa ustępów)	8,129 „ 90 „
turystyka i sport (subwencje)	1,120 „ — „
Do przeniesienia	31098 fr. 20 ct.

Z przeniesienia	31098 fr. 20 ct.
roboty w Tatrach (subwencje)	324 „ 40 „
meteorologia (subwencja)	1,164 „ — „
policia budowlana	1,488 „ 40 „
straż pożarna (subwencja)	112 „ 70 „
różne i nadzwyczajne	7,391 „ 40 „
Razem	41,599 fr. 10 ct.

Dochody:

taksa klimatyczna	40,984 fr. — ct.
opłaty od pensjonatów i hoteli	744 „ — „
opłaty od innych przedsiębiorstw	377 „ 50 „
Do przeniesienia	42105 fr. 50 ct.

Z przeniesienia 42105 fr. 50 ct.	
zwroty za odkażania i kosza	
policji budowlanej	504 „ 70 „
nadzwyczajne	4,841 „ 80 „

Razem 47,452 fr. — ct.

Do tego sprawozdania należy zauważyć, że kosza oświetlenia ulic ponosi Komisja tylko w połowie a kosza czyszczenia ulic w $\frac{2}{3}$ częściach, pozostałą część kosztów ponosi gmina. — Oprócz wymienionej powyżej subwencji na roboty w Tatrach mieści się w pozycji „różnych wydatków“ 1,113 fr. subwencji na budowę schroniska na Hali Gąsienicowej, pozatem zaś jeszcze pobierano na ten cel zrazu 4%, a od sierpnia 5% dodatku do taksy klimatycznej. W pozycji „różne“ mieści się też 1,017 fr. subwencji dla instytucyj kulturalnych i filantropijnych.

Na rok 1924 uchwalony został i zatwierdzony przez Województwo następujący preliminarz budżetu:

Wydatki:

administracja	10,600 zł.
policja budowlana	1,000 „
oświetlenie i czyszczenie ulic, naprawa chodników i ścieżek	20,000 „
sprawy zdrowotne (szpital, odkażanie, badanie środków spożywczych)	5,600 „
subwencja na przebudowę schroniska P. T. T. w dolinie Pięciu Stawów	1,000 „
na inne roboty w Tatrach	1,000 „
na narciarstwo i inne sporty	1,500 „
meteorologia	1,000 „
reklama i wydawnictwa własne	1,000 „
różne i nadzwyczajne	10,000 „
Razem	52,700 zł.

Dochody:

taksa klimatyczna	35,000 zł.
opłaty pensjonatów i hoteli	4,000 „
opłaty innych przedsiębiorstw	8,000 „
zwroty za odkażanie itp.	2,000 „
nadzwyczajne	1,000 „
niedobór do pokrycia przez podwyższenie taks i opłat	2,700 zł.

W wydatkach różnych mieści się między innymi także 5% taksy na dokończenie budowy schroniska na Hali Gąsienicowej. Wydatek na „meteorologję“ jest właściwie także wydatkiem na cele turystyczne; przedstawia on się jako subwencja dla Państwowego Instytutu Meteorologicznego, który ogłasza biuletyny o stanie pogody w Zakopanem w pismach krajowych i zagranicznych. Subwencja taka jest bardzo chwalebna, zwłaszcza o ile

by chodziło o poparcie spostrzeżeń meteorologicznych w Zakopanem i w Tatrach. Zauważyć jednak należy że udzielając tej subwencji powinna Komisja Uzdrawiskowa żądać reformy służby meteorologicznej, gdyż metody dotychczasowe ogłaszania prognoz są zupełnie wadliwe i dla turystyki prawie bezużyteczne. Zajmował się tą sprawą między innymi Wydział lwowski oddziału P. T. T. a sprawa ta powinna być podniesioną przez centralę Towarzystwa

W działalności Komisji Uzdrawiskowej widać wiele dobrej woli i zaznacza się w niej jednym względzie postęp. Wiemy też dobrze na jakie trudności napotyka ich działalność. Niemniej wyrozumienie tych trudności nie może zamykać oczu na bardzo liczne niedomagania stosunków w Zakopanem i ktokolwiek tym niedomaganiem jest winien trzeba szukać środków i sposobów aby im zapobiec. W pierwszym rzędzie pomimo wielkiego hałasu około „regulacji Zakopanego“ sprawa ta stoi na martwym punkcie; policja budowlana jest zupełnie niedostateczna, każdy buduje się gdzie chce i jak chce a samowola ta przybiera formy wprost skandaliczne. Również zupełnie niedostateczną jest kontrola nad porządkiem na ulicach i ścieżkach. Jeśli się komuś spodobą przekopać ścieżkę rowem lub zawałić ją budulcem, to ten stan może trwać całe lata; w pewnym wypadku przez parę tygodni lała się na ulicę woda z niezamkniętego hydranta i w najsuchszą pogodę wytwarzała bagno nie do przebycia, itp. Komisja Uzdrawiskowa, jeśli niema dostatecznej władzy w rękach aby te stosunki uzdrowić, powinna o nią kołać, a zyska w tym niewątpliwie poparcie społeczeństwa. Należy domagać się (w myśl rezolucji powziętej na posiedzeniu Tymcz. Kom. Uzd. z 19 marca b. r.) jaknajszerszego wydania statutu uzdrawiska i powołanie do życia stałej Komisji Klimatycznej, która niewątpliwie będzie mogła działać skuteczniej.

W sprawie Muzeum Tatrzańskiego. Trudności towarzyszyły Muzeum Tatrzańskiemu już od początku istnienia w nowym Witkiewiczowskim budynku przy Krupówkach. Nie mogły ich usunąć ani bezprzykładna staranność i gorliwość kustosa p. Juliusza Zborowskiego, ani pracowitość i zapobiegliwość dyrektora, ani członkowie Muzeum, ani nawet tak wspaniałomyślni ofiarodawcy, jak dr. Bronisława Dłuska, ani to grono wężami pracy naukowej i przyjaźni z niezmiernym i pełnym altruizmem kusztoszem p. Zborowskim i b. Kusztoszem działu przyrodni-

czego związanych przyjaciół prywatnych. Akcja sanacyjna i redukcyjna, niekorzystne warunki klimatyczne (długotrwała, ciężka zima), właściwości konstrukcyjne budynku, brak stałych i wydatnych dochodów muzealnych i t. d. zastały Muzeum w toku jego ostatecznego urzędowania się i przystosowania do swych celów, zarówno naukowych, jak i innych, celów niezmiernie ważnych, gdyż mających w ramach Muzeum zmieścić cały kompleks intelektualnych spraw Podhala i Tatr. Doszło do tego, że tygodniami nie opalano budynku (z braku funduszy na opał i bardzo późno nadchodzącej, zresztą niewielkiej dotacji rządowej), wobec czego znaczna część zbiorów, tak słynnych i bogatych, była narażona na uszkodzenie — zaś miesiącami zalegała skromna nad wyraz pensja kustosa, który na swą odpowiedzialność zmuszony był czynić długi, nie dla swych potrzeb, ale na najpotrzebniejsze naprawy w budynku, który — jak wiadomo — wymaga ustawicznych, kosztownych z natury rzeczy remontów. Wszyscy, znający te stosunki, nie mogli i nie mogą wyjść z podziwu dla kustosa Zborowskiego, że w strasznych tych warunkach wśród największych, aby nie powiedzieć nieopisanych niedostatków nie opuścił instytucji, przenosząc się na bez troskie stanowisko, któreby mu zapewniały jego wybitne, znane zdolności organizacyjne. Na niewiele zdały się nawet godne najwyższego uznania wysiłki Zarządu Głównego P. T. T., jak i oddziałów tegoż, które na inicjatywę ze strony Lwowskiego Oddziału P. T. T. przyszyły z doraźną pomocą dla Muzeum; chwilową tylko ulgą były w Zakopanem urządzane na rzecz Muzeum przedsięwzięcia dochodowe. Warunki ciężkie nie straciły na swej fatalnej sile. Przedewszystkiem bowiem Muzeum jest skazane z braku stałych i większych funduszy na zupełną niemożność powiększania swych zbiorów, dalekich jeszcze do zupełności; nie może nietylko rywalizować z tymi amatorami wszelkich obiektów górskich, którzy je wywożą poza Podhale, a nawet poza Polskę i Europę, ale nie jest w stanie powiększać swej cennej naukowej biblioteki, o ile dobra wola autorów i przyjaciół Muzeum nie objawi się w formie darowizn. A gdzież znaleźć fundusze na płace kustosa (potrzebni są nawet dwaj kustosze) i odźwiernego? Instytucja tego rodzaju, wymagająca ustawicznego dozoru i opieki bez najmniejszej przerwy, nie może być prowadzona przez kogoś kto kustosuje w chwilach wolnych od zajęć głównych. Wiemy dobrze co warta taka „opieka“. Muzeum, które

koncentruje w swych pracowniach w porze letniej i jesiennej pracę pracownikami Polski nad Tatrami i Podhalem, — Muzeum, które już zaznaczyło się wybitnie w nauce i świecie naukowym polskim, — Muzeum wreszcie, które zapewnia badaniom meteorologicznym i ich pracownikowi stałe pomieszczenie, zaś służy do daleko większą troskę i staranność ze strony społeczeństwa, aniżeli to dotychczas miało miejsce nawet w najlepszych momentach. Zwracając się więc do tej części społeczeństwa, która bywa stałe lub przejściowo w Zakopanem i Tatrach albo związana jest z niemi węzłami sympatii i uczucia patriotycznego, podajemy szereg sposobów,



które w razie ich skutecznienia, mogą stanowić wielką, choć jeszcze daleką do zupełności, pomoc:

1) należy podczas pobytu w Zakopanem zwiedzić Muzeum kilkakrotnie; jednorazowe zwiedzenie nie wystarczy do poznania bogactw zbiorów;

2) należy nabywać wydawnictwa Muzeum (publikacje i reprodukcje kartkowe i inne), wyłożone w sali parterowej (zbiory etnograficzne);

3) należy wpisywać się na członków Muzeum, co skutecznie kustosz J. Zborowski w swej kancelarii (I piętro Muzeum);

4) należy składać na cele budynku i inne sprawy Muzeum dary pieniężne, choćby niewielkie;

5) należy w miarę możliwości ufundować jedną z cegiełek (nazwisko fundatorów za mieszcza osobna tablica w hall'u muzealnym), zgłoszenia przyjmuje kustosz;

6) należy składać na rzecz Muzeum dary

w postaci przedmiotów etnograficznych (wszelkiego rodzaju góralszczyzna) i przyrodniczych;

7) należy składać na ręce kustosa wszelkie publikacje drukowane (książki, broszury, wydawnictwa artystyczne, mapy, i t. p.) związane z Tatrami i Podhalem; jeśli je nawet biblioteka Muzeum posiada, to służyć one mogą jako wymienne egzemplarze za te wydawnictwa, które biblioteka Muzeum nie posiada; mogą to być wydawnictwa starsze i nowsze, polskie i obce;

8) należy wreszcie zalecać każdemu zwiedzaniu Muzeum; mimo bowiem propagandy zdarzają się jeszcze osoby, które nawet po dłuższym pobycie w Zakopanem nie wiedzą, że u stóp Tatr istnieje Muzeum, jakiego niejedno miasto mogłoby Zakopanemu pozazdrościć. Stałe i dokładne wypełnienie tych postulatów społecznych i narodowych może zapewnić Muzeum jeśli nie wielki dalszy rozkwit, to przynajmniej znośną vegetację wśród ciężkich warunków kulturalnych i gospodarczych. Wobec tego, że fala pieniężna płynie w Zakopanem co roku szeroko i rozrzućnie, a często bezmyślnie, sądzimy, że dla Muzeum wielkie znaczenie mogłaby mieć choć kropla tej fali. Będzie ona z całą starannością i wielką roztropnością wyzyskana przez dyrektorjum Tatrzańskie Muzeum. Niech stosunek społeczeństwa na gruncie zakopiańskim ma nie tylko cechy przyjemnej wilegatury, ale i opieki społecznej nad jedyną w swoim rodzaju polską instytucją.

A. Ch.

Karpackie Towarzystwo Narciarzy w r. 1923/4. Sezon ubiegły należał do wyjątkowych ze względu na stałość i długotrwałość pokrywy śnieżnej, która zalegała w okolicach Lwowa od 20. grudnia do 25. marca. W górach sezon trwał jeszcze dłużej, jednakże ze względu na brak słońca, wichry i opady nie należał do korzystnych. Z tego względu jakoteż i z powodu podniesienia się cen podróży znacznie powyżej parytetu przedwojennego, największy ruch narciarski rozwijał się na terenach podmiejskich. W Bieszczady urządzono ok. 20 wycieczek jednodniowych, pozątem kilkudniowe: 2 w Gorgany, 1 w Czarnohorę i 2 w pasmo Borsawy, gdyż dzięki staraniom naszym udało się otworzyć znowu dla ruchu turystycznego tereny położone obecnie w Rusi Zakarpackiej. Niestety brak zrozumienia potrzeb turystyki panujący w naszych ministerstwach spraw wewnętrznych i skarbu utrudnia wciąż jeszcze w wysokim stopniu te wyprawy. Kursów dla początkujących mieliśmy 3 we Lwowie i 1 w Sławku,

prócz tego 1 kurs dla wprawnych we Lwowie. Przy udziale innych klubów lwowskich zbudowaliśmy w parku miejskim na Żelaznej Wodzie małą skocznię prowizoryczną. Na zbudowanie większej skoczni trwałej odmówiła nam municypalność Miasta Lwowa pozwolenia. W dniach 2. i 3. lutego zorganizowaliśmy w Sławku doroczny bieg z Trościanańskimi, 27. stycznia bieg rozstawny we Lwowie, zaś 9. i 10. we Lwowie wspólnie z innymi lwowskimi klubami zawody w biegu i skoku o Mistrzostwo Lwowa, które zdobył członek nasz St. Teisseyre. Pozątem startowali nasi członkowie we wszystkich zawodach ogólnych w kraju i niektórych zagranicznych, zdobywając liczne nagrody. Chcąc umożliwić naszym zawodnikom letni trening, przystąpiliśmy do założenia sekcji lekkoatletycznej.

Członków liczyło Two z końcem sezonu około 200. Adres Twa: Lwów, ul. Podlewskiego 7.

Związek Podhalań. (1923 r.). Jak i w poprzednich latach Związek starał się być pomostem między inteligencją a ludem na Podhalu. Zadanie jego polega więc z jednej strony na szerzeniu oświaty wśród górali, z drugiej na pobudzaniu inteligencji, przedewszystkiem rodowitych Podhalań, do pracy wśród ludu. Toteż doroczny Zjazd Podhalań odbył się w sierpniu w Chochołowie w niedzielę, aby zbliżyć do siebie bezpośrednio obie warstwy i zaznajomić ludność z celami i pracą związkową.

Dowodem ruchliwości Związku jest powstawanie nowych ognisk miejskich (oprócz krakowskiego i warszawskiego w Poznaniu) i wiejskich (w Szaflarach, reorganizacja w Czarnym Dunajcu). W pierwszych odbywają się miesięczne posiedzenia inteligentów-górali w sprawach kulturalno-oświatowych i materalnych potrzeb góralszczyzny. Po wsiach urząda się pogadanki, odczyty, wspólne czytanie gazet, przedstawiania amatorskie itd.

Związek główny ma siedzibę w Nowym Targu, prezesem jest dyr. gimn. Jakub Zachemski. Tego roku szczególną opiekę roztoczyła centrala związkowa nad rozwojem kilmkarstwa. Z jej inicjatywy uruchomiono 11 warsztatów, będących własnością Związku (Szaflary, Czarny Dunajec, Nowy Targ, Zubsuche), a dziewczęta garną się chętnie do pracy. Instruktorci wysyła najdawniej czynna pracownia w Zubsuchem. Projektuje się również założenie farbiarni wełny i ikalni kolorowych płócien. Z pomocą warszawskiego ogniska zamierza Związek oprzeć przedsiębiorstwa przemysłowe na nowych podstawach

finansowych, których brak daje się dotkliwie odczuwać. Ponadto zajmuje się centrala gorliwie prywatnym seminarjum żeńskim w Nowym Targu, w którym kształci się w 1923/4 r. 90 uczniów.

Ognisko warszawskie urządziło małe biblioteki w Łapszach Niżnich i w Bukowinie. Ognisko poznańskie przeciwdziało bezkrytycznym sympatiom ku Czechom i uświadomiło tamtejsze społeczeństwo o roli naszych sąsiadów na kresach Polski. Ognisko krakowskie zdobyło dwie biblioteki, jedną w Wiedniu, drugą w Krakowie i zamierza je umieścić po wsiach podhalańskich. Szczególnem zainteresowaniem darzyło Ognisko sprawę niszczenia lasów na Podhalu i współdziałało w ich obronie.

Należy podkreślić popieranie Związku przez władze miejskie i wiejskie, nauczycielstwo, Departament Sztuki M. W. R. i O. P. oraz kuratorjum szkolne lwowskie. *Zb.*

Sekcja Taternicka Akad. Związku Sportowego. — W styczniu b. r. zawiązała się w łonie Akad. Zw. Sport. w Krakowie Sekcja Taternicka. Jest ona dowodem budzenia się na nowo ruchu taternickiego wśród młodzieży w dobie powojennej.

Nowo założona sekcja ma zogniskować w sobie poczyny pojedynczych młodych taterników, dać im sposobność wzajemnego poznania się i ułatwić chętnym możność pogłębienia wiedzy taternickiej.

Przytoczone wyjątki ze statutu Sekcji uwydatniają najlepiej jej cele i środki ku nim wiodące.

§ 4. Celem Sekcji jest umiejętne uprawianie nowoczesnego taternictwa letniego i zimowego.

§ 5. Środkami do osiągnięcia powyższego celu są:

a) Wyprawy wysokogórskie, letnie i zimowe,

b) ćwiczenia mające na celu osiągnięcie wysokiej sprawności technicznej,

c) zebrania towarzyskie z odczytami i dyskusją,

d) prenumerata czasopism taternickich i alpinistycznych,

e) utrzymywanie stosunków z pokrewnymi organizacjami w kraju i zagranicą,

f) założenie biblioteki i działalność literacka,

g) założenie składnicy artykułów sportowych.

§ 7. Sekcja składa się z członków a) honorowych, b) zwyczajnych, c) adeptów.

a) członkiem honorowym może zostać

każdy taternik i z poza A. Z. S., który położył dotychczas wybitne zasługi około rozwoju taternictwa lub alpinizmu, mianowany przez walne zgromadzenie członków Sekcji.

b) członkiem zwyczajnym może zostać każdy członek (nie uczestnik) A. Z. S., który wykaże się wymaganym poziomem wykształcenia taternickiego.

Wykształcenie to obejmuje:

1) znajomość fizjografii Tatr, historii Tatr i taternictwa;

2) dostatecznie wysoką sprawność taternicką na dowód której, kandydat na członka zwyczajnego ma przedłożyć wykaz wycieczek, świadczących o ogólnej znajomości Tatr, który to wykaz winien ponadto zawierać trzy przynajmniej dość trudne wyprawy (nie wspinaczki) wedle skałi „przewodnika“ Gyuli Komarnickiego, lub trzy wyprawy skalne zimowe, które kandydat odbył w charakterze prowadzącego. Wykaz ma zawierać podpisy trzech członków zwyczajnych Sekcji,

c) Członkiem-adeptem może zostać każdy członek A. Z. S., który wykaże ogólną znajomość Tatr szeregiem wycieczek, podanych w wykazie zaopatrzonem w podpisy trzech członków zwyczajnych Sekcji. — Kandydat który uzyskał przyjęcie do Sekcji, podpisuje deklarację, w której zobowiązuje się do ścisłego przestrzegania statutu i wykonywania uchwał Walnego Zebrania Sekcji.

§ 30. Każdy członek Sekcji obowiązany jest do jaknajenergiczniejszej działalności w kierunku ochrony przyrody Tatr, w sposób przez Walne Zgromadzenie Sekcji uchwalony.

§ 31. Członkowie w czasie pobytu w górach obowiązani są do niesienia pomocy w razie nieszczęśliwych wypadków.

Działalność swoją rozpoczęła Sekcja otwarciem sześciomiesięcznego kursu taternickiego dla członków. Kurs obejmuje. 1) wykłady, — 2) ćwiczenia w technice skalnej koło Krakowa, — 3) wyprawy w Tatry, zimowe i letnie. Dnia 15. lutego odbyło się inauguracyjne posiedzenie Sekcji, na którym przemawiał prof. Goetel imieniem wydziału Akad. Związku Sport., inż. Czerwiński jako prezes Polskiego Tow. Tatr., dyr. Piotrowski od Sekcji Turyst. P. T. T., — poczem dr. Marjan Sokołowski wygłosił wykład na temat: Istota i cele taternictwa, a p. Korwicz na temat: Historia taternictwa polskiego.

W ubiegłym sezonie zimowym do dnia 1. V. liczyła Sekcja 22 członków. Wykładów wygłoszono 10; „Geologia Tatr“, „Roślinność Tatr“, „Klimat górski“, „Ideologia taternictwa“, „Historja taternictwa pol.“, „Historja

alpinizmu (cz. I)“, „Niebezpieczeństwa zimowe Tatr“, „Rynsztunek taternika zimą“, „Hygiena taternictwa zimowego“, „Technika wypraw skalnych w zimie“. — Wypraw zimowych w kwietniu odbyto 2: 9. IV. Świnicka prz. (z Kołła) — Świnica (niżn.) — Świnica (wyżn.) — Gąsienicowa Turn. — Niebieska Turn. (I. wejście zimowe) — Niebieska prz. (zjazd) — Zawratowa Turn. — Zawrat — Hala Gąs. — Uczestniczyli: dr. M. Sokołowski, A. Sokołowski, M. Korowicz. — 25. IV. Kozia dol. — Przełęcz Kulez. (żlebem) — Czarne Ściany (I. przejście zimowe grani) — Kozia dol. — Uczestniczyli: A. Sokołowski, dr. M. Sokołowski, K. Mischka.

Biblioteka Sekcji posiada 150 dzieł z zakresu taternictwa i alpinizmu.

W bieżącym sezonie letnim będą się odbywać wykłady z zakresu taternictwa letn., ochrony Tatr, alpinizmu i t. d. Ćwiczenia w technice skalnej i wyprawy latem zapełnią najbliższe miesiące.

W skład Wydziału wchodzi: dr. Marjan Sokołowski (przewodniczący), Marek St. Korowicz (sekretarz), Adam Sokołowski (bibliotekarz), Dnerr (przodownik wycieczek zbiorowych), Kazimierz Mischke (skarbnik).

Ogłoszenia o działalności Sekcji wywieszane są na własnych tablicach, w głównym gmachu Uniw. Jagiel., w gmachu Akad. Gór. i w lokalu Akad. Zw. Sport. — Adres Sekcji: Kraków, Zwierzyniecka 48.

Wakacyjny Kurs Uniwersytecki dla nauczycielstwa odbył się w Zakopanem od 2-go do 25-go sierpnia. Wykładom, które liczyły ogółem 70 godzin, przystąpiło 103 uczestników, w tem 24 nauczycieli i 79 nauczycielek, prawie ze wszystkich województw Rzeczypospolitej. Prelekcje odbywały się w sali „Sokoła“, kursistów pomieszczono w Szkole Powszechnej i Internacie Szkoły Przemysłowej przy pomocy D. O. K. krakowskiego, które wypożyczyło łóżka i materace.

Program wykładów obejmował dział humanistyczny i cykl tatrański. W zakres ostatniego wchodziły następujące odczyty: Zasady geologii tektonicznej i powstanie Tatr — Dr. Walery Goetel; z ekologii roślin tatrańskich — Dr. Konstancy Stecki; socjologia i historia roślin tatrańskich — Dr. Bogumił Pawłowski; rys faunistyczny ziem polskich z uwzględnieniem Tatr — Dr. Antoni Jakubski; polskie nazwy miejscowe i osobowe z uwzględnieniem Podhala — Dr. Kazimierz Nitsch.

W związku z wykładami odbywały się wycieczki naukowe w Tatry pod kierunkiem prelegentów pp. Goetla, Jakubskiego i Steckiego. Oprócz naukowych urządzono również kilka wycieczek krajoznawczych, które prowadzili Dr. Bronisław Gromadzki i Dr. Henryk Rowid. Ponadto uczestnicy kursów zwiedzali Muzeum Tatrańskie pod kierunkiem obu kustoszów. Zb..

RÓŻNE ZAPISKI.

Z okazji pięćdziesiątej rocznicy założenia Francuskiego Klubu Alpejskiego (C. A. F.), którą święcono dnia 2. kwietnia b. r. oficjalną uroczystością i w obecności Prezydenta Republiki w paryskiej Sorbonie, — umieścił słynny powieściopisarz Henry Bordeaux w czasopiśmie „L'illustration“ No. 4231 dłuższy artykuł; podajemy tutaj w streszczeniu ustępy, które traktując o ewolucji stosunku człowieka do pierwotnej przyrody, interesują szczególnie ze względu na aktualną u nas kwestję ochrony górskiego krajobrazu. Wyjmujemy z artykułu tego również daty odnoszące się do historii bratniego i rówieśnego nam prawie Towarzystwa.

Góry — pisze Bordeaux — odkryte zostały w istocie w długi czas po odkryciu Ameryki, bo dopiero ku końcowi 18-go stulecia. Do owego czasu świadomie nic o nich nie chciano wiedzieć. „Starożytnych Greków i Rzymian, mówi Humboldt, okolica jakaś pociągała na ogół o tyle tylko o ile przedstawiała się mile do zamieszkania; najmniejszej war-

tości nie miało dla nich to, co my zwiemy dziką i romantyczną okolicą“. Toż samo rzecz można i o ogóle Francuzów aż po Jana Jakóba Rousseau. Jedyny wyjątek stanowi św. Franciszek de Sales, który zwiedzając (w r. 1606) leżącą w jego diecezji dolinę Chamoinix, pierwszy, zdaje się, wyraził zachwyt nad pięknoscią lodowców. Przyrodę kochało się naocznie jedynie taką, którą zdobyli wdzienne szaty; sławiono więc bujne niwy, ogrody, sady i parki. Nie zajmowało nikogo to co nie zostało przyrządzonem przez człowieka i dla człowieka. — Podróżnik *Tavernier* zwiedzając brzegi jeziora Lemńskiego koło Montreux, podziwia wille, sady i winnice, oświadcza, że nie widział nigdzie podobnie pięknego krajobrazu. Nie poświęca zaś ani jednego spojrzenia górcom. — *Montaigne*, obaczywszy wodospad Renu w Szafluzie, pisze: „Niżej Szafluzy nadybuję Ren na otęchła pełną skał tęgich i tam się łamie, a poniżej między temi samymi skały, na urwiśko, w które czyni wielki spad, pieniąc się i łomocąc nadzwyczajnie“.

czaj⁴. Z tego widowiska w którym później Ruskin dopatrywał się symbolu młodości i jej radosnej siły, wyciąga jedynie praktyczny wniosek: „Ukróca to bieg okretów i wadzi żegludze po rzeczonyj rzecze“. W owym czasie czułym się jest wyłącznie na sprawy ludzkie i przyrodę w ludzkiej postudze. Poeta jeśli mówi o górach, to tylko aby dać obraz odpychającej jałowości. Podróżnik postępuje bez ustanku, nazywając góry i morze najnudniejszą rzeczą na świecie. *Buffon* wyrokuje ex cathedra: „Przyroda w pierwotnym stanie jest martwą i wstrętną“. Dla *Woltera* przedstawiają Alpy jedynie przegrodę pomiędzy różnymi narodami. *Pani Staël* w końcu zapewnia, że wolałaby pójść o sto mil dla ujrzenia wielkiego człowieka, niż o sto kroków dla ujrzenia pięknej okolicy.

Starożytność i neoklasycyzm to czasy podobnego odczuwania; zajęcie ciągłe człowiekiem, życiem socjalnem (handel, obyczajami, sztuką etc.), pomijanie zupełne przyrody jeśli jest nieużyta i wzdraga się dawać schronienia, jądra i przyjemności. Pierwsze walki z górami mają czysto praktyczny podkład konieczności handlowych i politycznych. Rzymianin nawykły zwyciężać wszystko i wszędzie, nie znosi oporu natury. Nazwano go „rębaczem skał i zdobywcą gór“ — i nie zdumiewa wcale znajdowanie po nim śladów w postaci monet, posągów, resztek świątyń i kolumn w uważanych za niedostępne pustaciach Góry św. Bernarda i innych. A przecież czytając *Polibiusza* lub *Liwiusza* historję przejścia *Hannibala* przez Alpy, nie znajdziesz tam ani jednego malowniczego opisu, ani jednego słowa o majestacie krainy wiecznych lodów, a tylko lęk przed nią zabobonny.

Sredniowiecze patrzy również z trwogą na góry, tworzy straszne o nich opowieści. Później przychodzą mnisi, karczują lasy, wznoszą klasztory i kaplice, nie wahają się spojrzeć w oczy pustce. Powstają samotnie górskie i wznoszą się beznadziejną dziec — pogodę ducha.

Wyprawy do Włoch, dzięki ciągłym przechodom przez Alpy, przyczyniają się tymczasem do stopniowego wzmagania się ciekawości do gór. Wszelako niewielu z podróżników zdradza ją malowniczymi słowy; jedynie księży i górali pociąga ona nieco więcej. *Św. Franciszek de Sales* pisze w roku 1666: „Naszędem Boga pełnego słodyczy i łaskawości nawet w nędznych i jałowych naszych górach, gdzie wielbiony jest szczerem sercem od wielu dusz prostaczych, gdzie sarny i kozy dzikie biegają tam i sam pośród straszliwych lodów, aby głosiły chwałę Jego.

Z winy niedoskonałej pobożności mojej, mało słów z ich mowy było mi zrozumiałem — atoli zdało mi się, iż cudne opowiadają rzeczy“. *Św. Franciszek de Sales* był prorokiem; grupa *Mont Blanc*, która nosiła wówczas miano *góry przeklętej*, która była uważana za siedlisko złych duchów i gdzie jeszcze w końcu 17-go w., jak prawi tradycja, biskup z *Annecey* egzorcyzmował uroczyscie lodowiec — stała się dziś celem pielgrzymstwa alpinistów całego świata.

Przyszedł *Jan Jakób Rousseau* i rzekł w swych „Wyznaniach“: „Wiadomość co rozumiem pod nazwą kraju pięknego. Trzeba mi strumieni i skał, jodeł i czarnych lasów, urwisk, dróg kamienistych i stromych, przepaści po obu mych stronach, któreby mię trwożyły...“. Zapomina wszystkiego dla swojej wszechwładnej kochanki przyrody, kiedy znajduje się w otoczeniu dzikiej i groźnej pustki. Wpływ *Rousseau'a*, jak w innych dziedzinach, tak i w tej był olbrzymi. Spotęgował miłość przyrody wkładając w nią własne nasze człowieczeństwo; uczynił z niej przyjaciółkę, powiernicę, istotę żywą. — Wkrótce potem dwie uczone wyprawy na *Mont Blanc* rzucają świeży blask na góry. I ci uczeni, choć to jeszcze nie alpinisci, zajądłose swoją ku opornej górze zwracając jak ku istocie żywej, ku żywemu przeciwnikowi: pokonawszy go, z wściekłością deptają i kopią nogami śnieżny wierzchołek.

Odtąd nieprzestają już góry być tematem pieśni i celem ukochań. *Romantycy*, — *Byron* w *Manfredzie*, *Lamartine* w *Jocelynie*, *Hugo* w *Burgrabiach*, wielbią je jako bóstwo samotności i natchnień lirycznych.

W ten sposób *Rousseau* i romantycy przyczynili się do rozpowszechnienia kultu dla gór i to nie jedynie dla ich lasów i hal, lecz dla ich skał i lodowców, dla krainy wiecznego milczenia. Od tego czasu zdążyły już one stać się boiskiem dla amatorów trudnych, zdobywczych ćwiczeń, uzdrowiskiem chorych, ucieczką i schronieniem zboliałych dusz. Tak jak miały swych wieszaków, mają dziś swoich snobów, po swych *Kolumbach*, mają swych *Tartarinów*. Po tyło-wiekowym budzeniu w ludziach trwogi, zdołała ta kraina śmierci i martwoty stać się modą. Powstanie towarzystw górskich zapoczątkowało racjonalne ćwiczenie jej miłośników, stworzenie dla niej dobrze wyekwipowanych zastępów, zaopatrzonych w żywność, stacje ratunkowe, baraki mapy-przewodniki i godła.

A jednak nie we Francji miała się zrodzić pierwsza idea stowarzyszenia mającego za cel zwiedzanie i badanie Alp. Nie we Fran-

cji — albowiem Francja pomimo romantyzmu, pozostała krajem umiarkowania i nieegzaltowanego rozsądku, krajem towarzystwa które przyrody kosztowało na sposób klasyczny. A pozatem Francja posiadała na własność tylko góry Owerniackie, Wogezy i Pireneje; Alp dotykała jedynie w małej bardzo części. Sabaudja i Nicea zostały przez nią dopiero w r. 1860 ostatecznie anektowane; w kilka lat później, cesarz Napoleon III z cesarżową Eugenją, podczas pobytu swego w Chamonix urządził wyprawę na „Morze Lodowe“ — i z miejsca „lansuje“ wysokie góry w świecie nie właściwych alpinistów, którzy już od dawna uprawiają spinaczkę, ale w świecie „turyzmu!“

Tymczasem 4. sierpnia 1857 w Meiringen i Interlaken, zawiązuje się angielski *Alpine Club*. Anglicy kochali się zawsze w intensywnym życiu fizycznym, eksploracjach, współzawodnictwie, atletyce. Turystyka wysokogórska musiała w nich znaleźć namiętnych zwolenników. Przecież już w r. 1611 wydana została w Londynie ku czci słynnego podróżnika Tomasza Coryat rycina, na której widnieją jego buty w otoczeniu wieńca laurowego; był to pierwszy hold oddany „cizemkom“ alpinisty. Wiele z najśmielszych pierwszych wyjść alpejskich zawdzięczamy Anglikom. Dzisiaj londyński *Alpine Club* jest w największym swoim rozkwicie: on to organizował i organizuje wyprawy zdobywające Himalaje i Mount Everest.

W r. 1862 powstaje *Oesterreichischer Alpen-Verein*. W 1863 w kwietniu *Schweizer Alpen-Club*, w październiku *Club Alpino Italiano* w Turynie. Po nich idą: *Niemiecki Klub Alpejski* w Monachium (1869) *Klub Turystyczny* w Wiedniu (1869) *Klub Wogezów* (1872) *Towarzystwo Alpejskie Trydenckie* (1873) *Towarzystwo Karpackie* na Węgrzech (1873).*)

We Francji przed powstaniem *Club Alpin Français* istniało już *Towarzystwo Pirenejskie*. Założone w r. 1863 (z współudziałem kolegów brytyjskich), nieprzestało do dziś dnia odgrywać ważnej roli w historii gór, werbując całe plejadi poetów, całe kohorty uczonych. Do niego też należy zasługa zorganizowania sportów zimowych w Font-Romeu i Superbagnères.

Data definitywnego ukonstytuowania się C. A. F. wypada na 2-go kwietnia r. 1874.

*) *Polskie Towarzystwo Tatrzańskie*, pominięte w tym spisie, zawiązało się w r. 1873, w miesiąc po węgierskiem Towarzystwie Karpackiem.

Jak małe było wówczas u społeczeństwa francuskiego zrozumienie idei alpinizmu świadczy to, że cała ówczesna prasa, od poważnych dzienników po ilustrowane pisemka, obrzuciła gradem kpín i karykatur młode Towarzystwo, wymyślając członkom jego od nierobów, linoskoków i zwarjowanych pompierów. — Za dewizę i cel Klubu wzięto sobie: *przez miłość dla gór podnosić dusze, rozwijać energję, krzepić serca, zwalczać ułomności fizyczne i moralne*. Tak w pierwszym wydziale C. A. F. jak i w następnych widnieją nazwiska znane i dobrze zasłużone we Francji. Już w pierwszym roku istnienia w listopadzie liczył C. A. F. 607 członków. Ofiarował członkostwo honorowe 22 uczonym i alpinistom całego świata.**)

Kiedy Achilles Ratti, zdobywca Monte Rosa przez grań włoską od Macugnaga, wstąpił na tron pontyfikalny jako Pius XI-ty — jedną z pierwszych depeesz gratulacyjnych otrzymał od C. A. F.

C. A. F. posiada dzisiaj 50 sekcij na kontynencie, Korsyce, w Algierze i Maroku, liczących ogółem 15.000 członków, — 75 zagospodarowanych schronisk w Alpach i Pirenejach, wśród których jest kilka hoteli i z których przeważna ilość stoi powyżej 3.000 m., a najwyżej położone na 3.800 m. pod szczytem Mont-Blanc, — oraz liczne kompanje zorganizowanych, egzaminowanych i statutowi Klubu poddanych przewodników i tragarzy w centrach alpejskich. Niepoślednie zasługi położył też C. A. F. dla rozwoju turystyki narciarskiej, prowadząc zastępy młodzieży w krajny idealnego śniegu i dziewiczych bezdroży.

Podał J. G. P. (iun.).

Wyprawa na najwyższy szczyt kuli ziemskiej. Największą w świecie alpinistycznym sensacją lat ostatnich i chwili obecnej jest wyprawa na Chhmalungmo w Himalajach, podjęta przez Królewskie Towarzystwo Geograficzne Wielkiej Brytanji łącznie z Brytańskim Klubem Alpejskim przy wydatnej pomocy rządu indyjskiego. Chhmalungmo, której Anglcy w r. 1855-ym nadali nazwę Mount Everest od pułkownika Everesta pierwszego topografa tych okolic, jest najwyższą górą świata mierząc 9100 metrów. Dwa inne najwyższe wzniesienia kuli ziemskiej, o 60 km. na zachód od Chhmalungmo leżący Ga-urisan-ka i o 160 km. na wschód położony Kanchanjanga nie dochodzą 9000 m. Pierwszą wyprawę podjęto w r. 1921-ym pod kie-

***) W spisie członków honorowych wliczono gen. Chodźkę z Rosji, (czy Polak?).

rownictwem pułkownika Hovarda Bury, następnym, podejmowanym odtąd corocznie przewodniczył generał Bruce. O ile można wnosić z dostępnych nam relacji, trudności tego przedsięwzięcia wynikają nietylko z warunków terenowych ile ze stosunków klimatycznych w połączeniu z wielkimi odległościami. Pokonywać trzeba te odległości w okolicach bezludnych i niedających schronienia przy panującym na tych wyżynach dotkliwym zimnie, obfitych opadach śnieżnych, szalejących wiatrów i zadymkach, przy groźącym ciągle niebezpieczeństwie lawin. W drugiej wyprawie lawina porwała siedemnastu ludzi z których siedmiu zginęło. Czas nadający się na wyprawę ogranicza się do kilku tygodni w ciągu maja i czerwca. Szczególną, gdzieś indziej nie spotykaną trudność, przedstawia wpływ rozrzedzonej atmosfery na organizm ludzki. Trudność oddychania i niedomagania połączone z zaburzeniami w systemie krążenia, odbierają siły potrzebne do walki z surową przyrodą. Zauważono wprawdzie, że przy dłuższym pobycie w rozrzedzonej atmosferze organizm przystosowuje się do nowych warunków, wymaga to jednakże wiele czasu, budowy schronisk na dłuższy pobyt i odpowiedniej do tego czasu aprowizacji. Zastosowano tedy aparaty ze zgęszczonym tlenem, które nosi się sposobem tornistrza. Aparat taki wystarczający na 12 godzin waży 14^{1/2} kgr. co jest znacznym obciążeniem obok wagi plecaka z prowiantami, lin i rozmaitych przyrządów. Między członkami wyprawy powstała też kontrowersja czy stosować aparat tlenowy, czy też system aklimatyzacji. Zwyciężył pierwszy pogląd, ale osiągnięte wyniki, jak dotąd, nie rozstrzygają jeszcze stanowczo na jego korzyść. W czasie drugiej wyprawy kilku jej członków bez aparatów tlenowych osiągnęło wysokość 8225 m., kilku innych zaopatrzonych w aparaty wyszło tylko 75 m. wyżej. Właściwe trudności wyprawy zaczynają

się zresztą dopiero powyżej 5000 m.; w tym klimacie bowiem dojrzewa jęczmień jeszcze na wysokości 4570 m. i znajdują się tu liczne osady. W dolinie Rongbuk stoi wielki klasztor buddyjski na wysokości 5030 m.

Wyprawa idąc w górę pobudowała w odległościach jednego dnia marszu, stacje odpowiednio zaopatrzone. W czasie drugiej wyprawy na wysokości 7772 m. stanął szósty obóz. Rok 1923 poświęcony był wyłącznie ustaleniu rezultatów poprzednich wypraw i przygotowaniu się do ostatecznego ataku na szczyt. Pobudowano siódmy obóz, z któregooby można w ciągu jednego dnia odbyć ostatni etap drogi tam i z powrotem. To zadanie podjęto w maju i czerwcu b. r.; rezultat jeszcze nie wiadomy.

Nakoniec mała uwaga. Niewiadomo dlaczego idziemy i my za zgola nie chwalebna manja Anglików przezywania gór nazwiskami swoich globetrotterów. Pomijając już leżące w tej manji imperjalistyczne zakusy podobne do tych z jakimi walczyliśmy w zaborze pruskim, obyczaj ten jest potępienia godny ze samych już tylko względów estetycznych. Przecież i u nas w Tatrach mieliśmy okres „anglomani w swoim rodzaju, kiedy to omal że Gerlach nie został przemianowany na „papa Englisz“, Łomnica na „mama Englisz“, Łodowy na „ciocia Englisz“ a Durny na „Englisz junior“. Sekcja Ochrony Tatr w memorjałe swoim wystąpiła stanowczo przeciw tego rodzaju nadużyciom. Dlaczego mamy je tolerować gdzieindziej? Czy nie byłoby nawet dobrze aby na odbywającym się właśnie Kongresie geograficznym członkowie narodu, który doświadczył sam pod obcymi zaborami gorzkiego smaku takich przechrzeń, postawili wniosek uszanowania nazw etnograficznych?... Wyjątek mogą stanowić tylko okoliczności zupełnie bezludne, które nazw miejscowych nie posiadają.

OSTATNIE WIADOMOŚCI.

W sprawie układów polsko-czechosłowackich. W dniach od 2—5. czerwca nastąpiło w Orawie przesunięcie dotychczasowej linii demarkacyjnej na definitywną granicę i objęcie jej przez przedstawicieli rządu polskiego i czechosłowackiego. Przedstawicielem rządu polskiego jako zastępca rządu przy mieszanej Komisji delimitacyjnej był mjr. Romaniszyn, zaś przedstawicielem Czechosłowacji wiceżupan Orsak. W dniu 3. czerwca władze polskie wycofały swe organizacje celne, policję państwową i organizacje szkolne z wsi Gło-

gówka i Sucha góra. Granice na wymienionych wyżej dwu odcinkach zostały o g. 17 objęte przez odnośne organy celne i policję państwową obu państw. Dnia 5. czerwca władze czechosłowackie wycofały swe organizacje celne i szkolne ze wsi Lipnica Wielka. Granica na wspomnianych dwu pozostałych odcinkach została objęta przez odnośne organizacje celne i policję państwową dnia 5-go czerwca o godz. 14. Tego samego dnia przyjął delegat rządu polskiego mjr. Romaniszyn liczną deputację mieszkańców ze wsi Lipnica Wielka,

która przedłożyła mu prośbę o zabezpieczenie jej prawa posiadania i użytkowania łąk i lasów leżących po drugiej stronie granicy. Dnia 5. czerwca został podpisany przez przedstawicieli rządów obu państw w Lipnicy Wielkiej odnośny protokół poczem przedstawiciel rządu czechosłowackiego opuścił wieś Lipnicę Wielką.

W wykonaniu uchwały konferencji krakowskiej w sprawie ustalenia protokołu spiskiego, odbyła się w ministerstwie robót publicznych w Pradze dnia 6. czerwca konferencja w sprawie utworzenia terenu ochrony przyrody na pograniczu polsko-czechosłowackiem i w sprawie konwencji turystycznej. W konwencji wzięli udział ze strony polskiej prof. Goetel komisarz graniczny, prof. Szafer i dr. Kulczyński. Ze strony czeskiej inż. Roubik,

inż. Durysz, komisarz graniczny Dworsky i dr. Müllman z prezydium czechosłowackiego klubu turystycznego. Na konferencji porozumiano się co do ujednostajnienia w obu państwach ogólnego ustawodawstwa ochrony przyrody, oraz co do konkretnego utworzenia parków narodowych na pograniczu polsko-czechosłowackiem, na podstawie już wykonanych z obu stron prac w szczególności w Tatrach i Pieninach. Nadto ustalono zasady ogólne konwencji turystycznej dla całego pogranicza i rozdzielono materiał do przygotowania odnośnych projektów ustawowych. Celem ostatecznego omówienia tych spraw na propozycję polską odbędzie się następną konferencja w Zakopanem w pierwszej połowie sierpnia b. r. z udziałem wszystkich zainteresowanych czynników rządowych i społecznych.

OD REDAKCJI.

Oświadczenie.

Zarząd Oddziału lwowskiego otrzymał od Zarządu Oddziału warszawskiego pismo z d. 21 sierpnia r. 1923 w sprawie umieszczonego w I. roczniku „Wierchów“ artykułu „Jak upiększyć Tatry“, a odnośnie do str. 129 i 141, na których p. S. Makarczykowi przypisano „pomalowanie ścieżek prowadzących na Kościelec“. Zarząd Oddziału lwowskiego przesłał ze swej strony Oddziałowi warszawskiemu wyjaśnienia a równocześnie Redakcji „Wierchów“ odstąpił rzeczzone pismo.

Redakcja oświadcza, iż nie miała zamiaru dotknąć osobiście p. Makarczyka; o ileby jednak p. Makarczyk czuł się dotkniętym, to Redakcja z gotowością wyraża ubolewanie z powodu omyłki, skoro według oświadczenia Zarządu Oddziału warszawskiego „p. Makarczyk bezpośrednio nie wspólnego ze sprawą nie miał“.

Redakcja „Wierchów“.

Zamierzając w przyszłości wypuszczać „Wierchy“ już w maju, upraszamy współpracowników naszych o wczesne nadsyłanie artykułów, a to do 1-go grudnia b. r. Wskazaniem jest wcześniejsze zgłoszenie i porozumienie się z Redakcją. Wiadomości i notatki do Kroniki, sprawozdania Towarzystw i t. p. można nadsyłać aż do 15-go lutego. Pożądanymi są zwłaszcza artykuły treści turystycznej, do Kroniki zaś opisy letnisk i zimowisk, warunków pobytu w nich i t. p.; — pożądanymi są również dobre i oryginalne zdjęcia fotograficzne, (przy których wymienić należy dokładnie co fotografia przedstawia i z jakiego punktu zdjętą została).

Honorarja wypłacane bywają zaraz po złożeniu artykułu i pierwszej korekcie.

Wprowadzić pragniemy również dział bibliograficzny i recenzyjny. Egzemplarze recenzyjne dzieł (z zakresu objętego przez Wierchy) należy nadsyłać najpóźniej po koniec stycznia.

ADRES REDAKCJI (z wyjątkiem lipca, sierpnia i września): dr. Jan Gw. Pawlikowski — Lwów, ul. 3 Maja l. 5; można też kierować pisma do Redakcji na ręce Oddziału lwowskiego P. T. T. (Prezes dr. Adolf Chybiński, Lwów, ulica Kalecza l. 20). — W wymienionych trzech miesiącach należy zwracać się do reprezentacji Redakcji w Zakopanem: Muzeum Tatrzańskie, kustosz Juljusz Zborowski.

ADRES WYDAWCY: H. Altenberg, Lwów, ulica Pańska 16 l. p. Przy zamówieniu większej ilości egzemplarzy (n. p. przez Oddziały P. T. T.) należy zwracać się wprost do wydawcy celem uzyskania rabatu. Tu również należy zgłaszać inseraty, a to najpóźniej po dzień 15-ty kwietnia.



